

7 MILIONÓW czytelników na WATTPAD.COM

SUMMONER

— † ZAKLINACZ † —



POCZĄTEK

TARAN MATHARU

SUMMONER

— † ZAKLINACZ † —



TARAN MATHARU  
POCZĄTEK

Tłumaczenie:  
Grzegorz Komerski

Jaguar

Tytuł oryginału: *Summoner. The Novice*

Pierwsze wydanie w języku polskim: Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna, Warszawa 2015

Redakcja: Barbara Syczewska-Olszewska

Korekta: Aneta Szeliga

Skład: EKART

Copyright © 2014 by Taran Matharu Ltd. F/S/O Taran Matharu

Copyright for the Polish edition © 2015 by Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

Projekt okładki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Ilustracja na okładce: Małgorzata Gruszka

Mapa: Małgorzata Gruszka

**ISBN 978-83-7686-420-4**

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

Ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)

[youtube.com/wydawnictwojaguar](https://www.youtube.com/wydawnictwojaguar)

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

snapchat: jaguar\_książki

**#ZAKLINACZ**

**#SUMMONER**

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2015

[Virtualo Sp. z o.o.](#)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

# Spis treści

Dedykacja

Mapa

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[Demonologia](#)

[Przypisy](#)

chciałybyśmy opowiedzieć Wam, jak doszło do tego, że saga o przygodach Fletchera i jego demona Ignatiusa trafiła do Polski. Jak się zapewne domyślicie, codziennie do naszych skrzynek mailowych trafia wiele ofert od autorów lub ich agentów literackich z całego świata, więc wybór nie jest prosty. Niestety, choć bardzo byśmy chciały, nie jesteśmy w stanie przestudiować wszystkich propozycji, zazwyczaj więc kierujemy się jakimś dodatkowymi podpowiedziami, czy informacjami – często są to chwyt marketingowe, które mają przykuć naszą uwagę.

Tak było i tym razem. Młody debiutujący autor z Anglii, który po kilku miesiącach miał setki tysięcy fanów na wappadzie i najlepszych wydawców w kilkunastu krajach. Amerykańskie media piszą o fenomenie, o nowym zjawisku na rynku wydawniczym! Oho, coś w tym musi być. Połknęliśmy haczyk.

Jeszcze pełne sceptycyzmu, sięgnęłyśmy po tekst. No i miła niespodzianka. O rany! Ale jaka?! Już po lekturze pierwszych stron wiedziałyśmy, że mamy hit. Że wreszcie, po latach, jest książka na miarę naszych ukochanych „Zwiadowców”!

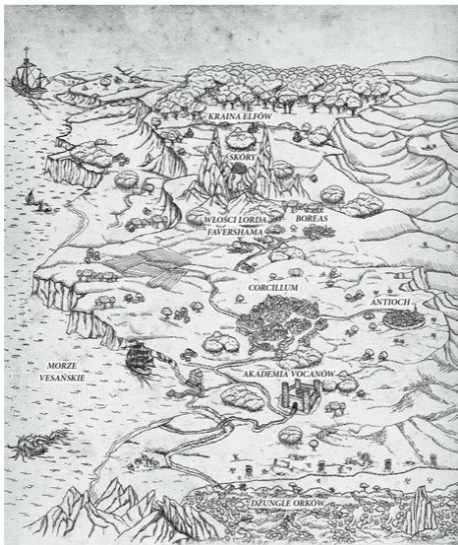
No i tak, strona za stroną, rozdział za rozdziałem, ogarniała nas coraz większa euforia! To jest super! Człowiek nie może się oderwać, przywiązuje się do bohaterów i kiedy dociera (po nieprzespanej nocy) do ostatniego zdania, jest wściekły, że na drugi tom musi czekać. A potem nie może przestać myśleć o odważnym młodzieńcu, pięknej elfce i mądrym krasnoludzie, o przedziwnych, wspaniałych demonach z Eteru, wrednych spiskujących arystokratkach z Hominum i przerażających orkach (zwłaszcza o albinosie)...

Znacie to uczucie? Nie jest ono częste, prawda? Ta książka to prawdziwy fenomen! I nie ma w niej tanich marketingowych chwytów! Ona jest po prostu pisana sercem! I trafia prosto do serca!

Ewa Holewińska i Anna Pawłowicz, Wydawnictwo Jaguar

*Mamie za to, że zawsze mogę na nią liczyć.  
Alice, która podczas pracy nad tą książką była mi opoką.  
I moim czytelnikom z serwisu Wattpad, bez których nie osiągnąłbym niczego.*





# MAPA HOMINIUM





## I

Teraz albo nigdy. Fletcher wiedział, że jeśli nie powali zwierzęcia pierwszym strzałem, dziś wieczorem będzie głodny. Zmrok zapadał szybko, a on był już mocno spóźniony. Jeżeli nie wróci do wioski na czas, brama zostanie zamknięta, i Fletcher albo przekupi wartowników – a pieniędzy nie miał – albo będzie musiał spędzić noc w lesie.

Młody łos pocierał łbem o pień strzelistej sosny. Płaty zdartego mchu pokrywały poszycie wokół drzewa. Sądząc po rozmiarach i budowie zwierzęcia, Fletcher ocenił, że ma przed sobą młodego osobnika, który właśnie zamierzał zrzucić pierwsze rogi. Okaz był wspaniały. Sierść połyskiwała przy każdym ruchu, ślepia skrzyły się inteligencją.

Fletcherowi zrobiło się smutno, że musi zapolować na to majestatyczne stworzenie. Zaczął już jednak szacować wartość zdobyczy. Grubą skórę sprzeda handlarzom za niemałą sumkę, zwłaszcza że zima wciąż nie ustępowała. Zarobi na niej przynajmniej pięć szylingów. Poroże, choć jeszcze niezbyt okazałe, było w znakomitym stanie. Przy odrobinie szczęścia mogło przynieść Fletcherowi kolejne cztery szylingi. Najbardziej jednak pożądał mięsa. Kruchej, soczystej dziczyzny, której skwierczący tłuszcz spłynie ciężkimi kroplami do ognia.

Pasma gęstej mgły osiadały na ubraniu młodzieńca warstwą wilgoci. W lesie panowała cisza. Zazwyczaj w górze skrzypiały kołysane wiatrem gałęzie, dzięki czemu mógł przekradać się wśród zarośli bez obaw, że zdradzi go jakiś szelest. Dzisiejszego wieczoru stąpał delikatnie, wstrzymując oddech

Zsunął łuk z ramienia i oparł strzałę na cięciwie. Lepszej nie mógł sobie wymarzyć. Drzewce było solidne i proste, lotki wykonano z porządnych gęsich piór, stabilizujących lot strzały o wiele skuteczniej niż tanie indyckie pióra, jakie zwykle kupował na targu. Odetchnął płytko i napiął cięciwę. Poczul pod palcami śliską powierzchnię. Przed wyjściem z domu natarł ją gęsim sadłem, by nie skurczyła się w wilgotnym powietrzu. Zmrużył oczy i wymierzył do losia. Obraz grot

strzały był rozmyty, po chwili jednak odzyskał ostrość. Ukrytego w wysokiej trawie Fletchera dzieliło od zwierzęcia dobrych trzydzieści stóp. Cel był trochę zbyt daleko, lecz brak wiatru sprzyjało łucznikowi. Nie musiał się obawiać przypadkowych podmuchów.

Nauczony gorzkim doświadczeniem wielu nocy spędzonych z pustym brzuchem wyczuł chwilę, kiedy w jego ciele i umyśle zapanował absolutny spokój. Wykorzystał ją. Płynnym ruchem uwolnił strzałę i wypuścił wstrzymywane w płucach powietrze. Usłyszał głucho trzepotanie cięciwy i uderzenie grotu w cel. Pięknie! Pocisk przeszył pierś, płuca i serce młodego łosia. Zwierzę runęło na ziemię, ciałem zatrzęsły konwulsyjne drgawki. Bijące bezradnie kopyta znaczyły ziemię głębokimi śladami.

Fletcher wysunął sztylet z zawieszonej u pasa cienkiej pochwy i puścił się biegiem w stronę łosia. Nie musiał go dobijać. Czysty strzał, zapewne tak powiedziałby Berdon. Zabijanie jednak nigdy nie jest czyste. Sącząca się z rozwartego pyska krwawa piana świadczyła o tym aż nazbyt wyraźnie.

Ostrożnie wyciągnął drzewce strzały i z zadowoleniem stwierdził, że nie pękło. Także grot nie wyszczerbił się na twardych żebrach. Wbrew swemu imieniu, Fletcher nie lubił tracić czasu na przygotowywanie nowych strzał. Wolał zajęcia, jakie zlecał mu Berdon. Podobała mu się praca kowala; z lubością nadawał kawałkom żelaza rozmaite kształty. Być może przypaść mu do gustu panujący w kuźni żar, a może rozkoszny ból mięśni po całodziennym trudzie. Bez znaczenia był też zapewne ciężar pobrzękujących w kieszeni monet.

Łoszak okazał się ciężki, lecz droga do wioski nie była daleka. Młodzieniec ciągnął zwierzę za poroże, cielsko gładko sunęło po mokrej trawie. Oby tylko nie wytropił go jakiś wilk albo żbik. Zdarzało się, że drapieżniki napadały na wracających z łowów mężczyzn i odbierały im upolowaną zdobycz. Niekiedy także i życie.

Fletcher wytropił łosia w lesie porastającym Góry Niedźwiedziogębe. Ich nazwa pochodziła najpewniej od dwóch bliźniaczych szczytów, kształtem przypominających kły potężnego zwierzęcia. Wieś rozłożyła się na łączącej oba wierzchołki skalistej przełęczy i wiodła do niej jedyna usłana kamieniami ścieżka. Można ją było bez trudu obserwować z bramy oraz niewysokich wież strażniczych, umacniających wzniesioną z grubych pni palisadę. Napaści nie zdarzały się często. Piętnastoletni Fletcher pamiętał właściwie tylko jedną. Osada położona była daleko na północ od dżungli, nie spodziewano się więc najazdu orków. Mieszkańcom groziły raczej okoliczne bandy rabusiów. Wiejska rada traktowała jednak kwestie bezpieczeństwa bardzo poważnie, przekroczenie bramy po dziewiątym dzwonie stanowiło dla spóźnialskich nie lada wyzwanie.

Fletcher ciągnął łosia po gęstej trawie, wzdłuż porastającej poboczne skalistej dróżki. Nie chciał uszkodzić na kamieniach delikatnej sierści. Była zbyt cenna. Futra należały do nielicznych towarów, jakie mieli na sprzedaż, i to właśnie im wieś zawdzięczała swą nazwę: Skóry.

Szło się coraz trudniej. W gęstniejącym mroku zdradliwy żwir raz po raz sypał mu się spod stóp. Słońce skryło się za górską gniańią i Fletcher przeczuwał, że lada chwila usłyszy dźwięk dzwonu. Zaciśnął zęby i przyspieszył kroku. Zaklął pod nosem, kiedy potknął się i przewrócił. Starł kolana na twardym podłożu.

Gdy wreszcie dotarł do wioski, zastał to, czego się spodziewał. Wrota były zaryglowane, zapalono nocne latarnie. Leniwi wartownicy zamknęli bramę wcześniej, niż powinni. Wątkoniom spieszo było do karczmy na wieczorny kufelek piwa.

– Durne nieroby! Do dziewiątego dzwonu jeszcze kawał czasu! – krzyknął Fletcher, opuszczając na ziemię rogaty łeb swej zdobyczy. – Otwierać! Nie będę spał w lesie tylko dlatego, że zachciało się wam zalać ryje! – Zdzielił bramę mocnym kopniakiem.

– Spokojnie, Fletcher, spokojnie. O co tyle hałasu? Tu próbują spać porządni ludzie – padła

odpowiedź i sponad drewnianej palisady wychylił się Didric, a jego wielka twarz, okrągła jak księżyc w pełni, rozciągnęła się w paskudnym uśmiechu.

Fletcher skrzywił się z niesmakiem. Ze wszystkich strażników, którzy mogli trzymać dziś wartość, musiał akurat trafić na Didrica Cavella, najgorszego z całej zgrai! Miał piętnaście lat i był jego równieśnikiem, ale uważał się za dorosłego mężczyznę. Fletcher nie znosił tego typu. Prymitywny osilek, który przy każdej okazji starał się pokazać, kto rządzi we wsi.

– Pozwoliłem dziennej zmianie zejść z posterunku nieco wcześniej. Widzisz, ja swoje obowiązki traktuję poważnie. Jutro z rana przyjeżdżają kupcy, a w takich sytuacjach ostrożności nigdy za wiele. Nie wiadomo, jaka hołota może się przywlec pod bramę. – Didric zachichotał, wyraźnie ubawiony własnym żartem.

– Wpuszczaj mnie, Didric! Obydwa wiemy, że brama powinna stać otworem do dziewiątego dzwonu – odrzekł Fletcher.

W tym momencie donośne bicie dzwonu poniosło się smętnym echem po okolicznych dolinach.

– Co mówisz?! Nie dosłyszałem! – zawołał Didric i teatralnym gestem przyłożył dłoń do ucha.

– Powiedziałem, żebyś otworzył, pacanie. To wbrew prawu. Jeżeli mnie natychmiast nie wpuścisz, zgłoszę wszystko twoim przełożonym! – zawołał gniewnie Fletcher, wpatrując się w bladą twarz, majaczącą w mroku nad palisadą.

– Cóż, zrobisz, jak zechcesz. Masz do tego prawo. Nie będę cię powstrzymywać. Ale pamiętaj, ukarzą wtedy nas obu i co komu z tego? Może się jakoś dogadamy, he? Zostawisz mi tego łosia, a ja w zamian oszczędzę ci nogę pod gołym niebem.

– Łosia?! Łosia to ja ci mogę, wiesz co... – rzucił z niedowierzaniem Fletcher. Nawet jak na Didrica tego rodzaju propozycja była jawną bezczelnością.

– Proszę cię, Fletcher. Trochę rozsądku. Wilki i żbiki wkrótce wyjdą na łowy, a teraz, zimą, nie powstrzyma ich nawet najjaśniejsze ognisko i albo dasz nogę, albo dasz im się pożreć. Tak czy inaczej, jeżeli nawet dożyjesz świtu, do wioski wrócisz z pustymi rękoma. Chcę ci po prostu pomóc – tłumaczył przyjaznym tonem Didric, jakby wyświadczał Fletcherowi wielką przysługę.

Twarcz Fletchera zapłonęła czerwienią. Z taką podłością nie zetknął się jeszcze nigdy w życiu. Nieuczciwość była w Skórach na porządku dziennym i młodzieniec już dawno pogodził się z faktem, że świat dzieli się na ludzi majątnych oraz biedotę. Sam zaliczał się do tej drugiej grupy. Niemniej ten rozpuszczony smarkacz, syn jednego z najzamożniejszych mieszkańców osady, chciał go po prostu obrażować.

– Pomóc, powiadasz? Myślisz, że taki jesteś sprytny, co?

– Przedstawiam ci logiczne wnioski, jakie nasuwają się po analizie naszej sytuacji. A fakt, że okazuję się jej beneficjentem, jest po prostu przypadkowym zrządzeniem losu. – Didric odsunął dłoń długą grzywkę spadającą mu na oczy.

Wszyscy wiedzieli, że rodzice Didrica opłacają prywatnych nauczycieli, a on sam lubi się popisywać kwiecistym słownictwem. Ojciec miał nadzieję, że pewnego dnia syn zostanie sędzią pokoju i zasiądzie w prawniczej ławie w jednym z największych miast Hominum.

– Zagalopowałeś się nieco – odezwał się Fletcher. – Wolę przenoćować w lesie, niż pozwolić, żebyś odebrał mi zdobycz.

– Ha! Zobaczymy, jaki z ciebie chojrak! Przed nami długa noc. Z przyjemnością popatrzę, jak opędzasz się od wilków. Zapowiada się ubaw po pachy. – Didric parsknął śmiechem.

Fletcher zdawał sobie sprawę, że strażnik rozmyślnie go prowokuje, lecz rozum nie zdołał ostudzić gotującej się w nim złości. Spróbował zdusić narastającą wściekłość, ale ta okazała się silniejsza.

– Nie oddam ci łosia. Za samą skórę wezmę pięć szylingów, a mięso jest warte dodatkowe trzy. Mam propozycję: wpuść mnie, a nikomu nie powiem o naszej rozmowie. I zapomnimy

o całej sprawie – rzekł, wciąż czując w sercu bolesne uklucie zranionej dumy.

– Teraz ty mnie posłuchaj. Ja też muszę coś z tego mieć, chyba to rozumiesz, prawda? Dzisiaj jestem w dobrotliwym nastroju i jeżeli oddasz mi poroże, o którym przypadkowo zapomniałeś wspomnieć, przestanę się wygłupiać i obaj dostaniemy to, na czym nam zależy.

Fletcher zeszytniał. Tupet Didrica przechodził wszelkie pojęcie. Po chwili jednak ochłonął i dał za wygraną. Ostatecznie noc we własnym łóżku była warta cztery szylingi. Westchnął głęboko i wyciągnął sztylet. Był ostry jak brzytwa, lecz nie wykonano go z myślą o pilowaniu rogów. Fletcher był wściekły, że będzie musiał okaleczyć łosia, ale nie miał wyjścia – postanowił odrąbać cały łeb.

Po chwili zmagania z kręgami szyjnymi trzymał w dłoniach rogatą głowę. Cieknąca krew zachlapała mu mokasyny. Krzywiąc się, uniósł łeb łosia wyżej i pokazał go Didricowi.

– No dobra, chodź tu i weź sobie te rogi – rzucił zza krwawego czerepu.

– Wrzuc mi to na górę – odparł wartownik. – Nie ufam ci.

– Co takiego?! – zawołał Fletcher

– Rzucaj albo nici z umowy! – zagroził Didric. – Nie chcę upaprać sobie munduru posoką.

Fletcher cisnął łeb w powietrze. Gęsty szkarłatny płyn chlusnął mu na bluzę. Rogaty łeb zatoczył łuk nad głową Didrica i rąbnął na drewniane deski pomostu za ostrokołem. Strażnik nawet na niego nie spojrzał.

– Wiesz co, Fletcher? Interesy z tobą to prawdziwa przyjemność. Do zobaczenia jutro. Miłej nocy na świeżym powietrzu – dorzucił filuternie.

– Zaraz! – zawołał Fletcher. – A co z naszą umową?!

– Dotrzymałem swoich zobowiązań. Powiedziałem, że przestanę się wygłupiać i obaj dostaniemy to, na czym nam zależy. Ty z kolei stwierdziłeś, że wolisz zanocować w lesie, niż oddać mi łosia. Jak widzisz, obaj mamy to, na czym nam zależy. Powinieneś uważniej słuchać. W umowach liczy się każde słowo. Każdy sędzia ci to powie. – Didric odsunął się od palisady.

– Nie tak się dogadaliśmy! Wpuszczaj mnie, ty mała gnido! – ryknął Fletcher i zamasyżył wyrżnął czubkiem buta we wrota.

– Nic z tego. Czeka na mnie ciepłe łóżko. Niestety, twoje zostanie dziś puste – odparł ze śmiechem Didric i odwrócił się na pięcie.

– Masz wartę! Nie możesz wracać do domu!

Gdyby Didric opuścił posterunek, Fletcher mógłby się zemścić, zgłaszając sprawę wioskowemu władzom. Co prawda, nie cierpiał donosicielstwa, lecz dla tego drania gotów był uczynić wyjątek.

– Ależ skąd. Nie mam dziś warty. – Głos Didrica stopniowo cichł. Widocznie schodził po schodach. – Niczego takiego nie powiedziałem. Zastąpiłem tylko Jakova, który skoczył do wygodki. Lada chwila powinien wrócić.

Fletcher zacisnął pięści. Nikczemność kłamliwego Didrica nie mieściła się w głowie. Spuścił wzrok i spojrzał na bezgłowe cielsko łosia, leżące obok jego zakrwawionych mokasynów. Wściekłość dawała go niczym wzbierająca w gardle żółć. W myślach powtarzał sobie: To jeszcze nie koniec, na pewno nie.





## 2

– Wylaż z łóżka. To jedyny dzień w roku, kiedy potrzebuję, żebyś wstał na czas. Nie mogę jednocześnie pilnować straganu i podkuwać jucznych koni.

Ledwie Fletcher uniósł powieki, rumiana twarz Berdona przesłoniła mu cały świat.

W odpowiedzi wymamrotał coś niezrozumiałego i naciągnął na głowę futrzaną narzutę. Miał za sobą długą noc. Nim Jakov pozwolił mu wejść, przetrzymał go za bramą całą godzinę. Postawił też warunek: kiedy następnym razem spotkają się w karczmie, Fletcher postawi mu kolejkę.

Zanim wreszcie trafił do łóżka, musiał wypatroszyć i oskórować łosia. Następnie podzielił mięso i rozwiesił je przy palenisku, by wyschło. Pozwolił sobie zjeść tylko jeden soczysty plaster. Piekl go dość krótko, bo szybko stracił cierpliwość i wcisnął całość do ust. Zimą mądrze było zachować mięso na później. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach Fletcher nie był pewien, kiedy nadarzy się okazja na następny posiłek.

– No już, Fletcher! I obmyj się. Cuchniez jak prosię. Nie chcę, żebyś mi ploszył klientów. Od takiego obdartusa nikt niczego nie kupi. – Berdon bezceremonialnie zdarł z podopiecznego ciepłe futra i wyszedł z maleńkiej izby, znajdującej się na zapleczu kuźni.

Pozbawiony okrycia, Fletcher skrzywił się i usiadł na posłaniu. W izbie było cieplej, niż się spodziewał. Zapewne Berdon pracował całą noc, przygotowując się do dnia targowego, ale on już dawno temu nauczył się spać mimo ogłuszającego brzęku żelaza, sapania miechów i przenikliwego syku rozgrzanych do czerwoności ostrzy, które kował hartował w zimnej wodzie. Fletcher poczłapał przez kuźnię, wyszedł na dwór i stanął przed niewysoką studnią. Nabral wody do wiadra i po chwili wahania wylał ją sobie na głowę. Była lodowata. Bluza i spodnie natychmiast przemokły, ale może to i dobrze. Przecież wczoraj ubrudził je krwią. Po kilku kolejnych wiadrach i chwili szorowania kawałkiem pumeksu rozdygotany i zziębnięty wrócił do

środką. Objął się ramionami.

– Pokaż się, niech no ci się przyjrzę. – Berdon pojawił się w drzwiach swojej izby. Światło z paleniska zagrało na jego długich rudych włosach.

Kowal był zdecydowanie najpotężniej zbudowanym mieszkańcem wioski. Na skutek ciężkiej pracy z młotem w rękę bary i pierś mężczyzny rozrosły się do niesamowitych rozmiarów. Niski i chudy jak na swój wiek Fletcher wyglądał przy nim jak krasnolud.

– Tak jak myślałem. Musisz się jeszcze ogolić. Słowo daję, ciotka Gerla miała bardziej krzaczaste wąsy niż ty. Pozbądź się tych nędznych klaczków. Zapuścisz zarost, kiedy doczekasz się prawdziwego, takiego jak mój.

Berdon z błyskiem w oku podkręcił sumiaste rude wąsiska, pod którymi pyszniła się siwiejąca już broda. Fletcher przyznał w duchu rację kowalowi. Dzisiaj spodziewali się przybycia kupców, którym często towarzyszyły ich miastowe córki, dziewczęta ze starannie ułożonymi fryzurami, w długich plisowanych spódnicach. Co prawda, dotychczasowe doświadczenia wskazywały, że nie poświęcą mu nawet jednego spojrzenia, ale co szkodzi trochę się postarać.

– Bierz się do golenia. Ja w tym czasie przygotuję ci ubranie. I bez marudzenia! Klienci chętniej kupują towary od porządnego gościa.

Fletcher bez entuzjazmu wrócił na dwór. Kuźnia stała tuż przy bramie osady, drewniany ostrokół wznosił się kilka stóp od tylnej ściany jego izby. W pomieszczeniu czekały już na niego lustro i niewielka miednica. Fletcher sięgnął po nóż i pozbył się młodzieńczego wąsika, po czym krytycznie przejrzał się w zwierciadle.

Był blady, co na północnych rubieżach Hominum nikogo nie dziwiło. Lato w Skórach trwało krótko – ot, kilka ułotnych, lecz szczęśliwych tygodni, kiedy to wraz z innymi chłopcami biegał po lesie, łowił pstrągi w strumieniu i piekł w ognisku orzechy. W takich momentach Fletcher nie czuł się obco wśród kolegów.

Miał surowe rysy twarzy. Wydatne kości policzkowe i lekko zapadnięte oczy o kasztanowej barwie. Na głowie gęstniała masa grubych, skołtunionych czarnych włosów, które Berdon przycinał za każdym razem, gdy uznał, że za bardzo się rozrosły. Fletcher zdawał sobie sprawę, że nie jest brzydki, choć też niezbyt przystojny, zwłaszcza w porównaniu z bogatymi, dobrze odkarmionymi chłopakami o rumianych policzkach i jasnych czuprynach, których we wsi nie brakowało. W północnych dzielnicach królestwa ciemne włosy stanowiły rzadkość, ale Fletcher jako niemowlę został znaleziony przed wioskową bramą, nic więc dziwnego, że wyglądem tak bardzo różnił się od sąsiadów.

Berdon rozłożył na łóżku podopiecznego jasnoniebieską bluzę i intensywnie zielone spodnie. Na widok tych kolorów chłopak zbladł, lecz pochwyciwszy ostrzegawcze spojrzenie kowala, nie wygłosił cisnącej mu się na usta uwagi. Ostatecznie w dzień targowy w tym stroju nie będzie zanadto wybijał się z tłumu. Kupcy byli znani ze swego upodobania do ekstrawaganckich ubiorów.

– No dobrze, ubieraj się w spokoju. – Berdon zachichotał i wyszedł na zewnątrz.

Fletcher wiedział, że docinki kowala to jego swoisty sposób na wyrażanie ciepłych uczuć, więc już dawno przestał się nimi przejmować. Sam również nie był wylewny, najchętniej przebywał w samotności, zatopiony we własnych myślach. Od samego początku, odkąd wypowiedział pierwsze słowa, Berdon niezmiennie szanował jego potrzebę prywatności. Tworzyli dziwną parę – szorstki acz dobroduszny samotny mężczyzna i jego zamknięty w sobie uczeń. Mimo to w niezrozumiały sposób świetnie się uzupełniali. Ponadto Fletcher czuł wobec Berdona głęboką wdzięczność, ponieważ to kowal jako jedyny z całej wsi zechciał go przygarnąć.

Kiedy go znaleźli, niczego przy sobie nie miał. Nie dostał powijaków ani koszyka. Pewnego dnia, tak po prostu, pojawiło się w śniegu przed bramą Skór płaczące wniebogłosy nagie

niemowlę. Egoistyczni bogacze nie wykazali ochoty, by się nim zająć, a biedniejszych wieśniaków nie było stać na taki uczynek. Tamta zima była niezwykle ciężka. Siarczyste mrozy długo nie ustępowały, a zapasy jedzenia topniały szybko. Ostatecznie malca przyjął do siebie Berdon, być może dlatego, że to właśnie on się na niego natknął. Kowal nie był zamożny, ale nie miał żadnych gąb do wykarmienia, a jego praca i zarobki nie zależały od pory roku. Pod wieloma względami był więc stworzony do roli ojczyma.

Fletcher czuł szczerą nienawiść do matki. Jaką trzeba być kobietą, by zostawić nagie dzieciątko na pewną śmierć w zimnym śniegu? Od dawna zastanawiał się, czy nie urodziła go jedna z miejscowych dziewczyn, która nie miała ochoty bądź nie była w stanie go wychować. Często przyglądał się uważnie twarzom spotykanych kobiet i próbował doszukać się w nich rodzinnego podobieństwa. Nie rozumiał, dlaczego w ogóle się tą sprawą przejmuje. Zresztą, żadna z mieszkanek Skór i tak nie była do niego podobna.

Stragan Fletchera, pobłyskujący lśnącymi mieczami i sztyletami, rozstawiony był przy głównej drodze, prowadzącej spod bramy aż na skraj wsi. Nie był jedyny. Sąsiednie uginały się pod ciężarem mięsiwa i zwierzęcych futer. Na sprzedaż wystawiono również inne towary: meble ciosane z drewna strzelistych sosen, rosnących w Górach Niedźwiedziozębych, oraz kołyszące się w doniczkach górskie kwiaty o srebrzystych płatkach, z upodobaniem hodowane w ogrodach przez zamożne matrony z miasta.

Najsłynniejszym z oferowanych w tej okolicy towarów były jednak wyroby ze skóry. Powstające we wsi kurtki i kamizelki ceniono nawet w odległych krainach za kunsztowne wykonanie i wyrafinowany krój. Fletcher upatrywał sobie szczególnie jedną z takich kurtek. Większość futer z upolowanych w ciągu roku zwierząt sprzedawał handlarzom, dzięki czemu zdołał zaoszczędzić ponad trzysta szylingów. Wszystko z myślą o tym konkretnym zakupie. Upragniona kurtka wisiała na jednym z ulicznych straganów. Niestety, Janet – kobieta, która na jej użycie poświęciła kilka tygodni – zapowiedziała Fletcherowi, że owszem, sprzeda mu ją za trzysta szylingów, ale pod warunkiem że do końca dnia nikt nie zaproponuje jej lepszej ceny.

Kurtka była pod każdym względem znakomita. Od spodu została wyścielona puszystą sierścią górskich zajęcy, miękka, szara i usiana gdzieś tam orzechowymi cętkami. Solidna skóra miała barwę ciemnego mahoniu i nie znać na niej było ani jednej kazy. Okrycie nie przepuszczało wilgoci i z pewnością niełatwo je było poplamić. Nie podarłoby się nawet podczas pogoni za zwierzyzną przez kolczaste zarośla. Kurtkę zapinało się na proste, drewniane kołki, a tuż za kołnierzem zwieszał się obszerny kaptur. Oczywiście wyobraźni Fletcher widział, jak ubrany w nową kurtkę kłęczy ukryty w mokrych zaroślach, napinając cięciwę łuku. Czuł przyjemne ciepło.

Berdon siedział obok kowadła. Wokół piętrzył się stos podków. Wytwarzane przez niego miecze i części zbroi były przedniej jakości, dawno już jednak doszedł do wniosku, że więcej zarobi na podkuwaniu koni strudzonych kupców, których długa wędrówka przez zagubione wśród Gór Niedźwiedziozębych osady dopiero się rozpoczynała.

Podczas zeszłorocznego targu Fletcher przez cały dzień miał pełne ręce roboty. Gdy stragan opustoszał z towarów, chłopak do późnej nocy ostrzył miecze. Tamten sezon był dla handlarzy bronią wyjątkowo pomyślny. Hominum wypowiedziało wojnę mieszkającym po północnej stronie gór elfom. Tamtejsze klany odmówiły opłacenia dorocznego trybutu, którego król domagał się w zamian za ochronę przed szczepami orków z południowych dżungli, których bezkresne polacie rozciągały się na rubieżach królestwa. Władca postanowił odebrać swą należność siłą, kupcy zaś żyli w ciągłym strachu przed lotnymi oddziałami elfów. Koniec końców, wojna sprowadziła się do serii wstępnych pogroźek i kilku pomniejszych potyczek. Konflikt przysłał na mocy cywilizowanej umowy, w której obie strony zobowiązały się do ograniczenia



działañ. Co do jednego królestwo Hominum i elfy zgadzały się ze sobą bez słów: prawdziwy wróg to orkowie.

– Myślisz, że znając wolną chwilę, żeby się rozejrzeć po targu? – zapytał Fletcher.

– Tak sędzę. Na razie nie ma wielkiego popytu na broń. Co prawda, świeżo uformowana armia Gór Niedźwiedziozębnych składa się z samych kalek i starców, ale podejrzewam, że jej obecność nieco uspokoiła kupców. Mają nadzieję, że zbójcy nie osmielą się nękać karawan pod okiem wojska. Co gorsza, zapewne mają rację. Raczej nie będą musieli dobywać mieczy zbyt często, a my stracimy zarobek. Na szczęście wciąż możemy oferować usługi wojskowym, których zachęciła twoja wizyta w zeszłym miesiącu.

Fletcher zadrżał na wspomnienie wyprawy do fortu po drugiej stronie gór. Okolice linii frontu zrobiły na nim przygnębiające wrażenie. Szczególnie mężczyźni o pustych, zobojętniałych spojrzeńiach, z utęsknieniem wyglądający końca służby. W strefę konfliktu z elfami wysyłano żołnierzy, których armia chciała się pozbyć, niezdolnych do walki głodomorów, których utrzymanie kosztowało władcę sporo pieniędzy.

„Odsiewanie plew”. Tak nazwali tę praktykę żołnierze. Część uważała ją za błogosławieństwo – dzięki niej trafiali w okolice odległe od koszmaru, rozgrywającego się na południu. Na wojnie ludzie tracili życie całymi tysiącami. Orkowie odrabiali im głowy i zatykali je w charakterze trofeów na palach na skraju tropikalnej dżungli. Była to rasa bezrozumna i dzika. Nigdy nie okazywała litości i cechowało ją wyjątkowe upodobanie do sadyzmu.

Stacjonującym na froncie północnym żołnierzom groził koszmarnego rodzaju: stopniowe wyniszczenie, powolna śmierć głodowa spotykająca ludzi, otrzymujących jedynie pół racji dziennie. Niekończące się musztry zarządzane przez sierżantów, którzy nie mieli nic innego do roboty, wyczerpywały siły. Pozbawieni wyobradni i polotu generałowie wiecznie przesiadywali w ogrzanych gabinetach, podczas gdy ich podkomendni trzęśli się z zimna na pryzach w połowych namiotach lub podszytych wiatrem barakach.

Kwaternistrz fortu nie wykazywał szczególnej ochoty do kupowania czegokolwiek, lecz musiał zapełnić magazyny, a wartki strumień docierającego z Górn Niedźwiedziozębnych zaopatrzenia już dawno zmienił się w ledwie ciurcząca strużynę, która wysychała w miarę wzrostu zapotrzebowania na sprzęt na froncie południowym. W efekcie pęk mieczy, które Fletcher dźwigał przez cały dzień na grzbiecie, udało się sprzedać za sumę znacznie przekraczającą ich wartość, a jemu została w garści ciężka, na szczęście jednak o wiele lżejsza od broni, sakiewka srebrnych szylingów. Gdyby odwiedził fort z muszkietami, zapłatę otrzymałby w złotych suwerenach. Berdon żywił nadzieję, że w tym roku kupcy wymienią jego miecze właśnie na broń palną. Gdyby kowalowi udało się dobić takiego targu, na wiosnę odsprzedałby muszkiety kwaternistrzowi z krociowym zyskiem.

Tamtą noc Fletcher spędził w koszarach na użytej mu cudzej przycy. Czekał na świt, by móc wrócić do Skór jeszcz przed zmrokiem. Powąził wtedy postanowienie, że jeżeli kiedykolwiek zostanie żołnierzem, zrobi wszystko, by nigdy nie trafić w podobne miejsce.

– Ej, chłopcze. Cofnij ten swój kram od bramy. Blokuje kupcom przejazd. – Czyjś władczy głos wyrwał go z zamyślenia.

To był Caspar, ojciec Didrica. Mężczyzna wysoki i szczupły, odziany w wykwintny, ręcznie szyty strój z fioletowego aksamitu, haftowany złotą nicią w delikatne wzory. Spoglądał na Fletchera z miną tak srogą, jakby sama jego obecność stanowiła dla niego obelgę. Za plecami ojca stał wyszczerzony w uśmiechu Didric. Jasne włosy miał starannie wywoskowane i rozdzielone na boku przedziałkiem. Fletcher zerknął na sąsiedni stragan, rozstawiony znacznie bliżej drogi niż jego budka.

– Nie będę dwa razy powtarzać. Rób, co mówię, albo wezwę straż! – rozkazał Caspar.

Fletcher obejrzał się na Berdona, który wzruszył mocarnymi ramionami i skinął głową. W ostatecznym rozrachunku sprawa nie była warta sprzeczek. Jeżeli pojawią się chętni na broń klienci, to znajdą ich tak czy inaczej.

Didric mrugnął okiem i machnął dłonią, jakby przepędzał natrętną muchę. Fletcher poczerwieniał, ale posłusznie zabrał się do pracy. Didric się w końcu doigra, mimo że jego ojciec był człowiekiem niebywale wpływowym. Prowadził kantor lichwiarski i miał w kieszeni właściwie wszystkich mieszkańców wioski. Kiedy czyjeś dziecko potrzebowało lekarstwa z miasta, pojawiał się Caspar. Był również w pogotowiu, jeśli sezon łowiecki nie przyniósł spodziewanych efektów. Gdy czyjś dom spłonął w pożarze, Caspar czaił się tuż obok. A czy wieśniacy, ludzie ledwie potrafiący się podpisać, mogli zrozumieć zawile kwestie odsetek lub skomplikowane kolumny cyfr, widniejące na umowie? Ostatecznie okazywało się, że cena, jaką musieli zapłacić za wybawienie, znacznie przewyższa zawartość ich trzosów. Fletcher z wściekłością przyglądał się sąsiadom, których część darzyła Caspara wielkim szacunkiem, choć lichwiarz był zwykłym oszustem.

Wciąż szarpał się z rusztowaniem straganu, z którego posypało się na ziemię kilka z mozołem wypolerowanych sztyletów, gdy rozległo się bicie wioskowego dzwonu. Do Skór przyjechali kupcy!



### 3

Zaczęło się jak zwykle. W powietrzu poniosły się skrzypnięcia kół i trzask biczu. Wiodąca do bramy ścieżka była stroma i nierówna, więc handlarze zmuszali konie do skrajnego wysiłku. Każdy z nich chciał zająć jak najlepsze miejsce na samym końcu biegnącej przez wioskę drogi. Ostatnim w wyścigu groziło, że będą musieli rozstawić stoiska w okolicach bramy, z dala od tłumu klientów, kłębiącego się w centrum osady.

Caspar stał przy wjeździe i zapraszał przybyszów szerokimi, wylewnymi gestami. Raz po raz kiwał głową, kłaniał się i uśmiechał do woźniców prowadzących przez wrota ciężkie, wyładowane po brzegi wozy.

Fletcher zauważył, że trudy podróży mocno dały się we znaki zwierzętom. Spienione boki pociągowych koni pokrywała lśniąca warstwa potu, ślepia łypały dziko z wycieńczenia. Widząc ich stan, uśmiechnął się szeroko, czując jednak lekki wyrzut sumienia. Zanosilo się na to, że Berdon będzie miał sporo roboty. Ciekawe tylko, czy wystarczą im podków.

Za ostatnim wtaczającym się do wioski furgonem przez bramę przejechało truchtem dwóch mężczyzn z sumiastymi jasnymi wąsami. Ich wierzchowce różniły się znacznie od zdrożonych szkap, mozolnie ciągnących kupieckie wozy. Nieznajomi siedzieli na potężnych, ciężkich rumakach o kopytach rozmiaru talerzy. Szarpiąc co chwila uzdy, zwierzęta dostojnie wkroczyły z bitego traktu na nierówną brukowaną ulicę. Fletcher usłyszał zza pleców przekleństwo Berdona i uśmiechnął się ze współczuciem.

Przybysze mieli na sobie czarne jak węgiel, opatrzone mosiężnymi guzikami mundury i czapki z daszkiem. Byli to pinkertonowie, miejscy stróże porządku. Muszkiety, które dzierżyli w dłoniach, nie pozostawiały co do tego żadnej wątpliwości. Fletcher zerknął na wysadzone żelaznymi guzami pałki, kołyszące się przy siodłach obok wypakowanych sakw. Tą bronią można było bez trudu złamać komuś rękę lub nogę, a pinkertonowie odpowiadali wyłącznie przed

królem, zwykle więc korzystali ze swej siły bez większych skrupułów. Fletcher nie miał pojęcia, z jakiego powodu towarzyszą kupieckiej karawanie, niemniej ich obecność oznaczała, że wędrujący handlarze nie będą potrzebować dodatkowej ochrony. Zrozumiał, że z jego straganu nie zniknie dziś zbyt wiele towarów.

Mężczyźni w czerni byli do siebie niezwykle podobni, w zasadzie mogliby być braćmi. Obaj mieli kędzierzawe blond włosy i zimne szare oczy. Zeskoczyli z wierzchowców i wyższy, kołysząc swobodnie muszkietem, podszedł prosto do Fletchera.

– Chłopcze, zaprowadź nasze konie do wioskowej stajni i każ je tam nakarmić i napić! – zażądał ostrym tonem.

Fletcher otworzył szeroko usta, szorstki ton polecenia zbił go z tropu. Przybysz nagłąco skinął ręką na rumaki, ale on nie kwapił się pozostawić stoiska bez opieki. Wciąż stał jak wryty.

– Proszę się nim nie przejmować. Jest niezbyt lotny – wtrącił Caspar. – U nas we wsi nie ma stajni dla przyjezdnych, ale waszymi zwierzętami zajmie się mój syn. Didric, zabierz konie do naszej stajni i przykaż stajennemu, żeby oporządził je szczególnie starannie.

– Ależ, ojcze, chciałem... – zaczął przymilnie Didric.

– Natychmiast, i to żywo! – uciął Caspar.

Didric pokraśniał na twarzy, rzucił Fletcherowi chmurne spojrzenie, po czym chwycił uzdy i poprowadził oba rumaki ulicą.

– A cóż to sprowadza pinkertonów do Skór? Jeżeli poszukujecie banitów, muszę uprzedzić, że od kilku dobrych tygodni nie widzieliśmy tu żadnej nowej twarzy – podjął Caspar i wyciągnął rękę do gościa.

Wysoki pinkerton niechętnie uściśnął podaną dłoń. Teraz, gdy wierzchowce znalazły się pod opieką Caspara, musiał zachować przynajmniej pozory uprzejmości.

– Mamy sprawę do waszkowych, stajonujących na północnej granicy. Król wyraził pragnienie wcielenia do armii przestępców, którym umorzy w tym celu wyroki więzienia. Naszym zadaniem jest wy badać w imieniu monarchy, jak się na tę sprawę zapatrują generałowie.

– Fascynujące. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że chętnych do służby ochotników stawia się coraz mniej, lecz ta koncepcja prawdziwie mnie zaskoczyła. Jakże eleganckie rozwiązanie! – Uśmiech nie schodził z twarzy Caspara. – A może bardziej szczegółowo omówilibyśmy te tematy przy kolacji i kropelce brandy? Mówiąc między nami, nasza karczma to dość podła dziura, a my z przyjemnością zapewnimy wam wygodny noleg, tak potrzebny po długiej wędrowce.

– Będziemy zobowiązani. Podróżujemy aż z Corcillum. Już od prawie tygodnia nie spaliśmy w czystej pościeli – wyjaśnił pinkerton i ściągnął z głowy czapkę.

– W tej sytuacji każe przygotować dla was gorącą kąpiel i podać na śniadanie ciepły posiłek. Nazywam się Caspar Cavell i jestem tu, można powiedzieć, członkiem wioskowej starszyny... – oznajmił Caspar i odprowadził przyjezdnych.

Śluchając cichnącej rozmowy odchodzących ulicą mężczyzn, Fletcher zastanowił się, co oznaczają przywiezione przez nich nowiny. Nie przyszłoby mu do głowy, że ktoś chciałby wcielić przestępców do wojska. Do pewnego czasu krążyły liczne pogłoski, że władze przygotowują się do rychłego zarządzenia przymusowego poboru młodocianych mężczyzn, co go zarazem ekscytowało i niepokoiło. Po ten środek sięgnięto już raz w przeszłości, wiele stuleci temu. Ten starożytny konflikt wybuchł w reakcji na zbrojne wypadki band orków, którzy kradli bydło i mordowali obywateli raczkującego wówczas Hominum. Zanim przeciwnik został ostatecznie przepędzony z powrotem do dżungli, w królestwie spłonęły setki wiosek.

Obecnej wojnie początek dało Hominum, wycinając południowe lasy, których drewno miało napędzić nabierającą od niedawna rozmachu rewolucję przemysłową. Do pierwszych starć

zbrojnych doszło siedem lat temu, a wciąż nic nie zwiastowało końca konfliktu.

– Gdybym tylko potrafił podrobić te ich muszkiety, w ogóle nie musielibyśmy otwierać straganu – zauważył Berdon stojący za Fletcherem.

Chłopak pokiwał głową ze zrozumieniem. Na linii frontu muszkiety stanowiły pilnie poszukiwany towar. Produkowali je krasnoludscy rzemieślnicy, zamieszkujący podziemia Corcillum. Technologia wytwarzania prostych luf i metalowych zamków była ich zazdrośnie i pilnie strzeżonym sekretem. Mimo że wojsko zaczęło wyposażać w muszkiety dopiero niedawno, ich sprzedaż przynosiła krociowe zyski. Orkowie byli w stanie przetrzymać nawet gęsty grad miotanych z luków strzał, ale ostrzał z broni palnej działał znacznie bardziej skutecznie.

Zaraz potem Fletcher zauważył w bramie ostatniego wędrowca, siwowłosego żołnierza o porośniętych kilkudniową szczecinę policzkach. Odziany był w znoszony, czerwono-biały mundur, w wielu miejscach noszący wyraźne ślady zużycia. Pokrywały go zebrane po drodze plamy błota i kurzu. W płaszczu brakowało wielu guzików, nieliczne pozostałe zwiślały smętnie na wyszarpanych nitkach. Weteran nie miał przy sobie broni, co wydawało się dość dziwne u człowieka podróżującego z kupiecką karawaną, zwłaszcza że był żołnierzem.

Nie jechał konno ani na wozie. Szedł pieszo, prowadząc obuczzonego ciężkimi tobołami muła. Buty wojskowego były w oplakany stan, w naderwanych podeszwach, kłapiących przy każdym ociężałym kroku, ziały spore dziury. Fletcher przyglądał się przybyszowi, który wprowadził muła na stanowisko wyznaczone po drugiej stronie ulicy, uwiązał zwierzę do słupka sąsiedniego straganu i jednym groźnym spojrzeniem zgasił protesty handlującego tam sprzedawcy.

Rozpakawał juki, rozpostarł na ziemi derkę i ustawił na niej kilka przedmiotów. Musiał wędrować na front konfliktu z elfami – zapewne uznano go za zbyt starego do walki w pierwszym szeregu i za mało doświadczonego, by mógł myśleć o oficerskim awansie. Weteran, zupełnie jakby wyczuł wścibskie spojrzenie Fletchera, odwrócił się i uśmiechnął do niego szeroko, ukazując mocno przetrzebione uzębienie.

Fletcher wyciągnął szyję, by lepiej przyjrzeć się towarom nieznanego, i otworzył szeroko oczy. Na kupców czekały szerokie jak dłońi dojrzałego mężczyzny krzemienne groty strzał, przemyślnie wyszczerbione na krawędziach, by utrudnić usunięcie ich z rany. Na kocu leżały też naszyjniki z zębów i zasuszonych uszu, rozłożone niczym najprzedniejsza biżuteria. Na honorowe miejsce z przodu dziwacznej kolekcji trafił zakończony żelaznym okuciem róg nosorożca. Z kolei w środku spoczęła czaszka zabitego orka, wielka jak dwie ludzkie głowy. Kość została wypolerowana do połysku i zdążyła mocno wyblaknąć w ostrym słońcu południowych rubieży królestwa. Nad pustymi oczodołami zwieszał się wydatny łuk brwiowy. Orkowe kły okazały się jeszcze większe, niż Fletcher sobie dotąd wyobrażał – zębiska musiały mieć przynajmniej trzy cale długości. Upominki z wojny, przeznaczone jako ciekawostki na sprzedaż mieszkańcom miast północy, bezpiecznie oddalonym od frontowych okopów.

Fletcher odwrócił się i rzucił błagalne spojrzenie Berdonowi, który również zauważył, czym przybysz zamierza handlować. Kowal jednak pokręcił tylko głową i skinął palcem w kierunku straganu, a jego podopieczny ciężko westchnął i zajął się rozkładaniem broni na stoisku. Zapowiadał się długi bezowocny dzień.





## 4

Dokoła starego żołnierza zebrał się niewielki tłumek. Nietypową ofertą zainteresowała się przede wszystkim dzieciarnia, ale pojawiło się także kilku strażników, którzy nie mieli niczego na sprzedaż ani pieniędzy w kieszeniach.

– Podchodźcie śmiało! Wszystko, co tu widzicie, jest najzupełniej oryginalne, trudno o bardziej autentyczne skarby! Każde z moich cacek mogłoby opowiedzieć mrozącą krew w żyłach historię, po której wysłuchaniu uśmiechnęlibyście się do swojej szczęśliwej gwiazdy i podziękowali jej za to, że przysłiście na świat na dalekiej północy – zachwalał weteran ze swadą godną sprzedawcy owoców. Podrzucił grot włóczy i z iście zonglerską zręcznością chwycił go dwoma palcami w locie. – Może zaciekawi was ściągnięta z gremlina przepaska biodrowa lub kolczyk, który jeszcze niedawno zdobił nos orka? O, widzę, że pan będzie chętny? – zwrócił się do młodego, dłubiącego w nosie chłopczyka, o którym dałoby się powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że był „panem”.

– A co to jest gremlin? – spytał malec, rozdziawiając buzię.

– Gremliny są niewolnikami orków. Można ich porównać do paziów, jacy towarzyszyli w dawnych czasach rycerzom. Dogadzają właścicielom, jak tylko potrafią. Może nie są sprawnymi wojownikami, lecz rodzą się wszak po to, by uniżenie służyć. Ponadto są to istoty mikre, ludziom dorastają ledwie dotąd. – Weteran opuścił rękę do kolan.

Fletcher przyjrzał się mu ze świeżym zainteresowaniem. Większość ludzi, nawet mieszkających na północnych kresach Hominum, mniej więcej wiedziała, czym są gremliny. Podobnie jak orkowie, poruszały się na dwóch nogach, lecz ciała okrywały wyłącznie wiązany w pasie szmatami. Miały uszy wielkie jak skrzydła nietoperzy i haczykowato wygięte długie nosy. Długimi i zręcznymi palcami potrafiły sprawnie wydłubać z muszli ślimaka lub ryjącego w pniu drzewa czerwia. Pokrywała je szara skóra, co upodabniało je do orków, a świat oglądały

wylupiastymi oczyma o wielkich źrenicach.

– Skąd masz to wszystko? – spytał i przykleknął, by dokładniej obejrzeć towary.

– Zabrałem te cacka zabitym, mój chłopce. Tam, dokąd trafili, już się im nie przydadzą. Prezentując to wszystko, chcę wam pozwolić choć przez chwilę poczuć prawdziwy smak wojny.

– Wybierasz się na północny front? – zainteresował się jeden ze strażników.

Fletcher rozpoznał w nim Jakova i czym prędzej skrył się za swoim straganem. Gdyby strażnik go zauważył, mógłby poprosić o równowartość obiecanego mu kielicha, a on nie mógłby wydawać pieniędzy. Potrzebowali ich na kurtkę.

– Nie inaczej – odparł weteran – ale nie dlatego, że uznali mnie za bezwartościowego niedojde, o nie, mój panie. Ocalałem jako jedyny z całego oddziału. Zaskoczyli nas nocą, kiedy wybraliśmy się na zwiad. Nie mieliśmy żadnych szans. – W głosie starego żołnierza zabrzmiała żalonna nuta, lecz Fletcher nie był pewien, czy nie jest to tylko element przedstawienia.

– Co się dokładnie stało? – Ze słów Jakova było jawne niedowierzanie. Zmierzył handlarza podejrzliwym spojrzeniem.

– Wolałbym pominąć te chwile milczeniem. Nie jest to miłe memu sercu wspomnienie – odburknął weteran, unikając wzroku pytającego i smętnie zwiesił głowę. Otaczający stragan ludzie zaczęli się śmiać i rozchodzić, wyraźnie uznając przybysza za łgarza.

– Dobrze, dobrze! Opowiem! – zawołał za pierzchającymi klientami.

Fletcher pomyślał, że Skóry są zapewne jego ostatnim przystankiem w drodze na front, a dla stacjonujących w forcie wojaków jego towary nie były atrakcyjne. Byli z tego rodzaju przedmiotami oswojeni i niczego by nie kupili.

– Według rozkazów – podjął żołnierz – mieliśmy przeprowadzić rekoniesans na terytorium wroga i wyszukać odpowiednie miejsce pod nową linię okopów. Armia otrzymała polecenie natarcia. Rozzumiecie, lasy za nami zostały wycięte i musieliśmy ruszyć naprzód.

Mówił z większym przekonaniem niż przed chwilą. Fletcher rozumiał, że ma do czynienia z urodzonym gawędziarzem.

– Tej nocy było ciemniej niż u czarnego kota pod ogonem. Drogę oświetlał nam tylko cienki okrawek księżyca. A powiadam wam, przedzierając się przez chaszczce, wszczynaliśmy hałas godny szarżującego nosorożca. Cudem tylko nie zauważyli nas już w ciągu pierwszych dziesięciu minut patrolu – perorował weteran. Oczy zaszyły mu mgiełką, jakby ponownie przeżywał przeszłe wydarzenia.

– Do rzeczy! – ponaglił krzykiem jakiś stojący z tyłu chłopak, lecz natychmiast uciszyły go karcące spojrzenia i posykiwanie. Tłumek ciekawskich słuchał w napięciu.

– Prowadził nas mag bojowy. Jego demon świetnie widział po zmroku, co trochę ułatwiało sprawę. Mimo wszystko aż dziw, że żaden z nas nie wypalił przypadkowo z muszkietu. Potykaliśmy się raz po raz. Nie wiem, czy jakiegokolwiek inne zadanie w dziejach było bardziej godne miana samobójczej misji. Żał tylko porządnych chłopaków, bez dwóch zdań – ciągnął stary żołnierz, obracając w palcach kamienny grot.

– Wysłali z wami zaklinacza? Karygodne marnotrawstwo. Zdaje się, mamy ich tylko parę setek? – rzucił Jakov, którego sceptycyzm ustąpił miejsca fascynacji.

– Po prostu nasza misja była tyleż nieprzemysłana, co ważna. Nie znałem go zbyt dobrze. Porządny typ, aczkolwiek nie był to najpotężniejszy zaklinacz świata. Pasjonował się orkowymi szamanami, bez przerwy wypytywał żołnierzy o nich i ich demony. Ciągłe coś notował w swojej księdze, sporządzał rysunki. Przetraszał zgłiszczą mijanych wiosek i kopiował runy pokrywające ściany zniszczonych chat. – Mówca zauważył, że oblicza słuchaczy ponownie obojętniej, więc przeszedł do sedna: – Tak czy inaczej, gdy chmury zasnuły tę nędzną garstkę gwiazd, które pozwalały nam jako tako orientować się w terenie, zgubiliśmy się bezpowrotnie. Nasz los

przypieczętowała mżawka. Próbowaliście może strzelać z muszkietu nabitego wilgotnym prochem? Słowem, katastrofa za katastrofą.

Rozemocjonowany weteran zamilkł na chwilę, upuścił grot na derkę i zacisnął pięści.

– Orkowie lubują się w oszczepach – podjął. – Miotają nimi tak silnie, że trafieni ludzie wylatują w powietrze, jakby grzmotnęła ich armatnia kula. Jeśli nawet taki oszczep nie przesyje wam piersi i nie zgładzi żołnierza, który szedł akurat z tyłu, to przyszpili was do ziemi jak ta lala. Siedzieli ukryci wśród drzew, pogwizdywali i wykańczali nas w ten sposób jednego po drugim. Sądny dzień, mówię wam. Gąszcz był taki, że nie wypatrzyliśmy ani jednego. Już po pierwszym ataku straciliśmy połowę oddziału. Uznałem, że nie ma co czekać, aż grad oszczepów spadnie ponownie. Zaklinacz też wziął nogi za pas, więc ruszyłem za nim. Obu nas zdjęła panika, pędziliśmy prowadzeni ćwierkaniem jego demona.

– Co to był za demon? – przerwał Jakov, który słuchał w nabożnym napięciu, z dłońmi zacisniętymi w pięści.

– Nie udało mi się przyjrzeć. Było zbyt ciemno. Przypominał latającego żuka, a brzydki był jak noc. Z drugiej strony, jestem mu wdzięczny, bo gdyby nie on, byłby ze mnie zimny truposzczak. W każdym razie w pewnej chwili zaklinacz zatoczył się i padł. Oszczep zaciął go w bok. Biedak krwawił jak zarzynane prosię. Niewiele mogłem dla niego zrobić, ale ten przekłęty demon nie chciał się ruszyć bez maga, więc wziąłem trupa na ręce i poniosłem. Skurczybyk wyzionął ducha, zanim dotarliśmy do okopów, ale demon wiernie mnie prowadził. Taki mały łapserdak, a nie odstąpił od martwego pana nawet w obozie. Później próbowali mnie zrobić w dezercję, ale zeznałem, że niosłem ранnego towarzysza, a reszta oddziału zaginęła po drodze. Nie wiedzieli, co ze mną począć. Rozumiecie, jednostka została doszczętnie rozbita i został im gostek w moim wieku. Dlatego ostatecznie mnie odsiali i wysłali na północ. Na osłodę został mi tylko plecak zaklinacza. To w nim znalazłem wszystkie precjoza, które tu widzicie. Prawdziwym rarytasem jest co innego.

Żołnierz zaczął grzebać w leżących obok koca sakwach i Fletcher nagle zdał sobie sprawę, co tak naprawdę zamysłał osiągnąć weteran. Niewykluczone, że w identyczny sposób zwodził klientów w każdej odwiedzanej osadzie. Najpierw nęcił ich barwną opowieścią, a potem demonstrował najcenniejszy towar.

Tym, co żołnierz wyciągnął zamaszystym ruchem z torby, nie była ani zminiaturyzowana głowa orka, ani słój z zakonserwowanym stworem. Nic z tych rzeczy. Nieznajomy trzymał w dłoniach oprawioną w brązową skórę ciężką księgę o grubych welinowych stronicach. Magiczną księgę zaklinacza!







## 5

Jeżeli weteran spodziewał się wyrzucić na tłumie wieśniaków wrażenie, to mocno się rozczarował. Większość obecnych obrzuciła księgę spojrzeniami w najlepszym wypadku dwuznacznymi, a gdzieś tam rozległy się nawet jęki zawodu. W niewielkich, zamieszkałych głównie przez myśliwych Skórach dla nikogo nauka czytania nie była życiowym priorytetem. Większość znanych Fletcherowi osób z trudem przebrnęłaby przez pierwszą stronę, a co dopiero mówić o całym, w dodatku tak opasłym tomie. Natomiast Fletcher potrafił sprawnie czytać i liczyć, jako że Berdon obarczył go obowiązkiem prowadzenia rachunków. Długie godziny, które zmitrężył, ślęcząc nad kolumnami cyfr, kosztowały go co prawda mnóstwo cennego czasu, który mógł poświęcić na zabawę z rówieśnikami, ale teraz czuł się dumny ze zdobytego tą drogą wykształcenia. Był głęboko przekonany, że pod tym względem nie ustępuje nawet Didricowi. Co najmniej.

Żołnierz z uśmiechem zamachał księgą, podniósł ją wyżej, by padły na nią promienie bladego zimowego słońca i przerzucił kilka kartek. Fletcher zauważył zawiłe kuszące ryciny i długie rzędy odręcznie spisanych słów.

– A masz może coś innego? – spytał rozczarowany Jakov.

– Masę rzeczy! Jednak jeśli pozwolicie sobie wytłumaczyć, pojmiecie, że niewiele fantów mogłoby przebić tę oto księgę. Zaprezentuję ją wam, a potem przejdziemy do reszty mojej oferty.

Wieśniacy nie byli ani trochę zainteresowani księgą, lecz nie zamierzali przegapić darmowego pokazu. Przecież mógł się okazać zabawny. Pokiwali głowami, kilku wykrzyknęło słowa zachęty i żołnierz ponownie wyszczerzył swoje skandalicznie krzywe zęby. Wskoczył na stojącą obok

pusztą skrzynkę i skinieniem ręki zaprosił zebranych bliżej. Księgę wyciągnął wysoko nad głowę, demonstrując ją wszem i wobec.

– Ten zaklinacz nosił najniższy stopień, jaki może przypaść bojowemu magowi. Był podporucznikiem, oddelegowanym do regimentu, który jeszcze nie zakończył szkolenia. Na tę brzemienne w skutki misję zgłosił się na ochotnika i kiedy przewertowałem jego zapiski, zrozumiałem dlaczego. Szukał czegoś naprawdę rewolucyjnego, próbował znaleźć metodę przyzwania istoty nieznanego gatunku.

W tej chwili weteran zdobył niepodzielną uwagę słuchaczy, i dobrze o tym wiedział. Fletcher wpatrywał się w niego ponad ulicą, z otwartymi ustami, co oczywiście zauważył Berdon i ostrzegawczo chrząknął. Chłopak wyprostował grzbiet i zaczął się krzątać przy kramie, mimo że wszystkie towary od dawna były ułożone w nienagannym porządku.

– Szamani orków przyzywają demony przeróżnych odmian, lecz są to zazwyczaj stwory słabe i prymitywne, niemogące się równać z tymi, które służą naszym zaklinczom – ciągnął żołnierz. – Z drugiej strony, nasi magowie potrafią chwycić w eterze istoty tylko kilku odmian. Z nielicznymi wyjątkami. Tak więc, mimo iż nasi zaklincze po wielokroć przerastają mocą magów przeciwnika, dysponujemy kilkoma rodzajami broni, by tak rzec. A mój mag próbował dzięki technikom orków opracować sposób przyzywania naprawdę potężnych stworów.

W trakcie nocy spędzonej na froncie północnym Fletcher podsłuchiwał kilka żołnierskich wspomnień, historii o przerażających stworzeniach, skradających się chyłkiem wśród nocy, rozszarpujących śpiącym ludziom gardła i niepostrzeżenie umykających. Słyszał opowieści o bestiach z ostrymi jak brzytwy szponami, które wyskakują z dżungli niczym koty i walczą zaciekle, dopóki kule z muszkietów nie zmienią ich ciał w krwawe strzępy. Pomyślał, że jeżeli takie potwory są właśnie słabymi i prymitywnymi stworami z opowieści żołnierza, to nie chciałby spotkać monstrem ożywiającego w pełni wykształconemu magowi.

– Mamy uwierzyć, że ta twoja księga zawiera tajemnicę, która mogłaby odmienić losy wojny? A może da się z niej wyczytać sposób na przyzwanie własnego stwora, co? Zaraz pewnie powiesz, że jest warta swej wagi w złocie? – rozległ się ociekający sarkazmem głos.

Kpiarzem okazał się Didric, który wrócił ze stajni i przystanął za sąsiednim kramem, ukryty przed wzrokiem Fletchera.

– Pan to powiedział, dobrodzieju, nie ja – odparł weteran, puścił do Didrica oko i znacząco postukał się palcem w bok nosa.

– Moim zdaniem, lepiej byłoby zainwestować nawet w tę żalostną broń ze straganu naprzeciwko niż w twoją księgę. – Didric uśmiechnął się złośliwie.

Słyszac zaczepkę, Fletcher poczerwieniał. Tymczasem Didric obszedł skrzynkę i wysforował się przed tłumek, po drodze beztrzesko przewracając nogą róg nosorożca.

– Po co zaklincz miałyby brać udział w waszym patrolu, i to na ochotnika, skoro niby już wcześniej odkrył tak wielki sekret? – zapytał. – Dlaczego chcesz sprzedać jego zapiski akurat w naszej wsi? Przecież są ponoć szalenie cenne? A co do rzekomych magicznych formuł z jej kart, to wszyscy wiedzą, że z mocą przyzywania stworów przychodzą na świat tylko ludzie szlachetnej krwi i nieliczna grupka nisko urodzonych szczęśliwców.

Drwiący uśmiešek Didrica pogłębił się, gdy zaskoczony żołnierz otworzył szeroko oczy. Jednak zadziwiająco szybko odzyskał rezon.

– Cóż, młody panie, zapewne paliło mu się, by ujrzeć z bliska orkowego demona. Osobiście sztuki czytania nie posiadam, więc nie znam wartości tej księgi, a gdybym próbował ją sprzedać innemu magowi, natychmiast zostałaby skonfiskowana. W końcu stanowiła własność członka ich cechu. – Weteran rozłożył bezradnie ręce, jego twarz stanowiła w tej chwili ucieleśnienie niewinności. – Naturalnie – podjął – kiedy trafię na wojnę z elfami, po prostu ją oddam.

Niemniej, kto może mieć mi za złe, że próbuję utargować kilka szylingów na boku? Mam świadomość, że księga tak czy inaczej trafi ostatecznie do rąk bojowego maga, a przecież tamtego nieszczęśnika przeniosłem na własnych plecach przez połowę dżungli. – Z fałszywą skromnością skłonił głowę i przyjrzał się zebrany spod przetłuszczonych kosmyków.

Wieśniacy poczuli się zakłopotani. Nie byli pewni, czyją stronę obrać. Didric był osobistością popularną, zwłaszcza w te wieczory, kiedy w karczmie szastał beztrząsownie pieniędzmi Caspara. Przybysz z kolei wydawał się im człowiekiem fascynującym i Fletcher wyraźnie widział, że sąsiedzi chcą, by opowieść żołnierza okazała się prawdziwa, mimo że wyczuli, iż usłyszeli stek łgarstw. Gdy rozległy się gwizdy i szydercze okrzyki, a Fletcher uśmiechnął się na myśl o tym, że Didric przegra oratorski pojedynek z prostym wojakiem, ten wredny zarozumialec przeszedł do kontraktu.

– Momencik. Czy nie mówiłeś wcześniej, że przedmiot badań zaklinacza poznałeś, zaglądając do księgi? Do tego celu, jak mi się zdaje, umiejętność czytania jest raczej niezbędna. Jesteś kłamcą i oszustem. Prawie zyskałem pewność, że należałoby posłać po pinkertonów. Być może, poza wszystkim, oskarżą cię dodatkowo o dezercję.

Żołnierz wybełkotał coś niewyraźnie, a Didric parsknął śmiechem.

– Widzisz!? Przyłapałeś go na gorącym uczynku – rzucił Jakov i położył dłoń na rękojeści miecza.

– W księdze są pewne ryciny... – zaczął weteran, lecz wieśniacy zagłuszyli go prześmiewczymi okrzykami.

Didric uciszył ich, podnosząc rękę i odezwał się na cały głos:

– Powiem ci, co zrobimy. Podoba mi się ta księga. Podoba mi się, ponieważ jestem człowiekiem ciekawym świata i skorym do nauki, a nie dlatego, że marzę o bogactwie – rzekł górnolotnie. Złote lamówki jego ubrania zabłysły w promieniach słońca. – Wrócę później i uwolnię cię od jej ciężaru. Co odpowiesz, jeśli zaproponuję... powiedzmy... cztery szylingi? Szczęśliwym trafem wczorajszej nocy za taką właśnie sumę sprzedałem wspaniałe poroże – dodał, rzucając Fletcherowi triumfalne spojrzenie.

Nie czekając na reakcję, odszedł krokiem zwyczajcy, pociągając za sobą Jakova i większą część niedoszłych klientów żołnierza.

Weteran popatrzył złym wzrokiem za Didrikiem, lecz już po chwili wzięło w nim górę zniechęcenie. Z ciężkim westchnieniem przysiadł na skrzynce i pełnym rezygnacji gestem cisnął księgę na ziemię. Sukces Didrica przybił go kompletnie. Fletcher spojrzął na szarpane wiatrem stronice. Nie wiedział jeszcze jak, lecz był pewny, że Didric tej nocy zapłaci. W ten czy inny sposób.



## 6

Dzień włókł się niemilosiernie powoli. Berdon miał dużo roboty, lecz kwaśny swąd przypalanych kopyt powoli stawał się nie do wytrzymania, tym bardziej że towarzyszyła mu nieprzyjemna woń końskiego łajna, którego miękkie kupki raz po raz łądowały obok pracującego kowala. Na straganie sprzedali tylko krótki sztylet, którego nowym właścicielem został jeden z przyjezdnych handlarzy. Zniechęcony fetorem kupiec nie targował się długo i pozostawił im nadszodziejową sumę dwunastu srebrnych szylingów.

Krzążający się po drugiej stronie ulicy stary żołnierz nie wykazywał już większej chęci do rozmowy, lecz mimo wcześniejszej porażki radził sobie zupełnie nieźle. Sprzedał większość rozłożonych na derce towarów. Pozostało mu ledwie kilka drobiazgów, między innymi ozdobiony żelaznym czubkiem róg nosorożca oraz – naturalnie – księga. Fletcher uwierzył w jego opowieść, aczkolwiek nie podejrzewał, by w księdze naprawdę kryły się wartościowe tajemnice. Co więcej, nie rozumiał, po co weteran kłamał – opasył tom sam w sobie stanowił rarytas. Jego właściciel mógł zyskać wgląd w fascynujące sekrety życia zaklinaczy. Fletcher zainteresowałby się księgą, gdyby nie perspektywa zakupu upragnionej fantastycznej kurtki.

Weteran pochwycił jego spojrzenie i uśmiechnął się porozumiewawczo. W pobliżu nie było akurat żadnych ewentualnych klientów, więc przeszedł przez drogę i wskazał palcem na jeden z lepszych mieczy.

– Ile za to? – zapytał, po czym podniósł broń i ze znanstwem obrócił ją w dłoniach.

Zamachnął się i rozległ się dźwięk przypominający brzęczenie skrzydeł ważki. Z ostrzem obchodził się z niecodzienną wprawą, wprost śmigało mu w rękach. Pokaz zdumiewał tym bardziej, że żołnierz był przecież siwym, pomarszczonym mężczyzną.

– Trzydzieści szylingów plus dodatkowe siedem za pochwę – odparł Fletcher.

Nie patrzył na rozmigotaną stal miecza, lecz na wolną dłoń weterana. Znał wszystkie

możliwe złodziejskie sztuczki, a mężczyzna zachowywał się wręcz podręcznikowo. Barwne przedstawienie miało skupić uwagę sprzedawcy na cennym przedmiocie, by złoczyńca mógł w tym czasie zgarnąć do kieszeni coś mniej wartościowego, na przykład nóż. Po chwili żołnierz zastukał knykiami w ladę. Fletcher spojrział ponownie na miecz.

– Biorę. Jest dobrze wyważony, a ostrze wydaje się solidne. Nadaje się do mocnych cięć. To nie jest broń do finezyjnej szermierki, w którą bawią się tylko oficerowie. Myślisz, że jeśli zaatakujesz orka pchnięciem i nawet uda ci się trafić, nie oderwie ci głowy? Równie dobrze można próbować przepędzić wilka wykałaczką. Na froncie szybko nauczyłem się jednego: żeby orka powalić, trzeba odrąbać mu nogę. Oczywiście na północy dobry miecz raczej mi się nie przyda, ale ciężko się wyżyć dawnych nawyków.

Ostatnie zdanie podkreślił, wbijając miecz w ziemię. Wyciągnął sakiewkę i zaczął odliczać pieniądze. Fletcher sięgnął za stragan i wyciągnął pochwę, prostą, ale wytrzymałą, wykonaną z oplecionego rzemieniem dębowego drewna.

– Wy się nie targujecie? W twoich rodzinnych stronach? – zapytał Fletcher po przyjęciu zapłaty.

– Oczywiście, że tak – odparł żołnierz. – Rzecz w tym, że bardzo nie spodobał mi się sposób, w jaki wyrażał się o twoim straganie ten mały drań. Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem, chyba tak to idzie, nie? Szkoda tylko, że elfy nie są podobnego zdania. One myślą raczej, że wróg mojego wroga jest po prostu słabszy. Co to dla nich, wbić sztylet w plecy komuś zajętemu inną wojną.

Fletcher milczał. Nie chciał wszczynać politycznej dyskusji. Z elfami sympatyzowało wiele osób i głośna rozmowa o konflikcie na północy mogła zniechęcić część kupców, czekającą na podkucie koni.

– Zanim się pojawił, słuchałem twojej opowieści z przyjemnością – odezwał się, zmieniając temat. – Mam nadzieję, że się nie obrazisz, jeżeli zapytam, czy mówiłeś prawdę? – Fletcher spojrział weteranowi prosto w oczy, wyzywająco.

Wojak przez chwilę przypatrywał się chłopakowi, po czym odprężył się i uśmiechnął.

– Cóż, niektóre fragmenty mogłem nieco... podkolorować. Faktycznie przeczytałem kilka ustępów księgi, ale nie jestem tak wprawny, by pochłonać całość. Z tego co zrozumiałem, mój mag naprawdę chciał się uczyć od orków... interesowały go ich odkrycia. Prawie na każdej stronie pojawiają się orkowe symbole i na wpeł przetłumaczone, mętne opowieści o ich klanach i przodkach. Widziałem również rysunki stworów, zresztą, cholernie dobre. Może nie był wirtuozem wśród zaklinaczy, ale piórkiem posługiwał się po mistrzowsku. – Weteran podniósł z lady nóż i zaczął wydłubywać sobie brud spod paznokci. – Szkoda, że mi u was nie poszło. Teraz będę musiał puścić księgę za bezcen na froncie. Niektórzy wojskowi mają hopla na punkcie magii, ale gotówką nie śmierdzą. Być może powinienem ją podzielić i sprzedawać pojedyncze strony? – Pokiwał głową, jakby pomysł przypadł mu do gustu i powziął ostateczną decyzję.

– No, a co z Didrikiem? Jego ojciec jest bardzo wpływowy, a poza tym pinkertonowie zatrzymali się właśnie w ich domu. W tej chwili słowo waży przeciw słowu i nie jestem przekonany, czy masz w rękę mocne karty – zauważył ostrzegawczo Fletcher.

– Też mi! Mierzyłem się z potężniejszymi przeciwnikami niż jakiś w czepku urodzony gnojek. W dodatku coś mi mówi, że nie był to czepek jedwabny. Nie, ci dwaj strażnicy już wcześniej widzieli, że próbuję tę księgę opchnąć, i nawet słowem się nie odezwali. Pinkertonowie mają to do siebie, że lubią żołnierzy. Uważają, że jesteście ulepieni z jednakię gliny, chociaż ich doświadczenie w walce ogranicza się do bicia krasnoludów za jedno krzywe spojrzenie. Gdyby pinkerton stanął twarzą w twarz z orkiem, w jego spodniach pojawiłyby się to, co od kilku godzin zostawiają na waszym podwórku konie – zakończył weteran, marszcząc nos.

– No tak, mam prośbę. Nie pozwól mi przegapić chwili, kiedy Didric stawi się po książkę. Za nic nie chciałbym stracić widoku jego miny, gdy usłyszy, że może się gonić. – Zadowolony Fletcher zatarł dłonie.

– Nie omieszka. – Weteran puścił do niego oko, wsunął miecz do pochwy i pogwizdując marszową melodię, wrócił do swojego stoiska.

Zapowiadała się przednia zabawa.



## 7

W miarę jak słońce chyliło się ku zachodowi, nastrój żołnierza poprawiał się z każdą chwilą. Prowizoryczne stoisko przyniosło niemały zysk. Z towarów została mu jedynie księga, w tej chwili ułożona na samym środku koca. W dodatku weteran przez cały dzień wynosił pod niebiosa zalety broni prezentowanej na straganie Fletchera, opowiadając o nich wszystkim chętnym zatrzymującym się przy jego stoisku. Wskutek owych zabiegów Fletcher sprzedał kolejne dwa sztylety i jeden z tańszych mieczy, za który zainkasował wyjątkowo solidną sumkę. Wbrew przewidywaniom handel szedł niezłe i nie mógł się już doczekać chwili, gdy weźmie w ręce upatrzoną skórzaną kurtkę.

– Może moglibyśmy po wszystkim wstąpić do karczmy na jednego? Taki dzień należy uczcić – zasugerował weteran, kiedy po raz kolejny przeszedł na drugą stronę ulicy.

– Dobry pomysł, tyle że przedtem musisz mi pozwolić zajrzeć w jedno miejsce. Chcę coś sobie kupić – odparł Fletcher z uśmiechem i podrzucił w dłoń pobrzękującą ciężką sakiewkę.

– To na księgę? – zapytał półzartem przybysz. Nie był w stanie ukryć nadziei.

– Nie. Chociaż gdybym dysponował wolną gotówką, zaproponowałbym ci uczciwą cenę. Już od dawna mam oko na pewną kurtkę i zaoszczędziłem dość pieniędzy. To stoisko należy do mojego... mistrza Berdona, więc cały dzisiejszy utarg trafi właśnie do niego.

Na dźwięk własnego imienia Berdon podniósł wzrok znad ściskanego w silnych dłoniach kopyta i z szacunkiem skinął żołnierzowi głową, po czym wrócił do przerwanej pracy.

– Mam na imię Fletcher, a ty? – Chłopak podał żołnierzowi rękę.

– Z nazwiska Rotherham, ale przyjaciele mówią mi Gnilec. – Wysuszona dłoń weterana ścisnęła rękę Fletchera, który uznał, że tak zdecydowany uścisk musi być szczerzy.

Berdon od dawna powtarzał, że o każdym człowieku można wiele powiedzieć, oceniając sposób, w jaki podaje rękę.

– Możesz już iść, Fletcher. Dobrze się dziś spisałeś – powiedział kowal. – Sam złożę stoisko.  
– Na pewno? – Chłopak byłby gotów na wszystko, byle tylko jak najszybciej oddalić się od koni i wysłuchać w ciepłym wnętrzu gospody wojennych opowieści żołnierza.  
– Zmykaj, zanim się rozmyślę. – Berdon przyłożył rozgrzane żelazo do kopyta i rozległ się głośny syk.

Do straganu z wyrobami ze skóry nie było daleko, lecz Fletcher zwiesił nos na kwintę, zanim dotarł na miejsce. Zauważył, że kurtka zniknęła. Zostawił Rotherhama za sobą i pobiegł co sił w nogach, w nadziei że Janet schowała kurtkę przez pomyłkę.

Handlarka właśnie przeliczała całodniowy zarobek, okazałą stertę srebrnych szylingów i złotych suwerenów. Nakryła stos monet dłońmi i zmierzyła go wzrokiem.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, Fletcher, ale obawiam się, że masz pecha. Sprzedałam tę twoją kurtkę jakieś pół godziny temu. Nie przejmuj się. Skoro tak dobrze mi z nią poszło, od razu zabiorę się do szycia następnej. Będzie gotowa za kilka tygodni.

Rozgoryczony Fletcher mocno zacisnął dłonie w pięści, lecz pokiwał głową. Nie miał wyjścia, musiał wykazać się cierpliwością.

– Chodźmy, chłopcze. Postawię ci kolejkę. Jutro też będzie dzień. – Rotherham poklepał go po ramieniu.

Fletcher z wysiłkiem stłumił rozczarowanie i przywołał na twarz wymuszony uśmiech.

– W sumie... Sezon łowiecki i tak już się niemal skończył – stwierdził, próbując przepędzić żal racjonalnymi argumentami. – Tej zimy kurtka i tak by mi się nie przydała. Większość czasu spędzę w kuźni, a tam jest strasznie gorąco. Będziemy wyrabiać miecze przed następną wyprawą do fortu. Wiesz, wojsko potrzebuje zaopatrzenia.

– Wiem, chociaż i tak z tej broni nie skorzystamy – odparł ze śmiechem Rotherham.

W karczmie panował ścisk i gwar. Zarówno mieszkańcy wioski, jak i kupcy świętowali udany handlowy dzień. Fletcher z żołnierzem przecisnęli się w kąt sali. Obaj nieśli po pękatym dzbanie piwa, w którego żaden cudem nie uрониł nawet kropli na drewnianą podłogę, lepłą się od alkoholu, rozchłapanego przez innych gości. Zajęli miejsca we wnęce, na dwóch stołkach umieszczonych przy chybottliwym stole. Było ciasno, ale tutaj przynajmniej mieli szansę słyszeć własne słowa.

– Korci mnie, żeby wypytać cię o wojnę. Oczywiście, zrozumieć, jeżeli akurat tego tematu wolałbyś uniknąć – zagaił Fletcher, mając na świeżo w pamięci wyraz twarzy weterana opowiadającego swoją historię przy straganie. Opowieść o frontowej nocy w dżungli, podczas której Rotherham stracił towarzyszy, mocno zapadła mu w pamięć.

– Ależ proszę. Od kilkudziesięciu lat nie zaznałem innego życia. Obawiam się, że poza wojennymi gawędami nie mam zbyt wiele do opowiedzenia. – Stary żołnierz dla wzmocnienia upił solidny łyk piwa. Kilka strużek napoju pociekło mu po siwej brodzie. Westchnął i oblizał wargi.

– Docierają tutaj pogłoski, że wojna nie układa się po naszej myśli. Ponoć orkowie ośmielają się coraz bardziej i usprawnili organizację swojej armii. Dlaczego tak się dzieje? – spytał ścisłym głosem Fletcher.

Pesymistyczne podejście do konfliktu nie było dobrze widziane. Nawet zadawanie tego rodzaju pytań powszechnie uważano za przejaw braku patriotycznych uczuć, wręcz graniczący ze zdradą. Między innymi z tego powodu nowiny z frontu zwykle trafiały do Skór ze znacznym opóźnieniem.

– Mogę ci odpowiedzieć, opierając się jedynie na pogłoskach. Usłyszałem je z bardziej zaufanych ust niż ty. – Rotherham pochylił się nad blatem stołu i do Fletchera doleciała woń



piwnego oddechu. – Ludziska mówią o pewnym orku, który jednoczy pod swym sztandarem rozproszone szcypy. Niewiele o nim wiadomo. Pewne jest, że urodził się w skórze albinosa i że większego orka nikt nigdy nie widział. Wszystkie plemiona uznały go za proroka, mesjasza nawet, i bez szemrania oddały się pod jego komendę. Słyszałem, że jak dotąd podobna postać pojawiła się wśród nich tylko jeden raz, w trakcie pierwszej wojny, dwa tysiące lat temu. Właśnie dzięki temu białemu orkowi wrodzy szamani wymieniają się teraz między sobą doświadczeniami, co pozwala im działać wspólnie, posyłać na nas noc w noc mnóstwo stworów oraz bombardować okopy deszczem ognistych kul.

Fletcher wpatrywał się w Rotherhama, dzban z piwem stał zapomniany na stole. Sytuacja przedstawiała się znacznie gorzej, niż myślał. Nic dziwnego, że władze planowały wcielić do wojska odsiadujących beczynnie wyroki kryminalistów.

– Zdarza się, że orkowie przełamują nasze linie i wysyłają w głąb Hominum lotne oddziały łupieżców. Patrole wylapują wszystkie te bandy, ale nigdy w porę. Oglądałem wiele, zbyt wiele wiosek, które wskutek takich wypadów spłonęły do cna. Zostają tylko popioły i szerniała w ogniu, zwęglone kości. – Rotherham rozkręcił się na dobre, przy każdym siorbnięciu tryskały mu z ust kropelki piwa.

– Jak dobrze, że mieszkam tak daleko na północy – szepnął Fletcher, próbując otrząsnąć się z makabrycznych wizji.

– Wojsko chętnie pozbywa się takich starych weteranów jak ja. Wcisnął muszkiety w ręce nieopierzonym młodzikom i wmawiają im, że od razu stali się żołnierzami. Powinieneś zobaczyć, co się dzieje, kiedy orkowie nacierają z pełnym impetem. Nasi, jeżeli uśmiechnie się do nich szczęście, mają czas oddać jedną salwę, a potem odwracają się i biorą nogi za pas. Cholerny wstyd i hańba! – zawołał weteran i trzasnął dzbanem o blat. – Na południu tracimy zbyt wielu chłopaków, a to wszystko z winy króla. To przecież Hominum doprowadziło do sytuacji, w której zamiast pojedynczych najazdów toczy się wojna z prawdziwego zdarzenia. Kiedy z woli ojca król Harold zasiadł na tronie, zaczął zajmować coraz większe połacie dżungli. Wysyłał tam drwali, by wyrąbawali drzewa, i górników szukających bogactw pod ziemią.

Rotherham urwał i zajrzał do dzbanu, po czym wlał sobie do gardła potężny łyk i podjął:

– Powiem ci coś, gdyby nie zaklinacze, mielibyśmy poważny problem. Są nadęci niczym indory i mają się za nie wiadomo kogo, ale są nam potrzebni jak żadna inna formacja. Ich demony strzegą granic i donoszą o zbliżających się natarciach wroga. W dodatku szarżę bojowego nosorożca może powstrzymać tylko naprawdę duży demon, chyba że pod ręką byłoby akurat działo lub setka muszkieterów. Kiedy orkowie zasypują naszych ognistymi kulami, zaklinacze osłaniają okopy magicznymi tarczami, które migocą na niebie niczym szklane kopuły. Naturalnie, orkowie ostrzeliwiają te klosze i nocami słysząc głośnie wylądowania magicznej energii, ale żołnierzom grozi wtedy co najwyżej niewyspanie. – Rotherham pociągnął kolejny haust i uniósł dzban w powietrze. – Niech bóg błogosławi tym napuszonym snobom!

Klepnął się w kolano i osuszył naczynie. Gdy wstał, by ruszyć do baru po następne piwo, czyjaś ciężka ręka usadziła go z powrotem na stołku.

– Proszę, proszę. Można się było spodziewać, że przypadniecie sobie do gustu. W końcu, jak to się mówi, żmije pełzają parami – rzucił Didric ze zgrzytliwym uśmiechem.

Jakov zdjął rękę z barku weterana i teatralnym gestem wytarł ją sobie o spodnie, za co ogroził go chichot Didrica. Obaj mieli na sobie mundury straży – ciężkie kolczugi nakryte długimi czerwonymi tunikami, po których pełgał blask oświetlających karczme pochodni.

– Jeżeli dobrze pamiętam, zawarliśmy pewną umowę. Oto obiecałem cztery szylingi. To znacznie większa suma, niż na to zasługujesz, ale człowiek winien okazywać bliźnim serce, zwłaszcza tym, którym wiedzie się gorzej. Mam rację, Jakov? – Didric trzasnął monetami o stół.

Jakov zachichotał i przytaknął skinieniem głowy. Fletcher prychnął, bo Jakov wcale nie był wiele bogatszy od niego i pochodził z wyjątkowo marnej rodziny. Policzki miał zaczerwienione od alkoholu i Fletcher się domyślił, że Didric przez cały wieczór poił towarzysza piwem, by namówić go do współpracy. Zresztą, strażnika nie było trudno przekupić; za parę szylingów sprzedałby rodzoną matkę.

Rotherham nie sięgnął po pieniądze. Popatrzył tylko przeciągle Didricowi w oczy, aż ten niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– No dalej. Umowa to umowa. Nie moja wina, że parasz się oszustwem. I tak masz szczęście, że nie prowadzą cię właśnie w kajdanach pod zarzutem dezerccji – dodał zjadliwie i schronił się za masywną pierś Jakova.

Fletcher ocenił układ sił i przyjrzał się strażnikowi świeżym spojrzeniem. Jakov był potężny, Rotherhama przerastał przynajmniej o stopę, a zbudowany był niemal tak okazale jak Berdon. Munduru wiejskiego strażnika z pewnością nie otrzymał ze względu na wrodzoną inteligencję.

Didric był wyższy od Fletchera o pół głowy, a jego kluchowata pierś była dwakroć szersza od jego żylastego torsu. Rotherham wciąż nie odrywał spojrzenia od pulchnej twarzy Didrica. Fletcher zaczął się niepokoić. Dłoń Jakova powędrowała ku rękojeści miecza i temperatura wokół stołu podskoczyła o kilka stopni.

– Zajrzyj do jego torby. Pewnie schował tam księgę – polecił Didric, choć w jego głosie zabrakło poprzedniej pewności siebie.

Gdy Jakov postąpił krok naprzód, Rotherham gwałtownie wstał z miejsca. Przestraszona dwójka strażników cofnęła się natychmiast. Fletcher podniósł się w ślad za nowym znajomym i zacisnął pięści. Krew popłynęła mu szybciej, do bijącego gwałtownie serca dotarła adrenalina. Z niejakim zadowoleniem zauważył niepokój w oczach Didrica.

– Widzę, że zamierzasz dobyć miecza. Mam tylko nadzieję, że potrafisz nim machać – rzucił weteran i musnął głowicę świeżo zakupionej broni.

Didric pobladł. Z wcześniejszego spotkania na targu pamiętał, że żołnierz jest bezbronny, i nie spodziewał się ujrzeć przy jego boku długiego ostrza. Powiódł ukradkowym spojrzeniem od Rotherhama do Jakova. Jasne było, że w szermierskim pojedynku starszy mężczyzna miałby znaczną przewagę.

– Bez broni – zapowiedział, odpiął własny pas i pochwa stuknęła o podłogę. Po chwili podobnie uczynił Jakov.

– Zgoda, bez broni – potaknął Fletcher i uniósł pięści. – Wiem, jak bardzo nie lubisz plamić munduru krwią.

Rotherham burknął coś pod nosem i odłożył miecz na blat stołu.

– Już dawno nie brałem udziału w staromodnej karczemnej awanturze – oznajmił z wyraźnym zadowoleniem, złapał kufel Fletchera i przytaknął go sobie do warg. – Wszystkie chywy dozwolone. Zasady są dobre dla dobrze urodzonych – dodał kątem ust.

Zawirował w miejscu i chlusnął piwem w oczy Jakova, a następnie szybko jak błyskawica ruchem poderwał kolano i gruchnął nim prosto w krocze osiłka. Strażnik zgiął się w pół, a Rotherham dzielił go potężnie z byka. Rozległ się trzask łamanej przegrody nosowej.

Także Fletcher rzucił się w wir walki, zamachnął się pięścią, mierząc w okrągłą twarz Didrica. Cel nie należał do trudnych i już pierwszy cios trafił młokosa w nos, z którego czerwień bryzgnęła dokoła niczym z pękającego przejrzałego pomidora. Fletcher poczuł w palcach silny ból, lecz nie przejął się tym i korzystając z energii rozpedu, trzasnął Didrica ramieniem w pierś, po czym pociągnął go za sobą na ziemię. To był błąd. Gdy zaczęli się tarzać na lepkich deskach, Didric skutecznie wykorzystał własną wagę. Nabitym ramieniem otoczył i ścisnął szyję Fletchera, któremu zatańczyły przed oczyma czarne plamy. Poczuł, że traci przytomność. Ostatnim

wysiłkiem woli zatopił zęby w odsłoniętym przegubie Didrica. Ugryzł tak mocno, aż zgrzytneły kości. Rozległ się świdrujący uszy wrzask bólu i ramię ustąpiło. Otumaniony Fletcher z ulgą zaczął chwytać powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba. Zaraz potem z całej siły wraził łokieć w chroniony kolczugą brzuch przeciwnika, odwrócił się i przykucnął.

Odpowiedź nastąpiła niemal natychmiast. Didric rzucił się naprzód, próbując przygwoździć Fletchera do podłogi. Tym razem jednak Fletcher był przygotowany. Chwycił Didrica i pociągnął go za sobą do tyłu. Rozpędzony ciężki chłopak przekościłkował i to Fletcher wtoczył się na niego. Zaciśnął palce na krtani i zaczął dusić ile sił w dłoniach. W pierwszym odruchu Didric zamachał dłońmi przy gardle, lecz mgnienie później sięgnął do boku.

– Uważaj! – zawołał Rotherham.

Fletcher uskoczył w ostatniej chwili. Zakrzywione ostrze sztyletu rozcięło mu bluzę. Odniośł wrażenie, jakby w poprzek talii pociekła strużka ognia. Kropelki krwi splamiły niebieską tkaninę, był jednak pewien, że zaliczył ledwie draśnięcie. Didric zerwał się na nogi i uderzył ponownie. Fletcher zdążył się cofnąć. Mgnienie potem obok Didrica stał już Rotherham. Czubek jego miecza musnął od spodu grdykę pulchnego młodzieńca.

– Wspominałeś chyba, że umowa to umowa, co? – Weteran wykonał krok naprzód.

Didric cofnął się przed ostrzem i przewrócił o ciało nieprzytomnego Jakova.

Fletcher uświadomił sobie, że obserwują ich wszyscy goście karczmy. Panującą w sali ciszę mąciło jedynie skrzekliwe sapanie Didrica, który próbował coś powiedzieć, lecz nie był w stanie wydusić ani słowa.

– Co myślisz, Fletcher? Powinniśmy mu zrobić to, co próbował zrobić tobie? Gdybym nie zauważył, że sięga po majcher, twoje flaki parowałyby teraz na podłodze – rzekł Rotherham donośnie, by wszyscy go usłyszeli.

Tym razem pomruki tłumu zdecydowanie poparły weterana.

– Nie, Rotherham. Człowiek winien okazywać bliźnim serce, zwłaszcza tym, którym gorzej się wiedzie – zacytował z odrazą Fletcher i opuścił wyciągniętą rękę żołnierza.

Zanim jego słowa zdążyły wybrzmieć, Didric czmychnął do wyjścia, nie poświęcając nawet spojrzenia Jakowowi i jego bronii. Zebrani w gospodzie wieśniacy odprowadzili go hałaśliwymi docinkami. Za uciekającym w pośpiechu Didrikiem trzasnęły drzwi. Po chwili znowu rozległy się śmiechy i zabawa rozgorzała na nowo.

– Chodźmy. – Fletcher spojrzał na Rotherhama, fala ulgi sprawiła, że zakręciło mu się w głowie. – Pościelę ci u nas w kuźni. Obawiam się, że nigdzie indziej nie byłbyś tej nocy bezpieczny.





## 8

Fletcher otworzył oczy i natychmiast tego pożałował. Sączące się zza otwartego okna szare światło okazało się dziś okrutnie jaskrawe. Usiadł na łóżku, zadygotał na całym ciele, po czym wstał i rozkołysanym krokiem ruszył, by zamknąć okiennice. Do domu dotarł pijany i zapomniał o otwartym oknie.

Wytężył wzrok w półmroku izby, lecz żołnierza nigdzie nie było. W rogu pozostało po nim naręczne futer, które otrzymał w charakterze posłania. Z narastającym lękiem, Fletcher wytoczył się na zewnątrz i stwierdził, że zniknął również muł weterana. Po Rotherhamie nie było nawet śladu.

– Co, zwlokłeś się wreszcie? – zapytał z nutą dezaprobaty Berdon, który wyrósł za plecami Fletchera.

Stał przed kuźnią ze splecionymi na piersiach rękoma i lekko rozbawioną miną. Chłopak skinął głową. Nie mógł odpowiedzieć inaczej, ponieważ ogarnęła go właśnie pierwsza fala mdłości. Obiecał sobie w duchu, że już nigdy w życiu nie weźmie do ust kropli alkoholu.

– Ten twój żołnierz opowiedział mi przed wyjazdem o wczorajszej awanturze. Nie pochwalam wdawania się w bójki, martwi mnie również, że znalazłeś się o włos od nieszczęścia. Niemniej cieszę się, że pokazałeś temu małemu nuworyszowi, gdzie raki zimują.

Kowal uśmiechnął się nieco smutno. W szorstkim geście męskiej czułości potarł muśno czoło podopiecznego, niechętny narażając go na silny atak zawrotów głowy. Fletchera chwyciły torsje i pognął za płot, gdzie zwymiotował prosto na uliczny bruk.

– Masz za swoje! Potraktuj to jako nauczkę. – Berdon zachichotał, widząc, jak fatalnie czuje się uczeń. – Powiem ci też, że kiedy poprobujesz mocniejszych trunków, szczerze za dzisiejszym porankiem zatęsknisz.

Fletcher jęknął, odchrząknął i splunął, by pozbyć się z przetyku gorzkiego posmaku żółci, po

czym lekko rozchwianym krokiem wrócił do środka. Sięgnął po leżące pod ścianą izby futra – prowizoryczne legowisko Rotherhama – i osunął się na wąskie łóżko.

– Chyba nic już we mnie nie zostało – powiedział, ocierając wargi grzbietem dłoni.

– Co prawda, to prawda. Wioskowe szczury będą mieć nielichą wyzerkę! – zawołał z kuźni Berdon. – Poczekaj, usmażę ci kilka wieprzowych kielbasek i przyniosę trochę zimnej wody ze studni.

Na samą wzmiankę o jedzeniu chłopakowi ponownie zrobiło się niedobrze, lecz uznał, że posiłek rzeczywiście może postawić go na nogi. Postanowił, że jeszcze się zdrzemnie, odwrócił się na bok i zaległ nieruchomo, otulony ciepłymi i przyjemnie świeżymi skórami. Po chwili doleciało go skwierczenie kielbasek. Poruszył się, szukając wygodniejszej pozycji.

Coś twardego boleśnie wpiło mu się w bok. Wsunął dłoń pod futra. Okazało się, że Rotherham zostawił worek, do którego przyczepił skrawek pergaminu. Fletcher oderwał karteczkę i zmrużył oczy, starając się odcyfrować niemal nieczytelne pismo.

FLETCHER,  
PIENKNO MIELIŚMY NOC.  
ZAWSZE BĘDEMY NASZYM  
ZWYCIĘZKOM BUJKE WSPOMINAĆ  
Z PSZYJEMNOŚCIOM. MAM  
NADZIEJĘ, RZE PODAREK CI  
SIĘ SPODOBA.

ZGNILEC

Żołnierz nie kłamał, faktycznie był z pisaniem na bakier. Wiadomość była jednak jasna. Zanim przebiegły weteran wymknął się bladym świtem z kuźni, zostawił Fletcherowi pożegnalny prezent. Chłopak nie miał Rotherhamowi za złe nieoczekiwanego zniknięcia. Był przekonany, że niebawem spotkają się znów. Nie był za to pewien, co pocnie z przepaską biodrową gremlina.

Bo co innego mógł mu podarować żołnierz?

Rozwiązał troczki worka i wyczuł w środku kanciasty kształt. To chyba nie mogła być...? A gdyby? Wytrząsnął zawartość na futra i zachłysnął się ze zdumienia. Złapał okładkę obiema rękoma. Księga zaklinacza!

Pogładził dłońią miękką brązową obwolutę i przeciągnął palcami po wytrawionym w skórze pentagramie. Wokół pięcioramiennej gwiazdy widniały osobliwe symbole, jeden bardziej dziwny od drugiego. Przerzucił kilka stron. Wszystkie zapisane były schludnym odręcznym pismem, a tekst co jakiś czas uzupełniały rozmaite diagramy i wizerunki nieznanymi mu niesamowitych istot. Książka była gruba jak sztaba żelaza i mniej więcej tyle samo ważyła. Na przebrnięcie całości musiałby poświęcić wiele długich miesięcy.

W kuźni zabrzączały naczynia. Berdon nakładał już śniadanie, więc Fletcher prędko ukrył księgę pod futrami. Kował przyniósł talerz i z przesadną ostrożnością ustawił go na łóżku. Kielbaski zostały przysmażone idealnie, skórka miała czas równomiernie zbrązowieć ze wszystkich stron. Berdon przyprawił je solą i świeżo zmielonym pieprzem.

– Masz, wrzuc coś na ruszt – powiedział. – Niedługo poczujesz się lepiej. – Uśmiechnął się współczująco, zostawił podopiecznego samego i zamknął za sobą drzwi.

Fletcher oparł się wypełniającej całą izbę kuszącej woni i ponownie wydobyl książkę z ukrycia. Kiedy wziął ją do ręki, ze środka wypadła pojedyncza luźna kartka. W dotyku była dziwnie skórzasta, nie przypominała zwykłych pergaminowych stron. Fletcher otworzył tom w miejscu, z którego wypadła ta niecodzienna zakładka, i zaczął czytać.

Dzisiaj mija dokładnie rok, odkąd lord Etherington rozkazał mi rozpocząć badania. Mimo upływu tak długiego czasu, wciąż nie zdołałem się zbliżyć do odkrycia nowej drogi do eteru. Pentagramy, z jakich korzystają orkowi, szamani, działają w oparciu o klucze odmienne od naszych, obecnie mam już co do tego niezbitą pewność. Niestety, wróg potrafi zaskakująco sprawnie ukrywać wszelkie ślady i jak dotąd nie zdołałem ich kluczy skutecznie odtworzyć. Z drugiej strony, zwykle silne przekonanie, iż gdybym tylko zdołał dotrzeć na terytorium niezajęte jeszcze przez Homtntim, miałbym szansę odnaleźć przynajmniej wskazówki, co do natury owych kluczy. Dlatego właśnie jestem zmuszony zrobić wszystko co w mojej mocy, by przedostać się za linię frontu, gdzie mogłbym na własne oczy urządzić odprawiającego rytuał szamana i – przy odrobinie szczęścia – przypatrzeć się, choćby pobieżnie, jego pentagramowi. Zdobycie informacji o stosowanych przez orków kluczach i kolejności, w jakiej je rozmieszczają, jest dla nas wszystkich sprawą niezwyklej wagi.

Dzisiejszego dnia moje poszukiwania wreszcie przyniosły owoce, aczkolwiek nie, tego rodzaju, na jaki miałem nadzieję. Prowadząc wykopaliska wśród ruin starożytnego obozowiska orków, odkryłem magiczną inkantację, spisana na zwoju z ludzkiej skóry. Praca nad jego przełożeniem na naszą mowę sprawiła mi zdumiewająco wiele radości; co, prawda narzęczę orków cechuje okrucieństwo wyrazu, lecz znajduję w nim również nieokreślone dzikie piękno, którego istoty nie potrafię pojąć ni wytłumaczyć.

Podajrzewam, że owa inkantacja przywołuje demona na usługi

odczytującego je adepta. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będzie to istota niskiego, poziomu, zwykły chochlik, którego doświadczony szaman zamierzał podarować swojemu uczniowi, by wspomóc go w nauce, sztuki zaklinalnia. Będzie to dla mnie niezwykle rzadka okazja do zbadania stworzenia z nieznanych rejonów eteru. Niewykluczone, że ów poddany starannie prowadzonym dociekaniom demon skieruje mnie na właściwą ścieżkę.

Moja determinacja rośnie z każdą porażką, chociaż nie potrafię wyzbyć się poczucia, iż koledzy po fachu postrzegają mę usiłowania jako mądry, a nawet próżny trud. Terdz, mimo iż mój demon jest słaby, udowodnię wszystkim niedowiarkom, że mam do ołcęrskiego stopnia także samo prawo, jak szlachetnie urodzeni zaklinacze.

Czas na mnie. Dowódca wzywa do swego namiotu. Być może uzyskam właśnie pierwszą okazję zbadania terytorium wroga.

Kilka ostatnich zdań autor napisał mniej starannie, jakby w pośpiechu. Fletcher zrozumiał, że trzyma w ręku czyjś dziennik. Zajrzał na pierwszą stronę, by sprawdzić, czy znajdzie tam nazwisko właściciela. I rzeczywiście. Złote litery układały się w słowa: *Dziennik Jamesa Bakera*.

Pospolite nazwisko. Mag musiał należeć do nielicznych ludzi z gminu, obdarzonych przez los zdolnością zaklinalnia. Odkrycia dokonano czystym przypadkiem, gdy pewien ciekawski stajenny odczytał cudzy magiczny tekst i skutecznie przywołał demona. Od dnia tego pamiętnego wydarzenia inkwizytorzy badali większość pochodzących z dużych miast dziewcząt i chłopców w wieku Fletchera, sprawdzając, czy nie wykazują śladów mocy wymaganej do opanowania własnego stwora. Skóry były jednak osadą zbyt małą i oddaloną od wielkich ośrodków, by ktokolwiek zechciał się do niej pofatygować.

Raz jeszcze spojrzął na luźny pergamin i skrzywił się, kiedy zrozumiał, z jakiego materiału został wykonany. Pokrywały go przypominające blizny rzędy barbarzyńskich run, pod którymi widniały zapisane schludnym odręcznym pismem ich fonetyczne odpowiedniki.

Fletcher uśmiechnął się i zabrał za stygnące kielbaski, długo smakując każdy plasterek. Oczywiście raz po raz mimowolnie uciekały mu do makabrycznego pergaminu. Już wiedział, w jakiej dziedzinie spróbuje sił dzisiejszej nocy.



## 9

Fletcher sam do końca nie pojmował, dlaczego zadał sobie tyle trudu i zakradł się aż na cmentarz. Przecież tak czy inaczej nic nie mogło się wydarzyć. Przede wszystkim zdawał sobie sprawę, iż większość nisko urodzonych ludzi, u których odkrywano magiczne zdolności, wykazywała pewne oznaki szczególnych talentów jeszcze przed ostatecznym potwierdzeniem. Na przykład potrafili poruszać z oddali niewielkie przedmioty, czasem nawet siłą woli rozniecali ogień. Tymczasem jego jedyną umiejętnością, jaką w przybliżeniu dałoby się określić mianem wyjątkowej, była zdolność do zwijania języka w rurkę.

Niemniej czuł się mocno podekscytowany. Być może, kiedy już odczyta inkantację, uda mu się sprzedać pergamin przy okazji następnej wyprawy na front wojny z elfami. Przynajmniej nie będzie żałować, że nie spróbował. Potem znajdzie Rotherhama i podzieli się z nim utargiem. W końcu prezent był niezwykle hojny, a to raczej Fletcher był dłużnikiem weterana, nie na odwrót.

Siedział na kruszącym się kamiennym nagrobku. Księga leżała kilka stóp dalej, na pieńku ściętego drzewa. Przed wyjściem był w rozterce, nie wiedział, czy powinien zostawić ją w domu, czy zabrać ze sobą. Z jednej strony, Didric ze swymi pacholkami mogli pod jego nieobecność włamać się do kuźni, z drugiej – obawiał się, że go zaskoczą i napadną w drodze na cmentarz.

Ostatecznie postanowił nie rozstawać się z ciężką księgą. Choćby po to, by przez cały czas mieć ją na oku.

Wziął do ręki skórzany zwój. Uświadomił sobie ze zgrozą, że orkowe symbole zostały wycięte bezpośrednio na ciele żywego więźnia, a kiedy rany się zabiły, szamani obdarli nieszczęśnika ze skóry. Zadrzał z odrazy i chwycił pergamin dwoma palcami. Najchętniej trzymałby go tylko jednym. Powierzchnia zwoju okazała się zadziwiająco sucha, jakby przykurzona. Widniejące na niej runy układały się w szereg gardłowych sylab. Bardziej przywodziły na myśl muzyczną



wyliczankę „do, re, mi” niż jakkolwiek orkowy język. Fletcher nie miał pojęcia, jaką mową posługiwali się zaklinacze przy pracy. Być może orkowie także przejęli formułę z innego narzecza i tylko znотовali ją znakami własnego alfabetu. W dodatku James Baker napisał, że ten demon należał wcześniej do jednego z szamanów i miał zostać w jakiś sposób „podarowany”. Ciekawe, na czym to polega? Tak czy inaczej, Fletcher zdecydował tych kilka słów przeczytać i wrócić potem do ciepłego łóżka, zadowolony, że nie zrezygnował z podjęcia próby.

– *Di rah go mai lo fa lo go rah lo...* – zaczął i poczuł się nieco śmiesznie. Ucieszył się, że nie ma żadnych świadków, z ewentualnym wyjątkiem duchów dawno zmarłych ludzi.

Kolejne sylaby popłynęły z jego ust, jakby znał je na pamięć. Nie byłby w stanie przestać, nawet gdyby chciał. Ogarnęła go przemożna potrzeba wypowiedzenia obcych słów głośno i wyraźnie. Zaszumiało mu w głowie i poczuł się przyjemnie, jakby opatulił się ciepłym płaszczem. Trochę jak po alkoholu, tyle że piwo mąciło myśli, a jego umysł pracował w tej chwili z niesłychaną jasnością i spokojem; stał się niezmaconą taflą górskiego jeziora. Słowa zaklęcia jawiły się Fletcherowi fragmentami mistycznego równania, powtarzały się zmiennymi cyklami, nabrały niemal melodyjnego brzmienia.

– *Fai lo so nei di roh...* – płynęło miarowo i nieprzerwanie, aż wreszcie dotarł do końcowego wersu.

Wypowiadając ostatnią sylabę, doznał znajomego wrażenia. Identyczna ostrość zmysłów i myśli pojawiała się zwykle na łowach, towarzyszyła ułamkowi sekundy, kiedy zwalniał cięciwę łuku. Teraz była jednak dwakroć bardziej intensywna. Odbieranie świata w ten sposób wydawało się jednocześnie swojskie i obce. Barwy nabrały niecodziennej głębi, przedmioty mieniły się nadzwyczajną tęczowo. Rosnące pomiędzy grobami małe zimowe kwiatki zajaśniały niezmiernie jasnym blaskiem.

Serce zaczęło mu trzepotać w piersi i poczuł w umyśle szarpnięcie. Początkowo słabe, potem niecierpliwe, aż wreszcie stało się tak potężne, że zsunął się z nagrobka i padł na kolana.

Gdy podniósł wzrok, stwierdził, że okładkę książki otacza migotliwa aura. Otworzył szeroko oczy. Układające się w pentagram linie świeciły. Otoczona kręgiem gwiazda jarzyła się fioletowym blaskiem. Mgnienie potem, nagle, zupełnie jakby była tam przez cały czas, nad księgą zawisła lśniąca błękitna kula. W pierwszej chwili wyglądała jak drobna iskra lub świetlik, nim jednak minęło kilka sekund, rozrosła się do rozmiarów niewielkiego gazu. Świeciła tak intensywnie, że Fletcher odwrócił oczy, a kiedy blask płonącej sfery zrównał się siłą ze słońcem, ukrył twarz w dłoniach. Uszy zaatakował mu ryk podobny szumowi rozbuchanych płomieni w kuźni Berdona, tak głośny, że czaszkę przeszły mu fale bolesnych wibracji.

Wreszcie – wydawało się, że minęły długie godziny – świat zamilkł i zgasł. Zrobiło się cicho i ciemno. Fletcher był przez moment przekonany, że umarł. Klęczał z głową opartą o miękką glebę i głęboko w płuca wdychał woń trawy. Tylko datego zrozumiał, iż nadal żyje, aczkolwiek w powietrzu rozszedł się nieobecny dotąd zapach siarki. Chwilę potem usłyszał ciche ćwierknięcie i zaintrygowany zadarł głowę.

Dwie stopy od księgi, na małym zarośniętym pagórku, siedział na tylnych łapach demon. Wymachiwał ogonem niczym dziki kot, a w szponach ścisłał pozostałości czegoś czarnego i połyskliwego – ciało przypominającego owada stworzenia z innego świata. Demon szarpał go niczym wiewiórka skrobiąca orzech, raz po raz wgrzyzał się w skorupę pokrywającą niezwyklego żuka.

Istota była rozmiarów fretki i miała podobnie gibkie, smukłe ciało. Długie kończyny sprawiały zapewne, że nie musiała pełzać ruchami jaszczurki. Znacznie bardziej prawdopodobne było, że potrafi sadzić susy długie jak skoki górskich wilków. Gładka skóra mieniła się bordowym odcieniem dobrego wina. Stworzenie przyglądało się światu dużymi, okrągłymi oczyma,

kojarzącymi się Fletcherowi ze ślepiami sowy. Tęczówki barwy nieoszlifowanego bursztynu pobłyskiwały przenikliwą inteligencją. Ku zaskoczeniu Fletchera, demon nie miał kłów ani nawet zębów. Pysk, w którym właśnie zniknął ostatni kęs żuka, wieńczyła ostra końcówka, przywodząca na myśl rogowy dziób wodnego żółwia. Demon przelknął i skupił spojrzenie na Fletcherze, który pobladł i nie wstając z ziemi, wycofał się rakiem, aż wpadł plecami na zniszczoną płytę nagrobka. Stworzenie wydało z siebie piskliwy wrzask i zwinnymi krętymi susami czmychnęło pod osłonę pieńka. Fletcher zauważył, że ciągnący się za istotą ogon jest zakończony ostrym i wąskim kolcem, przypominającym grot z kości jelenia. Na cmentarzu zapanowała cisza. Opadła na świat niczym gruba pierzyna, nie mącił jej nawet najslabszy powiew.

Okrągłe żółte oko potworka lypnęło podejrzliwie znad pniaka. Gdy spotkali się spojrzeniami, chłopak wyczuł na samym skraju świadomości coś bardzo dziwnego; wyraźną obecność, która zdawała się powiązana z nim w jakiś sposób. Ogarnęła go niepohamowana, przemożna ciekawość, silniejsza niż narastające pragnienie ucieczki. Zaczepnął jeszcze jeden gwałtowny oddech i przygotował się do biegu.

Wtem demon przesadził pieniek i jednym płynnym ruchem wskoczył na falującą gwałtownie pierś Fletchera. Pochylił lebek na bok, jakby chciał wnikliwie przyjrzeć się jego twarzy. Chłopak przestał oddychać. Istota zaćwierkała niezrozumiale i poklepała go przednią łapką, ale on siedział jak skamieniały.

Demon zaświergotał raz jeszcze, po czym – ku przerażeniu Fletchera – zaczął się wspinać wyżej, czepiając się płóciennej koszuli ostrymi pazurkami, bez trudu przebijającymi materiał. Następnie owinał się wężowym ruchem wokół szyi Fletchera. Skóra jego brzucha okazała się gładka i ciepła. Ogon musnął policzki i objął kark. Chłopak poczuł na uchu ciepły oddech i zrozumiał, że mały potwór lada moment wzmocni ucisk i zacznie go dusić, a on umrze bolesną śmiercią, jaką wcześniej próbował zgotować mu Didric. Cóż, przynajmniej nie będzie kłopotu z pogrzebem, bo znajdą mnie na cmentarzu, pomyślał z nutą czarnego humoru. Gdy ciało demona mocniej napařło na jego krtań, Fletcher zacisnął powieki i zaczął się modlić, by wszystko skończyło się szybko.





## 10

Minuty płynęły w ślimaczym tempie. W wiosce na pewno wybrzmiał już trzeci poranny dzwon i do świtu brakowało ledwie kilku godzin. Fletcherowi coraz bardziej doskwierał chłód, lecz z wysiłkiem, uparcie powstrzymywał dygotanie. Obawiał się, że dreszcze mogą spłoszyć i rozdrażnić demona. Z każdym wydechem stworzenia lewy policzek chłopaka omiały dwa pióropusze pary. Boki istoty podnosiły się i opadały miarowym rytmem. W pewnym momencie Fletcher usłyszał cichutkie jednostajne pomrukiwanie. Zupełnie jakby demon... zasnął! Chłopak wciąż nie rozumiał, jak to możliwe, że nie zginął. Nadal oddychał i bardzo się z tego cieszył.

Gdy spróbował zdjąć stwora z ramion, ten tylko warknął przez sen i mocniej zacisnął się wokół jego szyi. Pazury uchwyciły skórę niżej, tuż przy tętnicy. Fletcher opuścił dłoni i ciało demona na powrót się rozluźniło, a stworzenie wydało z siebie zadowolony szczebiot. Przypomnił mu się jeden z mieszkańców w Skórach kotów, który przy każdej silniejszej zamieci śnieżnej zakradał się do jego izby, wskakiwał mu na kolana i za nic nie chciał ich opuścić, ostrzegawczo posykując za każdym razem, gdy Fletcher próbował wstać. Demon okazał się niezwykle zaborczym maluchem.

Ostrożnie podniósł się z ziemi i podszedł do książki, starając się przy tym nie poruszać karkiem. Czuł się jak kobieta, dźwigająca na głowie ciężki dzban z wodą. Z niejakim wysiłkiem przykucnął, sięgnął po książkę, wsunął pergamin między kartki i przycisnął okładkę do piersi. Jeśli miał tego demona kiedykolwiek okiełznać, na pewno dziennik zaklinacza okaże się pomocny.

W tej samej chwili usłyszał podniesione gniewne głosy. Odwrócił się i ujrzał na skraju cmentarza chybotliwe światło. Zbliżało się prosto ku niemu. Jak go tu nakryli? Być może któregoś z okolicznych wieśniaków zaniepokoiły wcześniejsze hałasy lub poświęta magicznej kuli. Tak czy inaczej zaskoczyli go. Na cmentarz zdecydował się przyjść właśnie dlatego, że znajdował się on na wąskim skalnym występie, położonym na północ od głównej części osady.

Można było dotrzeć tu jedynie po zdradliwej, wydeptanej wśród zarośli ścieżynie. Od najbliższego domostwa dzieliło go bez mała pół mili.

Rozejrzał się w panice i na skraju cmentarza zauważył popadający w ruinę grobowiec. Mauzoleum miało rozmiary niewielkiej chaty, otaczały je bogato zdobione kolumny. Wyrzeźbione na nich kwiaty, wystawione na niszczycielskie działanie deszczu, dawno temu straciły większość finezyjnych detali. Fletcher podbiegł chyłkiem do grobowca, pochylił głowę w niskich odrzwiach i wszedł do środka. Zanurkował w głąb mrocznej krypty, gdzie usiadł w kucki pod najdalszą ścianą, ukryty za kamienną płytą. Przypomnił sobie, że ledwie kilka stóp pod nim znajduje się wejście do ossuarium, w którym spoczywają szczątki wielu pokoleń wieśniaków, ułożone w stosach niczym drewno na opał.

Pośpiech okazał się wskazany, jako że już po kilku sekundach alejkę przed jego kryjówką załał blask trzaskającej płomieniami pochodni.

– Coś mi mówi, że niepotrzebnie nas tu przyciągnęłaś – rozległ się poirytowany głos Didrica. – Szukamy wiatru w polu.

– Jeszcze raz ci mówię, na własne oczy widziałam, jak wychodzi ze wsi tylną bramą i rusza pod górę.

Fletcher znał ten głos. Należał do Calisty, od niedawna strażniczki i towarzyszkii pijackich wieczorów Didrica. Dziewczyna miała surową, ostro ciosaną twarz, a skłonnością do okrucieństwa niemal dorównywała synowi lichwiarza.

– Sama chyba rozumiesz, że to niedorzeczne. Po co miałyby wybierać się na cmentarz w samym środku nocy? Przecież Fletcher nie ma rodziny. Kogo mógłby tu odwiedzać? – odparł szyderczym tonem Didric.

– Mówię ci, jest gdzieś tutaj. Przeszukaliśmy już sady i spichlerze i go nie znaleźliśmy. Na północ od wioski nie ma innego schronienia.

– No dobrze. Rozejrzyjmy się jeszcze. Może przyciął się między nagrobkami. Jakov, ty też się rusz! – rozkazał Didric. – Nie płacę ci za nieróbstwo.

Strażnik mruknął coś pod nosem.

Fletcher pochylił głowę, kiedy przed drzwiczkami grobowca przesunął się kontur ludzkiej postaci. Pochodnia Didrica rzuciła przed Jakovem długi cień. Niedobrze, pomyślał. Z Didrikiem i Calistą mógłby sobie ewentualnie poradzić, ale walczyć z Jakovem...? Pozostawało brać nogi za pas. Chociaż i na to szanse przedstawiały się mizernie. Calista została przyjeta do wiejskiej gwardii ze względu na smukłą sprężystą sylwetkę i Fletcher nie był pewien, czy zdoła dziewczynie uciec, zwłaszcza że musiałby biec ze stworem na szyi, a jego reakcji nie mógł przewidzieć. Na szczęście z całej trójki prześladowców jedynie Didric miał ze sobą pochodnię. Być może uda mu się zgubić pościg w ciemnościach.

Przywarł do zimnej marmurowej posadzki i czekał z nadzieją, że strażnicy odejdą, nie zaglądając do grobowca. Z jednej strony, była to oczywiście kryjówka, z drugiej jednak, z zewnątrz musiała wydawać się pusta. Ukryty za grubą kamienną płytą, pozostawał niewidoczny.

Poświata pochodni stopniowo przygasiała. Didric chodził między rzędami grobów. Bębniący o dach mauzoleum deszcz przybierał na sile. Fletcher nieco się odprężył; jeżeli rozpada się na dobre, poszukiwania wkrótce się skończą.

Ze szczeliny w powale zaczęła sączyć się woda; odsunął się od rosnącej kałuży i spróbował zachować spokój, co wcale nie było łatwe. Wiedział przecież, jacy ludzie wypatrują go na zewnątrz. Pomyślał z nadzieją, że może tropione przez niego w lesie zwierzęta nie czują się aż tak paskudnie jak on w tej chwili. Kiedy nabierał przekonania, że wszystko skończy się pomyślnie, panującą w grobowcu ciemność rozproszyło światło pochodni. Usłyszał przekleństwo

i zobaczył Didrica, który wszedł przygarbiony do grobowca i zajął się wyżymaniem płaszcza. Fletcher wstrzymał oddech. Zamoknięta na deszczu pochodnia przez moment syczała, po czym zgasła. Pomieszczenie tonęło w mroku. Didric raz jeszcze paskudnie zaklął. Chwilę potem dołączyli do niego Jakov z Calistą, oboje również ociekali wodą i nie przebiali w słowach.

– Co tu robicie? Pozwoliłem wam przestać szukać? – rzucił ze złością Didric, choć w jego głosie pojawił się cień rezygnacji.

– Tutaj go nie ma. Podejrzewam, że kiedy po ciebie poszłam, wrócił do wsi – zasugerowała zmartwiona Calista.

– Nie myślcie, że wam za tę noc zapłacę – sarknął Didric. – Nie ma Fletchera, nie ma pieniędzy.

– Jesteśmy niczym zmoknięte kury! – zawołał żałośnie Jakov, szczękając zębami.

– Nie zachowuj się jak dziecko! Wszyscy przemokliśmy do suchej nitki. Wiecie co? Być może dzisiaj ta mała szuja rzeczywiście nam się wymknęła, ale co się odwlecze, to nie uciecze. Kiedy wreszcie go dorwiemy, kara będzie tym bardziej surowa. Dobra, wynośmy się stąd!

Fletcher bezgłośnie odetchnął z ulgą. W salce rozległ się odgłos kroków odchodzących strażników. Był pewien, że najgorsze minęło, kiedy siedzący mu na karku demon nagle się poruszył, po czym donośnie ziewnął i rozwinął ciałko. Miauknął, polizał z czułością policzek Fletchera, zeskoczył mu na kolana i leniwie się przeciągnął.

– Zaraz, co to było? – syknął Didric.

Psiakrew.





## II

Wstał i rozprostował ramiona. Demon spadł na podłogę, zaskomlał z wyrzutem i czmychnął w kąt grobowca.

– Fletcher? To ty? – Didric wyteńczył wzrok w ciemności.

Nikła poświata księżyca oświetlała tylko poblizsze wejścia. Musiałem się im ukazać jako mroczna postać wśród cieni, pomyślał Fletcher. Didric ruszył w jego stronę.

– Czego chcesz? Nie powinienes przypadkiem o tej porze spać? Mamusia nie kazała? – odparł Fletcher tonem pełnym animuszu, którego wcale nie odczuwał. Rozumiał jednak, że lepiej będzie ujawnić się teraz, niż czekać, aż Didric podejdzie bliżej. Dzięki temu wciąż dzieliła ich grobowa płyta.

– Mam padalca! Jest tutaj! – zawołał Didric, choć wcale nie musiał. Jakov i Calista wyrosli już za jego plecami.

Ich czarne sylwetki wyraźnie odcinały się od widocznego przez otwarte drzwi cmentarza, zalanego księżycowym blaskiem. Fletcher mógł skorzystać i na tym. Dokładnie widział, gdzie stoją. Znacznie gorzej, że zagrodzili mu jedyną drogę ucieczki.

– Jak szczur w potrzasku – rzucił z okrutną satysfakcją Didric. – Teraz już chyba nie będziesz się tak wymądrzać, co, Fletcherku?

– Proszę, proszę. Przyprowadziłeś ze sobą aż dwie niańki – odparł Fletcher, jednocześnie wyteżając umysł w poszukiwaniu wyjścia z tarapatów. – Troje na jednego, tak? Może dla odmiany stanąłbyś do walki jak mężczyzna? Ach, przecież... Tej zabawy już próbowaliśmy.

– Stul pysk! – warknął Didric. – Uderzyłeś mnie z zaskoczenia. W uczciwym starciu stłukłbym cię na kwaśne jabłko. – W jego głosie urażona duma mieszała się z wściekłością.

Fletcher uświadomił sobie, że jedyną możliwością wyjścia z tej sytuacji jest naklonienie Didrica do bójki jeden na jednego.

– Spróbujmy się teraz – powiedział. – Niech Jakov i Calista na własne oczy zobaczą, co by się stało, gdybym nie zaatakował cię podstępem. – Włożył w te słowa całą dostępną sobie siłę woli. Zaciął się pięścią i postąpił krok naprzód.

W grobowcu na moment zapanowało milczenie, po czym rozległ się chichot.

– Nic z tego! Dzisiaj nie będę się z tobą bić. – Didric parsknął śmiechem. Jego rechot odbił się echem od ścian.

Po plecach Fletchera przebiegły ciarki.

– Dobra, w takim razie pospieszcie się, spuście mi łomot i zakończmy sprawę. Mam inne rzeczy na głowie – odparł wyzywająco, przekrzykując rżenie Didrica.

Przesunął dłonią po krzewyżki kamiennej płyty, przesłaniającej wejście do krypty. Wciąż rozpaczliwie kalkulował. Pamiętał, że do katakumb pod grobowcem można się było dostać również przez opuszczoną kapliczkę, stojącą tuż za plotem cmentarza. Gdyby zdołał jakimś cudem otworzyć podziemne przejście, miałby cię szansy. Opuszczał palców wyczuł szparę. Zadanie było właściwie niewykonalne, tym bardziej że musiał podważyć pokrywę stopniowo i powoli, by prześladowcy nie połapali się w sytuacji. Szczęśliwym trafem Didric uwielbiał słuchać własnego głosu. Gdy Jakov i Calista również zanieśli się śmiechem, Fletcher delikatnym pchnięciem przesunął płytę. Skrzywił się, słysząc chrobot kamienia trącego o kamień. Wyglądało na to, że otwarcie krypty potrwa dłużej, niż się spodziewał.

– Kretynie, nie przyszliśmy tu, żeby cię poturbować – oznajmił Didric złośliwie i z lubością. Z trudem powstrzymywał rozbawienie. – Nie, my cię dzisiaj zabijemy. Fantastycznie, że wybrałeś się akurat na cmentarz. Oszczędziłeś nam kłopotu z ukryciem ciała.

Zgrzyt dobywanych z pochew mieczy zmroził Fletcherowi krew w żyłach. Zaciął zęby i naparł z całych sił. Kamienna płyta ustąpiła o kolejny cal, ale wciąż za mało. Potrzebował więcej czasu.

– Chcecie mnie zabić? Teraz? Kiedy w wiosce bawią pinkertonowie? Jesteś głupszy, niż przypuszczałem. Berdon wie, gdzie jestem, i jeżeli wkrótce nie wrócę do domu, pójdzie prosto do nich – postanowił blefować.

Didric nie przejął się przestrogą i podszedł pół kroku bliżej.

Fletcher spróbował raz jeszcze.

– Zeszłego wieczoru naszą bójkę widziało pół wsi. Naprawdę chcesz przez resztę życia gnąć w więzieniu? Z powodu drobnego nieporozumienia? – mówił głośno, starając się zagłuszyć skrobanie pokrywy, którą znów przesunął o kilka cali.

Didric przystanął i wybuchnął śmiechem, po czym powiedział, zupełnie nieprzejęty:

– Mój drogi ojciec owinał już sobie pinkertonów wokół małego palca. Prędzej aresztowaliby się nawzajem, niż mieliby wsadzić do więzienia syna ich nowego współnika.

Fletcher zastygł. Wspólnik? O czym Didric mówi?

– Chyba mogę ci opowiedzieć, co zaszło kilka godzin temu przy kolacji. Chciałbym, żebyś wiedział, co spotka twój ukochaną wioskę, kiedy ty będziesz wachać kwiatki od spodu – podjął Didric, powstrzymując wyciągniętymi ramionami Jakova i Calistę, którzy rwali się do wykonania zadania. – A wy dwoje posłuchajcie, żebyście wreszcie pojęli, dlaczego rozsądnie jest rozwijać karierę przy moim boku.

– Oświeć mnie, łaskawco – rzucił Fletcher i przepchnął kamienną płytę na tyle, że pojawiła się wąska szpara. Z podziemia krypty buchnęło zatęchłe powietrze, w grobowcu rozeszła się woń przypominająca zapach starego pergaminu.

– Jak zapewne wyjawil ci ten oszust weteran, władze zaplanowały przymusowo wcielić do armii skazańców. Moim zdaniem, to fatalna decyzja, ale tam, gdzie inni widzą jedynie głupotę, mój ojciec dostrzega okazje – pochwalił się Didric. Wsparł się na mieczu. – Więźniowie będą

przewożeni na front za dnia, a po drodze będą nocować w lochach mijanych miast. Tak w ramach środków bezpieczeństwa. Kiedy jednak dotrą do Boreas, najbardziej wysuniętego na północ miasta Hominum, do strefy konfliktu z elfami wciąż pozostaną im jeszcze dwa dni drogi. To oznacza, że będą musieli spędzić noc w lesie, co dla nikogo nie stanowi rozwiązania idealnego. Po zmroku konwój mogłaby zaatakować dowolna banda maruderów, a nie będzie cel, które powstrzymałyby przestępców przed ucieczką. Przypomnij sobie jednak, jaka miejscowość leży dokładnie w połowie drogi między Boreas a frontem. Oczywiście nasze piękne Skóry!

Fletcher miał już dosyć pretensjonalnego tonu Didrica, lecz rozumiał, że od wysłuchania tych przehwałek zależy jego życie.

– I co z tego? Tutaj więźniowie nie mogą się zatrzymać. Za mało miejsca. Co chcecie zrobić? Wynająć im kilka wolnych sypialni we własnym domu? – spytał.

Udało mu się wsunąć dłonie w szczelinę i zaczepił palce pod kamienną pokrywą. Teraz mógł już odrzucić płytę jednym ruchem i wskoczyć do krypty, lecz wołał zaczekać, aż Didric rozgada się na dobre. Dzięki temu nie rzuci się w pościg od razu, a Fletcherowi potrzebna była chwila na otwarcie wyjścia z tunelu od strony kapliczki.

– Nie dostrzegasz najważniejszego. Oczywiście, wiedziałem, że na to nie wpadniesz – rzucił Didric, wzdychając demonstracyjnie. – Zamierzamy zażądać spłaty długów. Przejmiemy domy wszystkich mieszkańców i przeobrazimy w więzienie całą wioskę. Wyobraź to sobie! Cenę za noclegi skazańców ustalimy na poziomie luksusowego zajazdu, a w zamian zapewnimy im tylko sienniki i kleik. Codziennie wszystkie miejsca zapełnione, pieniądze gwarantowane przez królewskiego skarbnika. Pomyśl o korzyściach! Nasi wynudzeni strażnicy zajmą się pilnowaniem więźniów, a palisada nie będzie już bronić przed atakiem, tylko utrzymywać ludzi wewnątrz! Jeżeli nawet któryś skazaniec zdoła się wymknąć, zaraz potem pobłądzi w lesie bądź rozprawia się z nim wilki. Pinkertonowie podpisali już stosowną umowę. A gdyby dotyczące poboru nowe prawo mimo wszystko nie weszło w życie, nasze więzienie i tak stanie się najbardziej odosobnionym i bezpiecznym w całym Hominum. Porządni mieszczanie będą zachwyceni, kiedy władze zaczną odsyłać przestępców tak daleko od ich domów

Fletcher przez chwilę trawił słowa Didrica. Ich piękna wieś, osada z historią sięgającą setki pokoleń wstecz, zostanie przekształcona w więzienie. Większość mieszkańców straci domostwa, ponieważ nie zdoła się spłacić długów, które już teraz dziesięciokrotnie przerastały pożyczone w przeszłości sumy. Pomyśl ojca Didrica był straszliwy, ale Fletcher uczył się jednej szansy. Caspar przeoczył pewien pałacy problem.

– To się nie uda, Didric. Na wojnie z elfami nie potrzeba nowych poborowych. Armia wysyła tam tylko zbędnych, niepotrzebnych żołnierzy, żeby dotrwali do dnia przejścia w stan spoczynku. Nawet i ci, których nazywają odsianymi plewami, nie odwiedzają po drodze Skór. Wędrują nocą lub rozbijają obozy w lesie, dzięki czemu nie muszą płacić za łóżko w karczmie. – Kamienną pokrywą odsunął już na tyle, że mógł się zmieścić w szczelinie. Nie spieszył się jednak – chciał dowiedzieć się więcej. Ktoś przecież musiał ostrzec wieśniaków.

– Proszę, proszę, Fletcherku, jednak nie jesteś aż tak tępy, ale się mylisz. Popelniasz śmiertelny w skutkach błąd. – Didric zachichotał z własnego żarciku i groźnie zamachnął się mieczem. – Widzisz, północny front to wymarzony poligon. Oficerowie przygotowują tam skazańców do prawdziwej służby we względnie spokojnych okolicznościach. Kryminaliści będą mogli pobrać nauki od starych, doświadczonych żołnierzy, po czym zostaną odesłani na południe, już w pełni gotowi do boju. Sam widzisz, Fletcherku, na naszym planie mucha nie siada. Nie wyjawilem ci jeszcze jednego. Myślę, że ci się spodoba – zapowiedział Didric i umilkł, czekając, to Fletcher go ponaglił.

Naturalnie, gdyby więźniowie trafili na pola bitew z orkami prosto z lochów, w szeregach



zapanowałby chaos, pomyślał Fletcher. Królewscy oficerowie nie mogli jednocześnie prowadzić wojny i skutecznie panować nad tysiącami świeżo zwolnionych przestępców. W razie buntu żołnierze musieliby walczyć na dwóch frontach. Stanowczo lepiej było więc najpierw wpoić rekrutom dyscyplinę, odpowiednio ich zindoktrynować, a dopiero potem wysłać z odsieczą armii, przeżywającej ciężką chwilę na południu.

– Co takiego chcesz mi jeszcze powiedzieć?! – rzucił Fletcher. Czuł w piersi wrzenie gniewu, wściekłość wyżerała go od środka jak kwas. Rodzina Didrica od dawna kojarzyła mu się z kleszczami, wsysającymi ze Skór życiodajną krew. Teraz na domiar złego kleszcze zaraziły wioskę chorobą.

– Zanim ojciec zawarł umowę, przypomniałem sobie o tobie, Fletcherku, i tym tłustym kmiecie, Berdonie. Uświadomiłem więc tacie, że rekrutom potrzebny będzie rynsztunek, po czym zasugerowałem niezwykle eleganckie rozwiązanie. Pinkertonowie dopisali do umowy załącznik, na mocy którego otrzymaliśmy wyłączne prawa sprzedaży ekwipunku ruszającym na północ poborowym. Odtąd kwatermistrzowie jedynie u nas będą mogli zaopatrywać oddziały w zbroję i broń. Za trzy tygodnie zaczniemy sprowadzać sprzęt z Boreas i wierz mi, zamówimy tyle uzbrojenia, że będziemy mogli wszystko sprzedawać o połowę taniej niż Berdon. Rozumiesz więc, nie dość, że ten ryży dureń będzie opłakiwać twoją śmierć, to na dodatek zostanie bez szylinga przy duszy. Kto wie, może zgodzę się go przyjąć na stajennego. W końcu i tak do niczego innego się nie nadaje.

Mimo panującej w grobowcu ciemności, Fletcher dostrzegł na ustach Didrica szeroki uśmiech zadowolenia. Oburzenie buchnęło w nim płomieniem gorącym jak w kowalskim piecu Berdona. Puls przyspieszył i chłopak niemal usłyszał szum własnej krwi. Serce dygotało gwałtownie i przy każdym jego uderzeniu czuł w skroniach miarowy ucisk. Nigdy w życiu nie pragnął nikogo zabić, lecz w tej chwili opętał go wewnętrzny przymus. Didric po prostu musiał umrzeć.

Ledwie ta ostatnia myśl powstała w jego głowie, poczuł więź łączącą go z małym demonem, zupełnie jakby stwór był pajakiem, połączonym z nim nicią jedwabnej przędzy. Potężna fala gniewu popłynęła wzdłuż tej pajęczyny i Fletcher odniósł nieprzeparte wrażenie, że świadomość stworzenia wypełniła się identycznymi emocjami. Didric był wrogiem, stanowił zagrożenie.

– Co? Nie masz nic więcej do powiedzenia? Rozczarowujesz mnie. Myślałem, że zabawa będzie o wiele lepsza. – Didric westchnął i skinął na towarzyszy. Podniósł miecz, po czym ruszył naprzód. – Dobrze... Zabijmy go...





## 12

Gdy tylko Didric wypowiedział te słowa, demon wypadł z cienia. Z przeraźliwym kwikiem wbił spony w jego twarz, zaczął szarpać i drapać. Napadnięty wrzasnął, upuścił z brzękiem miecz na posadzkę i zaczął krążyć na oślep, niczym opętany.

– Zdejmijcie to ze mnie! Zdejmijcie! – zawył. Policzki spłynęły mu strugami krwi.

Jakov z Calistą zaczęli okładać małego potworka pięściami, uważając przy tym, by dodatkowo nie uszkodzić Didrica. Przy każdym ich ciosie Fletcher czuł na skraju umysłu rozbłyski odczuwanego przez demona bólu. Malec trzymał się ofiary uparcie, raz po raz wydając z siebie wściekle ujadanie. Serce Fletchera buchnęło słusznym gniewem, gorącym jak żar z ogniska. Gdy sięgnął zenitu, ponownie doznał wrażenia niezwykle jasności myśli. Czarna w ciemności grobowca krew Didrica zapłonęła mu w oczach rubinowym odcieniem. Demon umilkł i rozdziawił paszczę szeroko jak wąż. Z gardzieli trysnęła mu fontanna płynnego ognia, chlusnęła w policzek strażnika i podpaliła włosy. Pomieszczenie wypełniła nieziemska czerwonawa poświata. Didric padł na ziemię i trzasnął głową o marmurowe płytki posadzki. Zdławiony ryk urwał się jak ucięty nożem. Jakov i Calista rzucili się na kolana i wykrzykując imię rannego, próbowali stłumić płomień gołymi rękami. Tymczasem demon wskoczył na ramiona Fletchera, który zsunął się do krypty i ruszył do wyjścia. Serce furkotało mu w piersi niczym zamknięty w klatce ptaszek.

W podziemiu było ciemno jak w duszy grzesznika. Lodowate powietrze cuchnęło stęchlizną. Fletcher biegł przed siebie, nie zatrzymując się ani na moment. Z każdą chwilą zagłębiał się bardziej w trzewia ziemi. Ścisnąc pod pachą magiczną księgę, szukał drogi po omacku, wyciągniętą ręką – co chwila trafiał palcami na sterty powiązanych rdzewiejącym drutem kości, przysypanych warstwami wiekowego kurzu.

W pewnej chwili zaczęcił palcem o pusty oczodół trupiej czaszki i strącił ją z niszy w ścianie.

Poturlała się po podłodze tunelu, po czym roztrzaskała się w drobny mak. Fletcher skoczył naprzód i jeszcze przez chwilę słyszał chrobot gnienionych podeszwami okruczków kości. Rozpacźliwie chciał się z tych katakumb wy dostać. Panował tu koszmarny zaduch, przy każdym oddechu tumany kurzu zatykały mu nos i usta. Miał wrażenie, że brakuje mu tchu. Nie pomagała również obecność demona, który uczepił się pazurami jego koszuli i co chwila wydawał z siebie niezadowolone syknięcia.

Po czasie, który wydawał się wiecznością, Fletcher boleśnie uderzył piszczelem w kamienny stopień. Pochylił się, sprawdził ręką i znalazł następny. Z ulgą domyślił się, że trafił na prowadzące do kaplicy schody. Sięgnął ku górze i wymacał płaską powierzchnię kamiennej pokrywki. Z olbrzymim wysiłkiem dźwignął płytę i odrzucił ją z trzaskiem na posadzkę. Nikła poświata księżycza wydawała mu się wspaniałym blaskiem. Nocne światło sączyło się przez wybite okna kaplicy i malowało wewnątrz srebrem. Fletcher przystanął i łapczywie chwycił ustami powietrze, ciesząc się, że zdołał umknąć ze śmiertelnie niebezpiecznego potrzasku. Kiedy jednak lekko się odprężył, natychmiast przypomniał sobie o wszystkim, co właśnie zaszło. Musiał jak najszybciej wrócić do Berdona. Kowal na pewno będzie wiedział, co począć.

Korzystając z księżycza niczym z kompasu, młodzieniec wybiegł na ciemną ścieżkę i ruszył w kierunku wioski. Był pewien, że prześladowcy nie mogli zostać daleko z tyłu i zapewne niosą ze sobą Didrica. Do czasu, gdy wieść się rozejdzie, miał najwyżej dziesięć minut. Gdyby pozostali strażnicy dowiedzieli się, że jeden z nich został zaatakowany, to bez względu na wszelkie okoliczności Fletcher nie miał żadnych szans doczekać procesu. A gdyby nawet, to Caspar pociągnąłby za odpowiednie sznurki, przesłuchanie nie przebiegłoby uczciwie, a świadkowie skłamałiby bez zmużenia oka.

Wieść milczała jak cień, mieszkający leżeli we własnych łózkach, pogrążeni w głębokim śnie. Gdy Fletcher przytruchtał pod bramę, z ogromną radością zauważył, iż wieżyczka nad wrotami jest pusta. Prawdopodobnie to jeden z jego niedoszłych zabójców opuścił posterunek, by wybrać się na cmentarz.

W kuźni panował miękki półmrok, rozświetlany przez żar dymiących, dopalających się węgli. Berdon spał w wiklinowym fotelu, w tej samej pozycji, w jakiej siedział, gdy Fletcher wymykał się z domu.

Nie długo chwili do stracenia; musiał uciekać. Myśl o porzuceniu Skór raniła go do żywego, coś ścisnęło go w piersi. Przed oczyma stanęła mu przyszłość włóczęgi, krążącego od miasta do miasta i błagającego ludzi o nędzne ochłapy. Zadrzał i otrząsnął się. Wszystko po kolei. Z ciężkim sercem szarpnął Berdona za ramię.

– Co jest? – burknął niewyraźnie kowal i odtrącił machnięciem rękę podopiecznego. – Śpię przecież. Rano porozmawiamy.

Fletcher potrząsnął nim raz jeszcze. Tym razem mocniej.

– Zbudź się! Potrzebuję twojej pomocy, nie ma czasu! – rzucił. – No już!

Berdon podniósł powieki i nagle drgnął, gdy zaintrygowany poruszeniem demon przeskoczył z ramion Fletchera prosto na jego pierś.

– Co to za diabelstwo? – wykrzyknął kowal, odsuwając głowę od stwora najdalej, jak potrafił.

Demon, słysząc nowy hałas, zaskrzeczał i bez większego przekonania zamachnął się łapą na brodę Berdona.

– Długo by opowiadać, ale postaram się streścić. W skrócie, na jakiś czas muszę zniknąć ze Skór – zaczął Fletcher. Wziął demona na ręce i usadowił go sobie na ramieniu. Stworzenie owinęło się wokół jego szyi i wydało z siebie cichy, błogi pomruk.

Mówił szybko, pomijał wiele szczegółów, lecz pilnował, by Berdon poznał najbardziej kluczowe fakty. Snując opowieść, zdał sobie sprawę, że idąc na cmentarz przez główną ulicę

wioski, gdzie każdy mógł go zauważyć, zachował się jak kompletny idiota. Kiedy skończył, stanął sztywno, próbując złapać oddech i zwiesił ze wstydem głowę. Berdon nie tracił czasu. Natychmiast zaczął się krzętać po domu. Zapalił pochodnię i spakował kilka przedmiotów do skórzanej torby. Zadał tylko jedno pytanie, spoglądając podopiecznemu w oczy:

– Czy on żyje?

– Nie... nie wiem. Dość mocno uderzył się w głowę. W najlepszym wypadku skończy z dotkliwie poparzoną twarzą. Tamci na pewno powiedzą, że zaatakowałem go pochodnią. Że zwaбіłem Didrica na cmentarz i próbowałem go zamordować. Zawiodłem cię, Berdon. Zachowałem się jak kretyn. – Fletcher zaszlochiał.

Opiekun wręczył mu wypakowaną torbę, tę samą, w której chłopak niósł miecze na północ. Ponownie załkał i wrzucił do środka księgę. W tej chwili pomyślał, że wolałby jej nigdy w życiu nie zobaczyć. Rozpacz chwyciła go za serce niczym imadło. Kowal położył dłonie na ramionach Fletchera i mocno zacisnął palce. Spłoszony demon zeskokczył na podłogę.

– Wiem, że nigdy ci tego nie powiedziałem, ale nie jesteś dla mnie ani uczniem, ani ciężarem. Jesteś moim synem, mimo że w naszych żyłach nie płynie ta sama krew. Jestem z ciebie dumny, a dzisiejszej nocy ta duma rozpiera mnie bardziej niż kiedykolwiek. Walczyłeś o swoje i nie zrobiłeś niczego, czego musiałbyś się wstydzić – oznajmił Berdon i zamknął Fletchera w niedźwiedzim uścisku.

Wstrząsany szlochom chłopak wtulił twarz w ramię kowala.

– Mam dla ciebie kilka prezentów – podjął Berdon i otarł łzy z policzków.

Zniknął w swojej sypialni, skąd wrócił z dwiema sporymi paczkami. Wcisnął je do torby Fletchera i uśmiechnął się smutno.

– Chciałem z tym zacząć o twoich szesnastych urodzin, ale coś mi mówi, że lepiej będzie, jeżeli dam ci je już dzisiaj. Rozpakuj te prezenty, gdy znajdziesz się daleko stąd. Aha, trzeba pomyśleć o czymś do obrony. Weź to.

Pod jedną ze ścian stał stojak z bronią. Berdon wybrał zakrzywiony miecz, który czekał na samym końcu kolekcji, w towarzystwie najdroższych eksponatów. Podniósł ostrze do światła.

Broń była dziwna, Fletcher jeszcze nigdy takiej nie widział. Na jednej trzeciej długości wyglądała jak wszystkie miecze świata – ot, opleciona skórą rękojeść, z której wyciągał się długi na cztery cale kawałek zaostrej stali. Dalej jednak klinga wyginała się na podobieństwo sierpa. Ostrze kończyło się groźnie wyglądającym czubkiem.

– Nie odebrałeś porządnego treningu, więc jeżeli wpadniesz w tarapaty... cóż... lepiej o tym nie mówmy. Ten kopesz może się okazać twoim dzokerem. Przeciwnicy nie będą wiedzieli, w jaki sposób parować jego ciosy. Wygiętą częścią możesz chwytać ich ostrza, co pozwoli ci pozbawić ich ochrony i przejść do kontrataku. Sam koniuszek jest długi na tyle, że będziesz mógł nie tylko ciąć, ale i zadawać pchnięcia, więc w razie potrzeby nie wahaj się.

Kowal zademonstrował cios, machając sierpem w dół i w bok, po czym gwałtownie poderwał ostrze na wysokość głowy i pchnął z całych sił przed siebie.

– Zewnętrzna krawędź sierpa jest jak ostrze solidnego topora. Można nią rozplatać tarczę wroga lub nawet ściąć drzewo, znacznie łatwiej niż jakimkolwiek innym mieczem. Jeżeli porządnie się zamachniesz, dasz też radę skrócić kogoś o głowę – wyjaśnił i podał broń Fletcherowi, którzy przypasał ją rzemieniem do torby.

– Pamiętaj o oliwieniu i nie wystawiaj ostrza na wilgoć. Ze względu na nietypowy kształt, nie ukryjesz go w zwyczajnej pochwie, więc przy pierwszej okazji każ sobie zrobić odpowiednią. Powiedz kowalowi, że to standardowych rozmiarów kopesz. Jeżeli znajdziesz prawdziwego fachowca, będzie wiedział co i jak – dokończył Berdon.

– Dziękuję, tak właśnie zrobię. – Fletcher z wdzięcznością pogładził obleczoną w skórę

głowicę miecza.

– A demona nikomu nie pokazuj – polecił Berdon, spoglądając w bursztynowe ślepia stwora. – Pod arystokratę się nie podszyjesz, zresztą, nie powinieneś próbować. Najlepiej, żebyś nie zwracał niepotrzebnie uwagi nawet tych ludzi, którzy nie znają sprawy Didrica.

Fletcher wziął demona w ramiona i przyjrzał mu się uważnie. Zaczął się w duchu zastanawiać, w jaki mianowicie sposób miałby ukryć przed oczyma ciekawskich tak niesforne stworzenie.

Nagle rozdzwoniły się dzwony, ulice wioski zawibrowały metalicznym brzmieniem mosiężnych serc. Mimo jazgotu Fletcher wyłowił rozlegające się daleko na drodze okrzyki.

– Uciekaj! Tylko nie kieruj się do fortu. Tego właśnie będą się spodziewać. Udaj się na południe, do Corcillum. Zarygluję kuźnię, by pomyśleli, że nadal u mnie jesteś. Spróbuję ich powstrzymać jak najdłużej. – Berdon wypchnął Fletchera na zimne nocne powietrze. – Żegnaj, synu.

Chłopak obrzucił ostatnim spojrzeniem swojego przyjaciela, mentora i ojca. Potężna sylwetka ciemniała w wejściu. Zaraz potem drzwi się zatrzęsnęły i Fletcher został na świecie sam, za jedyne go towarzysza mając drzemiące mu na karku stworzenie.

Zbieg.





## 13

Minęły dwa dni. Dwa dni ucieczki, kluczenia w tę i z powrotem, aby skierować pościg na fałszywy trop. Bez jedzenia, bez snu. Fletcher pił tylko wtedy, gdy brodził w korytach górskich strumieni, by nie zostawić tropów i zmylić psy. Za każdym razem, kiedy przystawał dla nabrania tchu, słyszał rozlegające się w oddali ujadanie wprawionych w łowach ogarów. Wieczorami wdrapywał się na wierzchołki strzelistych drzew i sprawdzał układ gwiazdnych konstelacji na nocnym niebie. Widział też migocące płomyki ognisk. Prześladowcy obozowali w wyżej położonych dolinach. Ścigali go wszyscy strażnicy i prawdopodobnie większość wioskowych myśliwych. Caspar, ojciec Didrica, zapewne wyznaczył sowitą nagrodę za głowę uciekiniera.

Nastała trzecia noc. Dostrzegł już tylko maleńkie punkciki światełek, pobłyskujące w połowie wysokości góry. Ślad wystygł i ścigający zawrócili. Fletcher odetchnął z ulgą i rozpoczął długą wędrówkę w dół usianego osypującymi się kamieniami zbocza. Każdy krok stawał z rozwagą. W obecnej sytuacji dowolną kontuzję, nawet zwichnięcie kostki, mógł przyplacić życiem.

Nie pozwalał sobie na zbytne rozluźnienie. Nadmierna pewność siebie również mogła okazać się zgubna. Większość ziem u podnóża Gór Niedźwiedziozębnych należała do potężnego arystokraty, lorda Favershama, szeroko znanego z częstego rozsyłania po lasach zbrojnych patroli, których zadaniem było chwywanie kłusowników. Gdyby trafił w ich ręce, miałby sporo kłopotów z wytłumaczeniem, dlaczego wędruje sam, w dodatku z dala od bezpiecznych górskich szlaków.

Kiedy zeskoczył z drzewa na ziemię, poirytowany demon zaszczał. Od momentu ucieczki z wioski ani razu nie zmienił pozycji. Przez cały czas siedział na ramionach Fletchera, owinięty

wokół jego szyi, co było chłopakowi na rękę. Od dłuższego czasu był zziębnięty i przemoknięty, a gorący jak piec brzuch stwora ogrzewał mu przynajmniej kark i barki.

Rozjrzał się dokoła i stwierdził, że podnoże dębu całkiem nieźle nadaje się na obóz. Grunt był tu płaski i porośnięty sprężystym dywanem mchu. Korona drzewa zapewniała osłonę przed lżejszym deszczem, a mimo że pora była zbyt późna na budowanie schronienia, wokół leżało mnóstwo suchych gałęzi, które mógł dorzucać do ognia. Fletcher zebrał naręczę opału, ustawił suche patyki w niewysoką piramidkę, sięgnął po krzemień i uderzając nim o ostrze miecza, wykrzesał iskry, która skoczyła na przygotowaną rozpalkę.

– Nie mógłbyś przypadkiem zionąć ogniem? – zapytał demona po kolejnej bezowocnej próbie rozpalenia wilgotnych liści.

Na dźwięk głosu Fletchera demon rozprostował się i zwinnie zbiegł mu po ramieniu na ziemię. Ziewnął i ciekawie przyjrzał się człowiekowi. Gestem zdeorientowanego psiaka, pochylił łebek na bok.

– Proszę cię, musimy się wreszcie dogadać – podjął Fletcher i pogłaskał demona pod brodą.

Demon zaczął wycierać się policzkiem o jego dłoń. Przy każdym dotyku Fletcher wyczuwał w głębi umysłu intensywne doznanie przyjemności, zupełnie jakby ktoś uczynny podrapał go w swędzące trudno dostępne miejsce.

– Ogień! – powiedział Fletcher głośno i wyraźnie, wskazując palcem przygotowane gałęzie.

Demon szczechnął i zaczął biegać w kółko.

– Ciiii!

Chłopaka zdjął lęk. Niższe partie gór zamieszkiwały owiane złą sławą wilki. Wcześniej kilka razy słyszał ich wycie i podejrzewał, że tylko szczęśliwym zrządzeniem losu uniknęli spotkania z nimi przez tak długi czas. Demon umilkł, skulił się strachliwie i wcisnął Fletcherowi między uda. Czyżby zrozumiał? Chłopak usiadł ze skrzyżowanymi nogami na wilgotnej ziemi. Skrzywił się, tylna część spodni przemokła w jednej chwili. Zamknął oczy i wytyczył pamięć. Chciał sobie przypomnieć, czy Rotherham choć słowem wspomniał o sposobach, jakimi zaklinacze kontrolują swoje demony. Ledwie się skupił, wyczuł świadomość stworzenia, które okazało się równie skonsternowane, wystraszone i samotne jak on. Posłał mu falę krzepiących myśli i poczuł, że niewielkie ciało sztywnieje, po czym się odpręży. Obawa i poczucie osamotnienia ustąpiły zwykłemu zmęczeniu i głodowi. W tej samej chwili Fletcher pojął, że jest sposób porozumienia się ze stworem. Demony nie rozumieją słów, natomiast odbierają ludzkie emocje.

Przekazał stworzeniu wrażenie chłodu, lecz mała istota po prostu zadygotała i owinęła się mu ciasno wokół nogi. Biorąc pod uwagę temperaturę jego ciała, Fletcher był przekonany, że demon nie jest przyzwyczajony do odczuwania zimna. A może... obraz? Wyobraził sobie ogień, przywołał pod powieki widok rozpalonego pieca w kuźni Berdona.

Demon zaszczebiał i zamrugał wielkimi bursztynowymi ślepiami. Być może wizja płomieni przypomniawsza mu o domu. Zniechęcony Fletcher zatarł skostniałe dłonie. Sprawa wcale nie była tak prosta, jak podejrzewał. Zwiesił głowę i ciasnie otulił ramiona sfatygowaną kurtką.

– Gdyby udało mi się kupić na targu tamtą kurtkę, ognisko wcale nie byłoby nam potrzebne – rzekł pod nosem.

Wbił spojrzenie w stertę przygotowanego chrustu, spróbował rozpalic gałązki samą tylko siłą woli. Wtem, zupełnie bez ostrzeżenia, płomień trysnął mu pomiędzy nóg. Wilgotne drewno zajął się trzaskającym ogniem.

– A to z ciebie mały spryciarz! – ucieszył się Fletcher, sięgnął po demona i przytulił go mocno do piersi.

Już czuł ciepło wnikające powoli do przemarzniętych rąk i nóg. Łagodna poświata ponownie skierowała jego myśli ku kuźni i kowalowi. Uśmiechnął się.

– Co mi przypomina...

Odłożył demona na kolana i zaczął grzebać w torbie. Aż do dzisiaj zaprzątał go problem uniknięcia pościgu i niemal na śmierć zapomniał o prezentach od Berdona. Wyciągnął największą paczkę i niezdarzonymi, wciąż jeszcze zeszywniałymi z zimna palcami rozerwał opakowanie.

W środku znalazł łuk pociągnięty warstwą przejrzystego lakieru, wyposażony w porządną cięciwę ze specjalnie wzmoczonego i splecionego rzemienia. Drewno pokrywały delikatne rzeźbienia, ramiona łuku wyginały się na końcach na zewnątrz, co wzmagało siłę naciągu. Broń została wystrugana z kosztownego cisu, drzewa, które nie występowało w okolicznych lasach. Kowal musiał kupić drewno, gdy rok temu do Skór przyjechali kupcy. Dzięki odpowiedniemu sezonowaniu i malowaniu jasne drewno przybrało szary kolor, co pomagało myśliwemu niepostrzeżenie ukrywać się cieniu. Broń wyglądała przepięknie i była przy tym niezwykle cenna. Za takie cacka najprzedniejsi łucznicy płacili jak za woły. Fletcher uśmiechnął się i podniósł wzrok na szczyty Gór Niedźwiedziozębych, dziękując bez słów Berdonowi. Kowal musiał pracować nad tym łukiem przez długie miesiące. Robił to w sekrecie, gdy on wybierał się na polowania. Do prezentu dołączony był smukły kołczan, wypełniony przedniej jakości strzałami o lotkach z gęsich piór. Być może rankiem uda się ustrzelić górskiego zająca.

Gdy tylko Fletcher pomyślał o jedzeniu, potężnie zaburczało mu w brzuchu. Odłożył drugi podarek na bok i zanurkował na dno torby, skąd wyciągnął owiniętą w brązowy papier ciężką paczkę. Ten pakunek otworzył ostrożniej niż dar Berdona i uśmiechnął się na widok suszonego mięsa łosia, tego samego, którego próbował szantażem pozabawić go Didric. Kilka pasków zawiesił nad ogniem, by się podgrzały, jednym poczęstował demona.

Stworzenie pociągnęło nieufnie nosem i nagle jego głowa wystrzeliła naprzód. Złapał mięso twardym dziobem, podrzucił pysk ku górze i niczym jastrząb połknął całą porcję jednym kęsem.

– Uważaj! Prawie odgryzłeś mi palce – zauważył Fletcher. Do nozdrzy napłynął mu aromat piekącej się dziczyzny.

Znowu sięgnął do torby. Chciał sprawdzić, jakie jeszcze ma ze sobą zapasy. Coś zabręczało mu w dłoni i wyciągnął ciężką sakiewkę.

– No nie, Berdon! Nie wierzę! – powiedział zdumiony.

Pieniądze były najzupełniej prawdziwe. Na ile był w stanie ocenić, kowal podarował mu ponad tysiąc szylingów, czyli bez mała równowartość własnych dwumiesięcznych zarobków. Pozbył się sporej części oszczędności z pełną świadomością, że jego kuźnia może niebawem podupaść. Fletcher pożałował, że nie może wrócić do wioski i oddać tej małej fortuny. Przypominał sobie jednak o trzystu odłożonych na kurtkę szylingach, które zostały w jego izbie. Miał nadzieję, że Berdon je znajdzie. Pewną sumę mógł też odzyskać, sprzedając dawny dobytek Fletchera.

– Co jeszcze od ciebie dostałem... – szepnęła i wziął do ręki drugą paczkę. Potrzęsała nią. W środku znajdowało się coś lekkiego i miękkiego. Na pakunku wisiała przyczepiona szpilką kartka. Fletcher oderwał ją i odczytał w chybotliwym blasku ogniska.



FLETCHER,

OD ZAWSZE ZDAWALIŚMY SOBIE SPRAWĘ, ŻE DZIEŃ, KTÓRY  
NAZWALIŚMY TWOIMI URODZINAMI, NIE BYŁ RACZEJ TYM,  
W KTÓRYM PRZYSZEDŁEŚ NA ŚWIAT. DLA MNIE JEDNAK  
NA ZAWSZE POZOSTANIE NAJWAŻNIEJSZYM DNIEM ŻYCIA.  
ZOSTAKEM WTEDY OJCEM, A TY STAKEŚ SIĘ MYM SYNEM.  
DZISIAJ WIECZOREM WYBIERZEMY SIĘ DO KARCZMY  
NA KIELICHA I POROZMAWIAMY O PRZYSZŁOŚCI KUŹNI.  
ZAMIERZAM UCZYNIĆ CIĘ PEKNOPRAWNYM WSPÓLNIKIEM.  
NIEBIOŚA DOBRZE WIEDZĄ, ŻE NA TO ZASKUGUJESZ. TEN  
PREZENT TO JEDYNIIE SYMBOLICZNY DROBIAZG, ZA POMOCĄ  
KTÓREGO CHCĘ PODZIĘKOWAĆ CI ZA WSZYSTKO, CO DLA  
MNIIE PRZEZ TE LATA ZROBIŁEŚ.

JESTEM Z CIEBIE DUMNY.

WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO, SYNU.

BERDON

Kiedy Fletcher składał kartkę, skapnęło na nią kilka łez. Serce wypełniła mu tęsknota za domem. Rozpakował prezent i aż zaszlochał na widok od tak dawna upragnionej kurtki. Wtulił dłoń w miękką podszewkę.

– Nawet rodzony ojciec nie mógł być dla mnie lepszy niż ty – szepnął Fletcher, spoglądając na góry.

Po wszystkich tych latach z jakiegoś powodu najbardziej żałował niewypowiedzianych słów. Demon wyczuł przygnębienie chłopaka i pomiaukując, obliżał mu ze współczuciem palce. Fletcher pogłaskał go po łebku i przysunął się bliżej ognia, pozwalając sobie na kilka kolejnych chwil smutku.

Wreszcie otarł łzy, założył nową kurtkę i naciągnął kaptur na głowę. Przepełniła go stalowa determinacja. Postanowił, że zbuduje dla siebie nowe życie, z którego Berdon będzie mógł być

dumny. Na początek dotrze do Corcillum.





## 14

W karczmie panował odór skwaśniałego piwa i niemytych męskich ciał. Naturalnie, Fletcher domyślał się, że sam również nie pachnie różami. Tym bardziej że dwa ostatnie tygodnie spędził, podróżując wozem wiozącym stado owiec. Świeżym powietrzem odetchnął tylko podczas krótkiego wypadu po tani chleb i kilka grubych plasterów solonej wieprzowiny, które kupił w mijanej po drodze osadzie. Uśmiechnęło się do niego szczęście – furman nie zadawał niewygodnych pytań. Zainkasował pięć szylingów i poprosił, by chłopak na każdym postoju czyścił wóz z owczego łajna.

Teraz Fletcher siedział w narożniku jednej z najtańszych gospód w Corcillum i rozkoszował się smakiem ciepłej zupy z jagnięciny i ziemniaków. Miasta jeszcze w zasadzie nie widział; zamiast zwiedzać, od razu udał się do pierwszej napotkanej karczmy. Zdecydował, że dzisiejszej nocy wykosztuje się na wygodne łóżko i każe sobie przygotować gorącą kąpiel. Oglądanie Corcillum mogło poczekać do jutra. Miał wrażenie, że już nigdy nie pozbędzie się oblepiającego mu skórę fetoru owczego runa. Kiedy wsiedli do wozu, nawet demon niechętnie wysunął nos ze swojej nowej ulubionej kryjówki w kapturze kurtki. Doszło do tego, że Fletcher musiał go przekupić ostatnim kawałkiem solonego mięsa i karmił stworzenie, póki nie usnęło. Niemniej dzięki towarzystwu bordowego stwora długa podróż do miasta okazała się znośna, zwłaszcza że małe porę nocnych chłódów przesypiał zwinięty na kolanach Fletchera. Mimo że dygotał z zimna na uwalanej gnojem słomie, odbierał promieniujące z umysłu demona doznania ciepła i zadowolenia.

– Szylinga! – rozległ się nad nim kobiecy głos.

Roznosząca jadło karczmarka wyciągnęła niedomytą rękę, a drugą wskazała jego miskę. Fletcher sięgnął do torby i wyciągnął mieszek. Po chwili szyling wypadł prosto w otwartą dłoń.

– Żadnego napiwku? A tyle masz srebra! – rzuciła skrzekliwie i odmaszerowała.

Po tych słowach zwróciły się ku Fletcherowi spojrzenia pozostałych gości gospody. Szczególnie zainteresowali się nim trzej niezbyt sympatycznie wyglądający mężczyźni. Siedzieli w klejących się od brudu ubraniach, przetłuszczone włosy zwisały im z głów śliskimi kosmykami. Fletcher skrzywił się i ukrył sakiewkę.

W górach nie mieli potrzeby posługiwać się pensami. Wszystkie towary wyceniano w szylingach, drobne powodowały tylko zbędne komplikacje. W wielkich miastach Hominum sto miedzianych pensów wymieniano na jednego srebrnego szylinga, a pięć szylingów stanowiło równowartość złotego suwerena. W woreczku Fletchera pobrzękiwały jednak wyłącznie srebrne monety. Postanowił, że płacąc za pokój, poprosi o resztę, by uniknąć na przyszłość podobnych sytuacji. Popenił ład oczywisty i przez to irytujący, ale chyba nie mógł nagrodzić kobieciny napiwkami równym cenie posiłku?

Pewien siedzący za trójką włóczęgów człowiek nie odrywał wzroku od Fletchera. Był przystojny, lecz zarazem dość przerażający. Twarz o ostrych, surowych rysach zniekształcała blizna, która biegła od środka prawej brwi aż po kącik ust, przecinając po drodze ślepe, zasnułe mlecznym bielmem oko. Pod nosem ciemniała wąska kreska wąsów, a kręcone czarne włosy były związane w ciasny węzeł na karku. Mężczyzna był ubrany w mundur znamionujący oficera jakiejś wojskowej formacji: długi niebieski płaszcz z czerwonymi wylogami, opatrzone złotymi guzikami. Na kontuarze przed nim spoczywał czarny trójgraniasty kapelusz.

Fletcher usunął się w cień i naciągnął głębiej kaptur. Demon poruszył się i mruknął. Nie podobało mu się, że tak długo przebywa w ciemności. Kaptur świetnie maskował obecność stwora, zwłaszcza odkąd Fletcher postawił kołnierz koszuli, lecz świdrujący wzrok oficera nie dawał mu spokoju. Jednym lykiem dopił resztkę zawieszistej zupy, a otrzymaną wraz z nią kromkę chleba włożył do kieszeni, by nakarmić potem demona. Być może lepiej będzie przemocować w innej karczmie, uznał, z dala od wszystkich, którzy widzieli pękaty trzosik.

Wymknął się skulony na brukowaną ulicę i odszedł spiesznym krokiem, oglądając się co chwila przez ramię. Nie zauważył, by ktokolwiek go śledził. Po jakimś czasie zwolnił i dalej szedł spacerowym tempem, wciąż jednak pamiętając o konieczności znalezienia noclegu. Nadciągał zmierzch, a Fletcherowi nie uśmiechała się myśl o spędzeniu nocy w bramie. Po drodze podziwiał wysokie domy. Niektóre sięgały trzech pięter. Na parterze niemal wszystkich budynków działały sklepy, oferujące klientom mrowie towarów, kusząco namawiających chłopaka, by ponownie sięgnął po sakiewkę.

Za obwieszonymi długimi sznurami kielbas stoiskami pracowali rzeźnicy o czerwonych twarzach. Uwalanymi po łokcie we krwi rękoma dzielili na porcje wielkie zwierzęce udźce. Stolarz wykańczał właśnie krzesło, zdobiąc je wspaniałymi rzeźbieniami. Nogi mebla przypominały porośnięte zwojami bluszczu drzewka. Z uchylonych drzwi perfumerii wypływał uwodzicielski zapach wód toaletowych, szklane półki wystawy zastawione były delikatnymi, różnokolorowymi flakonikami. Fletcher odskoczył na bok, ustępując drogi konnemu powozowi, z którego wysiadły dwie dziewczyny. Z ich głów spływały śliczne, starannie ułożone loczki, umalowane wargi miały barwę różanych płatków. Szeleszcząc spódnicami, panienki zniknęły we wnętrzu sklepu, a Fletcher został na zewnątrz. Dopiero po chwili zamknął usta, uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową.

– Nie dla psa kielbasa, Fletcher – mruknął pod nosem i ruszył przed siebie.

W pewnej chwili zwrócił uwagę na błysk metalu. W sklepie z bronią jeżyły się ostrza pik, mieczy i toporów, lecz to nie one przyciągnęły jego wzrok. Na ladzie z przodu sklepu, w wyłożonych aksamitną wyściółką futerałach, czekała na klientów połyskująca broń palna. Rzeźbione drewniane rękojeści pomalowane były na czerwono, na lufach wygrawerowano pędzące w dal rumaki.

– Po ile to? – zwrócił się do kupca, zapatrzonej w cudownej urody parę pistoletów pojedynkowych.

– Nie stać cię, kolego. To broń dla oficerów. Piękne są, prawda? – rozległ się głęboki głos.

Zaskoczony Fletcher podniósł wzrok i otworzył szeroko oczy. Sprzedawca był krasnoludem, to było jasne. Stał na długiej ławie i jego twarz znajdowała się na poziomie głowy Fletchera. Gdyby nie skorzystał z podwyższenia, dostawałby Fletcherowi najwyżej do pasa.

– Mogłem się domyślić. Jeszcze nigdy nie widziałem tak pięknej broni. Sam je zrobiłeś? – spytał Fletcher, próbując się nie gapić na sprzedawcę. Poza Corcillum niełatwo było spotkać krasnoluda, ten był pierwszym w jego życiu.

– Nie, tylko sprzedaję. Nadal uczę się fachu. Może kiedyś... – odparł handlarz.

Słyszając, że krasnolud wciąż terminuje, Fletcher mocno się zdziwił. Rozmówca wyglądał na znacznie starszego niż on, miał gęstą brodę i wąsy. Barwą zarostu przypominał Berdona, ale poszczególne włoski były o wiele grubsze i dłuższe. Kosmyki brody zaplótł w upstrzone koralikami warkoczyki. Włosy nosił długie, przewiązany skórzanym rzemieniem koński ogon sięgał mu do połowy pleców.

– Może twoi mistrzowie szukają dodatkowej pomocy? Nowicjuszy? Mam spore doświadczenie w kowalstwie i przydałoby mi się zajęcie – zagadnął z nadzieją Fletcher.

Ostatecznie, w jaki inny sposób mógł zdobyć pieniądze w tym drogim mieście? Krasnolud popatrzył na niego jak na skończonego głupca, lecz po chwili mina mu złagodniała.

– Nie jesteś stąd, co? – odparł ze smutnym uśmiechem.

Fletcher pokręcił głową.

– Nie zatrudniamy ludzi, przynajmniej dopóki nie uzyskamy równych z wami praw i póki krasnoludzcy rusznikarze będą strzec swych tajemnic. Uwierz mi, osobiście nie mam nic przeciwko tobie. Sprawiasz wrażenie sympatycznego gościa – dodał ciepłym tonem krasnolud. – Powinieneś popytać u kowali, którzy nie są krasnoludami, choć takich jest niewiele. Wiedzie im się niezgorzej. Wielu żołnierzy nie chce kupować od nas. Słyszałem jednak, że ludzie nie przyjmują ostatnio nowych. Nadmiar chętnych, rozumiesz.

Fletcher szeptem. Poza kowalstwem nie znał się na niczym, a na naukę nowego fachu było w jego wieku stanowczo za późno. Co gorsza, w okolicach miasta nie rosły lasy, gdzie mógłby polować. Chyba że za lasy uznać dżungle na południowej granicy.

– Jakich praw wam się odmawia? – zapytał, próbując stłumić rozgoryczenie. – Wiem, że w zeszłym roku król zezwolił krasnoludom wstępować do armii.

– Och, sporo się tego znajdzie. Najbardziej oburzający jest przepis ograniczający liczbę dzieci, jakie możemy spłodzić. Pozwalają naszym kobietom rodzić jedynie tyle dzieci, ilu krasnoludów zmarło rok wcześniej. A biorąc pod uwagę, iż żyjemy dwakroć dłużej niż ludzie, nasze młodzieży jest dosłownie garstka. Co do służby wojskowej, zgoda, to krok w dobrym kierunku. Król jest porządnym człowiekiem, ale wie, że jego poddani nam nie ufają, zwłaszcza wojskowi. To skutek krasnoludzkich powstań sprzed mniej więcej osiemdziesięciu lat. Według władcy, musimy najpierw dowieść lojalności, przelewając krew ramię w ramię z ludźmi, a potem rozważyć, czy na powrót uczynić nas pełnoprawnymi obywatelami. Do tego momentu będzie, jak jest. – W głosie krasnoluda pojawiła się nuta gniewu. Odwrócił się, jakby pchnięty nagłą emocją i zaczął przetrząsać zawartość stojącego za nim pudła.

Fletcher przypomniał sobie pogardę, z jaką mieszkańcy Skór powitali wiadomość o tym, że w armii Hymonum będą walczyć krasnoludzcy żołnierze. Jakov żartował, że gdyby jakiś krasnolud przeszedł mu między nogami, ledwie musnąłby mu jaja. Ramiona przysadzistego sprzedawcy były grubsze niż uda większość ludzi, a z jego potężnie zbudowanej piersi dobywał się grzmiący niski głos. Fletcher nie miał wątpliwości, na kogo by postawił, gdyby Jakov zechciał

stanąć z tym krasnoludem do walki. Królestwo znalazło w nich naprawdę silnych sprzymierzeńców.

– Znasz może jakieś niedroge i bezpieczne miejsce, gdzie mógłbym się zatrzymać? – postanowił zmienić temat rozmowy.

Krasnolud odwrócił się z powrotem i wsunął coś Fletcherowi w dłoń, po czym błyskawicznie, nim ktokolwiek postronny zdołał cokolwiek zauważyć, zacisnął jego palce.

– Jest taka gospoda. Niedaleko stąd. Nazywa się Kowadło, a jej właściciele są przyjaźnie nastawieni do krasnoludów. Może tam ktoś znajdzie dla ciebie zajęcie. Powiedz, że przysyła cię Athol. Skręć w trzecią przecnicę w prawo, nie możesz przegapić.

Krasnolud uśmiechnął się krzepiąco i zwrócił do innego klienta, zostawiając Fletchera z kartką papieru, na której wydrukowano wizerunek kowadła. Chłopak uśmiechnął się i poszedł we wskazanym przez handlarza kierunku. Nagle przypomniał sobie, że nie podziękował za pomoc.

Odwrócił się i spojrzał prosto w twarz obdartym mężczyznom, których widział wcześniej w karczmie. Rozbłysły im spojrzenia. Rozpoznali go. Skręcili prosto na Fletchera, który nie zwlekając, rzucił się do ucieczki. Zdumieni przechodnie przyglądali się pędzącemu ulicą chłopakowi. W pewnym momencie zarobił w ucho, gdy przeciskał się obok wytwornie odzianego mężczyzny, towarzyszącego młodej damie. Fletcher już miał skręcić w stronę gospody, lecz w tej samej chwili drogę zablokowały mu dwa powozy. Konie szarpały się w wodzach i rżały, a wozacy przerzucali się głośnymi okrzykami. Przeklął prześladowającego go pecha i nie mając innego wyjścia, wbiegł w wąską alejkę. Przynajmniej uwolnił się od miejskiego tłumu. Uliczka była wyludniona. Sklepy już pozamykano na noc. Nagle zatrzymał się w pół kroku i z rozedrganym sercem popatrzył przed siebie. Ślepy zaulek.



## 15

Korzystając z przewagi nad pościgiem, Fletcher usadził sobie demona na ramieniu. Stwór wyczuł wrzenie w duszy chłopaka i mocno chwycił pazurami skórzaną kurtkę.

– Przygotuj się, mały. Zaraz zrobi się nieciekawie – uprzedził Fletcher, oparł strzałę na cięciwie łuku i przyklęknął, by lepiej wymierzyć.

Zaraz potem łotrzykowie wypadli z za rogu i zamarli, wlepiając w niego spojrzenia.

– Znikajcie albo przeszyję któremuś oko! – zawołał Fletcher, celując w najwyższego z napastników. – Kiedy chodzi o zabijanie drobnych złodziejaszek, nie mam skrupułów!

Jeden z mężczyzn uśmiechnął się, ukazując szereg pożółkłych zębów.

– Tak, nie wątpię. Tyle że nie jesteśmy złodziejaszkami, a mordercami – odparł, wyszczerzył się jeszcze bardziej i uniósł zakrzywione ostrze. – Oddaj nam sakiewkę i po kłopotcie. Nikomu nie stanie się krzywda.

Postąpił kilka kroków i przystanął dziesięć stóp od Fletchera. Demon zaszczał, z nozdrzy buchnęły mu dwa płomienie, które zgasły tylko parę cali przed twarzą zbira. Mężczyzna zatoczył się do tyłu i wpadł na swoich kompanów.

– Ja nie żartuję! Zabierać się stąd albo pożałujecie! W tej chwili! – wykrzyknął Fletcher, choć głos zaczynał się mu łamać.

Zerknął na otaczające go milczące domy. Czy naprawdę nikt tej awantury nie słyszy? Ktoś przecież powinien wezwać pinkertonów. Okrutnie głupio byłoby zginąć już pierwszej nocy w mieście, i to w nędznej wilgotnej alejce. Przecież tak wiele dokonał!

– Ach, zaklinacz. Jesteś jednym z nowicjuszy Akademii Vocańów, tak? Czy nie powinieneś leżeć w łóżeczku? – Bandyta otrząpał sobie bluzę.

– Idźcie stąd! – syknął Fletcher. Domyślał się, że płomień demona ma ograniczony zasięg. Nie chciał go sprawdzać akurat w tej chwili.

– Cóż, pokazałeś, co masz, więc pozwól, że teraz ja coś zademonstruję. – Napastnik błyskawicznym ruchem wyciągnął pistolet i wycelował prosto w pierś Fletchera, który niemal odruchowo zwołnił strzałę.

Tymczasem lufa drgnęła, a opryszek zbliżył się o kilka kolejnych kroków.

– Zadam ci pytanie: Co jest szybsze? Kula z pistoletu czy strzała? – spytał pewnym siebie tonem.

Fletcher przyjrzał się broni. Była w opłakanym stanie, metalowe elementy pokrywała rdza, splekana w kilku miejscach lufa wyglądała na mocno zużyta.

– Czymś takim dokładnie nie wymierzysz – zauważył i zaczął się wycofywać.

– Trudno odmówić ci racji, ale się zastanów. Nawet jeżeli chybię, a ty przesyjesz mi oko, moi dwaj przyjaciele dopadną cię natychmiast i poderzną ci gardło od ucha do ucha. Obaj możemy stracić życie, chyba że wszystko ułatwisz i dasz nam to, czego chcemy. Na kulę nie poradzi żadna magia ani demony, zaklinaczu – dokończył rzezimieszek spokojnym, sugestywnym tonem.

Fletcher odniósł wrażenie, że podobne gierki nie są dla tego lotra pierwszozną.

– Zaryzykuję – rzucił i posłał strzałę.

W tym momencie huknęło. Z pistoletu buchnął kłęb dymu i Fletcher usłyszał trzask uderzenia tuż przy swojej pierś. Coś błysnęło i jasność zmąciła mu wzrok, lecz niczego nie poczuł. Być może ból miał nadejść dopiero za chwilę. W uszach zadzwoniły mu piski demona i padł na bruk. Uśmiechnął się jeszcze ponuro, widząc, że rabuś także osunął się na ziemię. Z głowy sterczała mu strzała. Dwaj kompani rzezimieszka stali jak wryci, nie spodziewali się, że Fletcher zrealizuje groźbę.

– Błąd. – Z cienia u wylotu alejki dobiegł czyjś kulturalny głos. – Dzięki czarom można zrobić bardzo dużo, na przykład osłonić kogoś magiczną tarczą.

Oszepecony bliźną oficer, którego Fletcher wcześniej widział w karczmie, przeszedł między dwoma bandytami. W półmroku za jego plecami rozległ się warkot tak donośny, że Fletcher wyczuł drgania aż w pierś.

– Na waszym miejscu wybrałbym ucieczkę – poradził oficer.

Obaj napastnicy obrócili się na pięcie i nie rzucając za siebie jednego spojrzenia, wzięli nogi za pas. Z tego, co zaraz potem usłyszał Fletcher, wynikało, że nie zdołali umknąć daleko. Gdy tylko zniknęli za rogiem, w powietrzu poniósł się głośny pomruk, po którym rozległy się wrzaski, szybko cichnące do poziomu obrzydliwego bulgotu.

Ukrył twarz w dłoniach. Dyszał ciężko, chciało mu się płakać. Tym razem naprawdę niewiele brakowało.

– Wstań – powiedział oficer i podał mu pomocną dłoń. – Nie jesteś ranny. Uratowała cię moja tarcza.

Fletcher chwycił mężczyznę za rękę i przekonał się, że ma on zadziwiająco miękką skórę. Oficer pomógł mu podnieść się na nogi, a on obmacał sobie tors. Rzeczywiście, ani jednej dziury. Zauważył za to, że w powietrzu przed nim pojawiła się drobna rysa, trochę przypominająca pęknięcie na zamarzniętej tafli jeziora. Gołym okiem była ledwie zauważalna. Wyciągnął palec, by jej dotknąć, ale magiczna tarcza rozwiała się i wyparowała. Spłaszczona siłą zderzenia ołowiana kula leżała na bruku.

– Za mną – rzucił oficer i ruszył zamaszystym krokiem, ani razu nie oglądając się za siebie.

W pierwszej chwili Fletcher mocno się zawahał, ale pomyślał, że przecież nieznajomy dopiero co ocalił mu życie, nie mógł więc mieć nieczystych intencji. Mały demon wskoczył na kurtkę i ukrył się w kapturze. Fletcher ucieszył się z tej decyzji stwora, bo wcześniej oficer bacznie mu się przyglądał. Wyczerpany emocjami niedawnego starcia, ruszył za swym wybawcą.



– Sacharissa! – zawołał oficer.

Od tonącej w mroku ściany budynku oderwała się ciemna sylwetka jakiejś istoty, która trąciła łbem dłoń oficera. Pokażny pysk zostawił mu na palcach krwawe smugi. Oficer cmoknął z niesmakiem, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i skrupulatnie się oczyścił. Fletcher odważył się uważnie spojrzeć na demona i ujrzał przypominające psa stworzenie o czterech ślepiach – nieco powyżej zwykłych oczu mrugała dodatkowa para mniejszych. Łapy bardziej przypominały kocie niż psie. Długie na ponad cal pazury oblepione były płatkami krzepnącej krwi. Stwór miał czarną jak bezgwiazdna noc sierść i gęsty grzebień dłuższych włosów, biegnący wzdłuż kręgosłupa aż po puszysty lisi ogon. Wielkością dorównywał kucykowi, jego grzbiet sięgał klatki piersiowej Fletchera. Aż do tej chwili wyobrażał sobie, że wszystkie magiczne stworzenia są mniej więcej wielkości tego, które niósł właśnie na ramionach. Jednak ten demon swobodnie udźwignąłby jeźdźca. Pokryte grubymi węzłami mięśni boki miarowo unosiły się i opadały przy każdym sprężystym kroku. Fletcher pomyślał o śmierci zabitych rabusiów i poczuł przez chwilę cień współczucia.

Szli bez słowa. Chłopak skorzystał z okazji i przyjrzał się wysokiemu oficerowi. Miał ostre, lecz regularne rysy twarzy. Zapewne przekroczył trzydziesty rok życia. Widok blizny prezentowanej światu dumnie niczym order sprawił, że Fletcher oczyma duszy ujrzał zażarte bitwy i chmury rozcinających powietrze strzał.

Ulice miasta zaczynały pustoszeć i Sacharissa przyciągnęła kilka ukradkowych spojrzeń. Wkrótce zostali sami. Skręcili z głównej arterii i zagłębili się w jedną z wyludnionych przecznicy.

– Co to za demon? – spytał Fletcher, by wreszcie przerwać milczenie.

– Kanid. Wiedziałbyś, gdybyś bardziej się skupiał na zajęciach. Przecież ten gatunek nowicjusze poznają na samym początku kursu. Kanidy są najbardziej rozpowszechnione. Widzę, że z ciebie nie tylko wagarowicz, ale i osioł! Gdyby obecnie nie liczyła się każda para rąk, nawet najmarniejsi zaklinacze, kazałbym cię wylać bez chwili zastanowienia.

– Ja się nigdzie nie uczę! Dopiero dziś rano przyjechałem do miasta! – odparł oburzony Fletcher.

Oficer przystanął w pół kroku i spojrzał na chłopaka. Zasnute bielmem, niemrugające oko wydawało się świdrować go na wylot.

– Inkwizytorzy twierdzili, że wszyscy kandydaci z pospólstwa, którzy pomyślnie przeszli testy, trafili do akademii już w zeszłym tygodniu – powiedział. – Skoro nie jesteś jednym z nich, to kim? Aristokratą? I kto ci dał tego demona?

– Nikt mi go nie dawał. Sam go sobie przyzwalem – odpowiedział skonsternowany Fletcher.

– Kłamiesz – rzucił oficer, jakby wreszcie wszystko zrozumiał. Odwrócił się i poszedł dalej.

– Nie kłamie! – zaprotestował Fletcher, podbiegł i chwycił go za poły płaszcza.

Mężczyzna w gniewu oka okrzęcił się na pięcie, złapał go za gardło, uniósł i przycisnął do ściany. Demon Fletchera zasyczał, lecz uciszył go ostrzegawczy pomruk Sacharissy.

– Nigdy więcej mnie nie dotykaj, nędzny krętaczu! Ocaliłem ci życie, a ty już po chwili próbujesz mnie nakarmić niedorzecznymi bredniami. Każdy zaklinacz musi od kogoś dostać pierwszego demona. Pewnie zaraz usłyszę, że osobiście przeniknąłeś do eteru i wyluskałeś tę sztukę jak groszek z łupiny? Mów! Który mag podarował ci to stworzenie?

Fletcher rozpaczliwie zamachał nogami w powietrzu, czuł, że ręka oficera lada moment zmiażdży mu krtań. Nazwisko samo przyszło mu na myśl.

– James Baker – wycharczał, okładając pięściami dłoń oficera.

Ten opuścił go na ziemię i wygładził kilka nieistniejących zmarszczek na kurtce.

– Przepraszam, nie powinienem był się unosić – przyznał. Ujrzał ciemniejące na szyi Fletchera sińce i w jego oczach odmalowało się poczucie winy. – Wojna odciska na ludzkich umysłach silne

piętno. Pozwól mi ten wybuch wynagrodzić. Wynajmę ci pokój w mojej gospodzie, a jutro rano wyśle cię do Akademii Vocanów z transportem prowiantu. Nazywam się Arcturus. A tobie jak na imię? – zapytał i wyciągnął rękę.

Fletcher uściśnął podaną dłoń. Na wzmiankę o akademii natychmiast wybaczył Arcturusowi brutalne potraktowanie. Uczelnia cieszyła się legendarną wręcz reputacją, bojowi magowie szkolili się tam od czasu powstania Hominum. To, co działo się za jej murami, pozostawało ściśle strzeżoną tajemnicą studentów i wykładowców. Nie mieli o tym pojęcia nawet żołnierze walczący ramię w ramię z zaklinaczami. Propozycja Arcturusa zdecydowanie przerastała wszystko, co Fletcher mógł wymarzyć dla siebie i swego stwora.

– Nie ma za co przeproszać. Gdyby nie ty, skończyłbym dziś znacznie gorzej niż z kilkoma siniakami. A demon trafił w moje ręce w dość zawily sposób i dlatego odpowiedziałem tak niejasno. Jeżeli zechcesz, jeszcze dzisiaj wszystko dokładnie wyjaśnię. – Skrzywił się i roztarł obolałą szyję.

– Chętnie. Pogawędzimy sobie przy kolacji i kielichu czegoś mocniejszego. Oczywiście, ja stawiam. O ile mnie pamięć nie myli, James Baker nie należał do szczególnie potężnych zaklinaczy, więc schwywanie niepospolitego demona, takiego jak twoja salamandra, byłoby ponad jego siły. Hm, z drugiej strony, gdyby dostał to stworzenie od kogoś innego... pewnie zdołałby je przy sobie utrzymać – zastanawiał się na głos Arcturus, ruszając przed siebie.

– Naprawdę mam rzadkiego demona?

Fletcher obrzucił podopiecznego przelotnym spojrzeniem, po czym uśmiechnął się, widząc, że oficer skręca ku wejściu do elegancko wyglądającej gospody. W nos uderzył go smakowity zapach gotowanych potraw. Dziś wieczorem naje się do syta, potem jeszcze tylko splucze z siebie znużenie i troski w gorącej kąpieli, a jutro... Jutro pojedzie do akademii!



## 16

Tego wieczoru Fletcher nie wyciągnął z Arcturusa zbyt wielu dodatkowych informacji. Oficer dotrzymał obietnicy. Zamówił mu stek i cynadereki w cieście, po czym wysłuchał jego historii. Naturalnie, Fletcher nawet słowem nie wspomniął o przygodzie z Didrikiem. Jednak gdy tylko skończył opowieść, oficer wstał, przeprosił i zniknął we własnym pokoju, ale chłopak nie miał mu tego za złe. Najedzony do syta, wykąpał się w wannie pełnej parującej wody i wyspał w jedwabnej pościeli. Nawet salamandra błyskawicznie spałaszowała swoją porcję świeżego mielonego mięsa, po czym trąciła pyskiem miszkę, domagając się dokładki. Skoro Arcturus mógł sobie pozwolić na takie luksusy, to może życie zaklinaacza wcale nie było takie złe?

Rankiem obudził Fletchera zniecierpliwiony handlarz, który oświadczył, że otrzymał polecenie zawieźć go do akademii. Gdy chłopak wyszedł na ulicę, mężczyzna kazał mu się pośpieszyć i usadził go obok siebie na koźle furmanki. Nie chciał się spóźnić z codzienną dostawą warzyw i owoców. Jazda zajęła ponad dwie godziny, lecz handlarz unikał wszelkich prób wciągnięcia go w pogawędkę. Siedział ze skwaszoną miną i wpatrywał się w zatłoczony wozami szlak. Fletcher pozwolił demonowi rozsiaść się na swoim ramieniu. Radośnie spoglądał na ciekawie przyglądających się im pieszych. Arcturus pozwalał swojej Sacharissie pokazywać się ludziom otwarcie, wręcz wyzywająco, więc Fletcher nie widział powodu, by nie postąpić podobnie.

Próbował wyobrazić sobie uczelnię, ale wiedział na jej temat tak niewiele, że oczyma duszy widział to wystawny pałac, to pozbawiony wygod obóz szkoleniowy dla poborowych. Tak czy inaczej, ekscytacja Fletchera wzrastała z każdym pokonywanym przez wóz zakrętem.

Wreszcie dotarli nad południową granicę, w bezpośrednie pobliże dżungli. Z oddali było słychać echo armatnich wystrzałów. Dotąd bity trakt wiodł przez zielone pola, jednak w tej okolicy porośniętą gęstymi chwastami ziemię przecinały głębokie rowy, wyraźne świadectwo niedawnego przejścia frontu.

– Stąd widać Cytadelę. – Handlarz odezwał się po raz pierwszy od wyjazdu z miasta i wskazał na mającący przed nimi w gęstej mgłę zarys wielkiej jak góra budowli.

Dofaczyli do kolumny innych wozów, na których kołysały się ciężkie beczki z prochem strzelniczym i skrzynki pełne ołowianego śrutu.

– Co to takiego ta Cytadela? Tam mieszka król? – zapytał Fletcher.

– Nie, chłopcze. To siedziba Akademii Vocańów. Król wraz z ojcem mieszkają w eleganckim pałacu, w samym centrum Corcillum – odparł handlarz.

Obrzucił dziwnym spojrzeniem Fletchera, który wcale go nie słuchał. Patrzył z otwartymi ustami przed siebie.

Właśnie silniejszy podmuch wiatru rozwiął mgłę.

Zamczysko dorównywało ogromem szczytom Gór Niedźwiedziozębych. Główny budynek miał kształt gigantycznego sześcianu, wzniesionego z bloków żyłkowanego granitu. Z jego ścian wyciągały się rozmieszczone tarasowo balkony, przypominające dekoracje na weselnym torcie. Rogów budowli strzegły cztery zwieńczone blankami okrągłe wieże, strzelające na setki stóp pod niebo. Budowlę otaczała głęboka, szeroka na dwadzieścia stóp fosa. Między stromymi brzegami stała ciemna, mętna breja. Mimo że zwodzony most był w tej chwili opuszczony, wszystkie wozy omijały bramę Cytadeli i toczyły się w kierunku, z którego dobiegał nieprzerwany jazgot artyleryjskiego ostrzału.

Gdy znaleźli się bliżej Cytadeli, Fletcher dostrzegł na jej murach gęsto splecione pędy bluszczu oraz zieleniejące miejscami plamy mchu i porostów. Zamek musiał powstać długie stulecia temu. Handlarz pogonił oporne konie cmoknięciem i wjechali na most. Skrzypiące deski wydały z siebie kilka złowróżbnych jęków, lecz na drugą stronę fosy dotarli cali i zdrowi.

Dziedziniec ze wszystkich stron otaczały wysokie na kilka pięter ściany. Promienie słońca docierały tu jedynie z niewielkiego kwadratu otwartego nieba i na placu panował półmrok. Fletcherowi od razu rzuciły się w oczy wielkie, rozszerzające się na kształt wachlarza schody, prowadzące do masywnych drewnianych wrót. Wrota Cytadeli. Ledwie końskie kopyta zabębniły na bruku, z cienia wynurzył się gruby rumiany mężczyzna w fartuchu. Asystowało mu dwóch podenerwowanych kuchcików, którzy bez słowa zabrali się do rozładunku.

– Jak zwykle spóźniony. Pomówię o tobie z kwatermistrzem. Jeżeli to się powtórzy, będziemy musieli zmienić dostawcę. O tej porze na przygotowanie i podanie śniadania zostaje nam marne pół godziny – oznajmił pucołwaty kucharz, szczypiąc tłustymi palcami rąbek fartucha.

– Nie moja wina, panie Mayweather. Jakiś oficer kazał mi przywieźć do was tego nowicjusza i straciłem przez to bite pół godziny. No, powiedz mu, chłopcze – wydukał handlarz, trącając w krzyż swojego pasażera.

Oszołomiony Fletcher pokiwał głową, dopiero teraz zaczynało do niego z całą mocą docierać, gdzie się znalazł.

– Dobrze, niech wam będzie. Jeszcze tym razem sprawę przemilczę, ale pamiętaj, mam cię na oku – uprzedził Mayweather, po czym otaksował wzrokiem Fletchera, a potem, znacznie dłużej, jego salamandrę.

Ostatnie skrzynie z zielenią opuściły furmankę. Fletcher zeskoczył i stanął bezradnie na bruku, nie mając pojęcia, dokąd się zwrócić. Handlarz odjechał bez pożegnania, spieszo mu było realizować kolejne zamówienia.

– Na pewno wiesz, co robisz, dzieciaku? – spytał Mayweather szorstkim, lecz nie wrogim tonem. – Szlachetnie urodzony nie jesteś, rzecz jasna jak słońce. Nowicjusze z plebsu są u nas już od tygodnia, a studentów drugiego roku znam wszystkich osobiście. Musisz więc być nowy. Pewnie najpierw odrzuciłeś propozycję nowicjatu, a teraz się rozmyśliłeś?

– Przysyła mnie Arcturus... – wydusił z siebie Fletcher, niepewny, co innego mógłby powiedzieć.

– Ach, rozumiem. W takim razie mamy do czynienia z sytuacją wyjątkową. Na górze jest już dwójka takich nietypowych studentów – odparł Mayweather tajemniczym szeptem. – Z tym że tamci są od ciebie bardziej dziwaczni, to ci muszę przyznać – dodał i podjął po chwili: – Nieczęsto się zdarza, żeby nowicjusze trafiali do nas z osobistego polecenia bojowego maga – stwierdził i podszedł bliżej, żeby przyrzeć się demonowi przybyśza. – Wyszukiwaniem młodych talentów zajmują się głównie inkwizytorzy, i to oni zazwyczaj sprowadzają narybek. Magowie się w to nie bawią przede wszystkim dlatego, że musieliby oddać takiemu żółtodziobowi jednego ze swoich demonów. A te stworzy są im na froncie nieodzowne. Każda sztuka jest na wagę złota. Sam się dziwię, że Arcturus podarował ci stworzenie tak rzadkiego gatunku. Nigdy podobnego nie widziałem...

– Czy nie powinienem się komuś przedstawić? – wtrącił Fletcher, by Mayweather nie zadał żadnego kłopotliwego pytania. Rozumiał, że im więcej osób dowie się, w jaki sposób wszedł w posiadanie demona, tym bardziej realna stanie się nieprzyjemna możliwość, że wieść o miejscu jego pobytu dotrze do Skór.

– Poszczęściło ci się. Zajęcia zaczynają się jutro, więc niewiele przegapiłeś – odpowiedział kucharz. – Szlachetnie urodzeni kandydaci przyjadą nazajutrz. Zwykle wolą spędzić ostatni tydzień w wygodnych gospodach Corcillum. Co do wykładowców, ci również dotrą jutro z rana, prosto z frontu. Sugerowałbym, żebyś na początek rozmówił się z rektorem. To jedyny bojowy mag, który nie spędza połowy roku na pierwszej linii. Wchodzi śmiało głównym wejściem, a ktoś z obsługi powie ci, gdzie go szukać. Teraz musisz mi wybaczyć, powinienem dopilnować śniadania. – Mayweather obrócił się na pięcie i podreptał w sobie tylko znanym kierunku.

Mimo że Fletcher wciąż czuł na karku ciężar salamandry, odniósł wrażenie, że znalazł się nie na swoim miejscu. Ze starożytnych murów zamku szeptały do niego wieki bogatej historii, dziejów zupełnie odmiennych ludzi. Nie dla psa kielbasa...

Wszedł na szerokie stopnie i pchnął skrzydło podwójnych wrót. Oceniał, że najlepiej będzie stawić się przed obliczem rektora jeszcze przed śniadaniem. W ten sposób zyskiwał szansę poznania nowych kolegów przy spożywaniu posiłku. Koniec z życiem odludka. Zaraz za drzwiami otwierało się przestronne atrium, skąd prowadziły ku górze wijące się bliźniaczo po lewej i prawej stronie schody, zabezpieczone stalowymi poręczami. Naliczył w sumie pięć pięter. Ciężką kamienną powalę podtrzymywały dębowe belki. Z umieszczonej pośrodku sufitu szklanej kopuły spływała w dół kolumna światła, zlewającego się z blaskiem rozwieszonych na ścianach pochodni. Dokładnie przed sobą Fletcher zauważył inne wrota, lecz jego uwagę zaprzętnęło łukowato sklepienie przejście piętro wyżej. Jego krawędzie pokrywały finezyjne, zapierające dech w piersi ornamenty, przedstawiające setki demonów. Rzeźbiarz sprawił się świetnie. Detale zostały oddane z niebywałą pieczołowitością, a wysadzone klejnotami ślepia magicznych stworzeń skrzyły się olśniewająco.

Atrium było olbrzymie i Fletcherowi przemknęła przez głowę myśl, że szkoda marnować aż tak wiele przestrzeni. Marmurową posadzkę szorował właśnie młody sługa, który obrzucił przybyśza zmęczonym spojrzeniem. Buty zabrudziły świeżo wyczyszczonej podłogę.

– Przepraszam, wiesz może, gdzie znajdę rektora? – zapytał Fletcher, starając się zasłonić plecami ślady pozostawione przez jego ubłocone buty.

– Zgubisz się, jeżeli cię nie zaprowadzę – odparł z westchnieniem posługacz. – Tylko nie marudź po drodze, przed przybyciem młodych arystokratów mam masę pracy.

– Dziękuję. Nazywam się Fletcher, a ty? – Wyciągnął dłoń do powitania.

Zdumiony sługa uściśnął ją, uśmiechnął się radośnie i powiedział:

– Ja... Jeffrey. Miło, że zapytałeś. Jeszcze żaden student się na to nie zdobył. Serio. Jeśli szybko się uwiniesz, zaprowadzę cię potem do pokoju i zabiorę twoje ciuchy do pralni. Bo, za pozwoleniem, woń wskazuje, że wody nie widziały dobrą chwilę.

Fletcher załał się rumieńcem i grzecznie podziękował. Co prawda, mył się zeszłej nocy, ale na śmierć zapomniał, że jego ubranie wciąż tchnie zapachem owiec.

Jeffrey zaprowadził go na pierwsze piętro wschodniego skrzydła, a potem zeszli schodami po przeciwnej stronie budynku. Pod ścianami stały rycerskie zbroje i stojaki pełne włócznie i mieczy. Zabytki z czasów poprzedniej wojny. Co kilka kroków mijali malowidła przedstawiające zmagania starożytnych wojowników. Fletcher gapił się na nie tak długo, że Jeffrey musiał go odciągać.

Po chwili przeszli wzdłuż szeregu okazałych szklanych gablot, w których zgromadzono wypełnione jasnozielonym płynem słoje. W każdym z nich tkwił zamknięty, zakonserwowany na wieki demon.

Wreszcie Jeffrey zwolnił i wskazał palcem zawieszoną na ścianie buławę. Jej trzon był wysadzany ostrymi kamykami, przypominającymi kształtem kamienne grotty.

– Ta wojenna maczuga należała do wodza orków ze szczepu Amanye i została zdobyta przez naszego rektora podczas boju o most Watford. – W głosie Jeffreya zabrzmiała duma. – To wielki człowiek, ten rektor, chociaż surowy niczym sędzia. Musisz przy nim uważać, spoglądaj mu prosto w oczy i się nie odszczekuj. Bezcelności nie toleruje w równym stopniu co tchórzostwa. – Jeffrey umilkł, zatrzymując się przed ciężkimi drewnianymi drzwiami i załomotał w nie kulakiem.

– Wejść! – dobiegł ich z wewnątrz tubalny głos.



## 17

W porównaniu z mroźnymi korytarzami w mrocznym gabinecie panował niemilosierny upał i zaduch. W kamiennym palenisku, w rogu komnaty, trzaskały płonące polana, sypiąc iskrami, które niknęły wsysane do kominu.

– Zamknij te przekłete drzwi! Na korytarzu jest diabelnie zimno! – zagrział ponownie głos.

Fletcher, nie zwlekając, wykonał polecenie i zauważył ciemną męską sylwetkę za wielkim drewnianym biurkiem, ustawionym na środku pokoju.

– No dobrze, zobaczmy, coś ty za jeden. Podejdz tu bystro i ściągnij kaptur! Chcę zobaczyć twoją twarz. Cóż to, nikt cię nie wychował? Po domu też chodziłeś z nakrytą głową?

Fletcher podbiegł na środek gabinetu i ściągnął kaptur, tym samym odsłaniając salamandrę, która skryła mu się na karku, gdy tylko przekroczyli próg Cytadeli.

Rektor przeciągle odchrząknął, zapalił zapalkę i przytknął ją do lampy. W ciepłym świetle ukazał się człowiek o twarzy morsa. Jego oblicze niemal całkowicie niknęło pod sumiastymi siwymi wąsami i krzaczastymi gęstymi bokobrodami.

– Proszę, proszę! Trafił ci się naprawdę rzadki okaz. W całym życiu tylko raz widziałem egzemplarz tego gatunku. W dodatku nie po naszej stronie okopów. – Rektor podniósł leżące na blacie okulary i przez szkła przyjrzał się salamandrze. Spłoszone stworzenie skuliło się trwożnie, na co starzec zachichotał. – Są delikatne i wrażliwe, ale bardzo potężne. Od kogo ją dostałeś? Wszyscy zaklinacze, którym uda się przyzwać niepospolitego demona, powinni mi o tym donosić! – zahuczał rektor.

– Przysłała mnie Arcturus. – Fletcher miał nadzieję, że taka odpowiedź wystarczy.

– Musiałeś na nim wywrzeć nieliche wrażenie, co? Już od dość dawna żaden bojowy mag nie podesłał nam nowicjusza osobicie. Będzie chyba ze dwa lata. Wiesz, masz szczęście. Kandydaci z gminu najczęściej dostają na początek słabsze demony. Zazwyczaj insekty. Nietrudno je

schwytac, a kiedy potrzebujemy nowego zaklinacza, który ma go zlowic, wybieramy w drodze losowania. Niestety, nie nastraja ich to do hojnosci. W ogole caly ten system nie jest zbyt skuteczny, ale lepszego nie mamy. Tak czy inaczej, juz ja sobie z Arcturusem porozmawiam.

Oszolomiony Fletcher pokival glową, na co rektor zareagowal srogim spojrzaniem i oznajmil groznie:

– Tutaj się nie kiwa! Tutaj odpowiada się: Tak jest, rektorze Scipio!

– Tak jest, rektorze Scipio – powtórzyl jak papuga Fletcher i stanal sztywno na baczność.

– Od razu lepiej. A teraz mów, czego chcesz? – Scipio rozparl się wygodnie na krzesle.

– Chcę wstąpić do akademii, rektorze. Chcę się uczyć i zostać bojowym magiem – odrzekł Fletcher.

– Cóż, trafileś we właściwe miejsce, prawda? A teraz znikaj mi stąd. Rejestracja odbędzie się jutro, wtedy załatwisz wszystkie formalności. – Scipio odprawił nowicjusza machnięciem ręki.

Fletcher wyszedł, oniemiały ze zdumienia. Tym razem pamiętał, by zamknąć za sobą drzwi. Poszło jak z płatka. Z jakiegoś powodu wszystko układało się po jego myśli. Przynajmniej tym razem fortuna raczyła się do niego uśmiechnąć.

Jeffrey wciąż czekał na korytarzu.

– Wszystko w porządku? – zapytał i obrzucił Fletchera niespokojnym spojrzaniem, prowadząc go z powrotem na schody.

– Nawet jeszcze lepiej. Pozwolił mi wstąpić na studia. – Fletcher uśmiechnął się szeroko.

– Nic dziwnego. Armia potrzebuje jak najwięcej zaklinaczy. Stąd zaszła konieczność wprowadzenia zmian. Od pewnego czasu przyjmujemy dziewczyny, pospólstwo, w akademii pojawił się nawet... a zresztą, sam zobaczysz. Nie trzeba o tym gadać... – dokończył półgłosem Jeffrey.

Fletcher postanowił nie dopytywać. Skupił się na uważnym stawianiu kroków. Na schodach było bardzo ciemno.

– Nie przesadzacie tu z pochodniami i ogrzewaniem, co? – zauważył, wspinając się po stromych stopniach.

– Owszem. Kasa akademii nie jest bez dna. W kominkach zaczniemy palić dopiero wtedy, kiedy w Cytadeli pojawią się arystokraci. Wiesz, dla nich wszystko musi być akuratne, w przeciwnym razie skarżą się rodzinom. Połowa tych szlachetnie urodzonych to zwykle rozpuszczone lalusie, ale nie zrozum mnie źle. Nawet wśród nich zdarzają się porządni goście – wysapał Jeffrey, kiedy stanęli na czwartym, ostatnim piętrze zamczyska.

Fletcher zauważył, że chłopak jest jeszcze bardziej kościsty od niego. Ciemne kasztanowe włosy jaskrawo kontrastowały z bladą, niemal chorobliwie białą cerą.

– Dobrze się czujesz? Nie wyglądasz kwitnąco – powiedział zmartwiony.

Jeffrey zaniósł się kaszlem i zaczerpnął głęboki, chrapliwy oddech.

– Koszmarnie męczy mnie astma. Dlatego nie mogę się tutaj uczyć. Chcę jednak spełnić obowiązki wobec królestwa, więc służę, jak potrafię. Zaraz mi przejdzie, daj mi momentik – zaświschzał Jeffrey.

Fletcher popatrzył na nowego znajomego z rosnącym szacunkiem. Sam nie żywił szczególnie patriotycznych uczuć. Skóry leżały tak daleko od głównych miast Hominum... Niemniej potrafił docenić tę cechę u innych.

– Nie zauważyłem demona w gabinecie rektora. Jakiego jest gatunku? – podjął rozmowę Fletcher, kiedy Jeffrey odetchnął swobodniej.

– Scipio w ogóle nie ma demona. Dawniej, kiedy jeszcze walczył na froncie, miał felida, ale ten zginął w starciu z orkami. Powiadają, że żaloba po tym stworze złamała rektorowi serce. Od tamtej pory ogranicza się do prowadzenia wykładów i zarządzania Cytadelą – wyjaśnił Jeffrey.



Fletcher zaczął się zastanawiać, jak mogą wyglądać felidy. Może przypominają, na przykład, koty?

Przeszli kilka kolejnych niemal zupełnie zaciemnionych korytarzy i znaleźli się w narożniku gmachu, skąd wiodła ku górze jeszcze jedna kręta klatka schodowa. Jeffrey spojrział na wysokie stopnie z wyraźną niechęcią.

– Nie przejmuj się. Poradzę sobie. Wystarczy, że powiesz, dokąd mam iść – zaproponował Fletcher.

– Dzięki Bogu. Trafisz nawet z zamkniętymi oczami. Kwatery pospółstwa znajdują się na samym szczycie południowo-wschodniej wieży. Za jakiś czas przysłę kogoś, kto zabierze twoje rzeczy do prania. Póki co, przebierz się w zapasowy mundur. W każdej sypialni na górze jest po jednej sztuce. Przymierz i sprawdź, który będzie leżał najlepiej. Nie chcesz chyba, żeby już pierwszego dnia przezwali cię Śmierdzielem. – Ostatnie słowa Jeffrey wypowiedział już z oddali. Najwyraźniej bardzo mu się spieszyło.

Fletchera korciło, by zawołać za chłopakiem i zadać pytanie, które mimowolnie cisnęło mu się na usta. Dlaczego nisko urodzeni studenci mają oddzielne kwatery? Oparł się jednak pokusie i rozpoczął długą wędrówkę na wierzchołek wieży. Pamiętał, że kiedy oglądał budynek z zewnątrz, wydawała mu się bardzo wysoka.

W równych odstępach otwierały się wokół schodów przestronne okrągłe komnaty. Wszystkie bez wyjątku zagracone były starymi biurkami, krzesłami i ławami oraz masą rozmaitych staroci. W wąskich otworach strzelniczych przenikliwie gwizdał wiatr. Fletcher przemarzył w przeciagu i znowu naciągnął kaptur. Miał nadzieję, że na samej górze będzie ciepłej.

Gdy wchodził na tysięczny już chyba stopień, usłyszał nad sobą chłopiący głos, sugerujący wszystkie pochodzenie.

– Czekajcie, idzie ktoś ze służby. Chyba zawołają nas na śniadanie!

Pospolity akcent nieznanego skojarzył się Fletcherowi z kolegami ze Skór.

– Umieram z głodu! Mam tylko nadzieję, że nie każą nam jeść w milczeniu, jak ostatnim razem. – Tym razem odezwała się dziewczyna.

– Musieliśmy siedzieć cicho tylko dlatego, że pojawił się ten stary zrzęda Scipio. Na szczęście tak bardzo narzekał na chłód, że raczej nieprędko zechce znowu zjeść w stołówce – odparł chłopak.

Fletcher przeszedł kilka ostatnich stopni, skręcił do sporych rozmiarów komnaty i niemal zderzył się z jasnowłosym chłopakiem. Rumiana cera zdradzała mieszkańca północnych rejonów królestwa.

– Oj, przepraszam, stary. Myślałem, że to ktoś inny. Czekaj, pomogę ci – powiedział i złapał za torbę Fletchera, który odpiął pasek i pozwolił chłopakowi zanieść swój bagaż na stojący na środku posadzki długi stół.

– Rory Cooper, do usług – chłopak przedstawił się i uściśnął dłoń Fletchera. – Witaj w naszych skromnych progach.

Komnata była okrągła, sufit wisiał wysoko, a w przeciwległej ścianie otwierały się dwie pary szerokich drzwi. Ściany zdobiły obrazy przedstawiające zaklinaczy i ich demony. Surowe oblicza magów rzuciły z płócien pełne dezaprobaty spojrzenia. Z otworów strzelniczych ciągnęło różne powietrze. Fletcher skrzywił się z niezadowolaniem.

Uśmiechnęła się do niego uroczą dziewczyna o jasnozielonych oczach. Jej usianą mnóstwem piegów twarz okalały kosmyki rozczochranych rudych włosów. Na stole przed nią siedział niebieski, przypominający żuka demon. Zamachał gwałtownie skrzydłami. Drugie podobne stworzenie unosiło się w powietrzu przy głowie Rory'ego. Ciche brzęczenie skrzydeł słychać było w całej komnacie.

Demony były większe od wszelkich owadów, jakie Fletcher widział w życiu. Z trudem zmieściłyby się w ludzkiej dłoni. Przednie odnóża zwieńczone były groźnie wyglądającymi szczypcami. Pancerzyki odbijały światło niczym wypolerowane na wysoki połysk metalowe zbroje. Ukryta pod kapturem salamandra wyczuła ich obecność i drgnęła, lecz nie zainteresowała się pobratymcami na tyle, żeby opuścić kryjówkę.

– Nazywam się Genevieve Leatherby, a ty? – zacięwała się dziewczyna, rzucając kolejny uprzejmy uśmiech.

– Fletcher. Bardzo mi przyjemnie. Jest was tylko dwoje? Wydawało mi się, że nas... pospółstwa, będzie więcej. – Słowo „pospółstwo” jakoś nie chciało mu przejść przez gardło.

– Reszta jest na dole, czekają w jadalni. Studenci drugiego roku jedzą po nas, więc jeszcze śpią. My zdecydowaliśmy, że wstrzymamy się, aż służący ogłoszą, że podano do stołu. Jak dotąd, śniadania dostawaliśmy o bardzo różnych porach – powiedziała ze smutkiem w głosie Genevieve. – Ja też po przyjeździe bardzo się zdziwiłam, kiedy okazało się, że zebrano tak niewielu kandydatów. Nas, pierwszoroczniaków, jest razem z tobą jedynie piątka. Chociaż z drugiej strony, pewnie nie ma w tym nic osobliwego. W końcu niedobór zaklinaczy stanowi główny powód, dla którego przed laty zezwolono kobietom wstępować do wojska.

– Jeżeli doliczysz tamtą dwójkę, to będzie nas w sumie siedmioro. Usłyszeliśmy ich zeszłej nocy, ale jak dotąd nie wyściubili nosów z sypialni. Nie wiedzą, jak świetną zabawę tracą – wtrącił z szerokim uśmiechem Rory. – Wkrótce zmądrzeją. Nikt nie potrafi zbyt długo opierać się mojemu urokowi.

– Dałbyś spokój z tymi tekstami. Co za dużo, to niezdrowo. – Genevieve żartobliwie trąciła w łokieć Rory’ego, który zawiadacko puścił oko do Fletchera i wskazał na dalsze drzwi.

– Może idź się im przedstaw? Zapytaj przy okazji, czy zejdą z nami na śniadanie.



## 18

Fletcher pchnął drzwi i ujrzał krótki korytarzyk z szeregiem drzwi po drugiej stronie. Silny przeciąg zatrzęsnał za nim drzwi, a ze szpary w przeciwległym murze doleciał ostry podmuch. Zmarszczył brwi. Zanosilo się na długą i mroźną zimę.

W najbliższej sypialni ktoś się poruszył i Fletcher właśnie tam zapukał, mając nadzieję, że nikogo nie obudzi. Drzwi ustąpiły pod jego dotykiem, a być może uchylił je kolejny powiew.

– Dzień dobry? – zapytał i powoli otworzył je szerzej.

Nagle, w ułamku sekundy, leżał na plecach, wpatrując się w wyszczerzone ociekające śliną kły. Wielka, ciężka istota przycisnęła go do podłogi. Zdołał ją chwycić za gardło, ale musiał się mocno wysilić, aby utrzymać klapiące szczęki z dala od swojej szyi. Krople śluzu skapywały mu na twarz. Salamandra zaczęła z piskiem drapać napastnika pazurami po pysku, lecz osiągnęła tylko tyle, że trzaskające zębami stworzenie boleśnie zaskomliło.

– Dość, Sarie! On chyba już zrozumiał – odezwał się melodyjny dziewczęcy głos.

W jednej chwili demon przestał atakować, uniósł łeb i rozsiadł się na piersi Fletchera, który wreszcie zdołał mu się przyjrzeć. Dorównywał rozmiarami Sacharissie, był wielkości drobnego kuczka. Jednak zamiast czarnego skoltuniego owłosienia, miał sierść jasną i błyszczącą niczym loki dam w Corcillum. Długi szlachetnie zarysowany pysk kończył się nosem, który ciekawie go obwąchiwał.

– Zabierz to ze mnie! – rzucił przez zęby Fletcher. Czuł się tak, jakby przygniotło go padające drzewo.

Bestia usiadła obok i zwiesiła jęzor. Czworo nieprzyjemnie spoglądających oczu wciąż omiało twarz Fletchera badawczymi spojrzeniami.

– Wystosuję w tej sprawie pismo do klanowych wodzów! Nie dość, że umieszczono mnie w małym i ciasnym pokoiku, zupełnie jak dla tłuszczy, to jeszcze pierwszego ranka włamuje się

do mnie jakiś młody włóczyki. A przecież, skoro otrzymałam Sariela, mogłoby się wydawać, że rozmowy pokojowe prowadzone są na serio. Teraz już wiem, jak bardzo się pomyliłam – zlorzeczyła dziewczyna, nawet nie próbując ukryć goryczy i gniewu.

Fletcher usiadł. Nadal krew gwałtownie krążyła mu w żyłach, uderzała do głowy. Serce zabiło mu jeszcze szybciej, kiedy ujrzał spiczaste uszy wystające spomiędzy srebrzystobiałych włosów. Z łagodnego oblicza wyzierała para oczu barwy przejrzystego nieba. W tym momencie spoglądały nieufnie, a w ich kącikach zakręciły się łzy. Fletcher miał przed sobą bladą elfkę, odzianą w koronkową nocną koszulę.

Pospiesznie odwrócił spojrzenie.

– Spokojnie – spróbował się wytłumaczyć. – Chciałem się tylko przywitać. Nie przyszło mi do głowy, że cię przestraszę.

– Przestraszysz? Ja się wcale nie boję! Jestem po prostu wściekła! Nie powiedzieli ci, że to żeńska sypialnia? Nie wolno ci tu przebywać! – Elfka wydarła się przenikliwie niczym cmentarny upiór i zatrzasnęła drzwi tuż przed nosem Fletchera.

– Naprawdę skończony z ciebie dureń – skarcił się sam, przeklinając w duchu własną głupotę.

– Widzę, że prezentacja nie przebiegła pomyślnie. – Za plecami Fletchera rozległ się głos Rory'ego, który wysunął głowę zza drzwi komnaty.

Zrobiło mu się naprawdę głupio.

– Czemu mnie nie uprzedziłeś? To są pokoje dla dziewczyn! – rzucił i wycofał się z gorącym rumieńcem na twarzy.

– Nie wiedziałem! Serio! Chociaż teraz już wszystko łąpię. Obok ulokowano Genevieve, a w sąsiednim korytarzu jest jeszcze jeden wolny pokój... – tłumaczył się Rory.

– Nic się nie stało. Wystarczy, że nabierzesz rozumu, zanim zaczną się wykłady. Nie chciałbym, żebyś narobił nam wstydu przed arystokratami – odparł Fletcher i natychmiast tego pożałował.

Wesoły uśmiech Rory'ego zgasł niczym zdmuchnięta świeca.

– Przepraszam – Fletcher zaczerpnął głębszego oddechu. – Nie twoja wina. Po prostu nie przywykłem do kanidów, które próbują przegryźć mi krtań. – Zmusił się do uśmiechu i poklepał kolegę po plecach. – Słuchaj, mówiłeś o wolnym pokoju?

– Pewnie! Niestety, pojawiłeś się jako ostatni, więc najlepsze miejscówki już zajęliśmy, ale tamten sam oglądałem. Nie jest to może królewska komnata...

Weszli do niemal identycznego korytarzyka. Od poprzedniego różnił się tylko dodatkowymi drzwiami, ciemniejszymi na samym końcu. Całość wyglądała trochę tak, jakby architekt po dłuższym namyśle postanowił upchnąć do projektu schowek na miotły.

Pokój okazał się większy, niż Fletcher przypuszczał. Przestrzeni wystarczyło na wygodne łóżko, sporych rozmiarów szafę oraz niewielkie biurko. Ściągnął brwi i zerknął na wąskie okienko w murze. Od razu zdecydował, że przy pierwszej nadarzającej się okazji czymś je zatka. Na posłaniu leżał schludnie złożony uniform. Dwurzędowa granatowa kurtka i ciemnoniebieskie spodnie. Fletcher wziął ubranie do rąk i otrzepał je z kurzu.

Z ust wyrwał mu się głęboki jęk zawodu. Kurtka była w wielu miejscach wytarta, naderwane mosiężne guziki dyndały swobodnie, jeden kołysał się na długiej na cal nitce.

– Nie martw się, zaraz po śniadaniu rzucę na to okiem. – W drzwiach stała Genevieve.

– Dzięki – burknął Fletcher. Zaczęło go ogarniać zwątpienie.

– Ale mów, jaka ona jest? – podjęła dziewczyna z błyskiem zainteresowania w oku. – Pochodzi z południa? Jak ja?

– Wiesz... nie wiem – odparł wymijająco Fletcher. Nie chciał dodatkowo psuć nieznamomej poranka. Dość już nabroił. Po co plotkować? I tak w końcu sama się przedstawi. Niemniej... elfka

w Cytadeli! Zawirowała mu w głowie. Czy elfy nie są przypadkiem wrogami Hominum?

Z rozważań wyrwała go salamandra, który wyskoczyła spod kaptura i rozejrzała się po nowym lokalu. Machnięciem ogona zrzuciła mundur na podłogę, po czym zaczęła się tarzać na szorstkiej kurtce i beztrudnie zamruczała. Rory otworzył szeroko oczy. Fletcher zauważył reakcję kolegi i uśmiechnął się do siebie.

– Kanid? A co to właściwie takiego? – zapytał Rory, kiedy wracali do wspólnej komnaty. Po drodze dogoniła ich salamandra, wskoczyła Fletcherowi na ramię i potoczyła dokoła czujnym wzrokiem.

– Niedługo sam się przekonasz. Niełatwo je opisać. Jeśli uznać, że wasze insekty są demonicznymi odpowiednikami żuków, to kanidy przypominają psy, łapiesz? – dokończył z dumą Fletcher. Przyjemnie było pomyśleć, że choć jedna osoba wie o magicznych stworach mniej od niego.

– To nasze demony są insektami? – zdziwiła się Genevieve. Wyciągnęła rękę i pozwoliła błękitnemu żukowi przysiąść na przedramieniu.

– Pewności nie mam, ale taka nazwa padła z ust rektora. – Fletcher usiadł za stołem.

– Ach, cóż. Ja swojego nazwałem po prostu Malachi. Wiesz, od malachitu. Ze względu na kolor. – Wielki zielony owad wbiegł po ramieniu Rory'ego.

– Moja ma na imię Azura – wtrąciła Genevieve i podniosła żuka do światła. Lazurowy pancerzyk rozbłysł w świetle pochodni.

Oboje popatrzyli z wyczekiwaniem na Fletchera, który poczuł się mocno skrępowany.

– No, a jak nazywa się twój? – nalegał Rory, jakby miał do czynienia z przyglupem.

– Wiesz... nie zdążyłem go jeszcze ochrzcić – odparł zawstydzony Fletcher. – Póki co, wiedziałem się, że to salamandra. Może przy śniadaniu zastanowimy się nad imieniem?

– Jasne! Ma taki śliczny kolor. Na pewno coś wymyślimy! – ucieszył się Rory.

– A moglibyśmy dać spokój z kolorami? – Fletcher zdecydował postawić na oryginalność. – Potrafi ziać ogniem. Może coś w związku z tym...?

Ledwie Rory otworzył usta, do sali weszła surowo wyglądająca starsza matrona. W rękach trzymała opasy kosz ze świeżą pościelą.

– Zmykać mi stąd! Posprzątać muszę! Zamiasz tu łobuzować, zaczekajcie na śniadanie na dole jak wszyscy! – poleciła i wygoniła ich na schody.

– Nie powinniśmy czasem zawołać tamtych? – Genevieve spojrzała za siebie, kiedy schodzili po wijących się stopniach.

– Nie – uciął czym prędzej Fletcher. Miał nadzieję, że przynajmniej na jakiś czas odwlecze kolejne spotkanie z elfką. – Myślę, że ta kobieta ich powiadomi. W końcu i u nich musi zrobić porządek.

Koledzy wzruszyli ramionami i poprowadzili go przez płataninę korytarzy, nieustannie proponując imiona dla salamandry. Tymczasem demon, zupełnie nieprzejęty dyskusją, ziewnął i ułożył się do snu. Fletcher zaczął się zastanawiać. Swojemu podopiecznemu pozwalał na lenistwo, podczas gdy Malachi i Azura żwawo śmigały wokół ramion kolegów. Po chwili znaleźli się na parterze i Fletcher po raz kolejny przeszedł przez atrium, gdzie rzucił półgłosem przeprosiny Jeffreyowi, który wciąż zawzięcie szorował posadzkę. Chłopak uśmiechnął się, popatrzył na świeże ślady butów trójki studentów, wznosił oczy do nieba i wrócił do pracy.

Otworzyli podwójne wrota naprzeciwko głównego wejścia i weszli do środka. Sufit wisiał tutaj znacznie niżej, lecz sala i tak była na tyle przestronna, że ich kroki rozległy się wyraźnym echem. Wygaszone masywne kandelabry kołysały się nad ustawionymi w trzech rzędach stołami i ławami. Środek zajmowała okazałych rozmiarów rzeźba. Posąg przedstawiał brodatego mężczyznę w zbroi odwzorowanej misternie, z wielką dbałością o szczegóły. Fletcher ze

zdziwieniem zobaczył tylko dwóch innych chłopców. Pałaszowali właśnie owsiankę, zamaszycie wywijając łyżkami. Jeden z nich, czarnowłosy z oliwkową cerą, wyglądał na przybysza ze wschodnich rubieży Hominum, być może z okolic na pograniczu pustyni Akhad. Był przystojny. Miał wyraźnie zarysowaną szczękę i oczy przesłonięte długimi rzęsami.

Drugi chłopak był pulchny i nosił krótko przystrzyżone kasztanowe włosy, odsłaniające rumianą czerstwą twarz. Kiedy sługa podała Fletcherowi śniadanie – owsiankę i ciepły jeszcze chleb – obaj przyjaźnie pomachali. Ledwie usiadł, uprzejmie się przedstawili. Grubas miał na imię Atlas, jego towarzysz nazywał się Seraph.

– Sami tu siedzicie? A gdzie studenci drugiego roku? – spytał zdezorientowany Fletcher.

– Karmią nas przed nimi. Niebiosom niech będą dzięki! – odpowiedział z pełnymi ustami Atlas, wygarniając z miski resztki posiłku.

– Oni potrzebują więcej snu, wiesz, te wszystkie... praktyki powodują stres i tak dalej – dodał uczynnie Seraph i rzucił rozbawione spojrzenie Atlasowi. – Kurczę, raz w tygodniu organizują im nawet wypadu na pogranicze. Już nie mogę się doczekać.

– Porozmawiamy, kiedy tam trafisz – wtrąciła Genevieve.

Fletcher zauważył, że nagle sposepniała, i postanowił zmienić temat. O wojnie wiedział dostatecznie dużo, by wyczuć, że koleżanka mogła stracić bliską osobę. Kto wie, może nawet była jak on sierotą?

– A gdzie wasze demony? – zagadnął. – Wy też macie insekty? – Magiczne stworzenia intrygowały go coraz bardziej.

– W ogóle ich nie mamy. Nadal czekamy – odparł Atlas z nutą zazdrości w głosie. – Podobno jutro jeden z wykładowców ma nam jakieś podarować. Kiedy przyjechalibyśmy do akademii, były tylko dwa wolne.

– Ja się wycwanilem – podjął Seraph, jakby do siebie. – Zapytali, czy chcę insekta, czy może wolę zaczekać. Głupi nie jestem, wypytałem zawczasu służbę. Insekty są najsłabsze, więc lepiej było się wstrzymać, niż potem żałować. Pewnie wpadnie nam w ręce coś lepszego.

Na wzmiankę o silniejszych demonach Fletchera ogarnęła ciekawość. Spróbował sobie przypomnieć stwory, które widział na obrazach i rzeźbach w zamczysku. Szkoda, że Jeffrey tak bardzo go poganiał. No cóż, potem będzie masa czasu. Zdąży się rozejrzeć.

– Ja tam bym się nie zamienił – rzucił obruszony Rory. – Za nic na świecie nie rozstanę się z Malachim.

Seraph podniósł ręce.

– Nie chciałem się kłócić. Jestem pewien, że kiedy wreszcie otrzymam demona, też się do niego przywiążę. Nawet jeśli to będzie insekt.

Rory mruknął coś pod nosem i skupił się na owsiance.

– Jakie znacie odmiany demonów? Dotąd słyszałem tylko o czterech gatunkach. – Fletcher spojrzał na Serapha, który sprawiał wrażenie najbardziej doświadczonego.

Zanim przystojniak odpowiedział, nad stołem poniosł się stłumiony jęk Atlasa. Korpuulentny kadet wpatrywał się w drzwi stołówki. Fletcher zerknął przez ramię i zrozumiał. Do sali wszedł krasnolud, a w dodatku prowadził ze sobą demona.





## 19

Nowo przybyły przypominał Athola. Miał ciemnorudą brodę i mocną, krępą sylwetkę. Rzucił im spod krzaczastych brwi obcesowe spojrzenie, po czym przyjął tacę z rąk roztrzęsionej sługi. Usiadł z dala od grupki ludzi przy innym stole i odwrócił się do nich plecami. Fletcher wyczuł, że kolegów najbardziej fascynuje krasnolud, natomiast on nie odrywał wzroku od jego demona.

Mierzące trzy stopy stworzenie przypominało kształtem ludzkie dziecko. Było tylko trochę bardziej przysadziste i muskularne. Ramiona i nogi pokrywały grube węzły mięśni. Najbardziej fascynujący okazał się kolor i faktura jego skóry. Wyglądała jak wykuta z kamienia. Wrażenie dodatkowo wzmacniały pokrywające ją gdzieniegdzie plamy mchu i porostów. Dłonie stwora kojarzyły się Fletcherowi z jednopalczastymi rękawicami. Gruby przeciwstawny kciuk zapewniał im mocny chwyt. Każdemu ruchowi demona towarzyszył głośny chrobot. W pewnej chwili odwrócił się i zmierzył nisko urodzonych studentów spojrzeniem głęboko osadzonych czarnych oczek.

– Golem – szepnął Seraph. – Nielatwo je schwytać. Służący mówili mi, że te demony z czasem osiągają spore rozmiary, więc zaklinacze muszą się zasadzać na młode osobniki. – Chciałbym takiego dostać.

– Marne szanse – ocenił Atlas. – On swojego otrzymał pewnie w ramach gestu dobrej woli wobec Rady Krasnoludów. Wiecie, demonstracja życzliwości wobec rasy, której dopiero co pozwolono wstępować do armii. Dotąd nie miałem pojęcia, że wolno im służyć we wszystkich formacjach. Ciekawe, na czym jeżdżą w kawalerii? Chyba tymi krótkimi nóżkami nie da się objąć końskich boków?

Atlas parsknął śmiechem, rozbawiony. Fletcher nie zwrócił na niego uwagi, wciąż przyglądał się zgarbionemu nad stołem, osamotnionemu krasnoludowi. Po chwili wstał z miejsca.

– Co robisz? – syknął Rory i złapał go za rękaw.

– Chcę się przedstawić – odparł Fletcher.

– Nie widziałeś, jak na nas spojrzal? Wygląda na to, że woli mieć spokój – odezwała się niepewnie Genevieve.

Fletcher uwolnił się z uścisku kolegi. Dobrze wiedział, co naprawdę kryło się w spojrzeniu przybysza: uraza. Często sam z taką samą miną patrzył na wyśmiewające go dzieciaki sąsiadów ze Skór. Kiedy podszedł do krasnoluda, golem zamruczał ostrzegawczo. Rozwarły się splekane kamienne wargi, ukazując pozbawione zębów dziąsła. Zaalarmowany zachowaniem podopiecznego, krasnolud podniósł wzrok.

– Mam na imię Fletcher – oznajmił chłopak i na powitanie wyciągnął rękę.

– Othello. Czego chcesz? – burknął krasnolud. Nie przyjął wyciągniętej dłoni.

– Miło cię poznać. Może przysiądziesz się do nas? Miejsca starczy dla wszystkich – zaproponował Fletcher.

Othello powiódł spojrzeniem po reszcie studentów, którzy wpatrywali się w niego, nie potrafiąc ukryć obawy.

– Nie. Tu mi dobrze. Dzięki, ale wiem, że nikt mnie tam nie chce – rzekł ponuro i wlepił oczy w miskę.

Fletcher postanowił, że spróbuje raz jeszcze.

– Oczywiście, że cię chcemy! W końcu masz się bić z orkami jak my wszyscy.

– Nie rozumiesz. Moja obecność to wyłącznie symbol. Generalicja Hominum nie zamierza uczynić z nas prawdziwych żołnierzy. Większość krasnoludzkich rekrutów trafia na północ. Mamy tam gnć wraz z innymi plewami. Król chciał dobrze, ale to oficerowie decydują, co z nami począć. Jak mamy ich do siebie przekonać, skoro nie pozwalają nam walczyć? – Othello mówił cicho, by słyszał go tylko Fletcher.

– Przecież w akademii uczą się teraz dziewczęta, a nawet my, z pospólstwa. Wszyscy, których tu widzisz, są nisko urodzeni. Aristokraci przyjadą dopiero jutro – zauważył Fletcher. Zrobiło mu się żal nieszczęśliwego krasnoluda. Nachylił się i dodał półgłosem: – Armia potrzebuje nowicjuszy, i to bez względu na ich pochodzenie. Widziałem nawet elfkę! Moim zdaniem, każdy mag się przyda, byle umiał się bić.

Othello odpowiedział markotnym uśmiechem. Wreszcie uściśnął Fletcherowi dłoń.

– Już ją poznałem. Odbyliśmy ze sobą... interesującą pogawędkę, kiedy czekaliśmy na przydział demonów. W każdym razie mam nadzieję, że się nie mylisz. Przepraszam, że wcześniej zachowałem się jak gbur. Pewnie wydałem ci się zblazowany i w ogóle. – Krasnolud podniósł swoją tacę.

– Daj spokój. Wczoraj rozmawiałem z jednym z twoich pobratymców i on czuł się tak samo jak ty. Nawet coś od niego dostałem. – Fletcher pokazał mu kartkę od Athola.

– Schowaj to! – syknął cicho Othello, gdy tylko zobaczył rysunek kowadła.

Fletcher wcisnął zwitek z powrotem do kieszeni. Rany, po co robić tajemnicę?

Dołączyli do siedzących przy stole kolegów. W obecności krasnoluda rozmowa nagle się urwała. Fletcher dokonał prezentacji.

– Dzień dobry – odezwał się skrzępowany Othello i skinął na powitanie głową.

Pozostali odpowiedzieli tym samym, ale bez słowa. Po kilku kolejnych chwilach rozległ się wysoki głos Rory'ego, a Fletcher odniósł wrażenie, że kolega bardzo nie lubi niezręcznego milczenia.

– Wiesz co? Chciałbym mieć takie wąsy. Zawsze je nosiłeś? – zapytał Rory, dotykając swoich gładkich policzków.

– Jeżeli pytasz, czy się z nimi urodziłem, to odpowiedź brzmi: nie. – Twarz Othella rozpromienił kpiarski uśmieszek. – Rzecz w tym, że wedle naszych wierzeń ścinanie włosów to



grzech, występki wobec stwórcy, który uczynił nas takimi, jakimi chciał i jakimi być powinniśmy. Skoro obdarzył nas owłosieniem, nie możemy się go pozbywać.

– W takim razie dławiec nie zapuszczacie pazurów? To jakieś wariactwo – rzucił bez ogródek Atlas i wskazał na krótkie, grube palce krasnoluda.

Othello miał starannie przycięte paznokcie.

– Atlas! – zganiała kolegę Genevieve.

– Nic się nie stało. Uczciwie postawione pytanie. Szarą obwódkę paznokcia uważamy za martwą, a zatem niestanowiącą części naszego ciała. Oczywiście w obecnych czasach to raczej kwestia tradycji niż wiary i religii. Wielu krasnoludów goli też zarost i strzyże włosy. Część młodzieży posuwa się nawet do ich farbowania. W Corcillum wiedzą o tym wszyscy. Skąd przyjechałeś? – zapytał spokojnym głosem Othello.

– Urodziłem się w wiosce na zachodzie, na wybrzeżu Morza Vesaniańskiego – odpowiedział Atlas. – A wy pochodzicie z Corcillum?

Othello zrobił speszoną minę. Wyręczył go Seraph:

– Krasnoludy żyły na tych ziemiach na długo, zanim postawił tu stopę pierwszy człowiek. Karczowały lasy, uprawiały ziemię, zmieniały bieg rzek. To właśnie krasnoludy ustawiły wielkie głazy, wytyczające granice Hominum.

Othello ponownie się uśmiechnął. Zdziwił się, że nisko urodzony chłopak aż tak dobrze zna dzieje jego rasy.

– Ludzie przybyli w te strony dwa tysiące lat temu, po mozolnej podróży przez pustynię Akhad – podjął Seraph, zachęcony wyczekującymi spojrzeniami zaintrygowanych kolegów. – Corcillum było wówczas stolicą krasnoludów, więc to my się do nich wprowadziliśmy. Zaczęliśmy pracować, prowadzić handel. Nielstety, w mieście wybuchła straszliwa zaraza, szczególnie jadalna atakująca krasnoludów. Niedługo potem władzę przejął pierwszy ludzki król z pomocą ludzi, od których wywodzi się obecna arystokracja. Była to niewielka grupa zaklinaczy, kontrolująca potężne demony, znacznie silniejsze od tych, jakie służą współczesnym magom. Z tego powodu każdy szlachetnie urodzony człowiek posiada zdolność ujarzmiania istot z eteru. Ten talent przechodzi z pokolenia na pokolenie.

– Właśnie dlatego tak często wznicaliśmy powstania – dodał półgłosem Othello – mimo że nie było to mądre. Byliśmy nieliczni, a w dodatku po naszej stronie nie walczyli magowie. Od czasów zarazy już nigdy nie osiągnęliśmy poprzedniej liczebności. Doprowadziły do tego prawa wprowadzone przez przodków waszego króla. Wolno nam mieszkać tylko w getcie, a liczba naszych dzieci, jakie co roku mogą się urodzić, jest ściśle ograniczona. Nawet zabroniono nam posiadać ziemię na własność. Władcy twierdzą, że sami jesteśmy sobie winni, że to skutek częstych rebelii.

Wszyscy siedzący przy stole spoważniali, a Fletcher poczuł w sobie oburzenie i gorący gniew, identyczne, jak wobec jawnych nikczemności Didrica. Postępowanie ludzi było po prostu... nieludzkie. Hipokryzja władz wydała mu się odrażająca. Właśnie to miał na myśli Athol.

Atlas otworzył usta. Już po samej minie można się było domyślić, że jest zupełnie innego zdania.

– Seraph – odezwał się Fletcher, zanim Atlas zdążył sprowokować sprzeczkę – podobno wiele się dowiedziałeś. Zdradź nam, czego możemy się spodziewać podczas kilku najbliższych miesięcy.

Seraph pochylił się nad białym i skinął na pozostałych. Uśmiechnął się zadowolony. Wreszcie mógł się popisać zdobytą wiedzą.

– W akademii panują bardzo uczciwe zasady. Patenty oficerskie i przydziały do rozmaitych jednostek przyznawane są w oparciu o wyniki. Dlatego też studenci, którzy lepiej wypadają na

egzaminach i podczas turnieju, po ukończeniu nauki otrzymują odpowiednio wyższe stopnie. Prawdziwy problem polega na czym innym. System działa przeciwko nam, niżej urodzonym. Demony, które nam przypadają, nie są zanadto silne, podczas gdy arystokraci otrzymują swoje od rodziców, którzy dokładają wszelkich starań, by pociechom dostały się stworzenia obdarzone jak największą mocą. Zdarza się również, chociaż bardzo rzadko, że niektórym trafiają się demony, które wcześniej służyły członkom ich rodów. O salamandrze nie powiem wam zbyt wiele, jeszcze nigdy takiego nie widziałem. Ale twój golem, Othello, kiedy dojrzeje, stanie się bardzo potężny. Przynajmniej tak mówi się o golemach.

- To znaczy, że co? Że już do końca życia będziemy mieli tylko insekty? - spytała skonstruowana Genevieve.

- Niekoniecznie - odparł Seraph. - Zawsze można pojąć w eterze nowego silniejszego stwora. Wtedy miałabyś dwa. Nie znam się na tym, wiem tylko, że ze słabym demonem polowanie jest znacznie trudniejsze i bardziej ryzykowne. Liczę na to, że dostanę stworzenie innego gatunku. Insekty są świetnymi zwiadowcami, a ich szczypce potrafią zadać paskudne rany. Jednak z drugiej strony, nie posiadają wiele many, a fizycznie nie są w stanie sprostać nawet młodocianemu kanidowi.

- Rozumiem - mruknęła Genevieve i zerknęła na Azurę, która właśnie wzbila się do lotu i pobrzękując, krążyła po sali. W spojrzeniu dziewczyny zabrakło wcześniejszej dumy.

Niebieski demon podleciał na środek stołówki i przycupnął na wysokim posągu. Zaczął się wspinać po oku kamiennej postaci.

- Kogo ta rzeźba przedstawia? - zainteresował się Fletcher.

- Ja wiem - zgłosił się Othello i wskazał na tabliczkę pod statuą. - To Ignatius, prawa ręka króla Corwina i założyciel Akademii Vocabów. Pierwszych wykładów udzielał w zwykłym namiocie, rozbitym w szczerym polu. Poległ dwa tysiące lat temu w trakcie pierwszej wojny, w której przeciwnikami byli orkowie. Poprowadził swój oddział do straceńczego ataku, przełamując szyki przeciwnika i przyczynił się do ostatecznego zwycięstwa.

- To jest to! - szepnęła Fletcher, przyglądając się salamandrze. Zbiegła mu po ramieniu i z lubością wylizywała z miski resztki owsianki.

- Co jest co? - zdziwił się Rory.

- Ignatius. Tak nazwę swojego demona.



## 20

Po śniadaniu koledzy postanowili wrócić do pokojów i złapać jeszcze trochę snu, ale Fletcher nie miał ochoty siedzieć w wyiębionym pomieszczeniu. Rozmowa przy posiłku uświadomiła mu, jak mało wie na temat akademii. Postanowił odszukać Jeffreya. Skoro Seraph zdobył tyle informacji na temat Cytadeli od służących, to i on mógł z jego pomysłu skorzystać. Uśmiechnęło się do niego szczęście – Jeffrey wciąż froterował posadzkę atrium.

– Może pozwolisz, że znowu zawrócę ci głowę i poproszę, żebyś mi pokazał coś więcej? Chyba nie ma sensu, żebyś mył tę podłogę teraz. Zaraz zejdą do stołówki studenci drugiego roku i znowu wszystko zadepczą. – Fletcher spojrział na posługacza; wyglądał na mocno zmęczonego.

– Sprzątam tylko dlatego, by nie nawrzeszczał na mnie Mayweather. Będę mógł zrobić sobie przerwę, skoro powiem mu, że oprowadzę nowicjusza. Tylko tym razem nie szalejemy ze schodami, dobra? – Jeffrey uśmiechnął się szeroko. – Co chciałbyś zobaczyć?

– Wszystko! – odparł Fletcher. – Mam dla siebie cały dzień.

– Ha! W takim razie ja też. – Służący się rozpromienił. – Na początek zwiedzimy salę przyzwań.

Pomieszczenie znajdowało się na tym samym piętrze, we wschodnim skrzydle zamku. W pierwszej chwili wielkie żelazne wrota stawily im spory opór. Zardzewiałe zawiasy skrzypnęły tak głośno, że rozległo się gromkie echo. Jeffrey sięgnął po wiszącą na ścianie pochodnię i wpuścił Fletchera do środka. Blask chybotliwego pomarańczowego płomienia ukazał im wnętrze komnaty. Posadzka wydawała się Fletcherowi dziwnie lepka. Po bliższym zbadaniu okazało się, iż wyłożono ją grubymi pasami skóry. Na środku widniał sporych rozmiarów pentagram otoczony innymi pięcioramiennymi gwiazdami, rozmieszczonymi spiralnie, stopniowo coraz mniejszymi. Wokół każdej widniały identyczne symbole jak te, które Fletcher widział na okładce książki подарowanej mu przez weterana. Może to właśnie były klucze,

o których wspominał w dzienniku James Baker?

– Dlaczego to jest skórzana podłoga? – zapytał.

– Pentagramy i inne magiczne znaki muszą zostać narysowane na organicznym podłożu. W przeciwnym wypadku nie zadziałają. Dawniej mieliśmy drewniany parkiet, ale raz po raz niszczył go ogień i trzeba było ciągle wymieniać klepki. Rektor uznał, że skóra sprawdzi się lepiej. Jak dotąd, wszystko wskazuje na to, że miał rację. Te pasy dymią, kopcą i strasznie wtedy cuchnie, ale lepsze to niż ryzykowanie pożarem za każdym razem, kiedy jakiś demon przenika w eter.

– Nie miałem o tym wszystkim pojęcia – wyznał Fletcher. Stał przy drzwiach i spojrzał na skórzane fartuchy, wiszące rzędem na wbitych w ścianę hakach.

– Poza tym niewiele potrafię ci o tej sali opowiedzieć. Niby mógłbyś zapytać kogoś z drugiego roku, ale moim zdaniem szkoda zachodu. W akademii panuje ostra konkurencja, wszyscy kadeci walczą o lepsze szarże, starsi więc niezbyt chętnie pomagają nowicjuszm. Wiesz, każdy się boi, że podkradnie mu wymarzony awans. Nie cierpię, kiedy ludzie zachowują się w ten sposób, ale rektor powtarza, że na froncie również panuje brutalna konkurencja i to dobrze, że adepci mogą jej posmakować już na uczelni. – Jeffrey nie wszedł głębiej do sali. Czekał przy wejściu. – Chodźmy już, co? Dostaję tu gęsiej skórki – dodał szeptem.

Wyszli na korytarz, skąd powolnym krokiem wspięli się po schodach na drugie piętro tego samego skrzydła.

– A oto nasza biblioteka. – Jeffrey pchnął najbliższe drzwi. – Wybacz, ale ja tam nie wejść. Rozumiesz, kurz i astma to fatalne połączenie.

Pomieszczenie okazało się co najmniej tak szerokie i głębokie, jak wysokie było atrium. Pod ścianami ciągnęły się regały zastawione książkami znacznie grubszymi od tomu ukrytego na dnie torby Fletchera. Między półkami umieszczono długie stoły, na których w równych odstępach stały świeczniki ze świeżymi świecami.

– Zaklinacze z dawnych czasów napisali w tych ścianach tysiące tekstów i stworzyli tysiące teorii. Większość książek to jednak pamiętniki, niektóre opisują wydarzenia nawet sprzed tysiąca lat. Studenci nieczęsto tu zaglądną. Pracy jest huk nawet bez dodatkowych lektur. Naturalnie, niektórzy przychodzą poszukać nadprogramowych informacji. Zwykle ci z pospólstwa, bo nie mają pieniędzy, żeby w wolne dni szaleć w Corcillum. – Jeffrey stał w drzwiach, oparty o framugę. – Poza tym i tak muszą nadganiać. Aristokratom nauka zwykle idzie znacznie lepiej, przecież od dzieciństwa stykają się z demonami i w ogóle...

– Fascynujące! – Fletcher zachwycił się stertami książek. – Dziwię się, że uczniowie nie chcą tu przychodzić. Cała ta wiedza... Przecież to istny skarb!

Jeffrey wzruszył ramionami.

– Ja się nie znam, ale wydaje mi się, że okoliczności wymogły na akademii, by program zawierał jak najwięcej zajęć praktycznych. Na badania i eksperymenty nikomu nie starcza czasu. Wszystkim w akademii zależy wyłącznie na tym, żeby jak najszybciej odprawić was na front.

Kiedy wyszli, Fletcher ujrzał na korytarzu idących szeregiem chłopców i dziewczęta.

– Drugorocznicy – wyjaśnił Jeffrey, pozdrawiając przechodzących uprzejmym skinieniem. – Mają za sobą koszmarny rok. Konkurencja o oficerskie szarże jest coraz ostrzejsza. Widzisz, odkąd zapadła decyzja o wcieleniu do wojska skazańców i umożliwieniu tego krasnoludom, stało się jasne, że armia będzie potrzebować więcej oficerów. Oczywiście jest też, że słabsi, o ile się nie wykażą, poprowadzą do walki właśnie te nowe oddziały albo zgniją na froncie północnym.

Fletcher nie do końca rozumiał, z jakiego powodu dowodzenie w boju krasnoludami miałyby być złe, ale nie zamierzał wdawać się z Jeffreyem w dyskusję. Musiał się jeszcze wiele nauczyć.

Przyjrzał się starszym studentom, którzy schodzili po zaciemnionych schodach. Żaden nie miał

ze sobą stwora, ale wokół ich głów krążyły maleńkie świecące kule. Przypominały świetliki otoczone niebieską eteryczną aurą. Zeszli za idącymi gęsiego studentami.

– Co to za światelka? I gdzie są ich demony? – Fletcher odezwał się dość głośno, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Śluchacze drugiego roku prowadzili między sobą ścisze rozmowy, przecierali oczy z niewyspania.

– Demony wolno wypuszczać tylko w sypialniach lub w trakcie zajęć. Dowiedzie się o tym zaraz na początku. Nie mam pojęcia, co się z nimi dzieje, kiedy nie towarzyszą zaklinaczom. A co do światelek, nazywają je dziwnoblaskami. Myślę, że to jedna z pierwszych umiejętności, jaką poznają nowicjusze. Za kilka dni i wy będziecie biegać z nimi po całym zamku.

– Nie mogę się już doczekać – wyjął Fletcher, wpatrzony w małe błękitne kulki, szybujące bez celu po atrium. – Nic dziwnego, że w naszej kwaterze jest tylko jedna świeca.

Jeffrey odciągnął Fletchera od atrium i sprowadził go po schodach otwierających się tuż obok sali przyzwań.

– Zamek jest wielki, ale komnaty wykorzystuje się w zasadzie tylko jako kwatery arystokratów, wykładowców i służby. Reszta świeci pustkami albo służy w charakterze magazynów. Mamy jeszcze kilka sal wykładowych – tłumaczył Jeffrey.

Echo ich kroków ginęło na tonących w mroku schodach. Gdy dotarli na sam dół i stanęli w ciemnym korytarzu, Fletcher natychmiast zauważył przykute do ścian kajdany. Ruszyli przed siebie, mijając po drodze dziesiątki ciasnych, pozbawionych okien cel. Pomieszczenia miały zaledwie kilka stóp szerokości.

– Gdzie my jesteśmy? – spytał przerażony. Przetrzymany w lochu ludzie musieli okrutnie cierpieć.

– Tę część Cytadeli zbudowano osiem lat temu, w pierwszym roku wojny, z myślą o deztererach. Nikt nie miał pojęcia, czego można się spodziewać po orkach, więc udający się na front żołnierze pierwszą noc spędzali tutaj. W ten sposób dowiadywali się, co ich czeka, jeżeli spróbują ucieczki lub wykażą się tchórzostwem. Przez pierwsze dwa lata trafiło tu tylko kilkudziesięciu więźniów. Przynajmniej tak słyszałem. Dzisiaj schwytanych deztererów spotyka jedynie chłosta, a potem odsyła się ich z powrotem do okopów. – Jeffrey przeciągnął dłonią po żelaznych prętach krat.

Fletcher zadrżał i poszedł za służącym. W pewnym momencie aż jęknął. Klaustrofobiczny tunel otworzył się na wielką salę. Wnętrze przypominało amfiteatr. Koncentryczne kręgi stopni, służących równocześnie za siedzenia, zbiegały się wokół centralnie umieszczonej, wysypanej piaskiem areny. Fletcher pomyślał, że pomieszczenie spokojnie zmieściłoby półtysięczną widownię.

– A co to jest, u diabła?! – rzucił zaskoczony. Zupełnie nie rozumiał, co w podziemiach Cytadeli robi arena do walk gladiatorów.

– A jak sądzisz, chłopcze? – odpowiedział mu ochrypli głos zza pleców. – To miejsce powstało z myślą o egzekucjach. Żołnierze i nowicjusze mieli tu oglądać śmierć pojmanych orków, by mogli się na własne oczy przekonać, że i oni umierają jak każde stworzenie na świecie.

Fletcher i Jeffrey odwrócili się gwałtownie i ujrzeni przed sobą niemal bezzębnego mężczyznę o siwiejących włosach. Stał, podpierając się długim kosturem. Brakowało mu prawej stopy i dłoni. W ich miejsce miał grubą drewnianą nogę i złowieszczo ostry hak. Jeszcze bardziej osobliwie prezentował się jego strój. Nosił ciężką koltczugę, jakiej używali rycerze starodawnych armii. Wspaniała zbroję zdobiła ciemna zieleń i srebro – barwy jednego z arystokratycznych rodów.

– Oczywiście, nigdy do tego nie doszło. Bo czy ktoś słyszał, żeby jakiś ork dał się wziąć żywcem?! – Mężczyzna zachichotał i podał Fletcherowi lewą rękę.

Chłopak uściśnął ją na powitanie.

– Co prawda, udało się nam schwycić kilka gremlinów, ale oglądanie kulących się i sikających w przepaski stworów nikomu nie sprawiało radości. Zresztą, one pewnie nienawidzą orków jeszcze gorzej niż my. W końcu są ich niewolnikami – powiedział mężczyzna, kuśtykając w kierunku areny. – No chodźże, zobaczymy, czy potrafisz machać tym swoim kopeszem! Dawno tej broni nie widziałem! – zawołał, wskazując kosturem miecz Fletchera. – Co prawda, sprawniejszą dłoń straciłem na wojnie, ale i lewą mogę cię nauczyć paru sztuczek. Ba, nawet muszę! To w końcu moja praca.

– Kto to jest, do diabła? – szepnął Fletcher do posługacza. Zaczął się zastanawiać, jakim trzeba być wariatem, by wolny czas dobrowolnie spędzać w zamkowych lochach.

– Sir Caulder – odpowiedział mu na ucho Jeffrey. – Nasz mistrz fechtunku.

Rycerz wytyczył kijem linię na piasku i przywołał Fletchera skinieniem.

– Rusz się. Jestem kaleką, ale też mam co robić.

Fletcher wszedł żywym krokiem na arenę i ruszył w stronę starca. Ignatiusowi przykazał myślać, by został u boku Jeffrey'a. Sir Caulder puścił oczko do Fletchera i w parodii żołnierskiego salutu przytknął hak do głowy.

– Materiał na oficera poznaję na pierwszy rzut oka, ale czy potrafisz się bić? Musisz mi pokazać.

– Nie chcę wyrządzić ci krzywdy, sir, to ostry miecz – uprzedził Fletcher, po czym odpiął broń od pasa. Jeszcze nigdy tak naprawdę nie trzymał kopesza w dłoni. Ostrze okazało się znacznie cięższe, niż się spodziewał.

– Owszem, jestem stary, ale z wiekiem przychodzi doświadczenie. Ten kostur jest w mojej jednej dłoni dwakroć bardziej niebezpieczny niż żelastwo, które dźwigasz oburącz.

Fletcher nie był o tym przekonany. Zamachnął się, mierząc tak, by w nic przypadkiem nie trafić. Stary mistrz był chudy jak patyk i bardzo wysoki. Nawet nie spróbował się osłonić. Ostrze śmignęło niegroźnie z dala od jego piersi.

– No dobrze, chłopcze, koniec tych gier – syknął sir Caulder. Kij zaświszczał w powietrzu i grzmotnął Fletchera w głowę.

Cios zabolął. Chłopak krzyknął i złapał się za ucho. Po szyi pociekła mu strużka gorącej krwi.

– No dalej! Założę się, że ten twój mieczyk nie zdołałby nawet przebić mojej kolczugi. – Sir Caulder wyszczerzył się ze złośliwą satysfakcją, brykając przed nowicjuszem niczym młode koźle.

– Nie zdążyłem się przygotować! – rzucił ze złością Fletcher.

Chwyił mocniej rękojeść i wkładając w uderzenie siłę obu ramion, pchnął prosto w brzuch sir Cauldera. Kostur opadł natychmiast i z siłą kowalskiego młota sparował kopesz w dół. Ostrze ugrzęzło w piasku. Zaraz potem Fletcher zarobił kolejne pacnięcie kijem, tym razem w policzek. Na skórze wykwitł szeroki czerwony ślad.

– Rano to ty piękny nie będziesz. – Sir Caulder zachichotał i dźgnął kijem w podbrzusze Fletchera, który zatoczył się do tyłu. – Widzisz, Jeffrey? Paradują z tymi mieczami tylko na pokaz. Powiem jedno, kiedy ork wyskoczy na ciebie z krzaków, nie będziesz mógł liczyć na to, że powstrzyma go kula z muszkietu. Zanim w ogóle poczuje, że coś go trafiło, zrobi sobie z twoich żeber wykalczki – rozprawiał w najlepsze rycerz, podkreślając kolejne słowa jadowitymi pchnięciami kija.

Fletcher stracił cierpliwość. Zamachnął się szeroko kopeszem, pochwycił kostur wygiętą częścią ostrza i odrzucił go na bok. Zwinnym wypadem ominął gardę przeciwnika, pchnął go ramieniem na ziemię i błyskawicznie skoczył na powalonego. Zanim zdołał wydać z siebie zwycięski okrzyk, sir Caulder zaplątał mu nogi na karku i ścisnął udami krtań, dławiąc wszelkie

słowa. Drewniana proteza uderzyła Fletchera w potylicę, na skutek czego wypuścił miecz i spróbował się uwolnić, lecz z równym powodzeniem mógłby się siłować z dwiema żelaznymi sztabami. Sir Caulder wzmocnił uścisk. Przed oczyma Fletchera zawirowały sine plamy, a zaraz potem świat utonął w ciemności.





## 21

Kiedy odzyskał przytomność, dobiegł go syk Ignatiusa. Otworzył oczy. Jeffrey i sir Caulder przyglądali mu się z przeciwnego krańca areny. Rycerz miotał szpetne przekleństwa. W powietrzu niósł się śwąd spalenizny.

– Cholerne demony! Powinno się je wszystkie wystrzelać. Orków pokonamy porządną strategią i sztuką wojenną, nie trzeba nam tych obmierzłych paskud – zrzędził, obmacując nadpalony fragment okrywającej kolczugę bluzy.

Fletcher zrozumiał. Ignatius zionął na fehmistrza ogniem.

Żałośnie rozmasował obolałe gardło i usiadł na piasku. Dlaczego co chwila ktoś próbuje go udusić? Nawet Ignatius ochoczo owijał się wokół jego szyi.

– Zapominasz o jednym – wychrypiał. – Orkowi szamani mają do dyspozycji dwa razy więcej tych obmierzłych paskud, jak je nazywasz. Czy je też pozabijamy dzięki sztuce wojennej? Dlaczego w ogóle tu uczysz, skoro tak ich nie cierpisz?

Sir Caulder przeszedł z Jeffreyem przez arenę. Po drodze zatrzymywali się co kilka kroków, upewniając się, czy Ignatius nie zamierza ponownie zaatakować. Fletcher uspokoił demona kojącymi myślami, po czym sięgnął po porzucony kopeś i przytroczył go sobie do pasa.

– Przepraszam, chłopcze. Musiałem się po prostu wyładować. Ta bluza stanowiła część mojego munduru. Tylko ona jedna została mi z dawnych czasów – przyznał rycerz, grzebiąc w piasku drewnianą nogą.

– Cóż, ja też się nie popisałem. Powinienem był zawczasu wyjaśnić Ignatiusowi, że będziemy walczyć na niby. Mimo że określenie „na niby” byłoby w tej sytuacji lekko nieścisłe. Przykro mi z powodu munduru. Może mógłbym go gdzieś wymienić?

– Nie. Walczyłem w regimencie Raleighów – powiedział sir Caulder, jakby to mogło cokolwiek wyjaśnić.



– Raleighów? – zapytał Fletcher. – To jedna z arystokratycznych rodzin?

– Owszem. Dawniej – mruknął rycerz.

Chłopak dostrzegł w oczach mężczyzny wyraźny smutek, lecz ciekawość wzięła górę.

– Dawniej? Popadli u króla w niełaskę? – dopytywał się. O czymś takim jeszcze w życiu nie słyszał, lecz przecież Skóry znajdowały się tak daleko od centrum życia Hominum i machinacji wielkich rodów, że podobne wypadki mogły być równie dobrze na porządku dziennym.

– Nie, nic z tych rzeczy, kretynie! Służyłem lordowi Edmundowi Raleighowi na długo przed wybuchem wojny. Był jednym z możliwych posiadających ziemie nad południową granicą. Nasze lenna nieustannie stanowiły cel zbrojnych wypadków orkowych band. W tamtych czasach armia była zajęta utrzymywaniem w ryzach krasnoludów, więc nie mogli nam przyjść z pomocą i musieliśmy radzić sobie sami. W tym i ja, jako żołnierz osobistej gwardii lorda Edmunda. Raleigh był porządnym człowiekiem i należał do grona bliskich przyjaciół króla. O żadnej niełasce nie mogło być mowy! Nie myśl sobie! – podkreślił sir Caulder.

– Nie chciałem nikogo urazić – wyjaśnił uprzejmie Fletcher. – Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego Raleighowie stracili swoją pozycję.

– Orkowie, chłopcze. Wszystko przez nich. Pewnego razu pojawili się ciemną nocą, przekradli się obok obór z bydłem, zostawili w spokoju spichlerze ze zbożem i wszystko, czego strzegłi moi chłopcy. Do tamtego dnia byliśmy przekonani, że chodzi im właśnie o żywność, więc skupialiśmy się wyłącznie na ochronie magazynów – mówił z goryczą. Bolesne wspomnienie sprawiło, że zacisnął pięści. – Wymordowali wszystkich, których zastali w rezydencji Raleighów. Nie oszczędzili nawet kobiet i małych dzieci. Kiedy dotarła do nas wiadomość, nikt już nie pozostał wśród żywych. Ciała zabitych orkowie zabrali ze sobą jako wojenne trofea i rozwiesili je na drzewach wzdłuż swoich granic. Lord Raleigh walczył do samego końca. Jego kanid zgładził trzech, zanim bestie zdołały rozpruć mu brzuch. Pozostawili go, by się wykrwawił. Osobiście skróciłem jego cierpienia. Nieszczęsny stwór. Nie myśl sobie, że mam cokolwiek przeciwko zaklinaczom czy demonom.

Sir Caulder zadygotał, po czym wszedł po otaczających arenę stopniach i zatrzymał się przy wyjściu.

– Nie walczysz źle, ale musisz się jeszcze nauczyć ścierać z orkami. Ten cios ramieniem nie wywarłby na żadnym najmniejszego wrażenia, a ty miałbyś przeciwko sobie ciężkie maczugi i bojowe topory. Oni nie używają delikatnej broni. Odwiedz mnie jeszcze kiedyś, a co nieco ci pokażę – dodał już z drzwi, odchrząknął z zadowoleniem i zniknął.

Jeffrey odprowadził Fletchera do wylotu korytarza, gdzie uniósł pochodnię do jego twarzy i przyjrzał się obrażeniom. Na widok płomieni Ignatius wspiął się opiekunowi na ramię i zamruczał niczym rozanielony kocur.

– Nieźle ci urządził. Okropnie napuchło – zauważył posługacz.

– Bywało gorzej. – Fletcher musnął obrzęknięty policzek i się skrzywił.

Wracali w milczeniu. Wspinając się z powrotem po długich schodach, rozmyślali o opowieści sir Cauldera.

– Koniec wycieczki – stęknął Jeffrey, kiedy znaleźli się w atrium. – Muszę wracać do pracy.

– Wiedziałaś o sir Caulderze i Raleighach? – podjął Fletcher, kiedy posługacz zaczął zmywać posadzki.

– Historię Raleighów słyszałem, ale nie miałem pojęcia, że sir Caulder służył właśnie u nich. Pamiętam, że od tamtej napaści zaczęła się wojna. Król i pozostałe rody poprzysięgli orkom krwawą zemstę. Rok za rokiem poszerzali granice Hominum, wycinali orkowe lasy i równali z ziemią ich osady. Konflikt jednak rozgorzał na dobre dopiero wtedy, gdy biały ork albinos zaczął jednoczyć szczepy. – Jeffrey zaciekle szorował podłogę.

– Aż nie do wiary, że o tym nie słyszałem. – Fletcher podrapał się w głowę.

Wyglądało na to, że spokojne życie na północnych rubieżach kraju mocno opóźniło jego polityczną edukację i ograniczyło wiedzę o sprawach szerokiego świata.

– Gdzie niby miałbyś usłyszeć? Sprawa została wyciszona. Król nie życzy sobie, by lud się dowiedział, że cały ród arystokratów można ot tak, po prostu wybić. Ja wiedziałem wyłącznie dlatego, że do akademii przyjeżdżają szlachetnie urodzeni studenci – wyjaśnił Jeffrey.

– Ten mundur musiał być dla niego cenną pamiątką. – Fletcher pogłaskał Ignatiusa po łebku.

– Skoro o tym mowa. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze nie oddałeś ubrań do prania. Kiedy szliśmy przez lochy zrobiło mi się trochę niedobrze. Wracaj do pokoju. Podesłę kogoś, kto zabierze te cuchnące rzeczy i zaprowadzi cię do łaźni. Poważnie mówię.





## 22

Księżyc świecił jasno na bezchmurnym niebie. Była pełnia. Fletcher zadrżał i podciągnął kołnierzyk munduru. Reszta ubrań powędrowała do pralni, a przecież musiał coś na siebie włożyć. W pokoju było przeraźliwie zimno, a wytarty koc, jaki znalazł na łóżku, nie grzał prawie wcale. Wychylił się przez pozbawione szyb okno i wyrzwał w chłodną noc. Wspominał wydarzenia minionego dnia.

Elfka wciąż nie opuściła swojego pokoju, co akurat Fletcherowi zupełnie nie przeszkadzało. Pozostali nowicjusze zjedli w radosnych nastrojach obiad i kolację. Z utęsknieniem wyglądali jutrzejszego dnia i oczekujących ich, z pewnością cudownych chwil. Cieniem na wesołym wieczorze kładło się tylko wciąż wyczuwalne napięcie między Atlasem a Othellem. Fletcherowi najbardziej przypadł do gustu Seraph, którego oczywista charyzma i gawędziarski talent sprawiały, że pozostali kadeci chłonęli każde jego słowo jak gąbka wodę. Sympatię Fletchera zjednął sobie również Rory, którego bez troskie usposobienie było wprost ujmujące. Polubił też Genevieve, mimo że wszelkie jej wysiłki w kierunku ocalenia jego munduru spęły na niczym. Koleżanka okazała się dziewczyną uprzejmą i obdarzoną przy tym zaskakująco ciętym dowcipem.

Dziwnie się czuł ze świadomością, że wszyscy już za dwa lata będą narażać życie w gorących dżunglach południa. Starał się o tym nie myśleć, ale pozostali rwali się do walki. Jedyna Genevieve nie wyrażała na głos wojennego zapału, aczkolwiek wspominając o orkach, mówiła z posępną wściekłością, wynikającą być może z tragicznych doświadczeń.

Fletcher zdawał sobie sprawę, że powinien położyć się spać, lecz był zanadto rozemocjonowany. Ten nastrój udzielił się nawet gnuśnemu Ignatiusowi, który brykał po całym ciemnym pokoju, uganiając się za własnym ogonem.

Fletcher podsunął demonowi świecę do zapalenia, po czym wyszedł z pokoju, aby zajrzeć do

wspólnej komnaty. Zaraz za drzwiami ujrzał na schodach słabnący blask płomyka, doleciały go cichnąc w oddali kroki.

– Chodźmy, Ignatiusz. Wygląda na to, że nie tylko nas dopadła bezsenność – powiedział. Uznał, że skoro i tak już się nie wyspi, miło będzie pomęczyć się w towarzystwie.

Nocą w zamkowych korytarzach panowała nieziemiska atmosfera, lodowate powiewy zawodziły w otworach strzelniczych, za którymi widać było okolice Cytadeli. Płomyk świeczki Fletchera niepewnie chybotął przy każdym podmuchu i chłopak musiał osłonić go ręką.

– Przydałoby się teraz takie latające światełko, prawda, Ignatiusz? – wyszeptał.

Szedł przed siebie, rozpędzając nienaturalnie uskakujące cienie. Mijane po drodze zbroje przyglądały mu się ponuro szczelinami zięjącymi w żelaznych hełmach.

Co dziwne, osoba przed nim poruszała się bardzo nędznie. Zupełnie jakby biegła, a nie zążywała późnej przechadzki. Fletcher również przyspieszył, wzbierała w nim ciekawość. Gdy dotarł do atrium, zdążył zauważyć tylko przyćmiony rozbłysk płomienia i rąbek falującego płaszczka. Tajemniczy spacerowicz wymknął się spiesźnie na zewnątrz.

Na dziedzińcu panowała grobowa cisza, jeszcze bardziej upiorna niż w korytarzach. Po nieznanym nie było śladu. Fletcher podszedł do mostu zwodzonego i wyjrzał na trakt, wypatrując światła. Kiedy tak stał w mroku, chraniać dłonią rozedrgany płomyk, po ziemi poniósł się miarowy tętent kopyt. Do Cytadeli zbliżali się jeźdźcy.

Fletcher czmychnął do niewielkiej wartowni przy moście. Zdmuchnął świeczkę i przywarł do zimnej kamiennej ściany. Nie wiedział, kim okażą się goście, lecz nie chciał, by zapamiętali go jako osobnika lubiącego skradać się po nocy.

Kilkoma ciepłymi myślami uspokoił podekscytowanego Ignatiusa i przykazał mu surowo, by pod żadnym pozorem nie wydał z siebie choć ćwierknięcia. Fletcher przywołał w sobie wspomnienie tego, co zaszło, kiedy ostatnim razem ukrywali się w zimnym i ciemnym pomieszczeniu o kamiennych ścianach. Salamandra odpowiedziała emocją zgody, naznaczonej nawet delikatną nutą żalu. Fletcher z uśmiechem podrapał ją w podbródek. Stworzenie rozumiało znacznie więcej, niż sądził.

Terkot rozpędzonych kół i trzaskanie batów obwieściło przybycie powozów, które hałaśliwie przetoczyły się po starych deskach mostu. Fletcher zerknął przez szparę w murze. Zadygotał z zimna i otulił się ciasno ramionami. Czyżby przyjechali arystokraci? A może to jeden z wykładowców postanowił stawić się wcześniej?

Karety były dwie, obie udekorowane pięknymi delikatnymi złoconiami, połyskującymi w blasku huczących na wietrze pochodni. Siedzący na kozłach mężczyźni mieli na sobie czarne liberie z mosiężnymi guzikami i czapki z daszkiem, które przywiodły Fletcherowi na myśl mundury pinkertonów. Trzymali przy sobie ciężkie garłacze i widać było, że nie zawahają się naszpikować grubym śrutem każdego, kto odważyłby się stanąć na drodze konwoju.

Najwyraźniej wieźli bardzo cenny ładunek.

Drzwi powozów stanęły otworem i wysiadło z nich kilka osób. Goście odziani byli w perfekcyjnie skrojone mundury kadetów Akademii Vocańów. Słaba poświata pochodni nie pozwalała wyłowić z mroku rysów większości, lecz jeden z przybyszów stanął w pełnym świetle.

– Coś takiego! Wiedziałem, że ostatnimi czasy uczelnia schodzi na psy, ale nie spodziewałem się, że warunki będą aż tak podłe – powiedział z akcentem starannie wykształconego człowieka.

– Widzisz, Tarquin, w jakim tu wszystko jest stanie? – rozległ się z cienia głos młodej dziewczyny. – Prawdziwy cud, że nie zarwał się pod nami most!

Tarquin był przystojnym chłopakiem o wydatnych kośćciach policzkowych. Anielskie pukle jasnych włosów sływały mu na kark gęstymi falami, jednak spojrzenie szaroniebieskich oczu wydawało się Fletcherowi harde i okrutne.

– Oto właśnie efekty dopuszczenia do studiów hołoty – oświadczył młodzieniec i wydał pogardliwie wargi. – Całkowity upadek standardów. Jestem pewien, że w czasach kiedy uczęszczał tu ojciec, akademia prezentowała się przynajmniej dwa razy lepiej.

– Z drugiej strony, oficerowie z plebsu zajmują te stanowiska, których my wcale nie chcielibyśmy objąć – zauważyła wciąż niewidoczna dziewczyna.

– Tak, cóż, widocznie nie ma tego złego... – skwitował zdruzgotanym tonem Tarquin. – Rzeczywiście, niech sobie pospółstwo dowodzi przestępcami, a jeżeli, ustrzeżcie niebiosa, oficerskie stopnie kiedykolwiek przypadną wynalazcom, będą mogły stanąć na czele formacji półludków. Wszyscy na świecie mają ściśle wyznaczone miejsce i tak trzeba kierować sprawami królestwa. Każdy na swoim szczeblu hierarchii.

Dziewczyna wyszła z półmroku i stanęła obok zblazowanego młodzieńca. Zmrużyła oczy i obrzuciła spojrzeniem majaczącą przed nimi Cytadelę. Wyglądała jak bliźniaczka Tarquina. Miała podobne rysy, ostre jak brzytwa, i pasemka jasnych włosów, skręcające się w urokliwe loczki.

– Kompromitacja! Jak można zmuszać młodych arystokratów, by przez całe dwa lata mieszkali w takich warunkach? – zapytała pełnym irytacji głosem i założyła zbląkaną kosmyk za ucho.

– Moja droga siostrzo, właśnie z tego powodu się tutaj znaleźliśmy. Odkąd Akademię Vocanów ukończył ojciec, nie postąpiła tu stopa ani jednego Forsytha. Naszą rolą jest pokazać im, jak należy traktować wysoko urodzone osoby – odparł Tarquin. – A skoro już przy tym jesteśmy, gdzie służba? Isodoro, bądź tak dobra i sprowadź tu posługaczy – zażartował i lekko popchnął siostrę ku wrotom.

– Fu! Wolalabym sobie ogolić głowę, niż zająrzeć do służbówki.

Ledwie przebrzmiały te słowa, otworzyły się boczne drzwi, z których wyszli Mayweather, Jeffrey i kilku innych służących. Stąpali powoli, ociężale, co chwila przecierając napuchnięte od snu oczy.

– Proszę wybaczyć nasze karygodne spóźnienie, mój panie – odezwał się kornie Mayweather. – Wasze powozy nie pojawiły się do jedenastego dzwonu, więc uznaliśmy, że przybędziecie dopiero rankiem.

– Tak, cóż. Doszliśmy do wniosku, że pijackie przybytki Corcillum mają w sobie znacznie więcej powabu niż ta wasza... instytucja – oświadczył lodowatym tonem młody arystokrata, po czym skinął na Jeffreya. – Ty, chłoptasiu! Zanieś bagaże do naszych kwater. Tylko ostrożnie! Te rzeczy są więcej warte, niż zarobisz przez całe życie.

Jeffrey pospiesznie wykonał polecenie. Mijając złotowłose rodzeństwo, uklonił się niezgrabnie.

– Pozwól, że wskażę wam drogę, mój panie. Proszę za mną, zapraszam państwa oboje. – Mayweather podreptał na schody, a służba zajęła się rozładunkiem karet.

Fletcher jeszcze przez moment patrzył za odchodzącymi w ślad za Mayweatherem arystokratami, po czym widok przesłoniły mu powozy, które zawróciły i wyjechały z dziedzińca.

Znów został sam. Scena, której był przed momentem świadkiem, przepełniła go niesmakiem. Przez całe dotychczasowe życie wyobrażał sobie arystokratów jako osoby szczodre i szlachetne, mężnie prowadzące do walki żołnierzy i ofiarnie posyłające dorastające dzieci do służby w oddziałach bojowych magów. Wiedział, że wielu wysoko urodzonych porzuca swoje rodziny, by codziennie ryzykować życie na froncie. Para rozpuszczonych bacherów stanowiła jednak całkowite przeciwieństwo jego wyobrażeń i oczekowań. Mógł tylko mieć nadzieję, że nie wszyscy nowicjusze z arystokratycznych rodów okażą się podobni do tych dwojga.

Odczekał kilka minut i wymknął się chyłkiem z wartowni. Do głównego wejścia zakradł się w cieniu otaczających podwórzec murów. Już miał stanąć w plamie księżycowej poświaty, gdy

zaskrzypiały deski na moście.

Odwrócił się i zobaczył niknącą w ciemności sylwetkę. Ktoś wybiegł spod bramy na drogę. Długie rude włosy rozwiały się w powietrzu.



## 23

Nowo przybyli zeszli na śniadanie spóźnieni, zajęli miejsca po drugiej stronie jadalni i zignorowali plebejuszy. Orszak otwierali Tarquin z Isadorą, którzy najwyraźniej objęli przywództwo w grupie. Widząc, jak arystokraci swobodnie poklepują się po plecach i rechocą ze swoich żarcików, Fletcher doszedł do wniosku, że znają się od dłuższego czasu.

– Dlaczego nawet się nie przywitali? – zapytał Atlas, zerkając przez ramię na uprzywilejowanych adeptów, którzy zaczęli głośno narzekać na jakość serwowanych w akademii posiłków.

– Normalka – ocenił rzeczowo Seraph. – Arystokraci nigdy nie bratają się z pospólstwem. Tak jest od zawsze. Wczoraj zajrzałem ukradkiem do jednej z przeznaczonych dla nich komnat. Była większa od wszystkich naszych pokoi razem wziętych!

– Moim zdaniem, nie powinno tak być – zauważył Rory. – W końcu mamy ze sobą spędzić najbliższe dwa lata, prawda? A ich jest tylko piątka. Pewnie w końcu skisną we własnym sosie, co nie?

– Wątpię – pokręcił głową Fletcher. – Jeden z posługaczy powiedział mi, że oni często urządzają sobie wypadki do Corcillum. To my będziemy beczynnie tkwić w zamczysku. Myślę, że możemy co najwyżej liczyć na to, że zaprzyjaźnimy się z kilkoma starszymi plebejuszami.

W tej chwili usłyszeli donośne głosy kilkunastu studentów drugiego roku, którzy weszli do sali gęsiego, podzielili się na dwie grupy i usiedli przy oddzielnych stołach. W odróżnieniu od nowicjuszy wszyscy rozmawiali ze sobą przyjaźnie, bez śladu niechęci. Fletcher zwrócił jednak uwagę na różnicę jakości noszonych przez nich mundurów. Najwyraźniej wśród starszych uczniów nie zanikał podział wedle urodzenia.

– Coś wcześniej dzisiaj przyszli – zauważył Seraph.

Starsi z obu grupek zmierzli ich spojrzeniami od stóp do głów. Szczególną uwagę zwrócili na

Othella. Jeden z nich tracił łokciem kolegę i pokazał mu najpierw Ignatiusa, a potem golema, któremu krasnolud nadał imię Solomon. Skrępowany Othello poruszył się w ławie, zwiesił głowę i wbił wzrok w miskę.

– Szkoda, że nie możemy jadać śniadań o tej samej porze co oni. W końcu ta jadalnia pomieściłaby setki osób. – Genevieve ziewnęła i wsparła głowę na dłoniach.

Fletcher podejrzliwie przyjrzał się rdzawym włosom dziewczyny. Czyżby to ona wymknęła się wczorajszej nocy z Cytadeli?

Ledwie służący skończyli znosić potrawy dla nowo przybyłych, w sali zaległa głęboka cisza. Fletcher podniósł spojrzenie znad talerza i ujrzał wchodzącego do stołówki rektora, za którym pojawiło się dwóch mężczyzn i kobieta, wszyscy w oficerskich mundurach. Drgnął, gdy w jednym z nich rozpoznał Arcturusa. Zasnutę bielmem niemrugające oko wpatrywało się gdzieś w dal. Niczym nie dał po sobie poznać, że zobaczył znajomego. Chwilę po nich do jadalni weszła elfka, wywołując ogólne poruszenie. Z dumnie uniesioną głową podszła do stojącego na uboczu stołu. Kanid zwinął się w kłębek pod jej ławą, nastroszył puszysty ogon i rozejrzał się czujnie dokoła.

Trójka oficerów stała spokojnie ze splecionymi na piersiach rękoma. Zaczekali do chwili, gdy w stołówce znowu zrobiło się cicho.

– Witajcie w Cytadeli! Ufam, że zdążyliście się zadomowić – zaczął szorstko rektor Scipio, podkreślając przy tym sumiastego wąsa. – Spotkał was wielki zaszczyt. Jesteście najnowszym i zarazem najmniej licznym pokoleniem studentów, odwiedzającym uświęcone sale Akademii Vocanów.

Fletcher rozejrzał się dokoła i przeliczył nowicjuszy. Studentów drugiego roku była dwunastka, ich było tyle samo.

– Tradycje naszej uczelni sięgają czasów pierwszego króla Hominum, panującego nam miłośnicie ponad dwa tysiące lat temu – ciągnął Scipio. – I chociaż jest nas tylko garstka, to absolwenci tej akademii, bojowi magowie, należą do najznamienitszych oficerów armii królestwa. Mam tu na myśli zarówno oddziały królewskie, jak i te służące pod sztandarami wielkich rodów.

Fletcher spostrzegł, że Tarquin nachyla się do Isadory i szepce jej coś na ucho. Dźwięczny śmiech dziewczynki poniósł się po sali. Nie tylko on to zauważył. Rektor poczerwieniał z gniewu i wymierzył palcem w młodego arystokratę.

– Ty tam! Wstawaj! Na tak jawny brak szacunku nie pozwolę nikomu, bez względu na to, z jakiej rodziny się wywodzi. Wstań, powiedziałem, i przedstaw się!

Chłopak podniósł się posłusznie z miejsca, lecz nie wydawał się wybuchem rektora ani trochę przejęty. Wsunął kciuki w kieszenie spodni i odezwał się głośno i wyraźnie:

– Nazywam się Tarquin, jestem dziedzicem księstwa Pollentia. Mój ojciec, książę Zachariasz Forsyth, jest generałem, naczelnym wodzem regimentu Furii Forsythów.

Uśmiechnął się szeroko, gdy studenci drugiego roku zaczęli między sobą szeptać. Zapewne słyszeli jego imię już wcześniej. Ojciec chłopaka musiał należeć do najstarszych i najpotężniejszych wielmożów Hominum. Fletcherowi z kolei obila się kiedyś o uszy nazwa „Pollentia”. Rozległe, żyzne ziemie księstwa rozciągały się od wybrzeży Morza Vesaniańskiego aż po środkowe dzielnice królestwa.

Scipio nie odezwał się słowem. Wpatrywał się w Tarquina wyczekująco spod siwych, krzaczastych brwi. Młodzieniec odczekał jeszcze kilka chwil. Cisza w sali stopniowo gęstniała. Wreszcie podjął:

– Przepraszam za niewłaściwe zachowanie. Powiedziałem siostrze, że jestem... dumny, mogąc wstąpić w mury tak czcigodnej uczelni.

– Wyłącznie szacunkowi, jakim darzę twego ojca, zawdzięczasz, że nie odesłę cię do komnaty



jak rozwydrzonego bachora – oznajmił rektor. – Siadaj i milcz, póki nie skończę.

Tarquin z lekkim uśmieżkiem skłonił głowę i usiadł, zupełnie nieporuszony naganą. Fletcher nie był pewien, czy butna postawa chłopaka wynika z pewności siebie, czy z arogancji, aczkolwiek podejrzewał to drugie. Scipio jeszcze przez chwilę mierzył arystokratę surowym wzrokiem, po czym odwrócił się do trójki stojących za nim oficerów.

– Oto wasi wykładowcy. Przedstawiam wam majora Goodwina, kapitana Arcturusa i kapitan Lovett. Będziecie okazywać im należny szacunek i pamiętajcie przy tym, że podczas gdy poświęcają tu czas waszej edukacji, podlegli im żołnierze cierpią na froncie z braku solidnego przywództwa i opieki.

Fletcher przyjrzał się dwojgu nauczycielom, których nie znał. Kapitan Lovett była kruczowłosa kobietą o zimnym spojrzeniu i surowej postawie, lecz kiedy rektor wymienił jej nazwisko i uśmiechnęła się do nowicjuszy, jej twarz natychmiast złagodniała. Major Goodwin był niemal równie stary jak Scipio. Miał tęgą, zażywną sylwetkę i nosił gęstą, siwą kozią bródkę. Na czerwonym nosie, wskazującym zamiłowanie do mocnych trunków, tkwiły oprawki złotych okularów.

– Studenci drugiego roku zastanawiają się zapewne, z jakiego powodu zostali wezwani wcześniej niż zwykle – podjął rektor i starsi, wyraźnie dotąd zdudzeni kadeci wyprostowali się w ławach. – Otóż zamierzam ogłosić coś, co dotyczy was wszystkich. Decyzja owa zapewne nie przysporzy nam popularności, ale podjęliśmy ją motywowani wyższą koniecznością. Do tegorocznych egzaminów i turnieju przystąpią oba roczniki studentów. Jeżeli któryś z pierwszaków wykaże się odpowiednio wysokimi wynikami, otrzyma awans w normalnym trybie i zostanie odesłany na front o rok wcześniej. Wymaga tego bolesna potrzeba chwili.

W sali natychmiast podniosła się wrzawa, szybko jednak została usmierzona głośnym okrzykiem rektora. Słyszając niemilknące szemrania, Scipio podniósł rękę.

– Zdaję sobie sprawę, że dla starszych studentów oznacza to większą konkurencję w wyścigu do najbardziej pożądanых awansów. Przypominam wszak, iż mieliście na przygotowania o cały rok więcej. Jeśli więc zostaniecie pokonani przez tegoroczny narybek, będzie to oznaczać, że tak czy inaczej na upragnione stanowiska nie zasługujecie.

Fletcher zmarszczył brwi. W tej sytuacji o przyjaźni ze starszymi kolegami z pospólstwa mógł sobie najwyżej pomarzyć.

– Wy z kolei, pierwszacy, martwicie się zapewne, że otrzymacie niższe szarże, niż przypadłyby wam za rok. Aby temu zapobiec, uznaliśmy, że zostaniecie awansowani co najmniej na poruczników lub wyżej, przy zachowaniu możliwości wyboru nieco mniej prestiżowego stopnia podporucznika. Zwycięzca turnieju otrzyma rangę kapitana, czyli najwyższy stopień, jaki może przypaść niesprawdzonemu w boju magowi.

Obwieszczenie wywołało wśród starszych studentów kolejną falę szmerów. Fletcher domyślił się, że byliby zadowoleni jedynie wówczas, gdyby młodzi koledzy otrzymali wszystkie dostępne stopnie podporucznika, najniższego i najbardziej pospolitego.

– Co więcej – kontynuował rektor – król postanowił zwycięzcę tegorocznego turnieju wynagrodzić w sposób szczególny. Osoba ta zasiądzie w Radzie Królewskiej i otrzyma prawo głosu w sprawach wagi państwowej. Monarcha życzy sobie mieć kontakt z przedstawicielem młodego pokolenia zaklinaczy. Jeżeli nominacja na wysoki stopień oficerski nie stanowiła dla was wystarczającej motywacji, to jestem pewien, iż ta wiadomość przekona was ostatecznie – dokończył Scipio i powiódł po jadalni poważnym spojrzeniem.

Fletcher zauważył, że podczas przemowy rektora Othello zacisnął pięści. Nie miał jednak pewności, czy tak mocno poruszyła krasnoluda wzmianka o stanowisku w Radzie Królestwa, o awansie, czy może obie rewelacje naraz. Wyjątkowo podekscytowani wydawali się też Tarquin

i Isadora. Mimo ostrzegawczych spojrzeń Arcturusa rozprawiali ze sobą rozemocjonowanym szepem.

– Do jakich jednostek trafią awansowani oficerowie? – Zza stołu wstał jeden z niżej urodzonych starszych uczniów. – Czy studentom pierwszego roku również grozi odesłanie do batalionów krasnoludów lub kryminalistów?

Othello natychmiast się zjeżył, lecz uprzedził go Scipio.

– Trafisz, cholera, do tej dywizji, do której zostaniesz skierowany! Nie zabieraj głosu, póki nie pozwolę! – ryknął rektor.

Chłopak karnie usiadł, choć z ust wyrwał mu się pomruk niezadowolenia.

Rektor rozejrzał się po sali. Wszędzie dokoła ujrzał chmurne miny.

– Młodzi będą mieli takie same szanse jak wy. Nie mam w tej sprawie nic więcej do dodania – oświadczył.

Delikatna dłoń wystrzeliła w górę, wyciągnięte palce zatrzepotały, domagając się uwagi. Poirytowany Scipio wznosił oczy do nieba i skinął głową.

Isadora wyprostowała się i wdzięcznie dygnęła.

– Przepraszam, że przerywam, rektorze Scipio, ale co ona tutaj robi? – spytała, oskarżycielsko wymierzając palec w elfkę.

– Tę kwestię chciałem poruszyć w następnej kolejności. – Scipio podszedł do srebrnowłosej dziewczyny. – Rozmowy pokojowe, jakie posłowie Hominum prowadzili z klanowymi wodzami elfów, mocno się przeciągały i nie należały do łatwych. Ostatnio jednak nastąpił przełom. Zamiast płacić daninę, elfy zamierzają stanąć w wojnie po naszej stronie. W myśl planowanego porozumienia ich wojownicy będą odtąd wstępować do armii, podobnie jak krasnoludy.

Tuż po ostatnim słowie uklonił się z szacunkiem Othellowi, który odpowiedział podobnie uprzejmym gestem.

– Oczywiście, do pełnego zaufania między stronami wciąż jeszcze daleko. Zresztą, nikogo nie powinno to dziwić – ciągnął rektor. Wrócił do trójki oficerów. – Dlatego też w ramach aktu dobrej woli przysłano do naszej akademii córkę jednego z wodzów. Będzie się z wami szkolić w umiejętnościach bojowego maga i mamy nadzieję, że stanie się pierwszym z wielu elfów, które w najbliższych latach dołączą do naszych szeregów. – Rzucił elfce wymuszony uśmiech. – Nazywa się Sylva Arkenia i spodziewam się, że sprawicie, iż poczuje się wśród nas tak dobrze, jak to tylko możliwe. Elfy nigdy nie były naszymi prawdziwymi wrogami, aczkolwiek wielu mogło tak sądzić. Uczynimy więc z tego spotkania pierwszy krok ku długiemu i owocnemu przymierzu.

Na beznamytnym obliczu Sylvy nie zaszła najmniejsza zmiana, ale Fletcher spostrzegł, że siedząca pod stołem Sariel zamerdała ogonem. Zdziwiła go odwaga dziewczyny, która porzuciła dom i kraj, by wziąć udział w cudzej wojnie u boku ludzi, po których nie mogła się spodziewać przyjaznych uczuć. Właśnie zaczął układać w głowie przeprosiny w imieniu całej ludzkiej rasy, kiedy przerwał mu rektor.

– A teraz zmiatajcie stąd. Za kilka minut zaczynają się zajęcia. Aha, Fletcher – Scipio spojrzal mu prosto w oczy – zapraszam do swojego gabinetu, i to natychmiast.





## 24

W gabinecie rektora, podobnie jak podczas pierwszej wizyty, panował upał. Dzisiaj jednak okiennice były rozchylone i przez okno wpadał jasny snop światła, bijąc w posadzkę pomiędzy biurkiem a Fletcherem.

Siedzący ze złożonymi w piramidkę dłońmi Scipio już od dobrej minuty wpatrywał się bez słowa w podopiecznego. Spojrzenie rektora sprawiło, że Fletcher poczuł się bardzo niezręcznie.

– Dlaczego mnie okłamałeś, chłopcze? – odezwał się wreszcie rektor, zerkając to na Ignatiusa, to na Fletchera.

– Nie chciałem – odparł. – Panie rektorze – dodał po chwili.

– Na pytanie, skąd masz demona, odpowiedziałeś, że przysłał cię Arcturus. Uważasz, że to właśnie chciałem usłyszeć? Nie pomyślałeś, że pojawią się konsekwencje? Nie przyszło ci do głowy, iż poznam prawdę już przy pierwszej rozmowie z Arcturusem? – Scipio przemawiał spokojnym, opanowanym tonem.

W tej chwili był zupełnie innym człowiekiem niż ten porykujący starzec, jakiego Fletcher oglądał kilka minut temu w jadalni. Z drugiej strony, wcale nie był pewien, które wcielenie rektora woli.

– Ja... Sam nie wiem, dlaczego tak powiedziałem. Naprawdę przysłał mnie Arcturus, ale oczywiście rozumiałem, że nie o to pan pytał, rektorze. Źle postąpiłem, uciekając się do łgarstwa. To dlatego, że tak bardzo zależało mi na podjęciu nauki. Przepraszam, panie rektorze.

Fletcher smętnie zwiesił głowę. Gdyby wyznał prawdę od razu, być może siedziałby teraz na wykładzie Arcturusa i uczył się wywoływać dziwnoblaski. Zamiast tego pojawiła się przed nim całkiem realna perspektywa wyrzucenia z akademii już pierwszego dnia za okłamanie rektora, starszego rangą oficera. Scipio chrząknął i we Fletcherze zakiełkowała nadzieja. Może to oznaka aprobaty? Rektor przywołał go bliżej skinieniem dłoni.

– Jest w tym wszystkim trochę mojej winy. Powiniem być mocniej cię przycisnąć. W końcu na każdym zaklinaczu spoczywa obowiązek prowadzenia badań nad pozyskiwaniem nowych odmian demonów. Założyłem, że nie masz pojęcia, co wynika z faktu, że dostałeś salamandrę. Ostatnio często opieram się na błędnych założeniach... – dodał z westchnieniem. – Arcturus opowiedział mi, w jaki sposób trafiła do ciebie salamandra... i magiczny zwój orkowego szamana. Podejrzewam, że moja irytacja wypływa z rozczarowania. Spodziewałem się, że dokonaliśmy właśnie znaczącego przełomu, a to tylko kwestia szczęśliwego przypadku. Muszę cię jednak prosić, byś przekazał bibliotekarce księgę, o której wspomniał mi Arcturus. Być może ona zdoła wyszperać w niej coś pozytywnego. James Baker był niezwykle skrytym człowiekiem.

Fletcher stał w milczeniu. Na widok uważnego spojrzenia rektora odżyła w nim nadzieja. Po dłuższej chwili Scipio wyciągnął z szuflady jakiś dokument i rozłożył go na blacie.

– Oto ślubowanie, jakie muszą podpisać wszyscy kadeci przed wstąpieniem do sił zbrojnych Hominum. Z chwilą jego podpisania staniesz się oficjalnie żołnierzem i studentem tej akademii, służącym ku chwale króla. Otrzymasz roczny żołd w wysokości tysiąca szylingów, od których odjęte zostaną koszty wiktu i opierunku, a także zakwaterowania i wykształcenia. Wszystkie szczegóły dokładnie spisano na tej karcie. Złóż podpis i zejdz mi z oczu.

Rektor wręczył wielkie gęsie pióro uradowanemu Fletcherowi, który skreślił swoje imię na miejscu wyznaczonym pod tekstem przysięgi.

– Bez nazwiska? – zdziwił się Scipio, spoglądając na pergamin.

– Bez, ja nie mam nazwiska – mruknął lekko zawstydzony chłopak.

– Cóż, lepiej coś dopisz. Do oficerów należy się zwracać po nazwisku, nie po imieniu. – Rektor postukał palcem w puste pole.

Nazwisko Berdona brzmiało Wulf. Fletcher dopisał.

– Uciekaj do atrium, kadecie Wulf. Twój promotor prowadzi pierwszą lekcję, na którą jesteś już pięć minut spóźniony – powiedział Scipio i rzucił nowicjuszowi jeden ze swych nieczęstych uśmiechów.

Atrium było już upstrzone wędrującymi dziwnoblaskami. Jarzące się kule fruwały po sali niczym świetliki. Fletcher zauważył, że w szmaragdowej poświacie arystokraci ze śmiechem wypuszczają z palców kolejne jaśniejące sfery. Konkurowali ze sobą, starając się wyczarować jak największe światełko. Jedynymi nisko urodzonymi studentami byli w sali Othello, Genevieve i Rory, lecz cała trójka stała z markotnymi minami z dala od arystokratów.

– Szybko poszło. To naprawdę aż tak łatwe? – spytał Fletcher, spoglądając na Tarquina, nad którego dłoń wykwitła kula światła wielkości pięści. Widać było, że wywarł na swych przyjaciółkach spore wrażenie.

– Nie wiem – szepnął Rory. – Jeszcze nikt nam nie pokazał. Okazuje się, że rodzice mogą jednak co nieco człowieka nauczyć, zwłaszcza jeśli są zaklinaczami. – Na jego twarzy malował się istny obraz rozżalenia i zazdrości.

Arcturus stał na środku atrium i z kamienną twarzą przyglądał się arystokratom. W pewnym momencie pstryknął palcami i wszystkie błyszczące kule zgasły. W pomieszczeniu zapanowała nieprzenikniona ciemność. Po chwili światło powróciło i tym razem biło od małego dziwnoblasku, jaki zmateralizował się przy dłoni Arcturusa. Z koniuszków jego palców wypłynęły cienkie smużki błękitu. Zlały się z kulą i rozdeły ją do rozmiarów ludzkiej głowy. Zaklinacz uwolnił dziwnoblask, który uniósł się i zawisł nieruchomo pod powałą. Całą salę natychmiast zalała ciepła błękitna poświata.

– Nikogo nie prosiłem o demonstrację. Zapytałem jedynie, czy ktoś z was został już z tą techniką zaznajomiony. Widzę, że rodzice arystokratów skutecznie mnie w tej kwestii

wyręczyli. W tej sytuacji jesteście wolni. Rozkład zajęć znajdziecie na łózkach. Sugeruję, byście nauczyli się go na pamięć. Spóźnienia nie będą tolerowane. – W tym momencie Arcturus spojrzal znacząco na Fletchera.

– Wiedziałam, że te zajęcia to jakiś żart. Chodźmy, Penelope, niech się amatorzy douczą – powiedziała ze złośliwym uśmiechem Isadora.

Jej koleżanka, brunetka o wielkich orzechowych oczach, zawahała się przez moment, lecz zaraz skinęła głową. Isadora zadarła wysoko głowę i wymaszerowała z atrium. Penelope wychodząc, obejrzała się na wykładowcę, jakby chciała go przeprosić.

Po dziewczynach salę opuścił dostojnym krokiem Tarquin z dwoma innymi arystokratami: młodzieńcem o czarnych jak smoła włosach i cerze śniadej jak u Serapha oraz drobniejszym chłopakiem o buzi cherubinka i szarawych kosmykach na głowie. Mijając Fletchera, Tarquin zmierzył pogardliwym spojrzeniem jego wytarty, niedopasowany mundur i ciemniejące na twarzy sińce. Zmarszczył nos z odrazą i poszedł dalej. Fletcher był jednak w tej chwili w zbyt dobrym nastroju, by się czymkolwiek przejmować.

– Niech sobie idą – oznajmił Arcturus, gdy arystokraci zniknęli. – Nie nauczyli się jeszcze kontrolować dziwnoblasków w locie. Na następnych zajęciach to oni będą musieli się dokształcić. Zasady postępowania z dziwnoblaskami niczym nie różnią się od reguł rządzących wszystkimi magicznymi praktykami.

Odwrócił się twarzą do studentów z gminu i oszacował ich wzrokiem.

– Pierwsza lekcja jest niezwykle istotna. Dowiedcie się, że różnicie się między sobą pod względem czarodziejskiego potencjału. Wasza mana pochodzi w całości od istot z eteru, a jej zakres i prędkość odnawiania zależy od gatunku, doświadczenia i wieku demona.

„Mana”. Seraph użył tego słowa już wczoraj. Fletcher domyślał się, iż jest to swego rodzaju energia pozwalająca magom rzucać czary i zaklęcia. Arcturus ruszył w stronę studentów, a dziwnoblask posłusznie szybował nad jego głową. Podkreślona nieziemskim blaskiem blizna oficera wyglądała jeszcze bardziej makabrycznie niż zwykle.

– Przepraszam, gdzie są Seraph i Atlas? – spytał Fletcher, który precyzyjnie się między Rorym i Genevieve, by wykładowca zwrócił wreszcie na niego uwagę.

– Kapitanie – poprawił go Arcturus.

– Kapitanie – powtórzył z westchnieniem Fletcher.

– Jak sądzę, poszli odebrać swoje demony. Ponieważ zostałem twoim promotorem, ale nie oddałem ci, jak to bywa najczęściej, jednego ze swoich pupilków, rektor uznał za stosowne, bym podarował demona innemu z nisko urodzonych kadetów. Schwytałem go wczoraj, wystawiając przy tym Sacharissę na znaczne niebezpieczeństwo. Mam nadzieję, że okażesz się wart tego ryzyka – zakończył Arcturus z nutą żalu w głosie i zapal Fletchera w jednej chwili ostygł.

– Czy to znaczy, że schwytałeś jakiegoś potężnego stwora, kapitanie? – zagadnął Rory stojący obok zmarkotniałego kolegi.

– Obecnie nie jest potężny, ale z czasem rozwinię pełnię mocy. Ważne jest jednak, że to niepospolite stworzenie, a nie chciałem zmarnować okazji. Jeden z waszych kolegów ma wielkie szczęście. Jeszcze nigdy nie spotkałem demona tego gatunku. Ale dość już pogaduszek. Usiądźcie na podłodze i zamknijcie oczy.

Posłuchali. Kroki przechadzającego się za ich plecami kapitana rozległy się w sali dźwięcznym echem.

– Oczyszcście umysły. Słuchajcie wyłącznie brzmienia mojego głosu.

Fletcher spróbował uspokoić rozkołataną serce i wsłuchał się w głos Arcturusa: był słodki jak miód, obmywał go niczym powiewy ciepłego zefirka.

– Połączcie się ze swoimi demonami, skupcie się na łączącej was więzi. Bądźcie przy tym

delikatni. Zapewne po raz pierwszy dotknięcie je w ten sposób. Nie przejmujcie się, jeżeli początki okażą się niełatwe. Wprawa przychodzi z praktyką.

Fletcher wykonał polecenie. Poszukał tej drugiej świadomości, która nieustannie czaiła się gdzieś na granicy jego umysłu. Wyczuł duszę salamandry i kiedy ją musnął, siedzący mu na barkach Ignatius drgnął i poruszył się niepewnie. Nie był to zwykły impuls emocjonalny, jaki Fletcher posyłał mu wcześniej; to połączenie polegało zupełnie na czymś innym.

– Kiedy już się wam uda, poczujecie przepływający do waszych ciał nurt many demona. Musicie ją pobrać i skierować w całości przez palec wskazujący dominującej ręki. Póki co, nie musicie robić niczego poza tym.

Fletcher po raz kolejny doznał wrażenia niezwykle jasności myśli i percepcji. Wypełniło całe jego ciało nawet znacznie silniejszą falą niż wcześniej na cmentarzu, gdy przyzwał istotę z eteru. Rozszalało się w nim niczym huragan. Od stóp do głów przebiegł go dreszcz.

– Przez palec, Fletcher! Przyjąłeś w siebie zbyt wiele many! Opanuj się! – wykrzyknął kapitan.

W odczuciu Fletchera głos zaklinacza zdawał się rozlegać gdzieś bardzo daleko. Głęboko wciągnął duży haust powietrza i wypuścił je powoli nosem. Jednocześnie uniósł palec i postarał się skierować weń energię. Natychmiast poczuł łaskotanie, któremu towarzyszyły zarazem piekielne gorąco i lodowate zimno. Pojaśniało mu w oczach, zamiast czerni pod powiekami zajaśniała niebieskawa aura.

– Otwórz oczy – polecił Arcturus i kojącym gestem położył dłoń na ramieniu Fletchera, który uświadomił sobie, iż dyszy jak po wyczerpującym biegu.

Uspokoił się i lekko spojrzał. Koniuszek wskazującego palca otoczyła niebieska kula tak jaskrawa, że błękit graniczył z bielą. Poruszył ręką i pozostawił w powietrzu błękitny ślad, jakby rysował w ciemności rozżarzoną węgielkiem.

– Powiedziałem „przez” palec, nie „do palca” – upomniał go kapitan, lecz w jego głosie zabrzmiała wyraźna nuta dumy.

– Nic mi nie będzie? – spytał przerażony Fletcher, kreśląc przed sobą niebieską ósemkę.

Pozostali również otworzyli oczy. Ujarmienie demonicznej many zabrało im znacznie więcej czasu niż jemu. Zanim jednak Fletcher dał się ponieść poczuciu wyższości, przypomniał sobie, że był z Ignatiusiem związany od tygodnia.

– Właśnie poznałeś umiejętność, której zamierzałem was nauczyć dopiero po kilku lekcjach, czyli sztukę czarorytu. Obserwujcie uważnie.

Arcturus podniósł dłoń i na jego palcu zagrał jasny błękit. Za pomocą magicznego światelka wyrysował dziwny trójkątny znak o nierównych krawędziach. Przesunął rękę i symbol posłusznie podążył w ślad za jego gestem, zupełnie jakby kapitan trzymał go w jakiejś niewidzialnej ramce. Gdy zaczął po chwili blednąć, oficer wypuścił z dłoni kilka kosmyków many, które pomknęły naprzód, lecz ledwie przeszły znak, wyrosły z nich widmowe matowe smużki, układające się w okrągłą tarczę. Taką samą, jaka dwa dni temu ocaliła Fletcherowi życie w zaułkach Corcillum.

– Wykorzystując manę bez specjalnego znaku, uzyskujemy jedynie dziwnoblask, czyli tak zwaną manę surową – wyjaśnił Arcturus. – Natomiast jeśli uprzednio posłużymy się czarorytem i stworzymy odpowiedni symbol, przez który skierujemy moc, zyskujemy dostęp do wielu pożytecznych zaklęć. Tego rodzaju znaki stanowią alfabet każdego bojowego maga. Oczywiście, nie jest to łatwe. Wyczarowanie takiej tarczy jak moja wymaga dużo czasu i doświadczenia. Bez wprawy otrzymamy jedynie bezkształtną masę. Nawet do uformowania idealnie kulistego dziwnoblasku potrzeba sporo praktyki.

Fletcher zauważył, że jego palec przybrał na powrót zwykły różowy kolor, i przycisnął dłoń do piersi. Ignatius wydał z siebie stłumiony pomruk, po czym obliznął rozgrzany opuszek zaskakująco miękkim spiczastym językiem. Pieczenie ustąpiło niemal od razu.

– A co przegapiliśmy? – rozległ się głos rozweselonego Serapha.

Fletcher obejrzał się i zobaczył kolegę w towarzystwie Atlasa i kapitan Lovett, którzy wyszli właśnie z sali przyzwań. Kadeci mieli ze sobą demony.

Seraph szczyrzył się jak wariat. Większego szczęścia nie można było sobie wyobrazić. Rozkołysanym krokiem człapał za nim demon przypominający przerosniętego borsuka. Podobieństwo kończyło się jednak na sposobie poruszania i obłej sylwetce. Stwór pokryty był szorstką skórą, przywodzącą na myśl korę drzew, na grzbiecie naznaczoną plamkami pleśni. Z jego wydatnego kręgosłupa sterczały długie na cal kolce, ostre niczym chirurgiczne skalpele. Skojarzyły się Fletcherowi z cierniami kolcolistu, paskudnymi szpikulcami i zdolnymi przebić skórę nieostrożnego wędrowca.

– Co to jest? – zachwycony Rory aż jęknął, gdy niesamowite stworzenie podbiegło do Arcturusa i go obwąchało.

Plaski jak u mopsa pysk rozchylił się, ukazując miast zębów dziwne kostne grzebień. Fletcher dostrzegł między nimi resztki zmiażdżonych na jednolitą masę liści, które jednak zaraz zniknęły w gardzieli, wepchnięte skórzastym brązowym jęzorem.

– Macie przed sobą korowca – wyjaśnił Arcturus. – Demony tego gatunku są mistrzami kamuflażu i dlatego tak rzadko je spotykamy. Ich właściciele mają zwykle kłopot z karmieniem, bo pochłaniają co najmniej funt świeżych liści dziennie. O tych sprawach dowiecie się wszystkiego od majora Goodwina na zajęciach z demonologii.

Przez moment kapitan przyglądał się z wahaniem korowcowi. Ostatecznie pochylił się i niezdecydowanie poglądził chropowaty łeb. Seraph uśmiechnął się z wdzięcznością do wykładowcy.

– Wiesz co, Seraph, chętnie zatrzymałbym go dla siebie, a tobie złowił innego, lecz ta podstępna istota przy pierwszej nadarżającej się okazji naszpikowała Sacharissę kolcami. Biedaczka nie była potem w stanie wyprawić się do eteru na drugie polowanie. Ledwie zdołała tego huncwota utrzymać, gdy już przeciągnęła go przez portal. Czar kielznania rzuciłem w ostatniej chwili. Teraz już za późno szukać zastępcy. Mam nadzieję, że będzie ci dobrze służył.

– Pięknie dziękuję, kapitanie! – zawołał Seraph, poderwał korowca z podłogi i aż ugiął się pod jego ciężarem. – Nie ma pan pojęcia, jak wiele to dla mnie znaczy. Wymyśliłem już dla niego imię. Będzie się nazywać Cierni.

Za plecami Serapha stał z przyklejonym do twarzy uśmiechem Atlas. Jego demon miał rozmiary sporego psa, porastała go gęsta szorstka sierść, a z pyska wyciągały się dwa ostre siekacze. Istota przypominała wielką, obdarzoną gigantycznymi zębiskami wydrę. Wrażenie mącił jedynie nagi jak u szczura ogon, zwieńczony zjeżoną szpikulcami kulą. Fletcher pomyślał, że podobnie wyglądają rycerskie korbacze. Stworzenie dokazywało z niesamowitą zwinnością, przemykało między nogami Atlasa, niemal płynąc w powietrzu.

– To lutra – oznajmił Atlas. – Ze względu na ogon nadałem jej imię Kuleczka.

– Kuleczka? – Arcturus uniósł brwi. – Może jednak zechcesz to przemysleć? To niezbyt tradycyjne imię dla istoty z eteru. Co powiesz na... Dzikusa? Słyszałem o co najmniej jednym demonie o tym imieniu.

– Piękne! – zachwycił się Atlas i chwycił lutrę w ramiona.

Kapitan Lovett wycofała się z sali. Zanim zamknęła za sobą drzwi, Fletcher zdołał zauważyć furkocące brązowe pióra. Ciekawe, co to za gatunek? Wyglądało na to, że zaklinacze znali znacznie więcej rodzajów magicznych istot, niż dotąd przypuszczał. Kiedy kapitan otworzył usta, by wrócić do lekcji, Fletcher podniósł rękę. Koniecznie musiał się czegoś dowiedzieć.

– Gdzie jest teraz Sacharissa, kapitanie? I gdzie są demony arystokratów? Czekają na nich w komnatach? – zapytał zżerany rozgrzaną do białości ciekawością.

– Słyszałeś może o infuzji? – odparł Arcturus, mierząc chłopaka spokojnym spojrzeniem. Fletcher pokręcił głową.

– Infuzja to proces, podczas którego zaklinacz wchłania stworzenie w siebie, co pozwala mu wypocząć i zaleczyć rany. Mag nie traci wówczas kontaktu z podopiecznym, jest nawet w stanie korzystać z jego mocy, ale on sam pozostaje w nim i w niczym nie przeszkadza. To również znakomita forma obrony przed deszczem oszczepów miotanych przez orków. Tajniki infuzji poznacie jutro na zajęciach z kapitan Lovett. Moją specjalnością są zaklęcia, więc pozostawię temat koleżance. Rozumiemy się?

– Tak jest, kapitanie. Dziękuję.

Arcturus stanął tyłem do kadetów i zaczął rysować w powietrzu kolejny magiczny symbol. Fletcher pogłaskał Ignatiusa. Poczul pod palcami twarde kości i skórę. Infuzja... cóż, uwierzę, kiedy zobaczę, stwierdził w duchu.







## 25

Z zajęć wybiegli roześmiani. Hałaśliwą, wesołą gromadką wskoczyli na wysokie schody. Byli w wyśmienitych humorach. Tylko Fletcher, Othello i Seraph zdołali wyczarować dziwnoblaski – niewielkie, lecz dające przyjemne światło, które krążyły teraz wokół ich barków. Pozostali wytworzyli co prawda smugi rozciągliwego światła, lecz nie zdołali uformować z nich kul, zabrakło im koncentracji. Mimo niepowodzeń pierwsze zetknięcie z prawdziwą sztuką magiczną przepełniło wszystkich radością, a Rory i Genevieve nie czuli wobec przyjaciół zazdrości. Nawet Atlas muskał łeb Dzikusa z niegasnącym szerokim uśmiechem.

– W pokoju poćwiczę jeszcze kontrolowanie dziwnoblasku – oświadczył Seraph, kiedy stanęli we wspólnej komnacie na górze. – Jak dotąd udaje mi się nimi poruszać, ale żeby tak ustabilizować kulę w locie jak Arcturus? Zapomnijcie.

Zniknął w korytarzu prowadzącym do męskiej części kwater. Cierń kroczył wiernie za swym nowym panem. Po Sylvie nie było śladu, znowu zniknęła. Fletcher nie do końca rozumiał, dlaczego opuściła pierwsze zajęcia i kto jej na to pozwolił, lecz wciąż chciał pomówić z elfką i ją przeprosić.

– Może lepiej zrobiłbym, gdybym zaczekał? – rzucił z powagą Rory i spojrzał na Malachiego bez wcześniejszego uwielbienia.

– Kocham Azurę. Za nic nie zamieniłabym jej na innego demona, ale niestety też myślę, że będzie nam ciężko. Skoro nawet Arcturus ma problem ze schwytaniem nowego demona, jaką my możemy mieć nadzieję? – powiedziała Genevieve, kiwając głową.

Fletcher poważnie zastanowił się nad odpowiedzią, lecz nie przyszły mu do głowy żadne słowa pociechy. Wyrzucił go Othello.

– Może nie będziecie w stanie pojmać demona tak potężnego jak korowiec, ale na pewno uda się wam złapać kolejne insekty. Rozumiecie, kiedy mieszka się blisko frontu, słyszy się różne

rzeczy, na przykład opowieści o rozmaitych specjalnościach bojowych magów. Jedni mają pojedyncze bardzo potężne i trudne do opanowania demony, natomiast inni dowodzą rojami mniejszych i słabszych. Taką strategię stosują orkowi szamani. Nie uważacie, że nasłanie na wroga chmary insektów byłoby świetnym posunięciem? A kiedy już zgromadzicie ich odpowiednio dużo, wyślecie je w eter, gdzie wspólnymi siłami pomogą wam schwytać demony naprawdę silnego gatunku – zakończył Othello i podrapał się po brodzie.

– Wiesz co? Masz rację. – Na obliczu Rory'ego zajaśniał radosny uśmiech. – Wyobraźcie sobie tysiąc małych Malachich w natarciu. To dopiero byłby widok!

Do sali wrócił Seraph. Wymachiwał kartką papieru, a w drugiej dłoni trzymał niewielki płócienny trzosik.

– Patrzcie tylko! – zawołał i położył na stole pergamin z rozpisany planem zajęć. – W tygodniu mamy tylko trzy dni lekcji, i to po śniadaniu. Fakultatywne ćwiczenia z szermierki odbywają się czwartego dnia w lochach, a resztę czasu mamy na samodzielną naukę. Możemy wtedy robić, co chcemy!

Rory ze śmiechem klepnął dłonią w blat stołu. Wystraszone Malachi i Azura zerwały się do lotu i zaczęły krząć po świetlicy, pobzykując z urazą.

– Ups! – rzucił Rory i wyciągnął ramię, na którym zaraz przysiadł jego wielki rozdrażniony owad. Chłopak uśmiechnął się i pocałował zielony pancerz.

– To jeszcze nie wszystko! – oznajmił Seraph. – Wypłacili nam cały zółd za pierwszy miesiąc. Zupełnie nie pojmuję, po co komu uniwersytety, skoro życie w wojsku jest tak piękne? Uczysz się i zarabiasz! – Seraph podrzucił w dłoni brzęczącą sakiewkę. – Mam tutaj sześćdziesiąt szylingów!

– W takim razie należy nam się chyba wycieczka do Corcillum! – wykrzyknęła Genevieve i na jej twarzy odmalował się szeroki uśmiech. – Moja mama nie zarabiała tyle przez miesiąc, a harowała całym dniami. Pojedźmy zaraz po obiedzie!

– W sumie nie zaszkodzi zajrzeć do krawca – zauważył Fletcher, oglądając swój wystrzępiony kołnierzyk.

– Rodzina na pewno już się o mnie martwi. Chętnie skorzystam z okazji, żeby ich odwiedzić i powiedzieć, że spotkałem tu... przyjaciół. – Othello nieśmiało pogładził się po brodzie.

– Czyli jesteście umówieni. Kto powiedział, że nie stać nas na wypad do Corcillum? Na przejazd wydamy pewnie fortunę, ale i tak warto – orzekł Seraph i popędził do swojego pokoju.

Na schodach poniosło się echo kroków, po czym dał się słyszeć głos Sylvy, która najwyraźniej komuś się skarżyła.

– Sama widzisz... Upchnęli mnie razem z pospólstwem, mimo że moja krew jest równie nieskalana jak twoja. Według mnie, to burzające. Jestem przekonana, że gdybyś pomówiła w moim imieniu z rektorem, pozwoliliby mi przenieść się do komnaty sąsiadującej z twoją.

– Och, tu jest ciśniej niż w mojej łazience! – rozległo się, po czym do wspólnej komnaty w towarzystwie Sylvy i Penelope wkroczyła Isadora. Zmarszczyła swój śliczny nosek, jakby wyczula paskudny zapach.

– O tym mówię! Powinnaś zobaczyć mój pokój. Zresztą, pokażę ci. – Sylva próbowała skierować koleżankę w stronę dziewczęcych kwater.

Isadora jednak przystanęła i spjrzała na grupkę niżej urodzonych kadetów. Gdy zobaczyła Othella, zmrużyła oczy w wąskie szparki.

– Chwileczkę. – Tupnęła. – Najwyższy czas, żebyśmy wyjaśniła plebejuszom, jakie w tym roku zapanują porządki. – Krokiem skradającej się do ofiary pумы obszła grupkę zgromadzoną przy stole, demonstrując swobodę i pewność siebie, co natychmiast rozdrażniło Fletchera. – Oto jak będzie. Gmin zegnije karki i nie będzie wchodził arystokratom w paradę. Podczas turnieju wszyscy odpadniecie w pierwszej rundzie i pozwolicie lepiej urodzonym zająć należne im

miejsca. W końcu z naszych podatków król opłaca armię, a dodatkowo wypłacamy jeszcze żołd żołnierzom prywatnych batalionów. To chyba uczciwe, byśmy dowodzili oddziałami, które utrzymują nasze rody. Nie macie prawa dochrapać się wyższych stopni. Nie ta krew, i kropka. Trzymajcie się więc od nas z daleka, a wtedy w przypływie dobroci może pozwolimy któremuś z was zostać porucznikiem. Myślę, że to przyjemna perspektywa, prawda? – Uśmiechnęła się słodko, jakby prawila im komplementy.

Pierwszy zareagował Fletcher.

– Wygląda na to, że boicie się konkurencji – powiedział i przeciągnął się z przesadną nonszalancją.

Koledzy milczeli, czekając na reakcję Isadory.

Wydęła wargi jak rozpuszczone dziecko. Infantylny grymas mocno kontrastował z wizerunkiem diablicy wcielonej, którą zgrywała ledwie moment wcześniej.

– Niepospolite demony wcale nie muszą być silne, Fletcher. Nie zapominaj o tym – syknęła mu na ucho.

Gdy się wyprostowała, do sali wrócił Seraph. Obdarzył dziewczęta ujmującym uśmiechem.

– Cudnie! Niestety, nikt mnie nie uprzedził, że wpadną goście. Witajcie w naszych skromnych progach. Chyba się jeszcze nie znamy. Mam na imię Seraph.

Isadora rzuciła mu zniesmaczone spojrzenie i wyszła z dumnie uniesioną głową, kierując się ku schodom. Zapomniana Sylva została na środku komnaty. Obdarzyła Fletchera spojrzeniem tak wściekłym, jakby wszystko, co złe, wydarzyło się przez niego, po czym pomknęła za Isadorą. Penelope, która zatrzymała się przy wejściu do świetlicy, wciąż tam stała. Wyraźnie nie mogła się zdecydować. Przygryzła wargę i zerknęła na Serapha, którego mina wyrażała niczym niezmaczone niedowierzanie.

– Przepraszam was – szepnęła niemal niedosłyszalnie.

– Penelope! Chodźże już! – zawołała z dołu Isadora, która zdążyła zejść po schodach.

Dziewczyna obróciła się na pięcie i zauważyli jej zaczerwieniony ze wstydu kark.

– Mnie też bardzo miło cię poznać! – wykrzyknęła za nią Rory.

– Przepraszam, ale zupełnie nie rozumiem, co się tu wydarzyło. – Seraph klapnęła na krzesło.

– Chciała nas sprawdzić, wybaść. Przekonać się, czy damy sobą pomiatać. Coś mi mówi, że trafiła kosa na kamień – rzucił rozniewany Othello, wciąż zaciskając pięści.

– Dlaczego Sylva podlizuje się arystokratom? – Genevieve wydawała się równie poruszona jak pozostali.

– Jest córką wodza i zapewne uważa się za szlachetnie urodzoną – przypomniał Fletcher.

W tej sytuacji zrezygnował ze składania elfce jakichkolwiek przeprosin. Co prawda, nadal uważał, że źródłem klasowego konfliktu w akademii są przede wszystkim Isadora i Tarquin, lecz Sylva sporo w jego oczach straciła, dołączając do tej bandy snobów.

– Nic to. Pakujcie się! Darujmy sobie obiad i pojedźmy do Corcillum od razu – zaproponował.

– Dobry pomysł – przytaknęła Othello. – I tak straciłem apetyt – dodał z goryczą i pokręcił głową.





## 26

Przejażdżka do Corcillum powozem z Cytadeli kosztowałaby ich zbójce sześć szylingów od łebka. Okazało się, że Othello zna mieścinę oddaloną od akademii ledwie o pół godziny piechotą, gdzie mogło być taniej. Na miejscu po dziesięciu minutach negocjacji znaleźli środek transportu w postaci zaprzęzonego w samotną szkapę wozu, za który musieli zapłacić jedynie po szylingu. Jeszcze jedną monetę wymienili na kosz jabłek, w które natychmiast wgrzyźli się ze smakiem, rozkoszując się słodko-kwaśnym sokiem, który spływał im po brodach.

Humorów nie popsuł im nawet lekki deszcz, który rozpadał się po drodze. Ze śmiechem chwytali kropelki do ust. Najbardziej z mżawki ucieszyła się należąca do Atlasa lutra. Głośno ujadając, tarzała się po wilgotnych deskach wozu.

Woźnica wysadził ich na głównej ulicy handlowej, gdzie mimo deszczu tłoczyli się zarówno sprzedawcy, jak i kupujący. Gdy schronili się przed deszczem w bramie, przechodnie z podziwem oglądali ich demony i mundury. Niektórzy machali im z przyjaznymi uśmiechami, inni lękliwie przyspieszali kroku.

– Chciałabym obejrzeć perfumierię – oświadczyła Genevieve, spoglądając na dwie kryjące się pod różowymi parasolkami dziewczyny.

Biła od nich egzotyczna woń, która skojarzyła się Fletcherowi z górami. Nagle uświadomił sobie, jak niewiele myśli poświęcił przez ostatnie dni Berdonowi. Poczul nieprzyjemny skurcz żołądka. Postanowił, że czym prędzej prześle kowalowi wiadomość i da mu znać, że wszystko z nim w porządku.

– Muszę załatwić kilka spraw – oznajmił. – Nadam listy i tak dalej. Othello, znasz kogoś, kto zrobiłby mi pochwę na miecz?

– Pewnie... o ile nie masz nic przeciwko, że po drodze zajrzemy do mnie do domu – odparł krasnolud i z radości pociągnął się za brodę.

– Czemu nie? Nie widziałem dzielnicy krasnoludów. Są tam krawcy? – upewnił się Fletcher.

– Najlepsi w całym Hominum – zapewnił Othello.

– Wszystko pięknie, ale ktoś powinien przejść się z mną do perfumerii. Lepiej, żebym nie chodziła sama po mieście – zauważyła słodko Genevieve, przyglądając się młodym damom, spacerującym ulicami.

Spostrzegł je także Seraph i bez chwili wahania rzekł z błyskiem w oku:

– Ja z tobą pójdę. Może dostanę wodę kolońską, dzięki której odtaje lodowate serce Isadory. – Mrugnął porozumiewawczo do kolegów.

– A ty, Rory? Idziesz z nami czy z nimi? – spytał Fletcher.

– Chyba zostanę z Genevieve. Ciekawie będzie się przekonać, co powstaje z tych wszystkich kwiatów. Moja mama zbiera je w górach i sprzedaje handlarzom pachnidła – odpowiedział Rory, zerkając kątem oka na mijające kadetów piękności.

Fletcher był pewien, że kolegę interesuje coś więcej niż sztuka wyrobu wonności. Oczywiście, nie miał mu tego za złe. Sam ledwie dwa dni temu poczuł się oszołomiony urodą wymalowanych twarzączek mieszkanki Corcillum. Atlas odszedł kawalek dalej. Fletcher uznał, że Rory, od początku niekierujący niechęci do Othella, nie chce zwiedzić zamieszkaną przez krasnoludy części miasta.

– Spotkajmy się tu za dwie godziny. Wozy w kierunku frontu odjeżdżają niemal bez przerwy, więc jeżeli ktoś się spóźni, nie czekajmy na siebie – zaproponował Othello.

Rozdzielili się. Rozpadało się na dobre, więc przyspieszyli kroku. Trzymali się blisko ścian, chroniąc się przed ulewą pod sklepowymi markizami. Ignatius siedzący w cieple, pod suchym kapturem Fletchera, zamruczał z zadowoleniem. Solomon człapał kilka stóp za nimi, z trudem nadążając na krótkich nogach. Krasnolud miał dość rozsądku, by zabrać z akademii kurtkę z kapturem, lecz w strugach deszczu golem mókł z nieszczęśliwą miną.

– Co masz do załatwienia poza kowalem i krawcem? Dobrze słyszałem, że chcesz wysłać list? – zagadnął Othello i obejrzał się przez ramię, by sprawdzić, czy nie zgubili po drodze Solomona.

Fletcher, idąc z krasnoludem przez labirynt krętych alejek, pomyślał, że znalazł idealnego przewodnika, który pomoże mu jak najwięcej wynieść z wypadu do Corcillum.

– Tak, muszę nadać wiadomość w okolice północnego frontu – odparł.

Nie chciał przesyłać listu bezpośrednio do Berdona. Bał się, że w Skórach przechwycą go Caspar bądź Didric. Wpadł na pomysł, że zaadresuje przesyłkę do Rotherhama, który mógł potajemnie przekazać ją kowalowi.

– W takim razie najłatwiej ci będzie wysłać ten list z Cytadeli. Często zatrzymują się tam wojskowi kurierzy. Co do kowala, możesz mi zaufać. Naprawdę jest najlepszym rzemieślnikiem w swym fachu. Właśnie od niego dostałem to... – Othello przystanął, otworzył skórzany worek, który niósł na ramieniu, i wydobył ze środka toporek.

Rączka została wykonana z utwardzonego w ogniu czarnego drewna i z najwyższą pieczołowitością wystrugana tak, by pasowała kształtem do dłoni krasnoluda. Ostrze było cienkie, lecz niesamowicie ostre, wprost stworzone do ataków. Z drugiej strony toporka, zamiast obucha, sterczał groźnie wyglądający szpikuliec, umożliwiający mordercze uderzenia na odlew.

– Krasnoludzki tomahawk. Każdy z nas dostaje taki z okazji piętnastych urodzin, byśmy mieli się czym bronić przez całe dorosłe życie. Pierwszy z naszych świętych starców ogłosił, że dojrzałym krasnoludom nie wolno się z nimi rozstawać ani na chwilę. Miało to miejsce dwa tysiące lat temu, w początkowym okresie rozszladowań. Nasze kobiety stale noszą na przegubach kolczaste mary, czyli nabite szpikulcami bransolety. To część naszej tradycji, dziedzictwa i religii. Teraz pewnie rozumiesz, dlaczego tak podziwiam umiejętności kowala, o którym ci wspominałem.

Fletcher nie był w stanie oderwać oczu od przepięknej broni.

– Mogę obejrzeć? – zapytał, chcąc poczuć toporek w dłoni. Pomyślał, że może mógłby zamówić identyczny dopasowaną rękojeść do swojego kopesza.

Nagle rozległ się przenikliwy dźwięk gwizdka i odgłos kroków. Dwóch pinkertonów pędziło ku kadetom co sił w nogach. W rękach ściskali pokryte ćwiekami pałki. Pistolety wymierzili prosto w twarz Othella.

– Rzuć broń! Natychmiast!

Pierwszy z pinkertonów chwycił krasnoluda za gardło, poderwał go do góry i przyparł do ceglanej ściany budynku. Był wielkim prymitywnym drabem. Pokrytą śladami po ospie paskudną twarz porastała krzaczasta czarna broda. Toporek Othella upadł z głośnym brzękiem na bruk, a on sam z trudem chwycił oddech, przyciśnięty do muru. Grube jak serdelki palce pinkertona gniotły mu krtań.

– Co wam ciągle tłumaczymy? Jakie są zasady publicznego noszenia broni? Dlaczego nie możecie sobie tego wreszcie wbić do tych tępych krasnoludzkich łbów?

– Prawo noszenia broni przysługuje wyłącznie ludziom! – dodał piskliwym tonem drugi funkcjonariusz. Był wysokim, chudym mężczyzną. Pod nosem ciemniał mu pasek cienkich wąsików, kosmyki jasnych włosów lepiły się od tłuszczu.

– Puść go! – krzyknął Fletcher, kiedy wreszcie odzyskał głos.

Podszedł do stróżów prawa. Ignatius w jednej chwili zeskoczył na ziemię i agresywnie zaszczał. Z jego pyska buchnął ostrzegawczy snop ognia.

– Zostaw go, Turner – rzucił patykowaty pinkerton na widok zagrożenia. Zastukał pałką o mur.

– Oczywiście, sierżancie Murphy, i tak zabawimy się z nim w celi – odparł potężny brutal i zwolnił chwyt.

Othello opadł na kocie łby i zaczął chrapliwie dyszeć. Turner wymierzył krasnoludowi zjadliwego kopniaka w żebra. Othello wydał z siebie zbolaty okrzyk. W tej samej chwili za plecami Fletchera poniósł się w powietrzu niezmierny ryk.

– Nie! – jęknął Othello i uniośł dłoń.

Zza rogu wyskoczył Solomon. Golem zauważył wyciągniętą rękę właściciela i zatrzymał się ledwie kilka stóp przed pinkertonem.

– Nie trzeba, Solomon. Wszystko w porządku!

Krasnolud z trudem dźwignął się na nogi, przeszedł chwiejnie za Fletchera i oparł się o ścianę.

– Nic ci nie jest? – zapytał Fletcher.

– Miewałem już z nimi mniej przyjemne przygody – zaskrzeczał Othello i poklepał gołęma po głowie.

Fletcher odwinął się na pięcie i obrzucił pinkertonów wściekłym spojrzeniem. Powoli przesunął dłoń ku rękojeści kopesza. Zbliżył się do niego Murphy i trącił go palcem w pierś.

– A ty przestań się tak krzywić! – warknął, unosząc pałką podbródek Fletchera. – Skąd w ogóle pomysł, żeby bronić krasnoluda, co? Powinieneś staranniej dobrać kompanów.

– A wy staranniej dobrać podejrzanych. Skąd pomysł, żeby aresztować oficerów królewskiej armii za noszeni broni!? Chyba nie spodziewacie się, że będziemy zabijać orków gołymi rękoma?

– Fletcher włożył w słowa więcej przekonania, niż w tym momencie czuł.

Turner kołysał pałką w tę i z powrotem.

– A kim ty jesteś, żeby mi mówić, co mogę, a czego nie? – Murphy podniósł lufę pistoletu na wysokość twarzy Fletchera.

Kuli nie zdołałby powstrzymać nawet Ignatius. Fletcher zastanowił się, jakie są szanse, by przy pierwszej próbie skutecznie osłonić się magiczną tarczą. Stwierdził, że niewielkie, i uznał,

że lepiej dostać po głowie, niż zginąć. Zmełł pod nosem przekleństwo. Odwiedził Corcillum dopiero drugi raz w życiu i ponownie spoglądał prosto w pistoletową lufę.

– Coś ty powiedział? Sierżancie Murphy, ten chłystek chyba właśnie pana obraził – odezwał się Turner i również wycelował broń we Fletchera.

– Niczego nie powiedziałem, przeklinałem swojego pecha – wydukał Fletcher. Otwory luf ciemniały przed nim niczym ślepia gotującej się do ataku żmii.

– Nie macie pojęcia, z kim zadarliście – wtrącił Othello. Wyprostował grzbiet i skrzywił się z bólu. – Lepiej opuśćcie broń i wynoście się stąd do diabła!

– Othello! Dość! – syknął Fletcher.

Krasnolud wyraźnie oszalał. Świetnie, że potrafił się postawić, ale to przecież nie w niego mierzono z dwóch pistoletów.

– Poczekajcie, aż o wszystkim dowie się jego ojciec – ciągnął krasnolud. – Lord Forsyth nie będzie zachwycony, gdy dotrze do niego wiadomość, że dwójka szeregowych pinkertonów groziła śmiercią jego dziedzicowi. – Othello rozpiął kurtkę, odsłaniając mundur.

Fletcher z całych sił starał się nie okazać lęku i zaskoczenia, lecz ryzykowna zagrywka krasnoluda zmroziła mu krew w żyłach. Tak czy inaczej było już za późno. Nagle przez twarz Murphy'ego przemknął cień wahania.

– Jesteście, rzecz jasna, świadomi, że w strefie konfliktu z elfami formowane są właśnie krasnoludzkie bataliony. Skoro więc Forsythowie muszą wcielić jednego z nich do swoich oddziałów, chcemy mieć do dyspozycji najlepszych krasnoludzkich oficerów – podjął pewnym siebie głosem Fletcher i odsunął sprzed twarzy pistolet Turnera. – Tymczasem naszego najnowszego dowódcę atakujecie za noszenie broni, którą otrzymał z rąk samego Zachariasza Forsytha. Co to za porządki? Podajcie mi swoje nazwiska. Murphy i Turner, tak?

Lufa Murphy'ego zachwytała się i po chwili powędrowała w dół.

– Nie wyrażasz się jak arystokraci – zauważył wyzywająco Murphy i zmierzzył spojrzeniem wystrzępione mankiety nogawek Fletchera. – Z pewnością inaczej też się nosisz.

– Twój mundur wyglądałby podobnie, gdybyś spędził na froncie choć chwilę. Co do akcentu, wychowałem się w otoczeniu prostych żołnierzy. Sam byś tak mówił. Nie wszyscy mogą być wymuskany mi chucherkami jak wy – rozkręcał się z każdą chwilą Fletcher.

Othello trącił go ostrzegawczo w krzyż i Fletcher nakazał sobie w duchu umiar. Nie był pewien, czy jednak nie posunął się za daleko.

– No cóż, musicie wybaczyć, ale nie mam zbyt wiele czasu. Ignatius, idziemy! – zawołał.

Nie oglądając się, ruszył ulicą przed siebie. Zza pleców doleciał go szcęk odciąganych kurków.

– Idź dalej – szepnął Othello. – Po prostu nas sprawdzają.

Fletcher maszerował krok za krokiem, wyobrażając sobie, że lada chwila pocisk wyszarpię mu w piersi wielką dziurę. Ledwie znaleźli się za zakrętem, puścili się biegiem. Tym razem gnający na krótkich nóżkach Solomon zdołał za nimi nadążyć.

– Genialne to było! – wysapał Fletcher, gdy oddalili się na bezpieczną odległość.

– Za wcześniej mi dziękujesz. Kiedy cię znowu spotkają, prawdopodobnie stłuką cię na miazgę. Mnie nie rozpoznają. W ich oczach wszystkie krasnoludy wyglądają identycznie. Ci sami pinkertonowie aresztowali mnie już dwukrotnie i nadal się nie połapali – zaświszczał Othello, trzymając się za obolały bok. – Chyba złamali mi zebro.

– Sadyistyczne osiłki! Trzeba, żebyś pokazał się lekarzowi. Mną się nie przejmuj. Miałem na sobie kaptur, a stałymi w cieniu. Jeżeli przy następnym spotkaniu nie zauważą Solomona ani Ignatiusa, to powinniśmy być bezpieczni. Musimy za to jak najszybciej nauczyć się wchłaniać demony. Tarcze też się przydadzą – zauważył Fletcher.

– Niestety, racja. Chodźmy. Do dzielnicy krasnoludów już blisko. Matka mnie opatrzy –

powiedział Othello.

Golem wydał z siebie gardłowy jęk. Nie przywykł do takiej dawki wysiłku.

– Będziesz musiał poćwiczyć. – Othello przystanął i pogładził kamienną głowę Solomona.

W miarę jak szli przez miasto, ulice stawały się coraz węższe i bardziej zaniedbane. Czyściciele jakiś czas temu przestali się zapuszczać w okolice krasnoludzkiego getta, wytyczonego przez władze w najbardziej obskurnej części Corcillum.

– Za co cię wcześniej aresztowali? – zainteresował się Fletcher, przechodząc nad śpiącym na środku alejki włóczęgą.

– Ojciec odmówił płacenia pinkertonom za ochronę. Ściągają haracz ze sklepów i warsztatów wszystkich krasnoludów, a najgorsi są właśnie ci dwaj. Za każdym razem trafiałem do celi i trzymali mnie w niej, dopóki ojciec się nie ugiął.

– To czyste szaleństwo! Dlaczego uchodzi im to płazem? – zdumiał się Fletcher.

Skarcił się w duchu, gdy Othello nie odpowiedział. Zadał wybitnie głupie pytanie.

– Czym się zajmuje twój ojciec? Może jest kowalem? Mój ojciec pracował w tym fachu – podjął, próbując naprawić błąd i przerwać niezręczne milczenie.

– Jest jednym z rzemieślników, którzy wynaleźli muszkiet – odparł z dumą krasnolud. – Odkąd posiadliśmy sekret ich wytwarzania, pinkertonowie trzymają się z dala od krasnoludzkich kowali. Niestety, nie dotyczy to reszty moich pobratymców. Rusznikarstwo stało się pierwszym krokiem naszej długiej drogi do równouprawnienia. Drugim jest zdobycie prawa do służby wojskowej. Dokończę dzieło, które zapoczątkował ojciec.

– Faktycznie. Teraz jesteś zwykłym kadetem, ale zostaniesz pierwszym krasnoludzkim oficerem w dziejach Hominum. To będzie wielkie osiągnięcie – zauważył Fletcher.

Mówił szczerze. Im dłużej myślał o krasnoludach, tym bardziej je szanował. Przyobiegał sobie, że zrobi wszystko, aby polepszyć ich położenie, i chciał działać w tym kierunku z równą determinacją jak one.

W pewnej chwili Othello wskazał palcem przed siebie.

– Witaj w dzielnicy krasnoludów.







## 27

Wysokie budynki zniknęły, zastąpione przez niezliczone szeregi dużych białych namiotów, udekorowanych haftowanymi, mieniącymi się jak w kalejdoskopie, czerwono-niebieskimi wzorami. Zamiast po bruku stąpali po sprężystej zielonej trawie. Wszystkie namioty otoczone były ślicznymi, doglądanymi z miłością ogrodami. Żywo ubarwione kwiaty posyłały w powietrze słodką woń, która przypomniła Fletcherowi zapamiętane z dzieciństwa letnie górskie łąki. Zimowe słońce, które nie musiało się tutaj przedzierać pomiędzy ścianami brudnych budynków, ogrzało mu policzki bladymi promieniami.

– Przepięknie! – Fletcher westchnął.

Nie posiadał się ze zdumienia. Kontrast był ogromny. Spodziewał się, że krasnoludzka dzielnica okaże się nędzną, zapuszczoną okolicą, przypominającą sąsiednie zakątki Corcillum.

Othello uśmiechnął się i pokuśtykał dalej, na powitanie machając ręką do krasnoludów siedzących i rozmawiających w mijanych ogrodach.

– Tu mieszkam wraz z całą rodziną. – Othello wskazał na pobliski namiot.

– Ilu was tu jest? – spytał Fletcher, starając się nie dostrzegać spojrzeń, jakimi obrzucali go niektórzy z mieszkańców dzielnicy.

– W każdym z namiotów żyje około trzydziestki krasnoludów, ale w naszym działa warsztat ojca, więc mieszka w nim tylko dwadzieścia osób. Ojciec potrzebuje sporo miejsca do pracy.

Fletcher nie do końca umiał sobie wyobrazić, jak to możliwe, by pod jednym dachem mogły mieszkać dwie dziesiątki krasnoludów. Co prawda, namioty były wielkie jak stodoły, ale żeby się pomieścić, musieliby chyba sypiać w piętrowych łóżkach.

– Przed wejściem zdejmij kaptur i buty. Wedle naszych zwyczajów, wymaga tego dobre wychowanie – poprosił Othello.

Fletcher pomógł mu zsunąć obuwie. Biedny krasnolud pobałd z bólu i nietatwo mu było się

pochylić. Kiedy przyklęknął i zaczął się mocować z grubymi węzłami sznurówek, ścieżka nadbiegła odziana w powłóczęstą szatę postać. Głośno zawodziła. Jej twarz przesłaniał różowy woal, podtrzymywany przez delikatny srebrny łańcuszek.

– Othello! Co się stało?! – zawołała płaczliwie cienkim głosem.

– Nic mi nie jest, Thaisso. Tyle że muszę wejść do środka. Lepiej, żeby nikt mnie w tym stanie nie widział. Gotowi pomyśleć, że w Akademii Vocanów źle mnie traktują, a to akurat nieprawda.

Thaissa uniosła wejściową zasłonkę i zaprosiła ich do namiotu. Co dziwne, wewnątrz wcale nie było tak ciasne i zatłoczone, jak to Fletcher sobie wyobrażał. Na środku widniała gruba metalowa rura, sięgająca niczym komin do płóciennej powały. Kiedy ujrzał w rurze kręte, prowadzące w dół schody, pojął, że krasnoludy mieszkają pod ziemią!

Thaissa, która musiała być siostrą Othella, nieprzerwanie krzątała się wokół brata. Przyniosła naręczce poduch i ułożyła je na ziemi, by mógł wygodnie spocząć.

– Mieszkacie w ślicznym domu – pochwalił Fletcher, kiedy po schodach weszła kolejna osoba.

Zanim krasnoludzka kobieta zdążyła ukryć twarz za woalem, dostrzegł rumiane policzki i błysk zielonych oczu.

– Othello! – krzyknęła głośno. – Dlaczego sprowadzasz gości bez zapowiedzi? Zobaczył mnie!

– Nic się nie stało, matko. Ludzie się chyba nie liczą. To mój przyjaciel i proszę, byście go odpowiednio traktowali. – Othello klapnął na ziemię i mocniej przycisnął dłoń do boku.

– Jesteś ranny! – zachłysnęła się kobieta i podbiegła do syna.

– Przynieście, proszę, bandaże. Znowu miałem przeprawę z posterunkowym Turnerem i sierżantem Murphym. Pobili mnie. Mam wrazenie, że złamali mi żebro. Musicie obwiązać mi tors.

Othello mówił z trudem, posapując krótkimi, rwanymi oddechami, zupełnie jakby bolało go każde poruszenie piersi. Zdjął kurtkę i mundurową bluzę. Szeroki tors i barki porastały poskręcane gęste włoski, niknące w połowie pleców. Na ramionach widniała siateczka blizn, świadectwo dawniejszych spotkań z pinkertonami. Wstrząśnięty Fletcher aż zadrżał.

Matka Othella zbiegła z powrotem na dół. Tymczasem Thaissa rękawem otarła pot z czoła rannego brata. Po chwili matka wróciła, niosąc rulonik lnu i zaczęła ciasno obwiązywać tors syna, który krzywił się przy każdym jej ruchu, ale znosił zabiegi ze stoickim spokojem. Fletcher zauważył, że na uderzonym boku wykwitł krasnoludowi czarny siniec.

– Dlaczego tak szybko wróciłeś? Ktoś już zdążył mi donieść, że pojawiłeś się w mieście – rozległ się głos od strony wejścia.

– Musiałem dać się opatrzyć, Atyllo – odpowiedział Othello. – Znowu natknąłem się na pinkertonów. Na szczęście pomógł mi Fletcher.

Do namiotu wszedł kolejny krasnolud, który wyglądał kropka w kropkę jak Othello. Obrzucił Fletchera nienawistnym spojrzeniem i pomógł obandażowanemu krasnoludowi wstać na nogi.

– Ludzie nigdy nas nie zaakceptują – rzucił szorstko Atylla. – Powinnością wynieść się z tego przekłętą miasta i założyć własne osady, gdzie daleko stąd. Zobacz, co ci przyszło z tego całego bratania się z wrogami. Wynos się stąd, człowieku! – rzucił pod adresem Fletchera. – I to szybko, zanim potraktuję cię tak jak oni jego!

Ignatius, zupełnie jakby zrozumiał słowa wściekłego krasnoluda, zeskoczył na ziemię i syknął. Z jego nozdrzy wypłynęły cienkie smużki dymu.

– Dość! Nie chcę słuchać tej twojej antyludzkiej gadaniny! – wykrzyknął Othello. – Nie pozwolę, byś u mnie w domu obrażał gości i przyjaciół. To ty musisz stąd wyjść! – Wyczerpany wybuchem zakaszał i oparł się na ramieniu Fletchera.

Atylla raz jeszcze popatrzył groźnie na gościa, po czym wyszedł szybkim krokiem z namiotu, mamrocąc pod nosem.

– Musisz mu wybaczyć. Mój brat również pomyślnie przeszedł testy inkwizytorów, ale nienawidę do twojej rasy nie pozwala mu służyć w armii Hominum nawet w charakterze bojowego maga. Obaj pragniemy dla krasnoludów wolności, lecz poza tym nie zgadzamy się w zasadzie w niczym – tłumaczył ze smutkiem Othello. – Martwię się o niego, boję się tego, co może mu strzelić do głowy. Już prawie nie pamiętam, ile razy oddawałem się w ręce władz, kiedy wysyłali za nim listy gończe. Znosiłem za niego kary. Gdyby go przyłapali i spróbowali aresztować, mógłby stawić opór, a pinkertonowie by go zabili. Co więc miałem począć? Musiałem się pod niego podszywać.

– Rozumiem. Wiesz co? Nie mogę mieć mu za złe tych uczuć po tym, co dzisiaj zobaczyłem. Mam tylko nadzieję, że pewnego dnia uda mi się sprawić, by zmienił zdanie. Nie wszyscy jesteście źli.

– Słusznie, ty jesteś w porządku. – Othello uśmiechnął się od ucha do ucha. – Z reguły staramy się trzymać Atyllę z dala od kłopotów, pracuje w kuźni z tatą. Jestem pewien, że ojciec chętnie rzuci okiem na twój miecz. Jest najlepszym kowalem w całym Hominum.

– Wynalazca muszkietu i pistoletów? Nie wątpię – odrzekł Fletcher i zaraz przypomniał sobie o dobrych manierach. – Zaproszenie do waszego domu przyjmę jak najwyższe wyróżnienie – zwrócił się do obu krasnoludzkich kobiet i pochylił głowę.

Woalka zasłaniała twarz matki Othella i nie było widać jej wyrazu, lecz po chwili skinęła głową.

– Ufam w rozsądek swojego syna i cieszę się, że znalazł w akademii przyjaciela. Obawialiśmy się, że nie będzie tam szczęśliwy. Nazywam się Briss. Bardzo mi przyjemnie.

– Othello ma w akademii wielu przyjaciół; jestem tylko jednym z nich – odparł Fletcher i poklepał krasnoluda po plecach. – Mnie również miło was poznać, to dla mnie zaszczyt, Briss, Thalisso.

– Na pewno dziwisz się naszym woalkom – odezwała się siostra Othella. Mówiła z wahaniem, nieśmiało. – Kobiety krasnoludów rzadko spotykają się z ludźmi. Może dlatego tak wielu spośród was nadal uważa, że nosimy brody i nie sposób nas odróżnić od mężczyzn! – zachichotała.

Nawet Briss zaniosła się czystym, dźwięcznym śmiechem.

– Tak, muszę przyznać, że właśnie się nad tym zastanawiałem. Dlaczego je nosicie? Jeśli to nie jest zbyt natrętne pytanie? – zaciekawiał się Fletcher.

– Ależ skąd. Żadna tajemnica. Zasłaniamy twarze, by mężczyźni żenili się z nami z miłości, a nie z czystego pożądania – wyjaśniła Briss. – Małżonkowie mogą nas obejrzeć dopiero w noc poślubną, więc wcześniej zakochują się w naszych duszach i charakterach, nie w powabnym wyglądzie. Woalka stanowi również oznakę skromności i potrzeby zachowania intymności. Nie chcemy wszystkim dokoła świecić w oczy urodą. Zachowujemy ten przywilej dla mężów...

– Skoro mowa o mężach. Muszę zaprowadzić Fletchera do ojca – wtrącił Othello, zmieszany otwartością i szczerością matki. – Chodźmy, Fletcher. Warsztat jest na dole.





## 28

Schody sprowadziły ich do przestronnej, okrągłej sali, dorównującej wielkością namiotowi stojącemu powyżej. W umieszczonej centralnie rurze płonął wesoły, chroniony żelazną kratą ogień. Bijące z dołu gorące podmuchy podrywały roztańczone iskry w powietrze. Ściany z utwardzonej ziemi podparte były solidnymi dębowymi belkami. Pod sufitem wisiały niewielkie kandelabry, na których migotały woskowe świece, zalewające pomieszczenie ciepłą żółtawą poświatą. Fletcher zauważył siedem par drzwi wykutych z grubej stali. Zeszli jeszcze niżej i znaleźli się w niemal identycznej podziemnej komnacie, w której stał kamienny stół. Zamiast metalowego kominka zainstalowano tu spory piec. Pod ścianami piętrzyły się stosy garnków i dzbanów wszelkich możliwych rozmiarów. Naczynia ozdobione były pieczołowicie wymalowanymi, delikatnymi roślinnymi deseniami.

– Matka najczęściej przesiaduje właśnie tutaj. Uwielbia piec i wypalać ceramikę. Co tydzień odwiedza nas sklepikarz, który kupuje od niej te naczynia. Ludzkie gospodynie niechętnie zaopatrują się u krasnoludów, więc handlarz udaje, że produkuje je własnoręcznie. Nieźle na tym zarabiamy – pochwalił się Othello.

Fletcher nie mógł wyjść z podziwu nad tempem, z jakim kolega wracał do formy. Krasnoludy były niezwykle odporną rasą, tego był pewien.

Schodzili pod ziemię coraz niżej i niżej. Kręte schody stopniowo się zwężały. Fletcher pomyślał, że to dobrze, iż Solomon wybrał odpoczynek w towarzystwie Briss i Thaissy. Krótkonogi demon nie poradziłby sobie w tak ciasnym i stromym przejściu. Minęli dwie następne salki. Każda kolejna była mniejsza od poprzedniej. Pierwszą, o ścianach i posadzce wyłożonej kamiennymi płytami, wypełniały kłęby pary. Fletcher zauważył też mosiężne rury, wijące się

wokół centralnego słupa. Najwyraźniej trafili do łaźni.

W pokoju poniżej było zbyt ciemno, by mógł dużo zobaczyć, ale wyłowił z mroku zarysy pik i mieczy. Prawdopodobnie ojciec Othella składował tu wytwarzaną przez siebie broń. Schody były w tym miejscu tak strome, iż Fletcher musiał bez mała iść jak po drabinie, co w półmroku nie było łatwym zadaniem.

– Przepraszam cię za te schody. Wiesz, zaprojektowano je z myślą o obronie. Skręcają w prawo, żeby ewentualni napastnicy musieli trzymać miecze w lewej dłoni, w dodatku pojedynczo. Samotny krasnolud dałby radę powstrzymać tutaj tysięczną armię przeciwników, pod warunkiem że miałyby w sobie ducha walki. – Othello postukał knykciami w biegnącą pośrodku stopni kolumnę, uniemożliwiającą praworęcznym wojownikom zadawanie skutecznych ciosów.

Metal zadzwonił głucho i Fletcherowi wydawało się, że słyszy szum płynącego wewnątrz gorącego powietrza.

– Czy krasnoludy zawsze budowały domy w ten sposób? – zapytał, czując narastającą klaustrofobię.

Powała zwieszała się tak nisko, że co chwila muskała ją głową. Dla nawykłego do otwartego nieba i górskich szczytów chłopaka podziemna wędrówka nie stanowiła przyjemnego przeżycia.

– Odkąd sięgamy pamięcią. Podejrzewa się, że początkowo były to tylko schrony wykorzystywane w razie napaści orków lub dzikich zwierząt, ale wkrótce zaczęliśmy w nich także nocować. Pod ziemią panuje cisza i spokój... Przyznam się, że w akademii, na szczycie wieży, mam kłopoty z zaśnięciem. Bez przerwy wyje wiatr.

– Tak... Mnie też przeszkadza. – Fletcher przypomniał sobie postać, którą zauważył wczorajszej nocy na moście.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Othello, gdy znaleźli się u stóp schodów. Stanęli przed stalowymi drzwiami, wbudowanymi w skalną ścianę. – Nawet gdyby wrogowie dotarli tutaj podkopem, musieliby się przebić przez ten kamień. A to naturalne podziemne skały. Ojciec traktuje prywatność bardzo poważnie. Takich pomieszczeń jest wiele. Znajdują się w nich manufaktury i rusznikarnie, w których powstają muszkiety. To miejsce jest jednak szczególnie. Pierwszy na świecie muszkiet został skonstruowany właśnie za tymi drzwiami.

Zastukał w metal pięścią, wybijając swoisty rytm, zapewne umówiony tajny sygnał. Po kilku sekundach zagrzechały otwierane zamki. Zza drzwi wyjrzało znajome oblicze.

– Athol! – zawołał Fletcher i uśmiechnął się do krasnoluda. – Pracujesz w kuźni z ojcem Othella? Jest twoim szefem? Powinienem był się domyślić, do dziś pamiętam te piękne pistolety.

– Co ty tu robisz? – skonsternowany Athol obrzucił chłopaka zdumionym spojrzeniem. – I to z Othellem?

– To mój przyjaciel. Studiujemy razem w Akademii Vocabów. – Othello przepchnął się przez drzwi. – Chcę go przedstawić ojcu.

– Uhtred jest w tej chwili zajęty. Lepiej by było, gdybyś przyszedł kiedy indziej – rzekł ostrzegawczo Athol. – Fletcher, zaczekaj tutaj. Nie wydaje mi się, żeby pozwolił ci wejść do środka.

Krasnoludy zniknęły w warsztacie. Fletcher zerknął przez uchylone drzwi. Pomieszczenie wypełnione było narzędziami i sztabami żelaza. W przeciwieństwie do kuźni Berdona, tutaj panował obsesyjny wręcz porządek, wszystko leżało na swoim miejscu. Z sąsiedniego pomieszczenia buchał żar i Fletcher poczuł się tak, jakby przysunął twarz do ogniska. Tuż poza zasięgiem jego spojrzeń rozległy się dźwięki prowadzonej półgłosem rozmowy, lecz poszczególne słowa ginęły w nieustającym ryku płomieni paleniska.

– Co?! – zagrzmiało po chwili donośnie. – Tutaj?!

W kuźni poniosło się echo ciężkich kroków i po chwili przed Fletcherem stanął ojciec Othella. Krasnolud miał obnażony tors, niesamowicie szeroki. Krzepkie bary całkowicie przesłoniły wnętrze warsztatu. Ruda broda rozchodziła się na dwa grube, spływające aż po pas warkocz. Długie, obwisłe wąsy sięgały prawie brzucha. Na gęstych niczym zwierzęca sierść włosach na piersi połyskiwały kropelki potu.

– Athol twierdzi, że parę dni temu pytałeś o pracę w kuźni. Podobno chciałeś zostać moim uczniem? – Głęboki, tubalny głos Uhtreda odbił się echem od ścian ciasnej klatki schodowej. – W dodatku próbujesz się pokumać z moim synem i namawiasz go, by pokazał ci pracownię. Nie ufam ci ani trochę.

Ignatius wyczuł zagrożenie i poruszył się niespokojnie pod kapturem. Urażony insynuacją kowala, Fletcher cofnął się o kilka kroków, chociaż rozumiał, że krasnoludowi sytuacja mogła się wydawać co najmniej podejrzana.

– Przysięgam, że nie przychodzę do ciebie w złych zamiarach. Kiedy mieszkałem na północy, uczyłem się u kowala. Do Corcillum przyjechałem bardzo niedawno i u Athola szukałem po prostu pracy. A Othella poznałem dopiero w akademii – jestem kadetem jak on. Powiedziałem twojemu synowi, że potrzebuję nowej pochwy na miecz i on sam zaproponował, że zaprowadzi mnie do sprawdzonego kowala. Nawet o tym, że Othello pochodzi z kowalskiego rodu dowiedziałem się ledwie przed chwilą. Nie miałem też pojęcia, że pracuje tu Athol. Lepiej wróć na górę. Najmocniej przepraszam. Nie chciałem przeszkadzać. – Fletcher uklonił się, odwrócił i ruszył w stronę schodów. Nie uszedł jednak dwóch kroków, gdy powstrzymało go chrząknięcie Uhtreda.

– Cóż, być może zachowałem się trochę... pochopnie. Mój syn dobrze zna się na ludziach, podobnie jak Athol. Najpierw jednak muszę cię sprawdzić, przekonać się, czy nie kłamiesz i rzeczywiście terminowałeś u kowala. Athol! – Krasnolud zająrzył do kuźni. – Schowaj wszystkie rusznikarskie przybory i przynieś Fletcherowi jakiś mniejszy młot. Jeżeli jest szpiegiem, najlepiej zdemaskować go od razu. Tymczasem pokaż mi ten swój miecz. Od dawna nie widziałem porządnie wykonanego kopesza.

Fletcher wyciągnął miecz i podał go Uhtredowi. W mocnych dłoniach krasnoluda ostrze wydawało się maleńkie jak sierp do strzyżenia ogrodowych kwiatków, wcale nie sprawiało wrażenia morderczej broni. Kowal mierzył sobie nieco ponad pięć stóp i wśród pobratymców był praktycznie olbrzymem.

– Musisz bardziej o niego dbać. Kiedy ostatnim razem oliwiłeś klingę? Ostrzyłeś też pewnie dawno? – spytał Uhtred, oglądając kopesz pod rozmaitymi kątami w nikłym świetle, sączącym się zza drzwi. – Miecz to takie samo narzędzie jak wszystkie inne. Jeżeli okaże się, że mówisz prawdę, podaruję ci odpowiednio natłuszczoną szmatkę i będziesz mógł owinąć nią ostrze, póki nie zrobisz ci pochwy. Broń trzeba szanować, chłopcze! Swojego demona chyba karmisz, co?

– Faktycznie ostatnio trochę zaniedbałem miecz – przyznał ze wstydem Fletcher.

Odkąd otrzymał kopesz, prawie wcale o nim nie myślał. A miał go w dłoni tylko podczas pojedynku z sir Caulderem. Uklucie wyrzutów sumienia poczuł również, gdy uświadomił sobie, że Berdon musiał poświęcić na wykucie tak wspaniałego ostrza mnóstwo czasu i wysiłku.

– No dobrze, Athol powinien być już gotowy – podjął Uhtred i przepuścił Fletchera w drzwiach. – Zobaczmy, na co cię stać.





## 29

Leżący na kowadle kawałek metalu, jeszcze przed chwilą rozżarzony do czerwoności, po raz kolejny z wolna poszarzał. Za każdym razem, kiedy Fletcher wyciągał sztabę z huczącego paleniska, materiał stygł po kilku pierwszych uderzeniach młota. Co prawda, udało mu się wykuć kształt z grubsza przypominający płaską łopatkę, lecz za żadne skarby nie chciała się przeobrazić w upragniony sztylet.

– Ha, to właśnie krasnoludzka stal! – stwierdził Othello z nutą współczucia w głosie. – Jest bardzo twarda i daje się ostrzyć lepiej niż jakiegokolwiek znane ludziom metale, lecz błyskawicznie wytraca temperaturę. Musiałbyś mieć krzepę krasnoluda, żeby cokolwiek z niej zrobić, inaczej zastygnie i po wszystkim.

– Cóż, Fletcher, ta próba nie była do końca uczciwa – podjął z sympatią Uhtred. – Od początku wiedziałem, że sobie nie poradzisz. Athol, przynieś z zaplecza trochę surówki.

– Przynajmniej dowiedzieliśmy się, że chłopak nie ma pojęcia, jak wygląda nasza stal. Było to widać nawet po minie – zauważył Athol. – Wojskowi nie przystaliby tu niewyszkolonego szpiega. Sprawdzmy jeszcze, czy rzeczywiście zdobył jakieś doświadczenie w kuźni.

– Chwilkę – uciął Fletcher, któremu przyszedł do głowy pewien pomysł. – Poradzę sobie.

Zdjął z barków Ignatiusa i zbudził go lekkim szturchnięciem. Salamandra ziewnęła i jak pies podrapała się tylną łapą za uchem. Chłopak z uśmiechem odczekał, by podopieczny wybudził się na dobre.

– Pora na chwilę wysiłku, leniwa kreaturo – rzucił wesoło Fletcher.

Skupił się na kawałku stali, wyobraził sobie, że metal jarzy się czerwono. Ignatius radośnie zaświergotał, zaczerpnął głęboki haust powietrza i zionął gorącym płomieniem, zakończonym pasemkami błękitu. Niedokończony sztylet, powoli, lecz nieubłaganie zaświecił pomarańczowym blaskiem. Wreszcie stał się różowy.

– Rany! Przydałby mi się taki... – rzekł z westchnieniem zachwycony Uhtred, spoglądając na Ignatiusa.

Demon wciągnął w płuca kolejną porcję powietrza. Z jego pyska ponownie buchnął snop ognia. Sztabka oblekła się niemal bielą. Podziemną kuźnię wypełniła wściekle gryząca woń siarki.

Fletcher chwycił za młot i zaczął kuć z zapalem. Ostrze z każdym uderzeniem nabierało kształtu i w pewnym momencie Fletcher uspokoił myślą Ignatiusa. Wyczerpane, wyzute z energii stworzenie wpadło pod kaptur, a i on również był wycieńczony, do zmęczonego gwałtownymi zamachami ramienia zakradł się ból.

Uhtred sięgnął po żelazne szczypce i podniósł sztylet do światła. Metalową rękkość wieńczyła kulista głowica, rączkę wystarczyło już tylko owinąć w umożliwiający pewny chwyt skórę. Samo ostrze było proste i cienkie. Zwykle tego rodzaju sztyletami posługiwali się zawodowi zabójcy.

– Gdzie się tego nauczył? – spytał Othello, ostrożnie próbując opuszką palca czubek sztyletu. – To nie jest zabawka dla szeregowego żołdaka.

– Handlowaliśmy przede wszystkim z kupcami, którzy potrzebują broni łatwej do ukrycia. Dzięki temu mogą wziąć przydrożnych zbójców z zaskoczenia – wyjaśnił Fletcher, podziwiając własne dzieło. Już dawno nie wykuł tak udanego ostrza.

– Cóż, chłopcze, jesteś wolny. I tak niewiele tu zobaczyłeś. Pochwę zrobię ci w prezencie w ramach przeprosin za nieuprzejmość. Miecz będziesz musiał na razie zostawić u mnie, ale odeślę ci go już za kilka dni. Żona załatwi też dla ciebie nowy mundur. Może nie skrojony na miarę, ale zdecydowanie lepszy od tej przeżartej przez mole szmaty, którą nosisz na grzbiecie – powiedział Uhtred i dodał z uśmiechem: – Bez urazy, ale nie chcę, żeby w mieście gadali, że mój syn włóczy się z jakimiś obdartusami.

– A ile będę winien za uniform? – Fletcher sięgnął po sakiewkę.

– Wystarczy mi ten sztylet i zapewnienie, że zaopiekujesz się moim chłopakiem. Nieczęsto spotyka się takich ludzi jak ty. Dzięki wam nabieram nadziei na pojednanie ludzi z krasnoludami – stwierdził kowal.

Kiedy dotarli na umówione miejsce spotkania, ponownie rozpadł się deszcz. Co gorsza, po kolegach nie było śladu. Zziębnięci, rozdzygotani stanęli w wąskich drzwiach budynku i zaczęli się zastanawiać, co począć.

– Przekłeta ulewa! – mruknął Othello i kopnął w ścianę.

Był w paskudnym nastroju, i to nie tylko z powodu obmierzłej pogody oraz marnych widoków na wygodny powrót do akademii. Uciekając w popłochu przed pinkertonami, obaj na śmierć zapomnieli o porzuconym na bruku tomahawku. Gdy przechodzili tamtędy w drodze powrotnej, toporka już nie było.

– I przekłeci pinkertonowie! Bok mam sztywny jak żelazny pręt, a na domiar złego zgubiłem jedno z najlepszych dzieł ojca – dodał, mrużąc oczy w strugach wody.

Powoli ulewa zmieniała się w istny potop.

– Przykro mi, Othello. Jestem pewien, że ojciec podaruje ci następny. – Fletcher spróbował pocieszyć kolegę.

– Tak? A jak ty byś się poczuł, gdybyś stracił swój kopesz? – rzucił gorzko krasnolud i wyszedł na ulicę.

Fletcher nie wiedział, co powiedzieć, więc nie odezwał się słowem. Ruszył za przybitym kolegą przez zalane potokami deszczu miasto. Mimo że obaj mieli na sobie kurtki, przemarli na kość. Stało się jasne, że do akademii powrócą markotni i zziębnięci.

– Moim zdaniem powinniśmy poszukać jakiegoś wozu na placu Valentiusa! – Othello usiłował przekrzyknąć huk grzmotu. – W tamtej okolicy działa większość miejskich stajni!



– Dobra, chodźmy! Wszystko, byle nie stać w miejscu! – odpowiedział równie donośnie Fletcher, zerkając na kłębiące się na niebie chmury.

Puścili się biegiem przez puste aleje, rozchlapując kałuże. Co kilka sekund wszystko wydawało się zastygać w jaskrawym świetle błyskawic, raz za razem trzaskały ogłuszające gromy.

– Pioruny biją blisko! Znosi się na prawdziwą nawałnicę! – zawołał Fletcher. Wyjący wiatr prawie natychmiast porwał jego słowa.

– Jesteśmy już prawie na miejscu! – wykrzyknął krasnolud.

Skrećili w niewielki placyk nakryty okazałą markizą, powstrzymującą siekące z nieba krople. Pod jej osłoną tłum ludzi, kryjący się przed burzą, słuchał mężczyzny przemawiającego na prowizorycznym podium. Nieznajomy krzyczał z przejęciem, lecz Fletcher był zanadto zmęczony, by go zwrócić na niego baczną uwagę.

– Tutaj odbywają się zwykle aukcje koni. Mówię na wypadek, gdybyś chciał mi kiedyś zrobić prezent – zażartował Othello, wyżymając brodę.

– Chyba jakiegoś spasionego kucyka. Z innym nie dałbyś sobie rady – odparł wesoło Fletcher, zadowolony, że krasnolud był w lepszym nastroju.

Rozglądając się za wolnym powozem, mimowolnie wyłowił ostatnie słowa wzburzonego mówcy.

– ...a mimo to elfy przeciągają wojnę, przez co obie krainy tracą znacznie więcej pieniędzy, niż warte są zaległe daniny! Niestety, nasz król negocjuje pokój, zamiast ruszyć do zdecydowanego ataku. Nie odkrył prawdziwych zamiarów elfów. Im zależy na tym, byśmy przegrali wojnę na południu. Nie rozumiecie tego? Po upadku Hominum nikt im nie przeszkodzi w zagrabieniu naszych ziem! Orkowie wcale ich nie chcą, im wystarczy, że nas wymordują. Gdy aleje Corcillum spłyną już ludzką krwią, elfy odtańczą na naszych grobach zwycięski taniec!

Zaciśnięte pięści strzeliły pod niebo. Rozległy się okrzyki aprobaty. Fletcher zapomniał o powrocie do Cytadeli i skupił się na mówcy. Wcześniej nie słyszał, by ktokolwiek tak otwarcie występował przeciwko królowi. Podobnie nie spotkał się z tak gorącą nienawiścią wobec elfów. Nawet Rotherham nie był tak zapiekły.

– Co w tej sprawie pocniemy? Jak mamy wymusić na królu bardziej zdecydowane działania? Powiem wam! Pomaszterujmy na ambasadę tych spiczastouchych drani i wybijmy ich do nogi! – wykrzyczał wściekle prowodyr.

Tym razem zebrani zareagowali z mniejszym entuzjazmem. Propozycja mówcy okazała się zbyt odważna i w tłumie zapanowała głucha cisza, zmącona jedynie kilkoma zmieszonymi pomrukami. Stojący na podium mężczyzna podniósł dłoń, jakby potrzebował kogokolwiek dodatkowo uspokajać.

– Wiem, że pierwszy krok zawsze jest najtrudniejszy, wykonajmy go więc wspólnie! Wykorzystajmy nadarżającą się okazję! – zagrmiał i kilkoro słuchaczy znów zareagowało okrzykami poparcia. Omamiony zręczną przemową tłum przechylił się na stronę wicherzyciela. – Nie spieszymy się! Najpierw wam pokażę, jak się to robi! Grindle, przyprowadź więźnia!

Łysy, opasły mężczyzna o ramionach grubych jak ręce Othella wyszedł z otwartych za podium drzwi. Ciągnął ze sobą wrzeszczącą przeraźliwie elfkę. Podprowadził ją na skraj podwyższenia.

Nawet ze swego miejsca na obrzeżach placu Fletcher natychmiast rozpoznał szamocącą się istotę.

– Sylva! – zawołał.





## 30

Podkscytowany tłum zafalował. Ludzie byli zarazem oburzeni i rozgorączkowani. Tłuszcioch na podium uniósł z rozmachem maczugę, co wywołało kolejne okrzyki. Fletcher zaczął się przepychać na czoło zgromadzenia, lecz powstrzymał go Othello.

– Zostaw! – warknął Fletcher, mocując się z żelaznym uściskiem krasnoluda.

– Nie mamy przy sobie broni, musimy sprowadzić pomoc! – zawołał Othello.

– Niby kogo? Pinkertonów? Jeżeli nie zrobimy czegoś natychmiast, to zabiją Sylwę!

Fletcher wyrwał się koledze i pobiegł w tłum. Mimo że z całych sił rozpychał się łokciami, ciżba w pobliżu sceny okazała się zanadto zbita. Po chwili uwiązał w masie napierających ciał. Głowy stojących przed nim ludzi przesłoniły mu niemal cały widok.

– Elfy rozzuchwaliły się do tego stopnia, że w biały dzień spacerują po ulicach naszego miasta! A przecież toczymy z nimi wojnę! – wołał z podwyższenia mężczyzna. – Grindle, dawaj ją tutaj! Niech się wszyscy przekonają, co spotyka elfy, które nie rozumieją, gdzie ich miejsce.

W tłumie znów rozległy się okrzyki. Jedni popierali prowokatora, inni stanowczo mu się sprzeciwiali. Wśród zgromadzonych dało się wyczuć iskrzące napięcie. W tym momencie zajaśniała błyskawica, ukazując w białym świetle rozwrzeszczane twarze. Słońce niemal już zaszło, zimowe niebo zasnuł ciemny błękit wieczoru.

– Co się dzieje? – zawołał zza pleców Fletchera Othello.

Raz po raz podskakiwał, próbując rozeznaczyć się w sytuacji. Solomon przykucnął między jego nogami i pomrukiwał groźnie, spoglądając na ochlapujące go mokrym błotem nogi sąsiadów.

– Nie wiem. Musimy się jakoś przebić! – wykrzyknął Fletcher.

Huk niemilknących grzmotów mieszał się z gniewnymi wołaniami i bębnieniem deszczu o płócienny dach markizy. Najgłośniejszy jednak był głos Sylwy – przeciągły skowyt bezrozumnego przerażenia, z każdą sekundą bardziej raniący serce Fletchera. Rozdrażniony,

zacinął szczęki i naparł ponownie, lecz udało mu się zyskać ledwie kilka kolejnych cali.

– Othello, niech Solomon narobi hałasu! Skoro nie damy rady się precyznąć, musimy ich rozproszyć! – wydarł się Fletcher.

Po chwili rozległ się potężny ryk, głęboki basowy warkot, kojarzący się Fletcherowi z głosem górskiego niedźwiedzia. Otaczający ich ludzie odwrócili się i odskoczyli do tyłu, zostawiając kilka stóp wolnej przestrzeni.

– Ignatius! – zawołał Fletcher, jednocześnie myślą przywołując demona.

Stworzenie zionęło szerokim strumieniem ognia, płosząc resztę gapiów, dzięki czemu zyskali jeszcze więcej przestrzeni. Mając przed sobą wolną drogę, wskoczyli czym prędzej na schodki i wbiegli na podwyższenie.

Fletcher jednym spojrzeniem ocenił sytuację. Głowa Sylvy leżała na pieńku, przytrzymywana przez klęczącego obok wściekłego mówcę. Grindle stał z uniesioną maczugą w rękach, gotów do dzieła. Biedna elfka miała zawiązane oczy – nawet nie wiedziała, co może się za chwilę stać.

Ignatius zareagował instynktownie. Wypluł z siebie kłęb płomieni, który trafił tłuszciocha w bark i zwałił go z nóg. Gdy ciężkie ciało gruchnęło o deski, nadbiegł Othello. Kopnął przewodryra w głowę. Trzasnęła i mężczyzna padł bez przytomności.

Do krasnoluda zbliżyło się trzech przeciwników. Wymachiwali pałkami przypominającymi te noszone przez pinkertonów. Od jednego z nich Othello dostał w twarz i runął niczym marionetka, której ktoś przeciął sznurki. Zanim napastnik zdołał wymierzyć drugi cios, Solomon zdzielił go kamienną pięścią w nogę. Rozległ się obrzydliwy chrobot i kolano mężczyzny wygięło się pod nienaturalnym kątem. Golem wspiął się na pierś leżącego i zaczął miarowo podskakiwać. Fletcher usłyszał chrobot łamanych żeber i zrobiło mu się niedobrze.

Pozostałych dwóch osiłków podeszło jeszcze bliżej. Kołysali trzymanymi pałkami z widoczną już na pierwszy rzut oka wprawą. Fletcher pobladł i wykonał taneczny unik w tył, próbując zyskać więcej czasu. Z żalem pomyślał o pozostawionym w akademii łuku. Czekala go niełatwa przeprawa.

– No dobra, Ignatius. Bierz ich! – rzucił.

Demon energicznie zerwał się z jego ramienia. Zmienił się w istny cyklon pazurów i ognia. Wskoczył na twarz najbliższego z wrogów i zasyczał. Cienki kolec na jego ogonie dźgał rytmicznie jak żądło skorpionia. Zanim towarzysz zaatakowanego zdołał cokolwiek zrobić, nadszedł Fletcher. Widząc zmierzającą ku sobie pałkę, wypuścił z dłoni jaskrawy błękitny dziwnoblask, po czym kopnął osłepionego napastnika w kroczce, a gdy przeciwnik zgiął się w pół, doprawił uderzeniem kolana w nos. Rotherham miał rację. Zasady są dla dobrze urodzonych. Tymczasem Ignatius rozszarpał swojej ofierze twarz. Leżący człowiek związał się i jęczał, a wniebowzięta salamandra chleptała ciepłą krew. Nie przypominała już sympatycznego szczeniaczka. Niewinność zniknęła bez śladu.

Związana jak indyk do pieczenia Sylva dziko szamotała się na deskach. Solomon zawodził, tuląc kamienną twarz do brody ogłuszonego Othella. Fletcher zerwał opaskę z oczu elfki i zaczął rozplątywać jej więzy skostniałymi z zimna palcami. Wilgotne sznury nabrzmiały, lecz po chwili dały za wygraną. Tłum widzów przyglądał się temu wszystkiemu, jakby Fletcher grał na teatralnej scenie.

– Zdejmij to ze mnie! Zdejmij! – wrzeszczała Sylva.

W jej oczach widać było same białka. Jak to możliwe, że wplątała się w taką aferę? Ostatnim razem widział ją w Akademii Vocabonów, w towarzystwie Isadory. Nagle bok jego głowy eksplodował bólem i Fletcher przewrócił się na plecy, widząc nad sobą biel płóciennego dachu. Zaraz potem zamajaczyła mu przed oczyma obrzydliwa łysa głowa Grindle'a. Maczuga ponownie uniosła się do ciosu. Prymitywna, krzywa i pokryta grubymi wypustkami broń

wyglądała jak z grubsza tylko ociosany konar.

– Zdradziłeś swoją rasę! – syknął Grindle.

Strzępki zwęglonego rękawa kleiły mu się do skóry poparzonego ramienia. Wolną ręką trzymał za szyję Ignatiusa, zupełnie jak przyniesionego od rzeźnika kurczaka. Szpikulec demona nadal tkwił w obwisłym mięśniu Grindle'a. Fletcher z nadzieją zauważył, że Ignatius nadyma pierś, lecz z jego nozdrzy popłynęła tylko cienka smuga dymu. Tłuścioch unieruchomił Fletchera, przyciskając mu szyję butem i zamierzył się maczugą. Chłopak zamknął oczy i pomodlił się o to, by śmierć nadeszła szybko. Usłyszał krzyk, po czym coś głucho stuknęło. Na jego pierś zwałił się jakiś ciężar, pozbawiając go tchu. Otworzył oczy i zobaczył Sylwę trzymającą w rękach zakrwawioną pałkę. Doleciał go dobywający się z gardła grubasa bulgot. Naprężył się i spróbował zrzucić z siebie ciało, lecz z równym powodzeniem mógłby próbować dźwignąć w pojedynkę drzewo.

– Nie mogę oddychać – wyrzucił z siebie, zużywając resztki powietrza.

Sylva przyklekła i naparła z całych sił, ale i ona niewiele wskórała. Grindle ledwie drgnął. Fletcher słyszał w uszach własny paniczny i nierówny puls. Pociemniało mu w oczach. Świszczał chrapliwie, próbując zaczerpnąć choć drobny łyk powietrza. Nagle obok pojawił się Othello. Krasnolud chwiał się na nogach, policzek spływał mu krwią. Wspólnym wysiłkiem odrzucili z elfką nieruchomego tłuściocha i Fletcher zdołał wreszcie odetchnąć. Polykane potężnymi haustami powietrze wydało mu się słodsze od miodu.

– Potwory! – rzuciła Sylva i splunęła w stronę milczącego zbiegowiska pod sceną.

– Wyośmy się stąd – zasugerował Othello, przyglądając się gapiom z niesmakiem.

Pomogli Fletcherowi wstać, po czym zataczając się niczym troje pijaków, zeszli po schodkach. Przy każdym kroku potykali się, kilka razy niemal upadli. Tym razem motloch bojaźliwie rozstąpił się przed nimi.

Z wolna ruszyli przez opustoszałe ulice. Zalewały ich kolejne fale deszczu, niesione to wzmagającymi się, to cichnącymi powiewami wiatru. Othello znał drogę. Poprowadził ich wąskimi alejkami, bocznymi zaułkami, aż wreszcie wyszli na główny trakt, którym wjechali do Corcillum. Nikt z trojga kadetów nie miał pojęcia, czy ktokolwiek ich śledzi. Lada moment miał zapaść zmrok, ale ze względu na towarzystwo Sylvy o spędzeniu nocy w karczmie nie mogli nawet marzyć. Poszli więc przed siebie. Po dwóch godzinach wędrówki nadal nie natknęli się na ani jeden wóz czy karetę.

Elfka miała na sobie jedynie jedwabną sukienkę. Porywacze odebrali jej też buty. Targały nią dreszcze tak gwałtowne, że ledwie była w stanie włożyć kurtkę, którą Fletcher zdjął z własnego grzbietu.

– Zatrzymajmy się tu. Musimy odpocząć! – Fletcher przekrzyczał szum wichru i ulewy.

Othello potaknął skinieniem głowy, która przy tym ruchu opadła mu na piersi, ale wyczerpanie nie pozwoliło mu jej podnieść. Cera krasnoluda przybrała ziemisty odcień, a po twarzy spływały mu strumyki zabarwionej czerwieni wody. Rana na jego głowie zamokła na deszczu i krew nie zaczęła jeszcze krzepnąć.

Po obu stronach drogi rozciągały się pola kukurydzy, wśród której kilkaset kroków w prawo Fletcher dostrzegł drewniany dach, wystający ponad zielone łądugi.

– Chodźcie! – zawołał i sprowadził przyjaciół ze szlaku.

Zaczęli przeciskać się między grubymi łądugami, deptąc po drodze niższe sztywne roślinki. Na czele szedł Solomon, zdeterminowany, by jak najszybciej znaleźć swemu panu schronienie. Budynek okazał się dawno opuszczoną starą szopą. W pierwszej chwili Fletcher zmarkotniał. Drzwi blokował zardzewiały łańcuch, jednak golem rozprawił się z nim jednym uderzeniem pięści.

Wnętrze okazało się wilgotne i zagrzybione. Pod ścianami stały przegniłe beczki z mąką. Cieszyli się jednak jak wariaci, przynajmniej ulewa nie siekła ich już po twarzach.

Sylva i krasnolud osunęli się na podłogę i wtulili w siebie, by choć trochę się rozgrzać. Fletcher zatrzasnął drzwi i również padł. Nie tak wyobrażał sobie wycieczkę do Corcillum.

– Nie martwcie się, zaraz się rozgrzejemy. Ignatius, na dół!

Demon zeskoczył na podłogę i z nieszczęśliwą miną popatrzył na Fletchera. Na szyi stworzenia ciemniał szkarłatny ślad, pamiątka po uścisku paluchów Grindle'a. Nadął się i dmuchnął, lecz cienki płomyk zdołał jedynie oświetlić wnętrze szopy, tonące w niemal nieprzeniknionym mroku. Ostatnie wieczorne promyki sączyły się do środka przez szczeliny między deskami ścian, którymi dostawały się pod dach również lodowate powiewy wiatru. Musiał istnieć jakiś inny sposób. Fletcher uświadomił sobie, że jeśli nie wymyśli czegoś natychmiast, grozi im śmierć z wyziębienia.

Solomon głucho warknął i zabrał się za rozbijanie stojących dokoła beczek. Dłonie golema przypominały kamienne rękawiczki z jednym palcem, lecz właśnie ten kciuk pozwalał mu całkiem zręcznie łamać zbutwiałe deszczułki, które wyrzucał bezładnie na środek pomieszczenia.

– Daj spokój, Solomon, tracisz tylko energię – szepnął Othello.

Golem zamarł i ryknął przepraszająco. Warknął raz jeszcze i skinął krótką ręką na beczki.

– No dobrze, już dobrze – mruknął zrezygnowany krasnolud i wzruszył ramionami.

Solomon wrócił do przerwanej pracy, tym razem pracował bardziej metodycznie.

– Co on, u licha, wyprawia?

– Układa opał na ognisko! Prędko! Zanim Sylva wymarznie na dobre! – rzucił Fletcher.

Elfka wciąż gwałtownie dygotała. Siedziała skulona z kolanami pod brodą. Fletcher nawet nie potrafił sobie wyobrazić, ile dzisiejszy dzień musiał ją kosztować. Koniuszki przemarzniętych na silnym wietrze spiczastych uszu dziewczyny nabrały czerwonego odcienia.

Po chwili na podłodze piętrzył się wysoki stos drewna, choć większość potrzaskanych beczek Fletcher zachował na później. Solomon mocnymi uderzeniami połamał parę desek na drobne drzazgi, które miały posłużyć za rozpałkę. Ignatius zionął kilka razy słabym płomieniem, ale nagle ognisko ożyło, a szopę wypełniło ciepłe światło. Dym unosił się ku górze i wypływał szparami w rogach sufitu. Dokoła rozeszła się niezbyt przyjemna woń palonej pleśni, lecz ziąb wkrótce opuścił ich kości, a przemoczone ubrania zaczęły powoli wysychać. Mimo to zanosilo się na bardzo długą i ciężką noc.





## 31

Fletcher drgnął i rozejrzał się. Othello z posępną miną grzebał patykiem w żarze. Siedział z odsłoniętą piersią, koszula i kurtka schły przy ognisku.

– Chyba się zdrzemnąłem. Długo spałem? – zapytał Fletcher i usiadł.

Wilgotne ubranie nadal lepilo mu się do ciała, ale nie chciał się rozbierać. Podejrzewał, że brak skromności może nie przypaść Sylvie do gustu. Ku jego zaskoczeniu siedząca po przeciwnej stronie ognia elfka oderwała z sukienki długi pas materiału. Obok niej leżał zwinięty w kłębek Ignatius i wygrzewał sobie grzbiet.

– Kilka minut, Fletcher. – Sylva podała jedwabną wstęgę krasnoludowi. – Proszę, przewiąż sobie głowę. Szybciej się zablizni.

– Dzięki. – Othello wydawał się jednocześnie uszczęśliwiony i głęboko zdumiony. – Naprawdę bardzo ci dziękuję. Szkoda tylko, że zniszczyłaś sukienkę.

– To akurat najmniejsze z moich zmartwień. Byłam głupia. Wydawało mi się, że nawet w środku wojny mogę bezkarnie spacerować ulicami Corcillum.

– Ale skąd przyszło ci to do głowy? – Fletcher zmarszczył czoło.

– Byłam przekonana, że w towarzystwie Forsythów nic mi nie grozi. Nie ukrywali swoich demonów i ludzie omijali nas szerokim łukiem. Zresztą, zupełnie im się nie dziwię. – Splotła nerwowo palce. – W sumie, gdyby człowiek zaczął swobodnie spacerować na terytorium elfów, spotkałby go podobny los. Wrogów innych ras można spotkać po obu stronach granicy.

– Cieszę się, że tak myślisz. Nie mógłbym mieć ci za złe, gdybyś w tej chwili miała o nas jak najgorsze zdanie i próbowała przekonać ojca, że powinien zapomnieć o pokojowych rozmowach. – Fletcher podsunął się bliżej ognia i wyciągnął skostniałe dłonie ku płomieniom.

– Nie. Dzisiejsze wydarzenia tylko utwierdziły mnie w postanowieniu – odparła Sylva, zapatrzona w migocące ognisko.

Wyniosła, traktująca ich z góry dziewczyna nagle gdzieś znikła. Osoba, która pojawiła się w jej mieszkaniu, wydawała się znacznie bardziej rozsądna i sprawiedliwa.

– Jak to? – zaciekał się chłopak.

– Skoro nawet pozorowana wojna, w której obie strony właściwie udają, że walczą, wywołała między naszymi ludami aż tak gorącą nienawiść, to co by było, gdyby rozgorzała naprawdę? – zapytała Sylva i dorzuciła do ognia.

– Jakie nastroje panują wśród elfów? – zainteresował się Othello, po czym zdjął buty i rozłożył skarpety do schnięcia.

Solomon uczynnie je podniósł i przytrzymał nad trzaskającymi płomykami.

– Niektórzy wszystko rozumieją, wiedzą, że sojusz z ludźmi i wspólna walka na południu utrzyma orków z dala od naszych domów. Inni twierdzą, że orkowie nigdy nie zapuściliby się tak daleko na północ, nawet gdyby Hominum upadło – odpowiedziała Sylva i skrzywiła się, gdy doleciał ją przypominający woń dojrzalego sera zapach stóp krasnoluda. – Mój ojciec jest wodzem starym i doświadczonym. Pamięta opowieści swojego ojca z czasów, gdy orkowie niszczyli nasze wsie, mordowali moich pobratymców dla zabawy, a obcięte głowy wojowników zabierali jako trofea. niewiele elfów z młodszego pokolenia ma świadomość, że tysiące lat temu to łupieżcze bandy wroga zmusiły nas do założenia osad wśród dębowych puszczy północy. A i to wcale ich nie powstrzymało, może tylko spowolniło pochód. Wówczas sprzymierzyli się z nami pierwsi ludzie, wyparli orków do południowych dżungli i zabezpieczyli granice swoimi patrolami. Przymierze trwało, odkąd przodkowie mieszkańców Hominum przemierzali pustynię Akhad. Rozpadło się jednak z czasem, po wielu pokoleniach.

– Jak to? Naprawdę byliśmy kiedyś sojusznikami elfów? – Zdziwiony Fletcher otworzył szeroko oczy.

– Przed wyruszeniem w dyplomatyczną misję dokładnie przestudiowałam dzieje obu ras. My, elfy, dożywamy dwustu lat, więc nasi historycy pamiętają więcej niż wasi. Król Corwin, pierwszy władca Hominum, prowadził wojnę z orkami w naszym imieniu. To elfy w zamian za ochronę przekazały jemu i jego najbliższemu towarzyszom tajniki zaklęcia. W ten sposób powstały pierwsze arystokratyczne rody waszego królestwa.

– Rany! Nie miałem pojęcia, że elfy pomogły stworzyć nasze królestwo. – Fletcher był coraz bardziej zdumiony. – Ani o tym, że byliście pierwszymi zaklinaczami.

– Nie my – sprostowała półgłosem Sylva. – Orkowie zajmowali się tym na długo przed nami. Posiedli jednak tylko załączki, pierwociny obecnej wiedzy. Przyzywali z eteru niewielkie chochliki i nic poza tym. Gdyby tak było do dziś...

– Mam pytanie – wtrącił Othello. – Dlaczego nie przyjechałaś do akademii z własnym demonem? Przecież na pewno je macie. W końcu to wy nauczyliście ludzi, jak się z nimi obchodzić.

– Nielatwo to wyjaśnić. Przez długi czas po założeniu Hominum żyliśmy w pokoju. Tutaj wybuchały powstania krasnoludów, orkowie łupili południowe rubieże ludzkiego królestwa, a elfy wciąż pozostawały względnie bezpieczne. Dlatego przestaliśmy odczuwać potrzebę posługiwania się istotami przyzywanymi z eteru. Oczywiście, w grę wchodziły również inne czynniki. Czteryście lat temu zaklęcie zostało na krótki czas wyjęte spod prawa. Doszło do tego wtedy, gdy zapanowała moda na pojedynki dziedziców naszych klanowych wodzów. Wskutek tych walk wiele demonów zginęło, inne zostały uwolnione i wróciły do eteru, a młodzi zaklinacze nie mieli ich od kogo otrzymać.

Wtem w brzuchu krasnoluda rozległo się donośne burczenie. Sylva parsknęła śmiechem i poważna atmosfera natychmiast się rozwiła.

– Mam pomysł! – Fletcher podniósł się z miejsca.

Zawahał się przez moment, po czym wyskoczył na zewnątrz. Pół minuty później wpadł do środka, ponownie przemoknięty do suchej nitki, za to z naręczem kukurydzy.

Sadowiąc się wygodnie na podłodze, zauważył coś, co dotąd mu ukmykło. Na plecach Othello widniał sporządzony czarnym atramentem tatuaż, przedstawiający młot skrzyżowany z bojowym toporem. Artysta wiernie odtworzył najdrobniejsze detale obu przedmiotów.

– Piękny tatuaż, Othello. Co takiego oznacza? – z zainteresowaniem zapytał Fletcher.

– Tatuaż? Ach, to herb krasnoludów. Nasze dwa ulubione narzędzia. Topór symbolizuje zaciekleść w walce, a młot uwielbienie dla rzemiosła. Nigdy nie przepadałem za tatuażami. Nie trzeba mi kresek na ciele, by świat wiedział, że jestem prawdziwym krasnoludem – odparł Othello.

– Po co więc kazałeś go sobie zrobić? – zdziwiła się Sylva. Nadziała kilka kolb kukurydzy na zęby zardzewiałych widel i podsunęła je nad ogień.

– Pierwszy zdecydował się na to mój brat, więc nie miałem wyjścia. Skoro musiałem brać na siebie jego przewinienia, musiałem też wyglądać jak on. Przed wymierzeniem kary pinkertonowie zdejmują więźniom koszule.

Elfka przyjrzała mu się z mieszaniną konsternacji i grozy. Kiedy jej wzrok padł na pokrywające ciało krasnoluda blizny, otworzyła szerszej oczy.

– Jesteśmy bliźniakami. Naturalnie, najczęściej nie ma to żadnego znaczenia, gdyż pinkertonowie i tak nie są w stanie nas rozróżnić. Dla nich wszystkie krasnoludy wyglądają tak samo – wyjaśnił Othello.

– Czyli... Jesteście z bratem jak Isadora i Tarquin – powiedziała z namysłem. – Od dawna się zastanawiałam, jakie to uczucie mieć bliźniaka.

– Mnie też się wydawało, że są bliźniętami, ale nie byłem pewny – wtrącił Fletcher, przywołując w pamięci postacie obojga młodych arystokratów.

– Oczywiście, że są – stwierdził Othello. – Zdolność zaklinalnia demonów dziedziczą pierwородni, w tym bliźnięta. Kolejne dzieci mają znacznie mniej szans, chociaż niekiedy i takie sytuacje się zdarzają. Nikt nie jest pewien, dlaczego tak się dzieje, niemniej pomogło to szlachetnym rodom skupić władzę we własnych rękach. Pierwородni synowie i córki dziedziczą całość majątku rodziców, więc zazwyczaj nie dochodzi do rozdrobienia ziem pomiędzy rodzeństwo. Forsythowie władają tyłoma lennami, że spokojnie wystarczy dla dwojga.

Krasnolud ściągnął z widel kolbę kukurydzy i wgrzył się w nią łapczywie, co chwila dmuchając na palce.

– Powiedz, Sylva, co robiłaś w Corcillum? Spotkałaś może w perfumerii Genevieve i resztę? – zapytał Fletcher, próbując nie mieć elfce za złe, że przez nią niemal rozstali się z życiem.

– Dojechałam z arystokratami karetą do rynku. Potem Isadora i Tarquin zabrali mnie do dzielnicy kwiaciarzy. Potrzebowali świeżych kwiatów do swoich komnat w akademii. Włosy i uszy ukryłam pod zadem, więc nie podejrzewałam, że pojawiają się jakiegokolwiek problemy. Musiały mnie jednak zdradzić oczy. Ten grubas, Grindle, zdarł mi szal z głowy i zaciągnął w alejkę. Isadora i Tarquin zbiegli właściwie od razu. Uciekli, nie oglądając się za siebie. Nie miałam przy sobie skóry zaklinalca, więc Sariel pozostała wchłonięta we mnie. Już nigdy tego błędu nie popełnię.

– Skóra zaklinalca? – zainteresował się Othello.

Odwrócił ogryzioną kolbę i sięgnął po następną. Sylva żartobliwie pacnęła krasnoluda w dłoń.

– Żartok! Fletcher, częstuj się. Nie widziałam was w stołówce na obiedzie. Powinieneś coś zjeść.

– Dzięki. Od rana zjadłem tylko jabłko. – Fletcher zatopił zęby w kukurydzy. Odgryzał miękkie ziarna, które pękały mu w ustach, rozlewając się na języku zaskakująco cudowną



ślodyczą.

– Skóra zaklinacza – elfka zwróciła się z powrotem do Othella – to po prostu kwadratowy kawałek skóry, na którym wyrysowany jest pentagram. Gdybym go wtedy miała, mogłabym wywołać Sariel na zewnątrz. Nie jestem pewna, czy wasi zaklinacze używają obecnie tej nazwy. Wszystkie dokumenty dotyczące magicznych praktyk, jakie udało mi się znaleźć, były raczej staroświeckie.

– Nie do wiary, że Tarquin i Isadora dali nogę! – zawołał Fletcher z ustami pełnymi kukurydzy.

– To jeszcze nie jest najgorsze. Kiedy mnie pojmano, ich demony były na zewnątrz. Podejrzewam, że właśnie one zwróciły na nas uwagę ludzi.

– Tchórze! – warknął krasnolud.

– Demony Forsythów są w pełni dojrzałe, bliźnięta odziedziczyły je po rodzicach – ciągnęła Sylva. – Byłyby w stanie powstrzymać kilkakrotnie większą liczbę napastników. Gdybym trzymała się bliżej bliźniąt, obcy za nic by mnie nie napadli, ale miałam serdecznie dość nadętych pogaduszek tej pary, więc się na moment oddaliłam. – Urwała i uszczknęła niewielki kęs z własnej kolby.

– Skoro ich nie lubisz, to po co próbowałaś się z nimi zaprzyjaźnić? – zapytał Fletcher.

– Jak wspomniałam, jestem tutaj w charakterze dyplomaty. Z kim według ciebie powinnam się poznać, skoro zamierzam doprowadzić do sojuszu między naszymi ludami? Naturalnie, zdaję sobie sprawę, że najlepiej będzie jak najszybciej otrzymać stopień oficerski i wślawić się w walce. Podlizywanie się rozpuszczonym dzieciakom, które nie mają prawdziwej władzy, jest mniej skuteczne. Za to dzielnie walcząc, dam wszystkim wyraźny sygnał, że elfy nie straciły bojowego ducha.

– Aha – rzucił Fletcher.

Wyjaśnienie brzmiało sensownie, ale wciąż czuł się dotknięty wcześniejszym zachowaniem Sylvy. Z drugiej strony, gdyby sam trafił do wrogiego kraju, w dodatku obarczony tak wielką odpowiedzialnością, być może również nie myślałby przede wszystkim o zachowaniu taktu i uprzejmości.

– No cóż, chyba powinniśmy się położyć – zauważył i wyciągnął się obok ogniska. – Pewnie dostanie się nam za spędzenie nocy poza akademią, ale przy takiej pogodzie nie możemy wracać.

– No, nie wiem. – Othello zwinął kurtkę na kształt poduszki i ułożył na niej głowę. – Bramy Cytadeli nikt nie pilnuje. Jeżeli uda się nam dotrzeć przed porannymi dostawami prowiantu, może zdołamy zakraść się niepostrzeżenie.

Gdy i Sylva zwinęła się przy ogniu i naciągnęła kaptur głęboko na czoło, Fletchera uderzyła pewna myśl. Skąd właściwie Othello wiedział, że most nie jest strzeżony?





## 32

– Gdzieście, do diabła, byli? – spytał Seraph.

Fletcher, Othello i Sylva niepewnie weszli do sali przyzwań. Przed chwilą ukradkiem dołączyli do grupki zbierających się w atrium studentów. Włosy i ubrania mieli w nieładzie, nie zdążyli doprowadzić się do porządku. Do Cytadeli dotarli akurat w porze, gdy z wozów wyładowywano świeże warzywa, i do środka zdołali się wemknąć dopiero po śniadaniu, tuż przed rozpoczęciem zajęć.

– Długa historia, później ci opowiemy – odparł Fletcher.

Zaintrygowana szeptami Isadora odwróciła się, zobaczyła Sylwę i ze zdziwienia otworzyła szeroko oczy. Trąciła łokciem Tarquina, który zerknął przez ramię i aż drgnął ze zdumienia. Elfka odpowiedziała rodzeństwu pozbawionym wyrazu spojrzeniem, po czym skupiła wzrok na kapitan Lovett, która czekała, by w sali zapanował spokój. Pani kapitan narzuciła na mundur skórzany fartuch, całości stroju dopełniały grube skórzane rękawice.

– Trochę tu ciemno – zauważyła i wypuściła z dłoni kilka dziwnoblasków.

Inaczej niż Arcturus, pozwoliła im swobodnie wędrować po pomieszczeniu. Wokół rozlało się płaszące jasne światło.

– Jak rozumiem, kapitan Arcturus zwolnił z wczorajszych zajęć tych, którzy już potrafią wywoływać dziwnoblaski. Po moim podobnej łagodności nie możecie się spodziewać. Moim zdaniem, praktyka czyni mistrza, a biorąc pod uwagę przyspieszony w tym roku tok szkolenia, powinniście wykorzystać każdą sekundę, jaką poświęcamy waszej edukacji.

Pani kapitan przechadzała się w tę i z powrotem przed szeregiem kadetów. Chłodnymi oczyma uważnie wodziła po ich twarzach. Fletcher pomyślał, że lepiej z nią nie zadzierać.

– Pierwszym punktem szkolenia zaklinacza jest nauka sztuki infuzji. Przy niektórych z was nie widzę demonów, zakładam zatem, że i tę umiejętność już posiadacie. Niemniej w pewnych

sytuacjach najbardziej liczy się jak najszybsze wywołanie demona na zewnątrz. Od tego może zależeć wasze życie. Wierzcie mi, przekonałam się o tym na własnej skórze. Ci, których infuzji nauczyli rodzice, będą dzisiaj ćwiczyć przy pentagramach po drugiej stronie sali. Za jakiś czas sprawdzę, jak wam idzie.

Arystokraci, z zadowolonymi uśmiezkami, odłączyli się od grupy. Rozległy się rozmowy i śmiechy. Zniknęli za kotarą rozwieszoną zawczasu pośrodku sali. Kilka chwil później Fletcher dostrzegł rozbłyśki, bijące przez szparę pod zasłoną. Ciekawe, jakiego gatunku demony dostali od zamożnych rodziców?

Sylva podniosła rękę i wystąpiła z szeregu.

– Ja jestem samoukiem. Czy mogłabym zostać i nauczyć się prawidłowych technik? – poprosiła.

Lovett z wyraźnym niezadowoleniem przyjrzała się podartej sukience i rozczochranym włosom elfki. Uniosła brew w namyśle, a po dłuższej chwili uległa jej prośbie.

– Dobrze. Zapamiętaj tylko na przyszłość, że na swoich zajęciach oczekuję przepisowych mundurów – oznajmiła, po czym zwróciła się do reszty nisko urodzonych studentów:

– Przyniescie teraz skóry zaklinaczy oraz fartuchy. Rękawice i ochronne okulary znajdziecie w szafkach. – Skinięła dłonią i jeden z dziwnoblasków przeleciał nad posadzką i oświetlił wbudowane w ścianę schowki.

– Co się z wami działo? – wymamrotała kącikiem ust Genevieve, gdy ruszyli po sprzęt. – Czekaliśmy, jak długo się dało, ale musieliśmy wrócić, zanim odjechał ostatni powóz.

– Spóźniliśmy się i na ten ostatni – szepnął Fletcher.

Przejrzał kilka kwadratowych kawałków skóry, aż wreszcie udało mu się znaleźć taki, na którym pentagram nie zdążył wyblaknąć. Nie był pewien, czy Sylva życzyłaby sobie, by wszyscy kolezdy dowiedzieli się o jej petypetiach.

– Do akademii wróciliśmy dopiero rano, i to piechotą.

– Napadli was po drodze, czy co? – zapytała Genevieve. Wyraźnie oczekiwała bardziej szczegółowych wyjaśnień.

– Skąd ten pomysł? – odparł Fletcher, zakładając na szyję pasek ciężkiego fartucha.

– Może stąd, że Othello ma obwiązaną głowę? Albo stąd, że masz guza wielkości gęsiego jaja? – odrzekła dziewczyna, gdy wracali do wykładowczyni.

Fletcher dłonią dotknął skroni i się skrzywił. Genevieve miała rację. Na szczęście, stanęli już z powrotem przed Lovett, która uciszyła ich surowym spojrzeniem.

– Powiedziano mi, że część z was spędziła w towarzystwie swoich demonów około tygodnia. Po tak długim czasie muszą być mocno zmęczone, więc najlepiej będzie, jeżeli je jak najszybciej wchłoniecie i pozwolicie im wypocząć. Kto otrzymał demona przed siedmioma dniami, ręka w górę – zadysonowała.

Ręce Genevieve i Rory'ego wystrzeliły w powietrze. Po kilku sekundach wahania dołączył do nich Fletcher.

– Zawahałeś się. Dlaczego? Masz na imię Fletcher, prawda? – Wykładowczyni wywołała go palcem z szeregu.

– Moje stworzenie wędruje ze mną już dwa i pół tygodnia – wyjaśnił. – Czy to normalne?

– Nie. Musi być naprawdę wycieńczony – rzuciła z naganą pani kapitan. – Przyjrzyjmy mu się.

Myślą Fletcher zbudził Ignatiusa. Zaprotestował głośnym miauknięciem, wyskoczył spod kaptura kurtki na posadzkę, po czym rozejrzał się ciekawie dokoła i oblizał policzki.

Wczorajszego wieczoru nie uszczknął nawet kęsa pieczonej kukurydzy, którą obdarzył tylko pogardliwym spojrzeniem. Prawdopodobnie padał w tej chwili z głodu.

– Ostatnio sporo sypia, ale od początku był straszny śpiochem – podjął Fletcher, czując

rosnące wyrzuty sumienia.

Ignatius ziewnął, szeroko rozdziawiając paszczę.

– Salamandra – wyszeptała Lovett. – Rzadka sztuka. Na pewno zainteresuje się nim major Goodwin. Nieczęsto ma okazję przebadać nowy gatunek demona.

– Ale Ignatiusowi nic nie będzie, prawda? – upewnił się zaniepokojony Fletcher.

– Raczej nie. Im silniejsza jest istota z eteru, tym dłużej może pozostawać bez odpczynku w naszym świecie. Potrzeba kilku miesięcy, aby wyczerpanie zagroziło jej życiu. Byłam przekonana, że jako student z gminu dysponujesz stworzeniem posledniejszego gatunku. Wygląda jednak na to, że do waszej grupki szczęście uśmiechnęło się wyjątkowo. Rok temu większość nisko urodzonych kadetów otrzymała insekty, a wy macie lutrę, korowca, salamandrę i golema.

– Oraz kanida! – zawołała Sylva, która rozkładała na podłodze skórę zaklinacza.

Fletcher uśmiechnął się pod nosem. Zrobiło mu się miło, że elfka uznała się za nisko urodzoną. Rory przestąpił z nogi na nogę i zacisnął pięści.

– Dość mam słuchania, jakiego mam pecha, że przypadł mi Malachi – szepnął, nie skrywając irytacji.

– Sylva, może zacznij. Powiem ci, czy wszystko robisz jak należy. Kiedy już pozna się kolejne kroki, nie jest to trudne zadanie – zasugerowała Lovett.

Elfka bez wahania uklękła i złożyła na skórze zaklinacza zabezpieczone rękawicami dłonie. Ochronne okulary nieco krzywo wisiały na jej długich uszach, ale jej to nie przeszkadzało. Fletcher pomyślał, że po wczorajszych przejściach Sylva nie może się doczekać, by z powrotem znaleźć się pod ochroną Sariel.

Elfka wzięła głęboki wdech, uspokoiła się i skupiła spojrzenie na pentagramie, który po chwili zajaśniał słabym fioletowym blaskiem.

– Zwróćcie uwagę, co ona robi. Przesyła właśnie manę przez dłonie do skóry zaklinacza. Kiedy symbol zacznie świecić stabilnie, będzie to znak, że można uwolnić demona.

Pentagram rzeczywiście rozjarzył się błękitem, ale nic więcej się nie stało. Oddech Sylvy przyspieszył. Nieprzerwanie przez niemal pół minuty wbiłają wzrok w połyskującą gwiazdę. Wtem bez uprzedzenia na skórzanej macie zmaterializował się kanid. W pierwszej chwili był tylko jasną iskierką, lecz błyskawicznie rozrósł się do pełnych rozmiarów. Otaczająca sylwetkę kanida biała aura po chwili zgasła i na pentagramie stanęła Sariel. Czworo jej oczu wyłowiło z półmroku Sylwę, po czym skoczyła jej w ramiona. Elfka zatoczyła się i przewróciła na posadzkę. Sariel radośnie zaskomlała i oblizwała twarz Sylvy. Fletcher zastanowił się, czy Sariel wie, co wczoraj spotkało jej panią. Może po prostu tak bardzo się stęskniła?

– Bez wątpienia twoja podopieczna potrzebuje skolenia i dyscypliny, ale tak czy inaczej, dobra robota! Teraz wywołam swojego demona Lisandra i zademonstruję wam proces infuzji. Cofnijcie się, proszę! – oznajmiła Lovett. – Zapamiętajcie, że im stworzenie większe, tym trudniejszy jest proces jego przywoływania. Oczywiście, w warunkach bojowych nie będziecie korzystać z ochronnego stroju, ale póki można, lepiej zachować ostrożność, zwłaszcza że dla was to dopiero początki. – Pani kapitan przyklękła na rogu skóry zaklinacza. – Fartuchy i okulary stosuje się głównie przy pracy z pentagramami opatrzonymi kluczami, ale do tego przejdziemy przy innej okazji.

Z kieszeni fartucha wyjęła skórzaną czapkę i parę okularów o ciemnych szklach, po czym je założyła. Symbol zajaśniał po raz drugi. Wokół wyrysowanych na macie linii strzeliły skwierczące białe iskierki. Ku zdumieniu Fletchera, już po kilku sekundach nad skórą wykwitła świetlna kula i zmieniła się w demona. Wielka jak koń istota miała tułów, ogon i tylne łapy lwa, lecz głowa,

skrzydła i przednie, szponiaste nogi mogłyby należeć do orla. Płowobrazowe pióra płynnie przechodziły na grzbiecie w złością sierść.

– Ja również miałam szczęście otrzymać istotę rzadkiej odmiany. Lisander jest gryfem. Nie dostałam go od razu, zaczynałam od insekta, podobnie jak część z was. Dlatego proszę, nie zniechęcajcie się skromnymi początkami. Insekty są niesłychanie wiernymi stworzeniami, a co więcej, zaklinacz jest w stanie kontrolować więcej niż jedną sztukę naraz. Natomiast by opanować Lisandra, muszę mu poświęcać całą uwagę. Więcej na temat utrzymania stworów w ryzach dowiecie się od majora Goodwina na zajęciach z demonologii.

Genevieve z uśmiechem podniosła Azurę do ust i ucałowała jej błękitny jak kobalt owadzi pancerzyk.

– Czy to znaczy, że i pani jest nisko urodzona, pani kapitan? – zaciekał się Rory, ledwie mogąc oderwać oczy od emanującego siłą majestatycznego gryfa.

– Nie... Aczkolwiek byłam tutaj, gdy do akademii przybyli pierwsi studenci z gminu. Jestem trzecią córką Lovettów z Calgary, niewielkiego lenna położonego w północnej części Hominum. Dziwne zrządzenie losu sprawiło, że mój ojciec został pobłogosławiony kilkorgiem magicznie uzdolnionych dzieci. Jako najmłodsza, otrzymałam od niego najslabszego demona, ale nie miałam mu tego za złe. Gdybym dostała silniejsze stworzenie, prawdopodobnie nigdy nie wyspecjalizowałabym się w łowach w eterze. Wiem jedno: jeżeli będziecie ciężko pracować, wszyscy w końcu schwytaacie demony równie potężne jak on. – Lovett objęła ramieniem kark Lisandra, który czule musnął dziobem jej pierś.

Oczy gryfa miały barwę ciemnego bursztynu i były równie wielkie i inteligentne jak sówie. Przyjrzał się kolejno wszystkim studentom. Po chwili ze szczególną uwagą spojrzął na Ignatiusa.

– Teraz zademonstruję infuzję – oznajmiła wykładowczyni. – Jest to po prostu procedura odwrotna do tej, którą pokazałam przed chwilą. Pentagram musi być skierowany prosto na demona i nie może być od niego za blisko oddalony. Dlatego właśnie wprowadzamy je najpierw na skórę zaklinacza. Jednak zdołałabym wchłonąć Lisandra również wtedy, gdyby szybował kilka jardów nad symbolem.

Uklękła i ponownie przyłożyła dłonie do maty. Linie magicznego znaku ożyły.

– Zaczynamy od przelania many do pentagramu. Po chwili zaklinacz zaczyna odczuwać granicę oddzielającą świadomość podopiecznego od własnej. Kiedy stanie się wyraźna, należy przeciągnąć stworzenie na drugą stronę... – Jęknęła z wysiłku i Lisander zaczął się jarzyć, by po chwili przeobrazić się w kłębowisko nitek białego światła, które wpłynęły w palce jego pani. – To tyle – oświadczyła; jej czoło zrosiły kropelki potu.

Kadeci zaczęły oklaskiwać wyczyn. Serce Fletchera zamarło, gdy Lovett zwróciła na niego stalowe spojrzenie.

– Twój demon jest najbardziej zmęczony, więc teraz ty spróbujesz. Słyszałam od Arcturusa, że wykazujesz spory talent do zaklęć – powiedziała. – Przekonamy się, czy z infuzją pójdziesz ci równie łatwo – dodała i wskazała palcem podłogę.

Fletcher z wolna rozłożył skórę zaklinacza i ustawił na niej Ignatiusa. Demon przysiadł i nerwowo zacwierał. Widocznie wyczuł zdenerwowanie opiekuna. Fletcher odtworzył poszczególne kroki. Przełał część many w skórę zaklinacza i pentagram zapłonął jasnym fioletem. Blask był stabilny, linie nie drgnęły ani razu.

– Czujesz go, Fletcher? – zapytała kapitan Lovett i uspokajającym gestem położyła mu dłoń na ramieniu.

– Czuję – rzucił przez zaciśnięte zęby.

We wzmocnionym przepływającej maną wzroku Fletchera światła lśniły niemal oślepiająco; całe pole widzenia wypełniła mu błyszcząca gwiazda.

– Wciągnij go w siebie. Możesz mieć z tym kłopoty, ale podczas pierwszej infuzji to zupełnie naturalne.

Głos wykładowczynie dolatywał jakby z bardzo daleka. Mana pulsowała w żyłach Fletchera przy każdym uderzeniu serca, uszy wypełnił mu dudniący szum. Poczł oddzielającą go od Ignatiusa zaporę. Odszukał myślami znajdujący się po drugiej stronie umysł podopiecznego, po czym z ogromnym wysiłkiem zaczął przeciągać go przez granicę, w głąb siebie. Musiał się przy tym wyteżyć. Zasycał i zgrzytnął zębami. Miał wrażenie, że Ignatius zaplątał się w elastyczną sieć. Wreszcie po chwili, która wydała się Fletcherowi wiecznością, coś łagodnie puściło i świadomość Ignatiusa zlała się z jego własną. Doznanie przypominało moment zanurzenia się w ciepłej kąpieli.

– Znakomicie, Fletcher! Odpocznij – szepnęła mu do ucha Lovett.

Zaspany chłopak złożył czoło na miękkiej skórzanej macie i zaczerpnął kilka głębokich oddechów. Słyszał oklaski i głośne pochwały kolegów, ale nie docierały do niego poszczególne słowa. Wypełniło go doznanie niezwykłego spokoju i poczucie ekstatycznego szczęścia, zupełnie jakby ktoś podał mu silny narkotyk.

Fletcher odczuwa chwilowe uniesienie, jakie zwykle towarzyszy połączeniu dwóch świadomości. Mimo że demon znalazł się w jego umyśle, Fletcher już po kilku minutach przestanie go praktycznie zauważać. Ignatius będzie przez ten czas oglądać wszystko to, co ujrzy Fletcher, aczkolwiek niewiele z tego zrozumie. Zjawisko to może się okazać niezwykle przydatne w ogniu walki. Jeżeli wtedy przywołacie demona z powrotem, będzie natychmiast gotów do akcji, nie tracąc czasu na orientację w terenie – tłumaczyła Lovett, spacerując w tę i z powrotem za plecami Fletchera. – Niektórzy zaklinacze doświadczają przeblysków wspomnień demona – ciągnęła. – Dzieje się tak w ciągu paru miesięcy po pierwszym wchłonięciu. To również minie, ale jest bardzo ważne. Pamięć podopiecznych stanowi jedno z źródeł pozwalających nam badać eter. Jeśli coś podobnego spotka kogoś z was, powinniście szczegółowo zanotować całe przeżycie i poinformować o tym fakcie mnie i majora Goodwina. Liczy się każdy detal dotyczący życia tych stworzeń.

Fletcher z trudem podniósł się na równe nogi i wrócił do kolegów. Zawroty głowy nie ustawały. Seraph poklepał go po plecach i uśmiechnął się z zazdrością.

– Świetnie się spisałeś. Już chyba wiem, kto będzie tu moim największym konkurentem – szepnął.

– Nie sądzę. Prawie wyzionąłem ducha – odparł Fletcher, czując głęboko wewnątrz ciepłą obecność Ignatiusa. Teraz nie łączyła ich już tylko cienka nić duchowej więzi, zmieszali się ze sobą niczym nurty dwóch rzek.

Othello rzucił mu zachęcający uśmiech. Nawet Sylva musnęła go delikatnie w ramię, po czym skupiła się z powrotem na Sariel. Ukryła twarz i dłonie w złotej sierści kanida i przytuliła go tak mocno, jakby zależało od tego jej życie. Fletcherowi przemknęło przez myśl, że elfka nieprędko znowu wchłonie swojego demona.

– No dobrze. Othello, Fletcher, chyba pora obejrzeć te wasze rany głowy. – Lovett przywołała ich gestem. Gdy stanęli przed nauczycielką, dodała szeptem: – Chłopcy, macie mi coś do powiedzenia? Wy i Sylva wyglądacie, jakbyście wrócili właśnie z frontu, a wiem, co mówię.

– Nic, z czym byśmy sobie nie dali rady – zapewnił Fletcher i w poszukiwaniu wsparcia zerknął na krasnoluda.

– Właściwie już sobie poradziliśmy – potaknął Othello.

Lovett skinęła głową.

– Cóż, jeżeli w przyszłości zmienicie zdanie, zawsze możecie przyjść z tym do mnie – oznajmiła półgłosem, patrząc kadetom w oczy. – Z niczym nie musicie się zmagać samotnie. –

Cofnęła się o krok i dodała głośniejszym głosem: – Zbierzcie się tu wszyscy, pokażę wam czar leczniczy. Dobrze, żebyście się z nim zaznajomili.

Studenci podeszli, podekscytowani możliwością poznania nowego zaklęcia. Othello zdjął opatrunek, odsłaniając zięjącą na skroni poszarpaną ranę. Fletcher aż się skrzywił. Nie miał pojęcia, że kolega ucierpiał aż tak bardzo.

– Skupcie się – poprosiła Lovett.

Smugami dziwnoblasku wyrysowała w powietrzu magiczny znak w kształcie serca, po czym nakierowała go na rozcięcie na głowie krasnoluda.

– Czar leczniczy świetnie się sprawdza jako remedium na rany cięte, stłuczenia, a nawet obrażenia wewnętrzne, lecz zdaje się na niewiele, gdy chodzi o przeciwdziałanie truciznom i chorobom. – Wykładowczyni w skupieniu ściągnęła brwi. – Zaklęcie to zużywa wiele magii i wymaga sporo czasu, zwłaszcza w przypadku poważniejszych ran – dodała i odetchnęła.

Z wiszącego w powietrzu symbolu przepłynął do głowy Othella strumień złotego światła. Przez niemal pół minuty nie wydarzyło się nic więcej. W końcu na oczach zdumionego Fletchera rana zaczęła się zrastać i po chwili na ozdrowiałej skórze pozostała jedynie skorupa zaschniętej krwi.

Kadeci zaczęli klaskać i wiwatować. Lovett obrzuciła spojrzeniem czoło Fletchera i wskazała nabrzmiały guz.

– Temu będziesz musiał pozwolić zaleczyć się naturalnie – powiedziała. – Nie wiemy, czy nie doszło do pęknięcia czaszki. Czar leczniczy może sprawić, że kości zrósną się nieprawidłowo, a to oszpeciliby cię na resztę życia. Lepiej nie podejmować zbędnego ryzyka.

Fletcher potaknął skinieniem i trącił opuchlizną palcem. Skrzywił się z bólu.

– Dobrze, czas na pozostałych. Kiedy wszyscy opanujecie infuzję, przejdziemy do bardziej zajmujących tematów. – Lovett klasnęła w dłonie.

– Czyli do czego na przykład? – zainteresował się Rory, który rozkładał na posadzce skórę zaklinacza.

Wykładowczyni zdjęła okulary i rzuciła studentom tajemniczy uśmiech.

– Wnikniemy w eter.



## 33

Następne zajęcia prowadził major Goodwin, obdarzony wybuchowym temperamentem wymagający starszy mężczyzna o czerwonym nosie. Podbródek porastała mu sztywna, siwa kozia bródka. Po sali przechadzał się energicznym krokiem, co osobiwie kontrastowało z jego korpulentną sylwetką.

– Demonologia jest kluczowym obszarem nauk magicznych, wspierającym zarówno sztukę rzucania zaklęć, jak i pracę w eterze. Nasza dziedzina zajmuje się identyfikacją i dążeniem do zrozumienia życia demonów wszelkich odmian, a także studiami nad geografią i różnorodnością eteru. Badamy między innymi ich wpływ na zasób many zaklinacza oraz jego poziom spełnienia. – Major mówił szybko, rwanymi zdaniami, strzykając spomiędzy warg kropelkami śliny, które osiadały na twarzach zajmujących pierwszy rząd arystokratów.

Fletcher z satysfakcją zauważył, iż Tarquin siedzi bezpośrednio na linii strzału i raz po raz marszczy z niesmakiem nos. Nie podobało mu się, że zajęcia opuści skąpany w ludzkiej flegmie. Niestety, kpiący uśmieшек Fletchera przyciągnął uwagę majora Goodwina.

– Ty, chłopcze! Czym jest spełnienie zaklinacza? – spytał, celując palcem w ofiarę.

– Jego... hmm... szczęściem? – odpowiedź zabrzmiała bardziej jak pytanie, chociaż Fletcher uznał, że to przecież oczywiste.

– Śmiechu warte! Termin „spełnienie” odnosi się do liczby istot z eteru, jakie może ujarzmić zaklinacz. Miałem nadzieję, że ktoś, komu los podarował stworzenie rzadkiego gatunku, poświęci choć chwilę na przygotowanie się do pierwszych zajęć. Najwyraźniej mocno się pomyliłem. Wstyd! – Goodwin pokręcił głową.

Na policzki zażenowanego Fletchera wypłynęły gorące rumieńce. Siedząca rząd niżej Isadora rzuciła mu przez ramię złośliwy uśmieшек.

– Czy mogłaby tę kwestię wytłumaczyć jakaś należycie przygotowana osoba? Może ty,



Malik? – rzucił Goodwin.

– Tak jest, majorze. Zaklinacze różnią się między sobą wrodzoną zdolnością absorpcji energii z eteru – wyrecytował wysoki ciemnoskóry arystokrata. – Na przykład, kapitan Lovett jest w stanie okiełznać tylko jednego gryfa i jednego insekta. Inny zaklinacz mógłby obłaskawić i kontrolować dwa gryfy. W tym przypadku powiedzielibyśmy, że jego poziom spełnienia jest wyższy niż poziom kapitan Lovett.

– Prawidłowo. Poziom spełnienia starego króla Alfrica wynosi sto. To najwyższy wynik, jaki zarejestrowano, odkąd magowie zaczęli prowadzić klasyfikację demonów. Odwołując się do podanego przykładu, można stwierdzić, że poziom kapitan Lovett wynosi jedenaście, a wynika to stąd, iż gryfy są demonami klasy dziesiątej, a insekty klasy pierwszej. Co jeszcze nam powiesz?

– Poziom spełnienia można podnieść – stwierdził Malik po chwili zastanowienia.

– W jaki sposób?

– Nie wiem, majorze.

Rozczarowany Goodwin donośnie wciągnął powietrze przez nos.

– Kolejny dziś zawód. Prawidłowa odpowiedź powinna brzmieć następująco: poziom spełnienia każdego zaklinacza sam w sobie wzrasta z upływem czasu, lecz dany zaklinacz może ów proces przyspieszyć za pomocą ciężkiej pracy. Kapitan Lovett nie urodziła się z poziomem spełnienia, pozwalającym jej ujarzmić i kontrolować gryfa. Musiała go rozwinąć poprzez nieprzerwane praktyki magiczne, wędrówki do eteru oraz regularne toczenie walk i kielznanie innych stworów. Niektórzy przez całe życie nie wykraczają poza poziom piąty, podczas gdy inni zaczynają na piątce i własnym wysiłkiem dochodzą nawet do dwudziestki. Zaraz, dlaczego wy niczego nie notujecie?! – ryknął Goodwin, spryskując słuchaczy świeżą porcją śliny.

Wszyscy studenci wyciągnęli z toreb zwoje pergaminu i zaczęli pisać jak szaleni. Fletcher z nieszczęsną miną wbił wzrok w dłonie, dopiero w tej chwili uświadamiając sobie, że nie ma przyborów. Pozostali kadeci z wielotygodniowym wyprzedzeniem wiedzieli, że wstąpią do Akademii Vocanów, i zdążyli się przygotować do nauki, jemu jednak ten problem całkiem wyleciał z głowy i niczego nie kupił. Oczywiście, Goodwin zauważył jedynego siedzącego bezczynnie kadeta i natychmiast się nastroszył.

– Nazywasz się Fletcher, prawda?! – rzucił.

– Tak jest, majorze. – Fletcher jak niepyszny zwiesił głowę.

– Podczas gdy inni są zaprzątnięci poważnym studiowaniem, może zechcesz mi wyluszczyć, co spotyka demona, kiedy kontrolujący go zaklinacz ginie?

Fletcher zamyślił się głęboko. Postanowił odkupić wszystkie swoje winy i odpowiedzieć poprawnie, choćby musiał zgadywać. Wiedział, że martwe demony często konserwuje się w słojach i sprzedaje w charakterze ciekawostek. Niemniej w wypadku śmierci maga ze stworem musiało się dziać coś innego... A może pytanie jest podchwytliwe? Fletcher przypomniał sobie opowieść Rotherhama o Bakerze z jego podopiecznym, który nie odstąpił go nawet po śmierci. Tak, to chyba był podstęp!

– Nic, panie majorze – odpowiedział z przekonaniem.

Zaraz potem dostrzegł pogardliwy uśmiešek Tarquina i zmarkotniał. Nie musiał nawet czekać, by Goodwin otworzył usta. Udzielił złej odpowiedzi.

– Cóż za niedorzeczność! Czy ty w ogóle wiesz cokolwiek na temat demonów?! Po śmierci zaklinacza jego podopieczny pozostaje w naszym świecie przez kilka krótkich godzin, po czym zostaje na powrót pochłonięty przez eter. Musi zostać okiełznany, aby pozostać w naszym świecie na stałe. Utrzymuje go tutaj wyłącznie więź z magiem. Gdyby nie ona, te istoty po prostu by znikły. Czyżbyś dotąd sądził, że po Corcillum hasają zdziczałe bezańskie demony? –

Goodwin mówił głośno, by wszyscy wyraźnie go słyszeli.

W odpowiedzi rozległy się jeszcze bardziej intensywne skrzyknięcia piór. Zdegustowany major odwrócił się od Fletchera i podszedł sztywnym krokiem do ściany, pod którą leżała sterta grubych zwojów. Sięgnął po jeden z nich, rozwinął i przypiął go do muru. Ujrzeni szczegółowy czarno-biały rysunek anatomiczny, przedstawiający budowę insekta. Pod ryciną widniały rzędy liczb i tabele statystyk.

– Tematem dzisiejszych zajęć są insekty, demony najposledniejszego poziomu, jeśli nie liczyć ich niewartych chwytania krewniaków, zajmujących najniższą część łańcucha pokarmowego. Wiem, że mamy dzisiaj na sali dwa okazy insektów, a konkretnie skarabeuszy, czyli najsilniejszych przedstawicieli rzeźczonej rodziny. Cechuje je niski poziom many, niewielkie rozmiary i wątła siła. Mimo owych ułomności insekty dobrze sprawdzają się w roli zwiadowców. W locie potrafią również znakomicie odwracać uwagę przeciwnika, zwłaszcza jeżeli zaatakują oczy. Genevieve i Rory posiadają osobniki młode, ale już za kilka miesięcy i one wykształcą żądła, których jad powoduje tymczasowy paraliż ukąszonego i znaczny ból. Rój dziesięciu dojrzałych skarabeuszy może powalić dorosłego orka, więc mocy ich trucizny nie wolno lekceważyć.

– Fantastycznie! – zachwycił się na cały głos Rory, po czym natychmiast zasłonił dłonią usta.

Obecni w sali parsknęli śmiechem, wszyscy z wyjątkiem Goodwina, który z irytacją pociągnął nosem.

W podobnym duchu przebiegły kilkugodzinne zajęcia. Kadeci spisywali przeróżne dane, dyskutowali o upodobaniach żywieniowych i obyczajach godowych skarabeuszy. Przygnębiony Fletcher obserwował rosnące na stołach kolegów stopy pergaminu. W pewnej chwili Othello trącił go nogą.

– Nie łam się, później przepisziesz sobie moje notatki – szepnął.

W czasie przerwy obiadowej Fletcherowi udało się pożyczyć od Rory'ego gęsie pióro, a Genevieve użyczyła mu zwój pergaminu. Na drugą połowę wykładu przybył więc lepiej przygotowany. Kiedy jednak wrócili do sali, zaskoczył go widok czekającego na nich Scipia.

– Fletcher, zgłoś się do biblioteki. Nadal nie złożyłeś księgi Jamesa Bakera, a przecież polecenie otrzymałeś już kilka dni temu – ofuknął go zniecierpliwiony rektor. – Majorze, czy to będzie wielki kłopot?

– Nie w wypadku tego kadeta – odparł Goodwin. – Na razie mocno rozczarowuje.

Scipio uniósł brwi i zerknął w milczeniu na Fletchera. Chłopak zebrał swoje rzeczy. Czuł, że po raz kolejny czerwieni się z upokorzenia. Czy naprawdę wywarł tak marne wrażenie?

– Do diaska, widzę, że dla naszej bibliotekarki książki to poważna sprawa, nie? – szepnął mu na ucho Rory.

– Zobaczymy się na miejscu. Nie zapomnij przynieść księgi – dodał Scipio, po czym nie oglądając się za siebie, wyszedł z sali.

Fletcher wbiegł na schody, przeklinając w duchu własne zapominalstwo. Zapomniał napisać do Berdona, zapomniał zanieść bibliotekarce dziennik Bakera, a – co znacznie ważniejsze – zapomniał, że chciał tę księgę przejrzeć.

Przypomniał sobie, że w wozie z owcami było zbyt ciemno, aby czytać, co mocno mu wtedy dokuczalo. Podróżował w skwarze i smrodzie i z wyjątkiem własnych myśli nie miał czym odwrócić uwagi od niedogodności. Oczywiście, mógł poczytać dziennik wczorajszej nocy.

Wdrapał się na szczyt wieży, zabrał z pokoju księgę i zziębnięty wrócił na dół. Przed drzwiami biblioteki oparł się ciężko o ścianę i spróbował wyrównać oddech. Nie chciał dodatkowo pogorszyć swojej opinii w oczach rektora, pokazując mu się zdyszany i czerwony na twarzy.

– No, na co czekasz?! Do środka! – Zaskoczony Fletcher aż podskoczył.

Rektor wyrósł za jego plecami, położył mu dłoń na ramieniu i pchnął naprzód. Do środka weszli razem. Zatechła woń starych woluminów przypomniła Fletcherowi cmentarną kryptę w Skórach. Czy naprawdę to wszystko wydarzyło się ledwie kilka tygodni temu?

– Ach, jesteście! Muszę przyznać, że nie mogłam się doczekać. Dziękuję, że go przyprowadziłeś, rektorze Scipio – odezwał się ktoś ukryty między regałami.

Kilka chwil później zza rzędów książek wychynęła kobieta w średnim wieku. Miała jasne kręcone włosy i okulary w złotych oprawkach. Sprawiała wrażenie osoby pełnej dostojności, a przy tym szczerzej i otwartej.

– Poznaj lady Rose Fairhaven, naszą bibliotekarkę i zarazem pielęgniarkę. Pracuje u nas od bardzo dawna – powiedział cicho Scipio.

– Ależ rektorze, jeszcze wyjdę na jakąś starowinkę. Nie znamy się wcale tak długo! Dobrze, pokażcie, co przyniosicie. Poczytamy sobie. – Przywołała ich skinieniem do niskiego stolika, oświetlonego mrowiem jasno płonących świec. – Połóżcie tak, żebyśmy wszyscy dobrze widzieli. Arcturus już mi opowiedział, skąd wzięła się ta księga. Pamiętam Jamesa Bakera. Milczący chłopczyk, który bez przerwy rysował. Miał duszę artysty, nie wojownika. Od początku czułam, że nie nadaje się na żołnierza. Przykre, że spotkał go taki los. – Lady Fairhaven westchnęła i usiadła za stołem.

Fletcher położył gruby tom na blacie i razem z rektorem dołączyli do bibliotekarki. Pochylili głowy, gdy z miną znawcy zaczęła kartkować księgę.

– Niewiarygodne! – szepnęła.

Stronice były wypełnione finezyjnymi szkicami, przedstawiającymi demony rozmaitych odmian, opisanych rzędami schludnego odręcznego pisma. Rysunki zadziwiały szczegółowością, a uzupełniające je dane liczbowe i informacje przypominały te, które widniały na zwoju z insektem, prezentowanym kadetom przez majora Goodwina.

– Widzę, że Baker badał istoty z części eteru, zajętej przez orków. Studiował ich fizjologię i właściwości. Jak sądzę, przeprowadzał sekcje wszystkich zakonserwowanych orkowych stworzeń, jakie wpadły mu w ręce. Właśnie tego brakowało w naszych archiwach. Większość bojowych magów zapomina o jednym z najważniejszych żołnierskich zaleceń: wroga należy poznać. Może teraz, kiedy dostaną wszystko na papierze, wezmą sobie tę radę do serca.

Fletcher rozpromieniał się w szerokim uśmiechu. Ucieszył się, że wreszcie przyczynił się do jakiegoś sukcesu, choćby tylko pośrednio.

– Wspaniale wieści, lady Fairhaven, aczkolwiek miałem nadzieję, że dowiemy się czegoś więcej o magicznym zwoju, za pomocą którego Fletcher wywołał swoją salamandrę – stwierdził Scipio z nutą rozczarowania w głosie.

– Lady Fairhaven, wydaje mi się, że jeśli otworzy pani księgę na końcu, to co nieco o tym przeczytamy. Baker prowadził w tej księdze swój dziennik – odpowiedział Fletcher.

Bibliotekarka przerzuciła karty niemal do samego końca. Na kilku ostatnich stronicach szkice zastąpił czysty tekst.

– Chwileczkę, a to co takiego? – zdziwiła się i wyjęła z książki magiczny zwój. Podniosła go do światła.

– Ja... Radzę tego nie dotykać – wydukał Fletcher.

– Dobrze wiem, co to jest – stwierdziła lady Fairhaven, gładząc materiał z wyraźną fascynacją. – Widziałam już kiedyś coś podobnego. Przed wielu laty. Zwój spisany bliznami na skórze pojmanego jeńca. Dawni orkowi szamani właśnie w ten sposób przekazywali demony nowicjuszom. Obecnie ten zwyczaj zamiera. Zobaczmy, co miał na ten temat do powiedzenia Baker.

Oczy bibliotekarki przesunęły się po rzędach liter. Fletcher i rektor cierpliwie czekali bez słowa. Lady Fairhaven czytała niesamowicie sprawnie, ale można było się tego spodziewać. Po niezbyt długiej chwili zatrzasnęła księgę i odłożyła ją na bok.

– Biedny James. – Pokręciła głową. – Pod koniec popadł w głęboką depresję. Nikt nie traktował poważnie jego badań. Magowie go nie szanowali, ponieważ nie był najsilniejszym zaklinaczem. Przekleństwem tego nieboraka był poziom spełnienia. Trójeczka. Podejrzewam, że ta feralna wyprawa do dżungli stanowiła rozpaczliwą próbę odszukania orkowych szamanów i odkrycia stosowanych przez nich kluczy.

– Głupiec – skwitował Scipio i podniósł ręce do nieba. – Teraz szamani wiedzą, że chcemy poznać ich klucze, i dlatego nie wnikają do eteru w okolicach frontu. Ale nic to, powiedz mi o zwoju. W końcu to przez niego całe to zamieszanie.

– Według dziennika, Baker znalazł zwój pod ziemią, w starym obozie orków. W tym samym miejscu, jak pisał, natrafił na liczne kości, zarówno ich, jak i ludzkie. Podejrzewam, że obozowisko zostało zaatakowane podczas ceremonii przekazywania demona i zwój przypadkowo trafił do masowego grobu. Żołnierze zapewne nie mieli pojęcia, jak wielkie znaczenie posiada ten zwitek – orzekła lady Fairhaven, z makabrycznym ubóstwieniem gładząc cienką kartę.

– Czyli nic nam z tego nie przyjdzie! – ocenił Scipio, coraz bardziej rozczarowany. – Zwyczajny szczęśliwy traf. Grzebiąc wśród starych kości, raczej nie znajdziemy kolejnych takich zwojów. Skopij tu księgę z pominięciem dziennika i roześlij walczącym zaklinaczom.

– Tak jest. Zabiorę się do tego jeszcze dziś wieczorem. Niestety, żeby wiernie odtworzyć wszystkie rysunki, będę musiała nająć kilku skrybów – odpowiedziała bibliotekarka, w rozragnieniu przeglądając księgę.

– Zrób tak. Niech z tej historii wyniknie wreszcie coś dobrego – odrzekł Scipio, wychodząc na korytarz. – Naturalnie, mamy już ciebie, Fletcher – dodał zza drzwi.

Chłopak obrzucił grubą księgę łakomym spojrzeniem. Nie mógł uwierzyć, że tyle czasu zwlekał z lekturą. Lady Fairhaven bez przerwy wertowała stronicę, jakby zupełnie o nim zapomniała. Podniosła głowę znad księgi dopiero wtedy, gdy Fletcher przestąpił z nogi na nogę.

– Przepraszam – powiedziała. – Trudno mi się od tej księgi oderwać. Bardzo ci za nią dziękuję. Obawiam się, że dopóki nie sporządzimy odpowiedniej liczby kopii, będę musiała ją zatrzymać zapewne na kilka miesięcy. Potem dostaniesz ją z powrotem.





## 34

Fletcher miał nadzieję, że obejrzy demony arystokratów, ale kapitan Lovett uznała, że kadeci z gminu opanowali już infuzję w dostatecznym stopniu, a przed rozsunięciem dzielącej salę kotary kazała studentom wchłonąć podopiecznych.

Zdziwił się, gdy okazało się, iż Rory i Genevieve są prawdziwymi mistrzami infuzji, za to Seraph, Othello i Atlas dokonali tej sztuki dopiero po kilku daremnych próbach. Rozwiązanie zagadki było dość proste – im bardziej potężny demon, tym więcej kłopotów z wchłonięciem sprawiał zaklinaczowi. W miarę postępów zajęć Fletcher stopniowo poznawał możliwości lenistwem. Wyraźnie czuli się zadowoleni z osiągniętego wcześniej poziomu biegłości i postanowili osiąść na laurach.

Jego grupa z kolei, tak zwane pospółstwo, uczyła się zapamiętane i szybko, chłonęły informacje jak gąbka nasiąka wodą. Niestety, najlepszą nauczycielką rzucania magicznych zaklęć oraz infuzji jest praktyka, więc postępy czynili wolno.

Oczywiście i wśród nich objawiły się osoby szczególnie uzdolnione. Othello i Sylva dysponowali wrodzonym talentem i niemal na każdych zajęciach słyszeli słowa pochwały z ust wykładowców. Tak samo dobrze wypadali na wymagających bardziej intelektualnego wysiłku zajęciach z demonologią. Elfka i krasnolud praktycznie zamieszkali w bibliotece, gdzie wyłuskiwali ukryte w starych księgach sekrety dawnych zaklinaczy. Fletcher czerpał od nich tyle samo nowych wiadomości, co z wykładów majora Goodwina.

Wśród ludzi prym wiedli Fletcher i Seraph, ale raczej dzięki ciężkiej pracy niż bystrości umysłu. Pozostali często umilali sobie weekendy wypadami do Corcillum, gdzie kupowali pamiątki i artykuły pierwszej potrzeby, które posyłali rodzinom. Rodzice Serapha byli zamożni, w związku z czym on zwiedził stolicę dawniej i wolał spędzać czas, ucząc się wspólnie

z Fletcherem. Był dobrodusznym, pogodnym kolegą, obdarzonym bezwstydnym poczuciem humoru, przez które Sylva i Othello, czytający w kurzu i ciszy biblioteki, nieraz gromili go karcącymi spojrzeniami.

– Wszyscy do mnie! – Okrzyk kapitan Lovett wyrwał Fletchera z zamyślenia.

Czterech posługaczy ustawiło na środku sali okrągły kamienny stół. Błat został nakryty białą płachtą, pośrodku której widniało spore wypukłe wybrzuszenie. Kadeci z trudem ścisnęli się dokoła niewielkiego mebla. Isadora wydeła usta, kiedy wepchnął się obok niej spocony Atlas. Zerknęła na niego i wymownym gestem uniosła do nosa koronkową chusteczkę.

– Przepraszam – mruknął zażenowany Atlas.

Lovett wyszła zza biurka i uklękła przed największym pentagramem, centralnie umieszczonym w sali. Inaczej niż gwiazdy na skórach zaklinaczy, ten pentagram otoczony był osobliwymi symbolami, które Fletcher widział już na okładce książki Jamesa Bakera.

– Zapamiętajcie, że z opatrzonego kluczami pentagramu nie wolno wam korzystać bez nadzoru któregoś z wykładowców. Zrozumiano? – rzuciła, wskazując na gwiazdę. – Złamanie tej zasady może skutkować natychmiastowym wydaleniem z akademii. Mówię poważnie!

Oslupiali studenci pokiwali głowami. Tymczasem pani kapitan wypełniła magiczny symbol energią. Linie zaczęły się skrzyż strzelającymi na wszystkie strony iskierkami. Tym razem Lovett znieruchomiała z pochyloną głową na kilka minut. Na jej twarzy malowało się głębokie skupienie. Pentagram pulsował, w powietrzu poniósł się pomruk, narastający i cichnący w nierównym rytmie, niczym niezrozumiała pieśń obłąkańca.

– Rany, skoro kapitan Lovett potrzebuje tyle czasu, to ja i tak nie mógłbym z tego pentagramu skorzystać, nawet gdybym chciał – szepnęła Seraph stojący obok Fletchera. – Robi mi się słabo nawet wtedy, gdy wchłaniam własnego demona.

– Nie łam się. Jestem pewien, że z czasem przywykniemy – odpowiedział półgłosem Fletcher.

Wreszcie na środku symbolu wyrosła kula. Uniosła się i zawisła w powietrzu niczym przymglone błękitne słońce. Zdyszana Lovett przeszła na kolanach do kolejnego pentagramu. Musnęła go dłonią i w obrębie gwiazdy zmaterializował się demon.

– Insekt! – szepnęła wniebowzięta Genevieve.

Usłyszała to wykładowczyni i rzuciła dziewczynie zmęczony uśmiech.

– Nie inaczej. To świetni zwiadowcy, nieodzowni podczas łowów w eterze. Valens jest moim najstarszym stworzeniem. Bez niego nie udałoby mi się schwytać ani Lisandra, ani innych demonów, które przeszły przez moje ręce.

Lovett wróciła do stołu i złożyła dłoń na okrywającej go białej tkaninie. Drugą ręką trzymała długi skórzany pasek, połączony z jednym z ramion wielkiego pentagramu z kluczami. Fletcher domyślił się, że rzemień pozwalał jej nieprzerwanie przesyłać manę do gwiazdy.

– Za moment pokażę wam najdroższy sprzęt w całej uczelni. Nie dotykajcie go, nawet na niego nie chuchajcie. Wolno tylko patrzeć! – ostrzegła Lovett i powiodła wzrokiem po twarzach kadetów. Odwróciła spojrzenie dopiero wtedy, gdy wszyscy skinęli głowami. Ściągnęła płachtę i odsłoniła ukryty skarb.

Na środku białego marmurowego stolika pobłyskiwał przeogromny klejnot.

Kryształ był przejrzysty niczym nurt górskiej strugi, kolorem przypominał intensywnie fioletowe dzikie wrzosey.

– Oglądacie niezwykle rzadki kamień zwany korundem – wyjaśniła wykładowczyni. – Jego kryształy przybierają niemal wszystkie barwy tęczy, lecz duże i przezroczyste egzemplarze, takie jak ten, stanowią prawdziwą rzadkość. Nazywamy je widzącymi kamieniami, chociaż nasz znany jest także pod nazwą Oculus. Jeżeli nie stać was na kupno własnego, dostaniecie kryształ z magazynu, ale sprzedam, że jakoś i rozmiar kamieni, jakimi dysponuje akademia... cóż...

pozostawiają sporo do życzenia.

Lovett skinęła dłonią na Valensa i niewielkie stworzenie przeleciało nad głowami kadetów, po czym osiadło na klejnocie. W odróżnieniu od Malachiego i Azury, jego pancerzyk miał pospolity kasztanowy odcień. Lovett – zupełnie jakby odczytała myśli Fletchera – uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo i czule pogładziła skorupę żuka.

– Valens świetnie nadaje się do swojej pracy. Nie jest może wybitnie ozdobny, ale jeżeli natknie się w eterze na wygłodniałego demona, pozostanie niezauważony.

Fletcher przypomniał sobie brązowego stworka, którego zaraz po wywołaniu pożarł Ignatius; był znacznie mniejszy od wszystkich insektów, jakie widział na zajęciach. Niewykluczone, że należał do innego gatunku.

– Cóż, przedstawienie czas zacząć. Na początku należy przelać manę poprzez demona prosto w kamień. O tak – powiedziała pani kapitan i położyła dłoń na Valensie.

Klejnot poczerniał. Kiedy Lovett oderwała rękę od Valensa, barwa kryształu zmieniła się raz jeszcze. W pierwszej chwili Fletcher odniósł wrażenie, że korundowe ścianki stały się zwierciadłami, a w jednej z nich zobaczył własną twarz. Zaraz potem w kamieniu pojawił się Seraph.

– Oculus pokazuje teraz wszystko, co widzi Valens. Technikę tę nazywamy dalekowidzeniem. Jest szalenie przydatna do rozpoznania oraz kontrolowania demonów na odległość. Dotąd wyczuwaliście tylko myśli podopiecznych. Teraz z pomocą kryształu będziecie w stanie obserwować świat z ich perspektywy. Przed wniknięciem do eteru zawsze należy rozejrzeć się po drugiej stronie, wysyłając najsłabsze dostępne stworzenie. To kluczowa sprawa, bowiem jeżeli czai się tam jakiegokolwiek zagrożenie, ryzyko poniesie na przykład Valens, a nie Lisander. Ponadto insekty są niewielkie i zwinne, a zatem mniej narażone na wykrycie i sprawniejsze w ucieczce.

Valens wzbił się w powietrze i zawisł tuż przed wirującą niebieską kulą. Obraz w kryształach zafalował. Lovett cmoknęła językiem i insekt wpadł w świetlistą sferę niczym pistoletowy pocisk.

Pierwszym, co Fletcher zobaczył w widzącym kamieniu, była rdzawa ziemia. Drobinny piasek wirował nad czerwoną równiną, skręcane przez poddmuchy rozszalałego wichru w małe lejowate wiry. Niebo miało pomarańczowy odcień jak o świcie, lecz ta poświata nie niosła ze sobą ciepła. Fletcher nie zauważył także żadnego jej źródła wśród chmur. Gdzieś tam krajobraz usiany był karłowatymi drzewami. Rzadkie gałęzie sterczały sztywno niczym kończyny martwego człowieka. Nigdzie nie było widać nawet śladu życia, jak okiem sięgnąć ciągnęło się wymarłe suche pustkowie.

– Świetnie – ucieszyła się Lovett. – Wyszliśmy w Martwej Krainie.

– Martwa Kraina? – W głosie Rory'ego lęk zmieszał się z fascynacją.

– Wnikanie w eter nie poddaje się ścisłym naukowym prawdom. Niezwykle trudno jest precyzyjnie określić, gdzie się znajdziemy. Martwa Kraina ma swoje wady i zalety, wszystko zależy od założonego przez zaklinacza celu. W tej okolicy nic was nie zaskoczy, lecz gdybyście planowali schwytać demona, musielibyście nadłożyć spory kawałek drogi. Ja, zamierzając zapolować, nie skorzystałabym z tego portalu i otworzyłabym nowy. Jednak do nauki to miejsce nadaje się idealnie. Martwa Kraina położona jest między Otchłanią a zewnętrznym kręgiem zamieszkaną części eteru.

Lovett mówiła z wysiłkiem. Fletcher zauważył pulsującą na jej skroni żyłkę. Przenikanie do eteru musiało wymagać znacznego nakładu mocy i koncentracji.

Valens skręcił i odleciał od portalu. Z każdą chwilą unosił się wyżej. W sali panowała niemal

zupełna cisza, mącona jedynie przez szmer ciężkich oddechów wykładowniczy. Upływały kolejne minuty. Kraina w kryształ stawała się stopniowo coraz bardziej opustoszała i martwa. Drzewa rosły rzadziej i rzadziej, aż w końcu widzieli tylko bezkresny szmat jałowej ziemi.

– Pani kapitan, skąd pani wie, dokąd się udać? – zapytał Tarquin. – Przecież tu wszystko wygląda tak samo.

Pytanie zostało zadane celnie. O młodym arystokracie można było powiedzieć wiele, lecz nie dało się go nazwać głupcem.

– Świeżo otwarty portal zawsze jest zwrócony ku centrum eteru, więc mamy już pierwszą orientacyjną wskazówkę. Ponadto wszystkie istoty kierują się w tamtą stronę instynktownie i są wyposażone w coś w rodzaju wewnętrznego kompasu. One same zawsze wiedzą, gdzie akurat przebywają. Ja potrafię wybierać drogę wyłącznie dzięki tym zjawiskom, aczkolwiek wymaga to sporo wprawy i nie zawsze bywa dokładne. Dlatego wnikanie do eteru zawsze wiąże się z pewnym ryzykiem. Nie mogę utrzymać portalu nieskończenie długo, a gdybym zamknęła go przed powrotem Valensa, nasza więź uległaby zerwaniu. Po prostu bym go straciła – wytłumaczyła Lovett.

Tarquin otworzył usta, by zapytać o coś jeszcze, lecz uprzedził go Fletcher.

– Centrum eteru? Co to znaczy? Czy eter ma jakiś kształt? – spytał, próbując zrozumieć.

– Wiele wskazuje na to, że eter ma formę płaskiego dysku. Słabsze istoty trzymają się jego zewnętrznych pierścieni, te bardziej potężne można spotkać jedynie bliżej środka. Tamtejsze stworzenia tworzą łańcuch pokarmowy, na którego dole znajdują się niskopoziomowe insekty, zamieszkujące regiony najbliższe Martwej Krainie.

Tarquin chciał zadać kolejne pytanie, lecz pani kapitan uciszyła go, unosząc dłoń.

– Pozostałe wątpliwości omówimy później. Obecnie utrzymuję portal i jednocześnie kieruję Valensem, a to nielatości nawet wtedy, gdy nie muszę udzielać wam odpowiedzi.

Podczas gdy mówiła, pentagram pociemniał i zamrugał. Wykładowniczy glucho jęknęła i symbol ponownie zajaśniał stabilnym fioletowym blaskiem.

Mimo panującego w sali napięcia Fletcher – chyba po raz pierwszy od dnia wstąpienia do akademii – poczuł się odprężony. Wszyscy, nawet Tarquin, dowiadawali się w trakcie tych zajęć czegoś nowego. To, czego uczyła ich kapitan Lovett, wydawało się Fletcherowi naturalne i sensowne, jakby przypominał sobie coś, o czym zapomniał dawno temu. Poczuł, że odnalazł dla siebie właściwe miejsce w świecie.

Prędko ciemniejący horyzont został gdzieś w dole. Poświata nieboskłonu przygasła, zastąpiona przez czarną bezgwiezdną pustkę, a mimo to mały żuk wciąż wzbijał się wyżej i wyżej. W pewnym momencie zawisł w powietrzu i spojrzął w dół.

– Patrzcie uważnie. Zaraz je zobaczycie – powiedziała Lovett rwącym się zmęczonym głosem.

Ziemia urywała się jak ucięta nożem. Eter kończył się urwiskiem, gigantycznym klifem, którego ściana nikięła w mroku daleko poniżej. Fletcher zauważył, że w pewnym odległym punkcie, prawie na granicy wzroku, płaskie zbocze nieznacznie się zakrzywia. Uświadomił sobie, że dysk jest gigantyczny. Eter musiał być bardziej rozległy niż tysiąc ludzkich królestw razem wziętych. Nie chciałbym się tam zgubić, pomyślał pośpiesznie.

Nagle otrząsnął się, ponieważ w otchłani coś się poruszyło. W miarę jak oczy żuka przyzwyczajały się do ciemności, powoli ukazywała się im kipiąca masa. Wijące się, rozedrgane kłębowisko, spletany chaos macek, ślepi i wyszczerbionych kłów.

– Ceteany... – wyszeptała zdjeta zgrozą Sylva.

– Owszem, ceteany. Widzę, że jesteś świetnie przygotowana – potwierdziła glucho Lovett i otarła pot z czoła. – Niektórzy nazywają je „przedwiecznymi”. Głodują na skraju przepaści,



pożerają się nawzajem i wciąż czekają na nowe ofiary. Ceteany chwytają i zjadają wszystkie demony, które zapuszczają się tak daleko. Zwykle są to stworzenia chore bądź ranne, szukające bezpiecznego schronienia. Właśnie dlatego Valens musiał się wzbicć aż tak wysoko. Podczas naszego kursu więcej nie odważę się do nich zbliżyć, więc zapamiętajcie tę naukę raz na zawsze. Trzymajcie się od ceteanów z daleka.

Valens zawrócił i pofrunął z powrotem w kierunku portalu. Tym razem nikt nie zadawał pytań. Wszyscy kadeci myśleli wyłącznie o koszmarnych istotach, które ujrzeli w kryształach. Gigantyczne monstra były stworzeniami groteskowymi i cierpiącymi zarazem, co do tego Fletcher nie miał wątpliwości. Co prawda, Oculus nie pozwalał kadetom usłyszeć wydawanych przez ceteany odgłosów, lecz Fletcher był w stanie wyobrazić sobie ich zbolale wrzaski i porykiwania.

Przed nimi ponownie pojawiła się błękitna kula portalu, lecz Valens poleciał dalej i wkrótce zostawił ją z tyłu. Na tej wysokości mógł fruwać prędko, porastające pustkowie kikuty drzew sunęły pod nimi jak porwane rzeczonym nurtem liście. Fletcher zastanowił się, jakiej radości musi doświadczać kapitan Lovett, siedząc na szybującym nad polem bitwy gryfie. Niemal natychmiast poczuł ukłucie zazdrości, ponieważ Ignatius nie nadawał się na wierzchowca.

– Teraz obejrzymy sobie pobieżnie skraj terytoriów łowieckich, potem będę musiała wracać – wyjaśniła skupiona i spięta Lovett. – Zazwyczaj potrafię przebywać w eterze znacznie dłużej, ale nie doszłam jeszcze w pełni do siebie po schwytaniu lutry dla Atlasa. Miałam wtedy sporo szczęścia. Był przy mnie rektor Scipio i zdołał ją okiełznać.

– Okiełznać? – powtórzył Rory, lecz wykładowczyni zignorowała go i w milczeniu wskazała na kryształ.

Świat stał się zielony. Valens oglądał las, choć rosnących w nim roślin Fletcher nie widział nigdy w życiu. W oddali, ponad koronami drzew, fruwały chmary magicznych istot – zataczały kręgi i szybowały niczym stada szpaków. Tuż nad knieją przemknął rój maleńkich insektów. W pewnej chwili rozpierzchnęły się, gdy większy żuk, mocno przypominający Valensa, pochwycił jednego z nich wprost z powietrza. Nad horyzontem kłębiły się popielate chmury. Pod nimi stożki wulkanów, czerwone od spływających po zboczach strug lawy, wypływały ze swych trzewi słupy dymu. Wyziewy sprawiały wrażenie podtrzymujących niebo kolumn.

Nagle Valensem targnęło potężne uderzenie i zaczął spadać. Lovett boleśnie krzyknęła. Obraz na ściankach widzącego kamienia wirował niczym w kalejdoskopie. Drzewa pędziły im na spotkanie. Zaraz potem Oculus zgasł.





## 35

Grupa kadetów wpatrywała się z przerażeniem w czarny jak noc kamień. Wszyscy wstrzymali oddech. Lovett ścisnęła rzemienny pasek tak mocno, aż zbieleły jej knykcie. Pentagram syłał dokoła fioletowymi iskrami, które gasły, dymiąc z sykiem na skórzanej podłodze. W powietrzu rozszedł się swąd palonych włosów.

Oculus ożył. Obraz był niewyraźny i nieostry, lecz po chwili się przesunął. Valens przeżył upadek! Spojrzał ku górze, na opalizujące wierzchołki drzew.

– Tego się właśnie obawiałam – powiedziała półgłosem Lovett. – O tej porze roku przez nasze tereny łowieckie migrują stada dzierzb. W poprzednich latach zaczęłabym z lekcją w eterze do przyszłego miesiąca, ale skoro wy, pierwszaki, macie wziąć udział w tegorocznym turnieju, musiałam się pospieszyć. Przeklęty Scipio! Za wszelką cenę chce was jak najszybciej odesłać na front! Dawniej edukacja bojowego maga trwała kilka lat! Powinien mieć więcej rozsądku!

Zaczęła szpetnie przeklinać i trwało to długo. Tyrada mogłaby urazić nawet vesaniańskiego marynarza. Słyszając tak barwny język, Fletcher pokraśniał po koniuszki uszu, lecz uśmiechnął się pod nosem. Równa babka z tej Lovett, pomyślał.

Spróbował wyobrazić sobie dzierzbę, lecz z zajęć zapamiętał tylko tyle, że były to groźne przypominające ptaka stworzenia, odwiedzające niekiedy dostępne ludziom rejony eteru.

– Dzierzba niebawem przyleci, a Valens ma uszkodzone skrzydło. Musi czym prędzej wracać do portalu. O podjęciu równorzędnej walki nie ma nawet mowy, przeciętna dzierzba przerasta go o całe trzy klasy. A jeśli mieliśmy pecha trafić na matriarchę stada, nawet o pięć.

Ostatnie zdanie nie powiedziało Fletcherowi wiele, lecz zadał sobie w duchu pytanie, jakiej klasy istotą może być Ignatius. Gdy Valens ostatecznie poderwał się do lotu, chłopak ponownie skupił się na obrazach widocznych w kryształach.

Nieszczęsny insekt fruwał powoli, niezdarnie machając uszkodzonym skrzydłem. Sunął tuż

nad powierzchnią jałowej pustyni, miotany na wszystkie strony smągnięciami wichru niosącego tumany piachu. Minuty płynęły nieznośnie powoli. W pewnej chwili Fletcher spostrzegł na ziemi wyraźny cień, lecz nie miał pojęcia, co mogło go rzucić.

– Coś nad nami leci – zauważył i wskazał palcem ciemniejącą plamę.

– Wiem, nie odstępuję nas od samego lasu – odpowiedziała Lovett i odgarnęła z oczu wilgotny od potu kosmyk. – Dzierzby z upodobaniem atakują z zaskoczenia, ranią ofiarę, po czym cierpliwie ją śledzą, aż padnie wykrwawiona. Zazwyczaj to skuteczna technika łowów, ale dzisiaj mamy dzięki niej szansę. Dziki, nieujarzmione demony instynktownie unikają portali, przez co rzadko się zdarza, by przekraczały je z własnej woli. Dlatego właśnie do naszego świata trzeba by zaciągać siłą. Jeżeli więc uda się Valensowi dotrzeć do portalu, dzierzba zostawi go w spokoju. Wtedy go wchłonę i wyzdrowieje. Mam tylko nadzieję, że wytrzyma.

Wreszcie na horyzoncie zamajaczył owalny portal. W samą porę, jako że Valens fruwał z coraz większym trudem. Chwiał się w locie, a obraz w Oculusie ciemniał i migotał z niepokojącą częstotliwością.

– Jeszcze tylko kawałek... – szepnęła kapitan Lovett i w napięciu zmarszczyła brwi.

Jednak Valens dotarł do kresu wytrzymałości. Kilka stóp przed portalem runął ciężko na piasek, wzbijając przy tym kłęb kurzu. Znieruchomiał i jedynym świadectwem jego życia była poświata kamienia, który wciąż ukazywał niesione wiatrem smużki pyłu.

– Prędko! Przynieście mi skafander eterowy, błyskiem! Jest w ostatnim schowku w ścianie. Mamy mało czasu!

Jako pierwszy zareagował Seraph. Pomknął przez salę i wyciągnął pękaty pakunek.

– Pomóżcie mi, ciężkie to! – zawołał.

Othello pospieszył koledze na pomoc i wspólnie przytaszczyli kombinezon do wykładawczynie. Fletcher nie odrywał wzroku od Oculusa. Po pustyni ponownie przesunął się cień.

– Czy mogę wysłać po niego Ignatiusa? – spytał.

– Nie, gdyby przekroczył mój portal, nasze many zlałyby się ze sobą, a mieszanie many to niezwykle trudna sztuka. Jeśli nie powiedzie się przy pierwszej próbie, portal od razu się zamknie i stracimy Valensa na zawsze.

Lovett wciskała się w niezgrabny jednocześnie skafander ze skóry. Nogawki połączone były z butami o stalowych noskach, szyję otaczał metalowy pierścień. Lovett wsunęła stopy do środka, po czym spłotła długą rzemienną smycz, którą łądowała wcześniej pentagram z inną, wyciągającą się na kilka metrów ze skafandra. Do leżącego na podłodze hełmu podłączona była spleciona elastyczna rura.

– Seraph, rozprostuj przewód powietrzny. Muszę swobodnie oddychać.

Pani kapitan podniosła opatrzony metalowym kołnierzem hełm. Gdy Seraph rozwinął rurę, nasunęła kask na głowę i docisnęła do kołnierza skafandra. Stalowe pierścienie przywarły do siebie z głośnym szcękaniem.

– Ważne, by kombinezon został szczelnie zamknięty! – Spod hełmu doleciał ich stłumiony głos Lovett. – Atmosfera eteru jest dla ludzi bardzo toksyczna. Jeżeli cokolwiek przedziurawi mój skafander, wyciągnijcie mnie natychmiast za ten skórzany pas, bez względu na los Valensa.

– Przecież to tylko insekt. Po co ryzykować życie, skoro nazajutrz mogłaby pani kapitan schwytać nowego? – Tarquin sceptycznie spojrzał na wykładawczynię.

Zwróciła głowę w jego stronę. Prawie nie było jej widać. Hełm wykuto z litej miedzi i tylko z przodu otwierała się gruba okrągła szybka. Przesłonięto je stalową kratką, by dodatkowo ochronić szkło.

– Demon to nie stara koszula, którą można beztrudno wyrzucić na śmietnik! Być może zrozumiesz, kiedy ze swoim stoczysz ramię w ramię kilka bitew. – Powiedziawszy to,

przeniknęła przez portal.

Wychodząca po drugiej stronie Lovett ujrzała w widzącym kamieniu. Oczy Valensa ukazały im zamgloną brązową sylwetkę. Poczuli się dziwnie – dopiero co wykładowczyni stała w błękitnym półmroku sali przyzwań, a ledwie po kilku sekundach wynurzyła się pod palącym niebem eteru. Stała powolnymi uważnymi krokami ku leżącemu Valensowi.

Po chwili osłonięta grubą rękawicą dłoń podjęła Valensa z ziemi i uniosła do hełmu. Kadeci zobaczyli połyskujące za szybką szare oczy Lovett. W jej spojrzeniu malowały się lęk i troska. Wreszcie odwróciła się i ociężała, noga za nogą, zaczęła brnąć z powrotem w stronę portalu.

– Dlaczego ona idzie tak wolno? – spytała szeptem Genevieve.

– Ma na sobie ciężki kombinizon, porusza się w strasznym pustynnym skwarze, a jednocześnie podtrzymuje portal i kontroluje umierającego stwora. Cud, że w ogóle trzyma się jeszcze na nogach – odpowiedział wyniosłym tonem Tarquin. – Jeżeli ten portal się zamknie, Lovett uwięźnie po drugiej stronie, przewód powietrzny zostanie przerwany, a ona zginie uduszona trującymi wyziewami eteru. Głupia kobieta.

– Uda się jej – mruknął Fletcher, gorąco kibicując wykładowczyni, która chwiejnym krokiem zmierzała do migocącego portalu.

Pierwszy Othello zauważył niewielką czarną plamkę na niebie. Rosła z każdą sekundą. Zaintrygowany krasnolud pokazał ją palcem kolegom, po czym nagle otworzył szeroko przerażone oczy. Pierzasty demon pędził lotem nurkowym ku ziemi. Lovett także musiała go zauważyć. Przyspieszyła kroku. Pentagram w sali zaczął niebezpiecznie migać i trzaskać, a sylwetka kapitan zaczęła się rozpraszać

Dzierzba przypominała olbrzymiego ptaka, porośniętego długimi czarnymi piórami. Rozpiętością skrzydeł dorównywała wzrostowi Fletchera, więczące je lotki miały białe końcówki. Z ozdobionego czerwonym kogucim grzebieniem lba sterczał groźny, złowroźnie zakrzywiony dziób; pod szyją potwora kołysały się jasnoczerwone korale. Koszmarne stworzenie skojarzyło się chłopakowi z przerośniętym, wyjątkowo odpychającym sępem.

Ptaszydło pikowało prosto na Lovett. Długie intensywnie pomarańczowe szpony wyciągnęło przed siebie. Kapitan skuliła się, lecz było już za późno. Pazury z bezlitosną precyzją trafiły ją w hełm, a jeden z nich zaczepił się o osłaniające szybką przętę i przewrócił Lovett na plecy. Haczykowały dziób zaczął uderzać raz po raz. Nadaremnie. Miedziany kask ugiął się w kilku miejscach, lecz wytrzymał.

– Wciągnijcie ją! – krzyknął Fletcher. – Ma w rękę Valensa!

Chwycił za ramię i szarpnął z całych sił. Gruby skórzany pas naprężył się i wkrótce zaczął skrzypieć. Po chwili dołączyli do Fletchera pozostali studenci, nawet Isadora z gracją uchwyciła pas i pomogła kolegom. Wspólnym wysiłkiem szło im sprawnie, z iskrzącego się portalu wysunęło się już dobrych kilka stóp rzemienia. Fletcher zerknął przez ramię na widzący kamień, lecz zobaczył jedynie pierze furkocące co chwila na tle brązowego nieba. Demon wciąż zaciekle atakował hełm pani kapitan.

Wreszcie Lovett zdołała podnieść się na nogi, ramię zwiotczało i wykładowczyni wypadła przez portal do sali. Kadeci już mieli wzniesić chóralny okrzyk zwycięstwa, lecz głosy uwięzły im w gardłach. Kapitan nie wróciła sama.

Ptaszydło przenikliwie zaskrzeczało, po czym rozpostarło szeroko skrzydła i się wyprostowało. Wzrostem niemal dorównywała dorosłemu człowiekowi. Potwór przymrużył płonące w błękitnym półmroku sali żółte ślepie i ruszył naprzód niezgrabnymi podskokami. Można było pomyśleć, że gra w jakąś makabryczną odmianę gry w klasy. Lovett leżała nieruchomo na podłodze – stało się z nią coś bardzo złego.

– Cofnijcie się! – zawołał głośno Tarquin, zastępując drogę dzierzbie.

Fletcher za młodym arystokratą nie przepadał, lecz ten wyczyn zyskał jego uznanie. Najwyraźniej Tarquin nie był skończonym tchórzem.

Tarquin przykleknął i oparł dłonie na podłodze, przelewając energię do najbliższego pentagramu. Mglenie później nad symbolem zmaterializował się demon, który momentalnie zaatakował dzierzbę. Okazał się hydrą – na długich, mięsistych, wijących się jak węże szyjach kofywały się trzy gadzie głowy. Kształtem ciała stworzenie przypominało warana. Łby zakolysały się powietrzu, szczęki kłapnęły, próbując pochwycić monstrualnego ptaka, który zaczął się cofać w stronę portalu. Siły przeciwników były wyrównane. Co prawda, hydra była dostatecznie duża, by na nim jeździć, lecz niska. Wzwyż sięgała przede wszystkim szyjami. Łapy miała krótkie, za to wyposażone w grube czarne pazury, przy każdym kroku kaleczące skórną wykładzinę podłogi.

– Trebiusowi nie oprze się żadne stworzenie! – zawołał Tarquin.

Dzierzba zaskrzeczała, oszołomiona nagłym atakiem, prowadzonym z trzech stron jednocześnie. Fletcher zostawił zmagające się demony własnemu losowi, ominął je i podszedł do kapitan Lovett. Musiała być przytomna, ponieważ portal nadal stał otworem. Leżące na podłodze ciało było jednak nieruchome jak zwłoki. W rozwartej dłoni konwulsyjnie pobzykiwał Valens, obserwując starcie Trebiusa z dzierzbą. Mały insekt chciał pomóc, lecz zbrakło mu sił.

– Sprowadzę kogoś! – Genevieve wybiegła na korytarz.

Tymczasem Fletcher ukląkł przy pani kapitan Lovett i odciągnął ją z dala od walczących stworzeń. Następnie ostrożnymi ruchami uwolnił ją od ciężkiego hełmu. Ukazał mu się przerażający widok: kapitan broczyła z ust pianą, oczy uciekły jej w głąb czaszki i pod powiekami widać było tylko białka. Nagle wstrząsnęły nią gwałtowne spazmy i kilkakrotnie uderzyła głową o skórną posadzkę. Fletcher nie miał pojęcia, w jaki sposób udaje się jej wciąż podtrzymywać portal.

– Trucizna! – jęknął ze zgrozą, próbując osłonić dłońmi potylicę wykładawczyni.

Rzucił spojrzenie na hełm i ujrzał biegnącą przez szybką głęboką rysę. Szkło musiało puścić przy pierwszym ataku szponów dzierzby. Rozwścieczony zwrócił się do ptasiego demona, który zatrzymał się ledwie kilka stóp od portalu. Widocznie w takiej odległości instynktowny strach przed magicznym przejściem przerastał obawę przed hydrą. Dzierzba wykonała niepewny krok naprzód i uderzyła dziobem w głowę najbliższego przeciwnika. Trafila. Trysnęła krew, a przerażony Tarquin krzyknął.

– Ignatius! – wykrzyknął Fletcher, ładując maną najbliższy pentagram i przywołując salamandrę.

Pojawiła się niemal natychmiast i bez wahania rzuciła się z piskiem do walki. Nie dbając o to, że ptaszyczo przerasta go kilka razy, Ignatius wgrzył się w jego łapę i zaczął go dźgać kolcem ogona. Dzierzba zaskrzeczała z bólu i strachu, straciła równowagę i runęła na pentagram. Hydra w jednej chwili zaskrzeczała z okazji. Skoczyła naprzód i zatopiła w ptasiej szyi kły wszystkich trzech szczęk. Energia rozpędu masywnego stwora posłała płataninę pazurów i zębisk na sam skraj portalu. Wszystkie stworzenia wydawały z siebie potępienięcze wycie.

– Ignatius! Teraz! – zawołał Fletcher, nie chcąc, by demony przetoczyły się przez niestabilne przejście.

Gdyby Lovett przestała podtrzymywać portal, straciliby go na zawsze. Jego podopieczny odskoczył i zionął gęstymi językami ognia, tuż nad łbami hydry i dzierzby. Demonstracja siły przeważała szalę. Olbrzymi ptak zakrakał, po czym wskoczył w portal. Zębate szczęki hydry zatrzęsły się w powietrzu.

Zaraz potem magiczne wrota skurczyły się i zgasły. Także dziwnoblaski rozwiały się na świetliste niebieskie wstążki i znikły, pograżając salę w nieprzeniknionej ciemności. Kapitan

Lovett wydała z siebie głębokie westchnienie i jej ciało zwiotczało. Fletcher z ulgą zauważył, że pierś pani kapitan nierówno, lecz wciąż podnosi się i opada.

Nowicjusze zakrzyknęli zwycięsko, lecz nie cieszyli się długo. Wykładowczynie zaczęła się dławić, targnął ją ostry kaszel. Fletcher posadził ją na podłodze i rozmasował plecy. Nagle w ciemności rozległ się głos Tarquina:

– Ty kretynie! Ta dzierzba miała być moim drugim demonem!

Arystokrata wyczarował dziwnoblask, który oświetlił salę. Rozzłoszczony wymierzył we Fletchera palcem.

– Tak bardzo przejąłeś się głupią nauczycielką? Nie martw się, dam ci zaraz lekcję, której długo nie zapomnisz!





## 36

Hydra ruszyła prosto na Fletchera. Z otwartych paszcz poniósł się syk. Chłopak zauważył wijące się rozwidlone jęzory. Gadzie lby kotływały się hipnotycznie, niczym szykujące się do ataku kobry.

– Solomon! – zawołał Othello, przywołując golema.

Kamienny stwór wszedł ciężkim krokiem przed hydrę i zastawił jej drogę. Po chwili u jego boku pojawił się groźnie wyszczerzony Ignatius. Obaj rzucili hydrze wyraźne wyzwanie.

– Ach, czyli krasnolud wyłożył wreszcie karty na stół. Nic dziwnego. Słabeusze zawsze trzymają się razem – orzekł kpiąco Tarquin.

– Bardzo chętnie ci pokażę, jaki jestem słaby. No? Chodź i sprawdź! – warknął Othello. Obszedł salę i zajął miejsce obok Fletchera.

– Nie pora na to! – zawołał Fletcher, wściekły na obu kolegów. – Nie widzicie, że kapitan Lovett umiera?

Wykładowczyni sapała z coraz większym trudem, leżała na ziemi i chwytiała ustami powietrze, każdy haust oplacając wyczerpującą walką.

– Pozwól półludkowi walczyć, widzisz przecież, że chce – rzucił Tarquin.

Kadeci jęknęli, słysząc rasistowskie określenie. Nawet Fletcher wiedział, że określenie „półluddek” stanowi dla krasnoludów potworną zniewagę. Othello zacisnął dłonie w pięści, lecz nie chwycił przynęty. Nie pozwolił się sprowokować.

– Zamknij gębę! Nie waż się tak do niego mówić! – ryknął Fletcher. Wściekłość krążyła mu w żyłach niczym płynny ogień.

– Krasnoludowi wydaje się, że skoro ktoś lepszy od niego z konieczności dał mu dobrego podopiecznego, to jest teraz równy nam – ciągnął Tarquin, nie przejmując się przestrogami. – Zaraz zrozumie, jak bardzo się myli. A potem zabiję tego twojego śmiesznego Ignatiusa.

Trebius nie boi się kilku płomyków.

Na dźwięk swego imienia, hydra syknęła i drapnęła pazurami podłogę.

– Braciszku ukochany, nie zabieraj mi całej zabawy! Ja też chcę stoczyć wreszcie jakiś pojedynek. – Isadora stanęła w kręgu światła.

Dygnęła i musnęła skraj jednego z pentagramów, z którego podniosły się cienkie nitki białego światła i splotły w powietrzu w sylwetkę demona. Przypominał wielkiego kocura, ale stał zgarbiony na dwóch nogach, niemal jak człowiek czy raczej jak żyjące w dżungli szympansy. Porośnięty był gęstym futrem w czarno-pomarańczowe tygrysie pasy. Pod sierścią prężyły się potężne rozrośnięte mięśnie. Z kącików paszczy wyciągały się przypominające szable, niebylewale długie kły. Musiały mierzyć przynajmniej cztery cale i kończyły się ostrymi jak igła szpicami. Podobnie jak kanid, stworzenie to miało dodatkową parę oczu.

– Co? Nie widziałeś nigdy felida? – rzuciła Isadora na widok oszołomionej miny Fletchera. – Mój Tamil to nie lada okaz. Drugiego takiego w życiu nie ujrzysz. Kochana mama była tak dobra, że przekazała go właśnie mnie. Tarquin otrzymał ulubieńca ojca, więc nie mogła postąpić inaczej.

Podekscytowany felid zamiauczał i zakofywał ogonem na boki. Spojrzenie gorejących ślepi skupił na Ignacjusie. Z łap wysunęły się zabójcze pazury. Tamil i Trebius ruszyły zgodnie przed siebie, a Fletcher głośno przełknął ślinę. Jego gniew stopniowo stygł i udało mu się ocenić sytuację na chłodno. Zapewne miał do czynienia z najsilniejszymi stworzeniami z kolekcji Forsythów, czyli prawdopodobnie bardzo potężnymi. Uświadomił sobie, że Ignacjus, nawet przy wsparciu Solomona, jest słabszy o co najmniej kilka klas. Myślą przykazał mu zionąć snopem pomarańczowego ognia, lecz Tamil i Trebius ledwie zwrócili uwagę na gorące płomienie.

– Trebius! Teraz! – wykrzyknął Tarquin i posłał syczącą hydrę do ataku.

Felid ruszył za nią długimi susami.

Solomon ustawił się w szerokim rozkroku, wydał z siebie gardłowy ryk i uniósł kamienne pięści. Ignacjus stanął na tylnych łapach, wziął głęboki wdech, w pełni gotowy, by ponownie bluznąć ogniem. Wtem pomiędzy nimi zabłysła złocista sierść. Do akcji wkroczyła Sariel. Zjeżona złocista grzywa falowała, czwórka oczu pobłyskiwała wściekle. Zwykle dostojny i elegancki pysk kanida zmarszczył się w potwornym grymasie. Z wyszczerzonych kłów kapąły krople śliny. Sariel drapnęła posadzkę przednią łapą. W skórzanej podłodze powstały cztery świeże szramy. Hydra zamarła.

– Przestańcie! – zawołała Sylva. – Zapomnieliście wszyscy, kto jest naszym wrogiem? Wszyscy walczyliśmy po tej samej stronie!

– Jeszcze nieoficjalnie, chyba że elfy już się poddały, co? – rzucił złośliwie Tarquin. – Jak dotąd, jesteście tylko zakładniczką z manią wielkości, nikim innym.

Elfka zjeżyła się, a Sariel wyczuła wzburzenie swojej pani i głośno szczełnęła.

– Tarquin, nie dajmy się ponieść emocjom – wtrąciła Isadora i uspokoiła brata, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Wkrótce elfy mogą się stać naszymi sojusznikami, a Forsythowie i klanowi wodzowie elfów są w stanie wiele na tym skorzystać... Chyba o tym nie zapomnieliście?

Fletcherowi nie umknęło, że dziewczyna mocno ścisnęła bark brata i wbiła mu paznokcie w ciało. Tarquin zawahał się, po czym pochylił głowę i gestem przywołał Trebiusa do siebie.

– Przepraszam. Zapomniałem się. Szał bitewny, rozumiesz – mruknął pod nosem, mimo że policzki wciąż miał czerwone w wściekłości. Rzucił Fletcherowi złowrogie spojrzenie.

– Sylva, jak będzie? Krasnolud i pospólstwo czy wolisz trzymać z nami? – spytała Isadora, jednak nie zdążyła doczekać się odpowiedzi.

Drzwi otworzyły się z rozmachem i do sali wkroczył Arcturus, za którym pojawiła się Genevieve i dwóch służących w noszami w rękach.



– Co się tu dzieje?! – ryknął mag.

Do środka wpadła Sacharissa i w jednym skoku stanęła obok niższej o głowę Sariel. Kłapnęła szczękami i kanid umknął do Sylwy.

– Zanieście ją do infirmerii – rzucił półgłosem Arcturus, który podniósł kapitan Lovett i delikatnie ułożył ją na noszach. Zsunął jej z czoła włosy i zamknął powieki nad ślepo wpatrzonymi w powalę oczami.

Posługacze, potykając się co chwila z pośpiechu, wybiegli na korytarz.

– Niech mi teraz ktoś wyjaśni, co się tutaj wyprawia – powiedział zimno, ledwie panując nad wzburzeniem.

– Odpieraliśmy atak dzierzby, która przeniknęła przez portal – skłamał bez zająknięcia Tarquin. – Już uciekła.

Arcturus spojrzał na Fletchera, lecz on nie chciał wpędzać nikogo w tarapaty. Zaciśnął wargi i niepewnie przestąpił z nogi na nogę. Mag zmrzążył oczy i podszedł bliżej, rozrzucając po sali kilka błękitnych dziwnobłasków. Gdy nowicjusze zmrzążyli powieki w chłodnym jaskrawym świetle, Arcturus podjął donośnym głosem:

– Mam nadzieję, że nie przyszło wam do głowy urządzać pojedynków? Elfy uwielbiały starcia jeden na jednego. W efekcie stracili wszystkie demony, jednego po drugim. A wiecie, co się dzieje, kiedy nie ma więcej demonów? Brakuje many do otwarcia portalu i nie ma gdzie pochwycić nowych. Tak jest, w ten sposób możemy stracić dostęp do eteru raz na zawsze. Akurat ty, Sylva, powinnaś być mądrzejsza i te sprawy rozumieć. Twój pobratymcy bardzo wiele poświęcili, aby móc cię tutaj przysłać... Masz zostać założycielką nowego pokolenia elfowych magów, którym przekażesz pierwsze demony. Jesteś pierwszą zaklinaczką swojej rasy od tysiąca lat. Nie myśl sobie, że to zabawa. Jeżeli stracisz kanida, następnego już od nas nie dostaniesz.

Zawstydzona Sylva zwiesiła głowę, a Sariel podkuiliła ogon i cicho zaskomlała. Fletcher był elfce wdzięczny, że zaryzykowała dla niego tak wiele, i podziękował jej milczącym spojrzeniem. Gdyby nie elfka, Arcturus zastałby ich w trakcie pojedynku i natychmiast wylecieliby z uczelni.

– Każdy przyłapany na pojedynkowaniu się zostanie natychmiast skreślony z listy studentów i wydalony. Usunięty w ten sposób kadeci z gminu trafią na front bez dodatkowego szkolenia. Przy wielkim szczęściu zdołacie się dosłużyć rangi sierżanta. Co do arystokratów, wam po wydaleniu umożliwimy kupno oficerskiego awansu, przez co sprowadzicie na swe rody niesławę. Żaden dobrze urodzony człowiek nie powinien posługiwać się w karierze pieniędzmi. Także na dalsze szkolenie będziecie musieliłożyć z prywatnej kiesy.

Słyszając to, Tarquin zachnął się i z kpiącym grymasem szepnęła coś do siostry.

– Na tym ci właśnie zależy? Chcesz, by wielki Zachariasz Forsyth musiał dziedzicowi kupić oficerski patent? – Zgrzyliwy głos Arcturusa ociekał sarkazmem.

Tarquin poblądł, lecz gdy tylko wyczuł na sobie spojrzenia grupy, natychmiast się odgryzł.

– Dla nas to kwestia paru drobniaków – rzucił. – A półarystokraci? Co ich spotyka? W końcu ty powinieneś dobrze o tym wiedzieć... Chyba że się mylę, co, kapitanie? – dodał nieprzyjemnym tonem Tarquin, po czym uśmiechnął się, jakby wygrał tę rundę.

Mag na moment zamarł, wyraźnie zszokowany zachowaniem studenta. Po chwili na jego twarz wypłynął szkarłatny rumieniec gniewu, a Sacharissa warknęła głucho i groźnie, na tyle donośnie, że Fletcher poczuł wibrujący dźwięk głęboko w piersi. Tarquin uświadomił sobie, że posunął się za daleko i cofnął się o krok. Szczęśliwym dla niego zbiegiem okoliczności do sali wpadł zdyszany, zaczerwieniony z wysiłku Scipio.

– Dopiero co usłyszałem. – Długie wąsy rektora unosiły się i opadały w rytm płytkich świszczących sapnięć. – Czy nic się jej nie stało?

Arcturus uspokoił się, wziął głęboki wdech i spojrzął na przełożonego.

– Niestety, rektorze, nie jest dobrze. W tej chwili można z pewnością mówić o szoku eterowym. Nic więcej nie wiadomo. Musimy poczekać, ale nie sposób określić, kiedy kapitan Lovett stanie na nogi. Dopóki nie wyzdrowieje, przejmę jej zajęcia.

Poirytowany Scipio zamknął oczy i sapnął. Zwrócił się do nowicjuszy:

– Weźcie to pod rozwagę, kadeci. Mam nadzieję, że teraz pojmujecie, jakie niebezpieczeństwo wiąże się z podróżami do eteru, oraz docenicie poziom ryzyka, które ponieśli wasi rodzice i promotorzy, żeby podarować wam demony. Wykażcie się wdzięcznością i pracujcie ciężko, by te prezenty na cokolwiek się przydały. – To powiedziawszy, rektor podszedł kilka kroków w kierunku drzwi. Przystanął przed wyjściem i dodał: – Tarquinie Forsyth, pójdziesz ze mną. Nie myślisz chyba, że brak szacunku wobec starszego stopniem oficera ujdzie ci na sucho. Bezcelność zawsze pociąga za sobą określone konsekwencje.

Tarquin sposepniał i wlepił wzrok w podłogę, lecz tupnięcie rektora przywołało go do drzwi. Fletcher, chcąc nie chcąc, uśmiechnął się szeroko. Dobrze mu tak! – pomyślał. Jego radość nie trwała jednak długo. Chwilę później ostry głos Arcturusa uciął potok jego myśli.

– Nie masz się z czego cieszyć, Fletcher. Jestem twoim promotorem, więc twoje zachowanie świadczy również o mnie. Idź prosto do mojego gabinetu i zaczekaj, aż przyjdę. Zamienimy kilka zdań.





## 37

O ile w gabinecie rektora było nieznośnie gorąco, o tyle u Arcturusa panował dojmujący ziąb. Brakowało kominka, w otwór strzelniczy w ścianie nie wprawiono szyby. Pomieszczenie wydawało się Fletcherowi zaskakująco skromnie wyposażone, choć z drugiej strony, obaj, Arcturus i on, pojawili się w akademii niedawno. Minęło dopiero kilka tygodni, a Fletcher miał wrażenie, że studiuje w Akademii Vocabów całe lata.

Mijały kolejne minuty i chłopaka dopadła wkrótce nuda. Wyczerpany niedawnymi emocjami, Ignatius przysnął mu na karku. Nasłuchując uważnie, czy nie zbliżają się czyjeś kroki, Fletcher okrążył wielkie dębowe biurko, będące – nie licząc dwóch krzeseł i leżącej w kącie sporych rozmiarów poduchy dla Sacharissy – jedynym meblem w gabinecie. Na blacie leżały porzucone w nieładzie papiery. Jeden z dokumentów szczególnie zwrócił uwagę Fletchera.

To była lista nazwisk. Wszystkie zaczynały się od imienia Fletcher. Zajrzał pod spód i ku swemu przerażeniu, natknął się na drugą listę, na której wszyscy wymienieni nosili nazwisko Wulf. Odkrycie było mocno niepokojące. Gdyby Arcturus poszukał bardziej dociekliwie, mógłby odkryć prawdę o zbrodni Fletchera. Co gorsza, mógł zostawić jakiś ślad, po którym dotrze do niego Caspar Cavell, ojciec Didrica. Fletcher zaczął się gorączkowo zastanawiać, nie był pewien, czy kiedykolwiek wymienił w akademii nazwę Skóry.

W korytarzu poniosło się echo kroków i Fletcher czmychnął z powrotem przed biurko. Chwilę potem do środka wmaszerował Arcturus w asyście Sacharissy. Po sposobie, w jaki mag się poruszał, widać było, że jest zdenerwowany, aczkolwiek zachował kamienną twarz. Usiadł za biurkiem i przerzucił kilka pergaminów. Nawet mrugnięciem nie zdradził, że miały jakikolwiek związek ze stojącym naprzeciwko kadetem. Wreszcie złożył palce w piramidkę i podniósł wzrok na Fletchera.

– Czy wiesz, dlaczego postanowiłem zostać twoim promotorem? – spytał, spoglądając

studentowi prosto w oczy.

– Może dlatego, że miałem już demona, więc nie było potrzeby chwytając nowego? – próbował odgadnąć Fletcher.

– Nie. Akurat to nie stanowi dla mnie problemu. Sacharissa jest mistrzynią łowów w eterze, choć przyznaję, że tamten korowiec sprawił nam nielichą niespodziankę. Prawda, Sacha? – Mag zmierzwił sierść na głowie kanida. – Zgaduj dalej – polecił i rozparł się wygodnie na krześle.

– Hm.... Z powodu mojej rzadkiej salamandry? – spytał niepewnie Fletcher.

– To z kolei nieoczekiwana korzyść, ale nie główny powód. – W oczach maga pojawiły się nikle iskierki rozbawienia.

– Cóż, może więc z powodu męstwa, jakie okazałem w obliczu śmierci? – zażartował Fletcher, widząc zmianę wyrazu twarzy Arcturusa. Miał nadzieję, że dowcipem ociepli atmosferę rozmowy.

– Nie! Znow źle! Niektórzy zapewne uznaliby, że podjąłeś wtedy błędną decyzję. Oficer musi umieć poświęcać nawet dobrych żołnierzy, by reszta oddziału zdołała ocaleć. Podobnie ty mogłeś rozstać się z pieniędzmi, by uratować życie. Ale owszem, przyznaję, zrobiłeś na mnie dobre wrażenie. Mimo presji nie poddałeś się emocjom i umiałeś skalkulować ryzyko. Najlepsi oficerowie właśnie tak zachowują się pod ostrzałem, spokojnie i pragmatycznie. Z drugiej strony ci, którzy osiągnęli prawdziwą wielkość, są zwykle ryzykantami, urodzonymi hazardzistami. Postępują w myśl zasady: wszystko albo nic. Może i ty taki się staniesz, jeśli dobrze rozegrasz swoje karty.

Fletcher uśmiechnął się szeroko, lecz kolejne słowa Arcturusa zabrzmiały bardziej ponuro.

– Dzisiaj zagrałeś fatalnie. Bardzo źle. Pojedynek z Tarqui-nem mógł się dla ciebie skończyć usunięciem z akademii.

– Przepraszam, panitanie. Ja się po prostu broniłem. Gdybym potrafił zasłonić się magiczną tarczą, właśnie tak bym postąpił – wymamrotał Fletcher, wbijając wzrok w posadzkę.

– Tarcza nie pomogłaby ci w starciu z hydrą, ale nie w tym rzecz. Musisz pojąć, że arystokraci zrobią wszystko co w ich mocy, żeby się was pozbyć. Lepiej zarobić po głowie, niż dać się sprowokować i chwycić ich przynętę. Możesz mi zaufać, sporo o tym wiem.

W głosie Arcturusa zabrzmiała gorzka nuta. Przez moment wydawało się, że doda coś więcej, lecz zmienił zdanie i pokręcił głową. Niespodziewanie wstał z krzesła i przywołał Fletchera bliżej.

– Potrzebujemy w armii zaklinaczy, ale nie każdy zaklinacz musi być oficerem. Bojowy mag w stopniu szeregowca służy tak samo dobrze jak ten, który obżera się w oficerskich mesach. Tak wygląda ten świat. Szkolenie kadetów z gminu razem z wysoko urodzonymi nie jest pomysłem popularnym. Wielu jest zdania, że powinno się założyć dla was oddzielną uczelnię. Nie dostarczę rektorowi powodu, by cię zdegradował.

Fletcher nachmurzył się i pokiwał głową. Wzrok sam uleciał mu do leżących na blacie pergaminów z listami nazwisk.

– Powodem, dla którego postanowiłem zostać twoim promotorem, jest fakt, że przypominasz mi mnie samego. Co ważniejsze, wiem, kim jesteś. A przynajmniej czym... – Odwrócił dokumenty przodem do chłopaka i powiodł po nich palcem. – W Hominum nie mieszka zbyt wielu Fletcherów w twoim wieku, a żaden nie nosi nazwiska Wulf. Nie występujesz w żadnym oficjalnym spisie ludności. Chyba nie pomyłę się zanedo, jeśli powiem, że jesteś niezarejestrowaną sierotą.

Fletcher nie zrozumiał, ale potaknął skinieniem głowy.

Kapitan znowu zajął miejsce za biurkiem i pokiwał głową, jakby właśnie Fletcher potwierdził jego podejrzenia. Gestem zaprosił go na wolne krzesło. Kadet usiadł i spojrzał w półprzymknięte

czy przelożonego.

– Oczywiście słyszałeś, że Tarquin zasugerował, iż jestem półarystokratą? – podjął Arcturus.

Wygladził wlosy i poprawił kokardę, która zwiazywała je na karku. Fletcher ponownie przytaknął. Po długiej chwili milczenia mag podjął:

– Dziesięć lat temu pewien młody arystokrata zmierzał do Cytadeli. Podróżował z północnych terytoriów królestwa, ze strefy konfliktu z elfami. Pierwszą noc wędrówki spędził w Boreas, mieście, które jak wiesz, nie jest zbyt odległe od twoich Gór Niedźwiedziozębnych.

Fletcher nie wiedział, czy powinien się cieszyć, czy martwić, że Arcturus wymienił Góry Niedźwiedziozębę, a nie nazwę jego rodzinnych Skór. W tamtym regionie wioski były setki, ale wiadomości rozchodziły się lotem błyskawicy i gdyby kapitan dowiedział się, że z jednej z osad uciekł podejrzan, bez trudu dodałby dwa do dwóch.

– Chłopakowi, o którym opowiadam, ojciec, lord Faversham, podarował kanida – mówił dalej Arcturus. – Młodzik nie chciał jednak odczytać magicznego zwoju, przed dotarciem do szkoły, gdzie cały proces mogli nadzorować nauczyciele. Zostawił więc pergamin w jukach przy siodle i ułożył się do snu.

Kapitan na krótką chwilę umilkł i podrapał Sacharisę za uchem. Rozkosznie zamruczała i traciła pyskiem dłoń swojego pana.

– Tej samej nocy stajenny postanowił obrabować młodego arystokratę ze wszystkiego. Sam nie miał niczego. Był wychowanym w przytulku sierotą, sprzedanym do pracy w tej stajni za dwadzieścia szylingów. Nie był nawet właścicielem koszuli, którą miał na grzbiecie. Ta kradzież była jego ostatnią, rozpaczliwą próbą zdobycia pieniędzy, sumy wystarczającej do ucieczki i rozpoczęcia nowego życia. Los jednak miał wobec niego inne plany.

Fletcher zmarszczył czoło. Opowieść wydawała się znajoma, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć, gdzie słyszał ją po raz pierwszy.

– Stajenny potrafił jako tako czytać. Nauczył się tego sam po to, by poznać otaczający go świat. Pochłaniał wszystkie książki, jakie porzucali podróżni, zatrzymujący się w karczmie przy stajni. Kiedy więc znalazł magiczny zwój i skórę zaklinacza, posłużył się nimi. Zaklęcia odczytał wiedziony głównie ciekawością. Na szczęście dla niego nie czytał zbyt biegle, więc każde kolejne słowo zaklęcia wypowiadał szeptem. Nikt na świecie nie był chyba bardziej zaskoczony niż on, kiedy przywołał szczeniaka kanida o czarnej sierści i błyszczących ślepiach. Było to najpiękniejsze stworzenie, jakie widział w życiu.

Fletcher spojrział na Sacharisę i z powrotem na Arcturusa... Zaczynał rozumieć.

– Kapitanie, jesteś pierwszym nisko urodzonym człowiekiem posiadającym demona od... od początku świata! – Fletcher aż jęknął. – Gdyby nie ty, nie byłoby tu żadnego z nas. Dzięki twojemu odkryciu liczba bojowych magów wzrosła trzykrotnie!

Arcturus spojrział posępnie i pokiwał głową.

– Ale chwileczkę... – Fletcher musiał wyjaśnić jeszcze jeden szczegół. – Co to ma wspólne ze mną? I z tym, że jesteś półarystokratą?

– Ta opowieść ma dwie części, pierwszą zapewne już słyszałeś, może tylko bez szczegółów. Istnieje jednak część druga, znana tylko wysoko urodzonym i kilku nielicznym wybrańcom. Widzisz, kilka lat po tym, jak odkryto moje zdolności, odbyło się walne spotkanie pomiędzy przedstawicielami czołowych rodów Hominum, generalicją i królem Haroldem. Pierwszy rok wojny nie przebiegał po naszej myśli, orkowi szamani jednoczyli się pod sztandarem orka albinosa i po wielokroć przewyższali liczebnością naszych własnych bojowych magów. Arystokraci niechętnie posyłali pierwotnych synów i córki na front, nie chcieli ich wystawiać na ryzyko, gdyż groziło to wygaśnięciem dynastii. Musieli mieć po kilkoro dzieci, by w razie śmierci pierwotnego czekał w odwodzie inny potomek, obdarzony talentem zaklinania. Z tym że

każde następne dziecko ma tylko jedną trzecią szansy odziedzczenia magicznych umiejętności. W wielu potężnych rodach pojawiały się więc rodzeństwa trzy lub czteroosobowe, by scheda po przodkach mogła przypaść zaklinaczowi. Ponadto wielu młodych arystokratów zmusza się do zawierania ślubów i płodzenia potomstwa zaraz po ukończeniu akademii. Z tego samego powodu. W wypadku ich śmierci w boju, istnieje możliwość przedłużenia rodowej linii i przekazania zdolności następnym pokoleniom.

Fletcher nigdy dotąd nie zastanawiał się głębiej nad problemami sukcesji wśród możnych Hominum. Dopiero teraz wyobraził sobie arystokratyczne rodziny żyjące w ciągłym strachu, ze świadomością, iż nawet przypadkowa śmierć dziedzica może doprowadzić do wygaśnięcia rodu w ciągu jednego pokolenia. Przez moment poczuł nawet współczucie wobec Tarquina i Isadory, obarczonych ciężkim brzemieniem szlacheckiego pochodzenia. Ciepłe uczucia opuściły go jednak już po chwili.

– Wierz lub nie, lecz to Obediah Forsyth, dziadek Tarquina, był największym orędownikiem dopuszczenia uzdolnionych plebejuszy do grona magów bojowych. Z własnych pieniędzy powołał Inkwizycję, której funkcjonariusze zajęli się wyszukiwaniem po całym królestwie odpowiednich dzieci i testowaniem ich magicznych zdolności. Obediah był wówczas i jest nadal najpotężniejszym i najbardziej zamożnym arystokratą Hominum. Jego syn, Zachariasz, poślubił pierworodną dziedziczkę innego wielkiego rodu, Josephine Queensouth, dzięki czemu wcielił ziemie sąsiadów w posiadłość Forsythów i tym samym zakończył dzieje rodziny Queensouthów. Zazwyczaj bezpośredni spadkobiercy tytułów wiążą się z drugimi lub trzecimi potomkami innych rodzin, lecz Queensouthom zaglądało wtedy do oczu widmo bankructwa i byli bliscy sprzedania włości. Oddanie córki Forsythom okazało się dla nich jedynym wyjściem. Opowiadam ci o tym wszystkim, ponieważ kwestie arystokracji, zawieranych przez nich związków małżeńskich i zasady praw sukcesji są dla ciebie kluczowe. Nie rozumiejąc ich, nie pojąłbyś, kim jesteś.

Fletcher pokiwał głową. Z trudem nadażał za opowieścią kapitana, więc nadrabiał miną. Polityczne machinacje arystokratów wydawały się interesujące, lecz nadal nie rozumiał, w jaki sposób mogły się wiązać z jego osobą. Ciekawe też, jaki związek miał z nimi kapitan.

– Tak czy inaczej, poszukiwania Obediaha okazały się owocne i do Akademii Vocabon trafili pierwsi kadeci z gminu, w tym i ja. Następnie poszukiwania przejęli inkwizytorzy starego króla i to oni zaobserwowali intrygującą prawidłowość, którą przeoczył Obediah. Otóż na niektórych obszarach Hominum znajdowano szczególnie wielu adeptów magii, działo się tak zwłaszcza w przytułkach i sierocińcach miast północy. Jak sądzisz dlaczego?

Mlecznobiałe niewidome oko zdawało się świdrować Fletchera na wyłot. Poczuł pustkę w głowie. Co szczególnego mają w sobie sieroty?

– Czym sieroty różnią się od wszystkich innych dzieci? – dodał Arcturus, niemal powtarzając myśli Fletchera.

– Tym, że nikt ich nie chce?

– Właśnie. A kto najczęściej pozbywa się własnych dzieci? – podpowiedział szeptem kapitan.

– Ludzie, których nie stać na ich utrzymanie. – Fletcher przypomniał sobie długie spędzane w samotności noce, gdy próbował znaleźć odpowiedź na to samo pytanie.

– Rzeczywiście, niektórzy porzucają dzieci z powodu ubóstwa. Istnieją też sieroty, których rodzice umarli. Jest jednak jeszcze jedna grupa osób, która często pozbywa się pociech. I to właśnie z takich rodziców, jak wskazywały dociekania Inkwizycji, wywodzi się najwięcej obdarzonych magicznym talentem sierot. – Arcturus odetchnął głęboko. – Niemal wszystkie matki przyszłych kadetów, w tym moja, były kurtyzanami.

Sacharissa zaskomlała i właściciel uciszył ją łagodnym gestem. Fletcher zrozumiał, że

opowieść sprawia kapitanowi wiele bólu.

– Trzeba ci wiedzieć, że lord Faversham był mężczyzną... powiedzmy... nienasyconym. Jego małżonka, lady Faversham, przez długi czas nie była w stanie obdarzyć go potomstwem i w efekcie stała się chłodna i nieprzystępna. Nie dopuszczała męża do swego łóża. Dlatego chętnie kładł się do łóżek kobiet bardziej... otwartych.

Fletcherowi opadły ramiona, wreszcie zrozumiał.

– Czyli pierworodne dzieci kurtyzan, z którymi sypiał, dziedziczyły moc zaklania? Tak to działa, tak? – upewnił się, starając się jednocześnie nie myśleć o tym, co ta opowieść oznacza dla jego własnego pochodzenia.

– Tak, aczkolwiek miewał też kochanki. Mężczyzna może spłodzić utalentowane dzieci z wieloma kobietami, pod warunkiem że będzie to dla nich pierwsze dziecko. W drugą stronę jest podobnie, kobieta może urodzić kilkoro uzdolnionych dzieci, jeżeli tylko ich ojcowie nie mają jeszcze własnych. Fakt, że niewielka liczba osób z gminu przychodziła na świat z tym darem, okazał się zbiegiem okoliczności. Przeprowadziłem dochodzenie na własną rękę. Okazało się, że nie otrzymałem talentu przypadkowo. Wyszło na jaw, iż jestem jednym z nieślubnych synów lorda Favershama.

Myśli Fletchera gorączkowo ścigały się jedna z drugą. Przypomniał sobie okoliczności, w jakich go znaleziono. Matka nie owinęła go nawet kocykiem. Wyjaśnienie Arcturusa pasowało jak ulał. Kapitan wyrwał go z zamyślenia.

– Oczywiście, to odkrycie wywołało potężny skandal. Dowody małżeńskiej niewierności okryły hańbą kilka szlacheckich rodów, najsilniej oczywiście Favershamów. Arystokratki zaczęły protestować, odmówiły udziału w wojnie, jeżeli nie zostanie wprowadzone prawo zakazujące inkwizytorom badać sieroty. Nie chciały cierpieć wstydu i walczyć ramię w ramię nie tylko ze swoimi prawnymi synami i córkami, lecz także z bękartami własnych mężów. – Arcturus obniżył głos do szeptu. W każdym jego słowie słychać było ścierające się ze sobą skonfliktowane emocje. – Dowiedziałem się, że lady Faversham poczuła się mocno niezadowolona, gdy dotarła do niej wiadomość, iż przeznaczony dla jej syna demon trafił w moje ręce. Znienawidziła mnie bardziej niż inne arystokratki. Powiła tylko jedno dziecko, a zatem w wypadku śmierci jej syna to ja odziedziczyłbym tytuł lorda Faversham. Tak stanowi prawo Hominum. Była zmuszona wybłagać u starego króla specjalną dyspensę, pozwalającą wycofać syna z frontu. Obawiała się, że spróbują go zamordować i przejąć całą rodową schedę. Zapewne nie zdziwił się, gdy powiem, że to ona zorganizowała protest arystokratek.

Fletcher nie mógł wyjść z podziwu. Arcturus opowiadał o ciężących na nim podejrzeniach tak spokojnie! Chłopak zastanowił się, czy kapitan rzeczywiście byłby zdolny popełnić tego rodzaju zbrodnię. Lord Faversham posiadał większość otaczających Góry Niedźwiedziozębe włości, był człowiekiem niesłychanie wpływowym i zamożnym.

– Większość utalentowanych sierot została odnaleziona i wyszkolona, zanim cała afera ujrzała światło dzienne, więc zawarto kompromis. Tym, których uzdolnienia zostały potwierdzone wcześniej, pozwolono pozostać w armii – mówił dalej kapitan. – Pod jednym wszakże warunkiem: zabroniono im posługiwać się arystokratycznym nazwiskiem. Dlatego poznałeś mnie jako kapitana Arcturusa. Mam trzech przyrodnych braci, mniej więcej rówieśników. Oni również służą w wojsku. Prawdopodobnie są też inni, zupełnie nieświadomi swojego pochodzenia. Niestety, nie wolno mi badać dzieci w przytułkach. A jednak przeznaczenie rzuciło, że trafiłeś właśnie na mnie.

Sens ostatnich słów ledwie do Fletchera dotarł. Zatopił się głęboko w myślach. Czyżby lord Faversham był i jego ojcem? Czy oznaczało to, że jego matka przez cały czas mieszkała gdzieś w Boreas?

– Fletcher, mogę się mylić – usłyszał. – Może jesteś obcą sierotą. Ostatecznie jesteś ode mnie znacznie młodszy. Nie wiem nawet, czy Faversham pozostał niewierny żonie, gdy ich pierwsze wspólne dziecko przyszło na świat. Ale jakie są szanse na to, że w okolicach Boreas urodziła się i została porzucona jedna z tych nielicznych utalentowanych sierot, nie będących dzieckiem arystokraty?

– Kapitanie, czy chcesz powiedzieć, że jestem bękartem lorda Favershama? Że moja matka była w najlepszym razie jego kochanką, a w najgorszym kurtyzana? – zapytał Fletcher, wyrrywając się nagle z zamyślenia.

– Tak, oraz że jesteś moim przyrodnim bratem – odparł Arcturus Faversham.







## 38

Fletcher wypadł z gabinetu wykładowcy jak burza. Dyszał ze zdenerwowania, chociaż właściwie nie wiedział, na kogo jest wściekły. Podczas gdy przy kolacji koledzy śmiali się i przerzucali dowcipami, Ignatius przez większą część wieczora posykiwał, raz po raz posyłając z nozdrzy niewielkie kółka dymu.

– Nie jestem pewny, na kogo jestem bardziej zły, ale ty, biedaku, w ogóle nie wiesz, co się dzieje, prawda? – szepnął Fletcher, drapiąc podbródek salamandry.

Poruszony, rozdrażniony Ignatius sprawiał dość zabawne wrażenie i jego zachowanie nieco poprawiło Fletcherowi humor. W rozmowie z kolegami udało mu się obrócić opowieść o spotkaniu z Arcturusem w żart; stwierdził, że wykładowca zlażał go jak niesubordynowanego uczniaka. Spośród wszystkich nowych przyjaciół jedynie Othello zauważył przygnębienie bliskiego kompana i gdy pozostali kadeci udali się do łóżek, zapukał do pokoju wciąż rozstrojonego Fletchera. Ten postanowił wyznać krasnoludowi całą prawdę – musiał czymś odplacić za zaufanie, jakim obdarzył go Othello i jego rodzina. Tymczasem historia Arcturusa nie wywarła na Othellu większego wrażenia.

– Moim zdaniem, kapitan wysnuwa pochopne wnioski. – Zadumany krasnolud poglądził swój zarost. – Przypuszczam, że tak usilnie stara się odnaleźć resztę rodziny, iż nagina fakty, byle tylko dopasować wasze losy do siebie. O lady Faversham słyszałem, ale z zupełnie innych powodów. Jest kuzynką starego króla i w swoim czasie słynęła z nieprzeciętnej urody. Skoro wcześniejsze postęпки jej męża poznał cały świat, to szczerze wątpię, że stary król Alfric pozwoliłby mu w dalszym ciągu hańbić w ten sposób własną krewną. Podobnie nie dopuściłby do tego jego syn, król Harold.

– A co, jeżeli miał moment słabości wiele lat po wyjawieniu sprawy? – spytał Fletcher.

– Nawet zakładając, że wykazałby się taką głupotą, w dalszym ciągu nie jest jasne, dlaczego

porzucano cię pod bramą Skór. Zrozpaczona kobieta, o której tu mówimy, zostawiłaby cię raczej w jakimś sierocinicy w Boreas bądź podrzuciła komuś na próg. Nie szukałaby tak dalekiej i odległej od cywilizacji osady jak Skóry. Przecież to prawie na granicy kraju elfów! – zakończył z naciskiem Othello.

– Może nie chciała, żebym skończył w przytułku, gdzie trzeba ciężko pracować? Taki los spotkał Arcturusa – odparł Fletcher, chociaż nie rozumiał, dlaczego wciąż broni wersji kapitana.

– Skoro była tak troskliwa, to dlaczego porzuciła cię na pewną śmierć w śniegu? Bez skrawka odzienia, nawet bez becika? Nie, tu chodzi o coś innego. Przede wszystkim nie pozwól, by historia Arcturusa cię zniechęciła. Powinieneś się cieszyć, że masz go po swojej stronie i że szczęśliwym trafem wpadłeś na niego w Corcillum.

To powiedziawszy, krasnolud poszedł spać i zostawił Fletchera, który był już w nieco lepszym nastroju, lecz zarazem czuł się jeszcze bardziej zagubiony.

– Kim ja, do diabła, jestem? – wyszeptał w mrok.

Ignatius zamiauczał współczująco i wtulił lebek w jego w pierś.

Pomimo intensywnych wrażeń minionego dnia wyczerpany Fletcher zasnął od razu i spał tej nocy jak kamień.

Nowicjusze czekali w sali przyzwań na następne zajęcia z technik pracy z eterem. Fletcher miał nadzieję, że przyjdzie do nich pani kapitan, ale zdawał sobie sprawę, że bardziej prawdopodobne jest, iż przejmie ich dzisiaj Arcturus. Wcześniejsze wysiłki Fletchera, który próbował dostać się do infirmerii, spełzyły na niczym – dopilnowała tego lady Fairhaven. Oświadczyła Fletcherowi, że jest pewna, iż kapitan Lovett nie chciałaby, żeby nachodzili ją studenci, zwłaszcza że paraliż jeszcze nie ustąpił. Bibliotekarka dodała też, że dostateczną porcję rozrywki zapewnią chorej sama, czytając jej na głos. Wieść o tym, że wykładowczyni jest całkowicie bezwładna, lecz w pełni przytomna, dodatkowo wzmogła pragnienie chłopaka by ją odwiedzić, ale w tej samej chwili tuż przed nim trzasnęły drzwi.

– Fajne ciuchy – rzuciła Genevieve i uniosła kciuk do góry.

Fletcher uśmiechnął się i potarł między palcami kołnierz nowej bluzy.

Uhtred dotrzywał obietnicy. Wraz z porannymi dostawami przyjechały do Fletchera miecz w pochwie i przepiękny granatowy mundur. Ku jego niezmiernej radości na złotych guzikach bluzy i spodni widniała wygrawerowana sylwetka salamandry. Pochwa została wykonana z najwyższym znanstwem z solidnej czarnej skóry i wypolerowanej na wysoki połysk stali. Kopesz był naostrzony i owinięty natłuszczoną szmatką, co miało kadetowi przypominać, że o tak doskonałej jakości oręż należy pieczołowicie dbać.

Ucieszył się z powrotu miecza, tym bardziej że wcześniej, gdy sir Caulder zabrał go wraz z pozostałymi nisko urodzonymi kadetami na zajęcia z podstaw fechtunku, musiał się posługiwać drewnianym kijem. Oczywiście, dzieci arystokratów nie towarzyszyły im w tych lekcjach, bo uczyli się szermierki już od małego. Tylko Malik i Penelope przyglądali się przez chwilę treningowi, lecz szybko wyszli ze znudzonymi minami.

Kiedy Fletcher spytał, dlaczego uczą się walczyć przeciwko sobie, mimo że sir Caulder przyznał, że potyczki z orkami wyglądają zupełnie inaczej, rycerz rzucił:

– Myśl o turnieju, chłopcze! Każą wam fechtować i Bóg wie co jeszcze. Nie byłoby dobrze, gdyby wszyscy kadeci z gminu odpadli w pierwszej rundzie, a tak by się niechybnie stało, gdybym nauczył was walczyć z dwumetrowymi dzikusami, zamiast z wymachującym rapierem arystokratą.

Wzmianka o turnieju napędziła Fletcherowi stracha i pognął do biblioteki, gdzie obłożył się księgami. Reszta nie on jeden – towarzyszyła mu większość niżej urodzonych kadetów.

Wychowani przez wyszkolonych bojowych magów młodzi arystokraci znacznie przewyższali wiedzę kolegów z gminu i na większość pytań wykładowców odpowiadali jak z nut.

Studenti musieli poznać nazwy tysięcy demonów wraz z ich rozmiarami, zaletami i słabościami, mimo że ponad połowy tych stworzeń nie można było spotkać w części eteru, dostępnej zaklinaczom z Hominum. Same kanidy występowały w osiemnastu odmianach i wykuwanie informacji o nich zabrało Fletcherowi niemal cały weekend.

We wspomnienia z ostatnich dni wdarło się nagle trzaśnięcie drzwi. Do sali wszedł smukły, wysoki mężczyzna. W pierwszej chwili Fletcher wziął go za Arcturusa, ale wtedy przybysz wkroczył w rzucany przez dziwnoblask krąg światła. Miał na sobie nietypowy mundur, uszyty z czarnej tkaniny i ozdobiony srebrną lamówką. Ziemiście oblicze okalała broda. Niewielkie czarne oczy rozbłysły, przyglądając się badawczo studentom.

– Nazywam się inkwizytor Damian Rook, ale z waszej strony wystarczy mi „tak jest”. Dopóki kapitan Lovett nie dojdzie do pełni zdrowia po swoim... wypadku, będę z wami prowadzić zajęcia z eteru. Macie szczęście, że rektor Scipio zdecydował się wreszcie zatrudnić bardziej kompetentnego wykładowcę.

Oświadczenie wywołało na twarzy Tarquina uśmiešek. Także Isadora dyskretnie zachichotała, co Fletcherowi bardzo się nie spodobało. Rook nie zwrócił na nich uwagi i spojrzął spod ciężkich powiek na kadetów z gminu.

– Proszę, proszę. A wydaje się, że badałem was nie dalej jak wczoraj – powiedział, a jego ton wyraźnie wskazywał, że wymaga absolutnego posłuszeństwa. – Genevieve, Rory, Seraph, Atlas oraz krasnolud i elfka staną w szeregu pod przeciwległą ścianą.

Koledzy Fletchera skwapliwie wykonali polecenie. Inkwizytor odwrócił od nich wzrok i skupił się na Fletcherze i arystokratkach. Okrążył ich dokoła, jak niekiedy obchodzi się sprzedawane na targu konie.

– Sporą mamy w tym roku frekwencję. Tarquinie, Isadoro, ufam, że ojciec miewa się dobrze? – zapytał.

– Tak jest, aczkolwiek nie widziałem go od kilku miesięcy – odpowiedział zaskakująco uprzejmie Tarquin.

Fletcher zaczął się zastanawiać nad tym, kim trzeba być, by wymóc respekt na osobniku pokroju Tarquina. Ciekawe, w jaki sposób się poznali?

– Ty jesteś zapewne Saladyn, nie myślę się, prawda? – podjął Rook, zatrzymując się przed ciemnoskórym kadetem.

– Nazywam się Malik Saladyn, jestem synem Bajbarsa Saladyna i pochodzę z Antiochu – wyrecytował Malik, z dumą zadzierając podbródek.

– Oczywiście. Anubid twojego ojca walczył ramię w ramię z moim minotaurem w bitwie o most Watford. Miałeś dość szczęścia, by go odziedziczyć?

– Nie, inkwizytorze. Ojcu jest bardziej potrzebny niż mnie. Podał mi jednak innego, młodocianego anubida, schwytanego tuż przed moim wstąpieniem do akademii.

– Wybornie. Już wkrótce bardzo ci się przyda – stwierdził Rook i zwrócił się do Penelope, kolejnej z grupki arystokratów.

– Nazywałeś się...?

– Penelope Colt... z Coltshire. – Dziewczyna nerwowo dygnęła.

Inkwizytor wymijająco chrząknął i spojrzął na ostatniego szlachetnie urodzonego kadeta, niskiego chłopca o mysich włosach. Fletcher najczęściej widywał go w towarzystwie Tarquina, któremu starał się on zaimponować psią wręcz usługowością.

– Ja... nazywam się Rufus Cavendish... Pochodzę z Cavendish Downs – wyjąkał.

– Cavendish Downs? Nie słyszałem. Kim są twoi rodzice? – Czarnymi oczyma Rook

wpatrywał się w chłopca niczym polujący sokół.

– Matka zmarła, gdy byłem jeszcze mały. Nosiła nazwisko Cavendish i służyła w stopniu kapitana. W żyłach ojca nie płynęła błękitna krew.

– Rozumiem – rzucił inkwizytor i ze zdruzoną miną odwrócił się od Rufusa.

Widocznie Cavendishowie nie zaliczali się do grona znaczących, ważnych i silnych rodów Hominum. Wreszcie złowrogie spojrzenie Rooka spoczęło na Fletcherze. Małe oczy omiotły miecz i prześliznęły się po złotych guzikach mundurowej kurtki.

– A ty? Skąd pochodzisz?

Po chwili wahania Fletcher postanowił zaryzykować.

– Pochodzę z północy, inkwizytorze – odparł. – Z okolic Boreas. Nazywam się Fletcher.

– Wnoszę, że Faversham? Nie wiedziałem, że mają dzieciaka w tym wieku. Jak to możliwe, że cię przeoczyłem?

– On nie jest arystokratą, inkwizytorze, to zwykły plebejusz – wtrącił Tarquin, zanim Fletcher zdążył wydobyć z siebie choć słowo.

– Brednie. Jestem inkwizytorem. Każdego adepta z gminu znam z imienia. Kim jesteś, chłopcze?

– Ja... przypadkiem spotkałem promotora. Znalazłem magiczny zwój... przeczytałem go i sprowadziłem demona. Odkrył mnie Arcturus. To on postanowił się mną zająć i przysłał mnie do akademii.

– Czy twoim rodzicom nie przyszło do głowy, że powinni cię wysłać do Inkwizycji od razu, gdy tylko ujawnił się twój talent? W dodatku twierdzisz, że znalazł cię Arcturus, a jemu przecież nie wolno wyjeżdżać na północ od Corcillum. W jaki sposób się spotkaliście?

– Jestem sierotą, inkwi...

– Sierota!!! – Rook wydał z siebie głośny syk.

– Tak, ale to nie tak, jak pan myśli! – wypalił Fletcher, gdy uświadomił sobie, jaki wniosek musiał wyciągnąć inkwizytor.

– Naruszył zasady! Ten arogancki skurwysyn myśli, że może naginać reguły umowy, którą zawarł ze starym królem. Wysłał potajemnie zwoje do Boreas! No, teraz go dopadnę! – rzucił Rook ze złośliwą satysfakcją.

– To nieprawda! – zaprotestował Fletcher.

– Stul pysk, mały bękartie! Wszyscy byli przekonani, że tacy jak ty więcej się nie pojawią. Powinna o tym usłyszeć lady Faversham. – Inkwizytor mocno dźgnął Fletchera palcem w pierś.

– To nie tak! Myli się pan! Proszę spytać rektora!

– Och, tym nie musisz się martwić. Zapytam, ale ta sprawa może poczekać. Najpierw trzeba zmierzyć wasze poziomy spełnienia. Idziemy, wszyscy za mną!

Kadeci ruszyli karnie za Rookiem, który wyprowadził ich z sali przyzwań i skierował na schody w zachodnim skrzydle. Weszli na samą górę, po czym zeszli korytarzem wiodącym do południowo-zachodniej wieży. Jedyne Othello zrozumiał, co zaszło chwilę temu, i kojąco położył dłoń na ramieniu Fletchera.

– Nie przejmuj się. Zobaczysz, że wszystko się ułoży – szepnął koledze na ucho.

Pozostali przyglądali mu się ukradkiem, w ich spojrzeniach, w których podejrzliwość mieszała się z konsternacją. Zalegająca w zamkowych korytarzach cisza uniemożliwiała im jednak zadawanie pytań. Tarquin i Isadora wręcz podskakiwali z radości. Fletcher nie był pewien, czy dobry humor bliźniąt płynął z jego publicznego upokorzenia, czy może cieszyli się na nadchodzące zajęcia.

W tej wieży nie było krętych schodów. Konstrukcja przypominała wielką, wydrążoną rurę, pośrodku której stała potężna kolumna, składająca się z licznych segmentów, wysadzanych

wielobarwnymi kryształami korundu. Sięgała samego wierzchołka i polyskiwała w promieniach słońca, wpadających przez widoczne w starych murach otwory strzelnicze.

– Oto największy na świecie manometr. Każdy jego pierścień odpowiada jednemu punktowi spełnienia. Dotykając podstawy kolumny, zaklinacze i demony mogą się przekonać, jaki poziom reprezentują. Cóż, od kogo by tu zacząć? – Inkwizytor się zadumał, lecz spoglądał wyłącznie na arystokratów. – Malik, jeżeli choć trochę wdałeś się w ojca, to na pewno nam zaimponujesz. Przyciśnij dłoń do podstawy kolumny. Zaraz zobaczymy, jakiego kalibru z was zaklinacze.

Malik bez cienia wahania, żwawo podszedł do upstrzonego kryształami słupa, przykleknął i przyłożył rękę do najniższego pierścienia. Początkowo nic się nie działo, ale już po chwili okruchy korundu rozjarzyły się silnym blaskiem, wypełniając wnętrze wieży kalejdoskopową feerią barw. W powietrzu poniosł się głuchy stukot, który się powtórzył, gdy rozbłysł następny segment kolumny. Uderzenia rozległy się czternaście razy i ostatecznie tyle poziomów słupa zaświeciło. Malik nie odrywał dłoni jeszcze przez minutę, aż wreszcie odciągnął go Rook. Gdy tylko ręka kadeta odsunęła się od kamienia, światła zgasły.

– Pięknie, mój chłopcze! Średni wynik wśród początkujących arystokratów wynosi osiem. Zapewne niedługo dorównasz ojcu i osiągniesz poziom dwudziesty. Następnym!

Isadora zarzuciła grzywy jasnych loków i podeszła do manometru. Kiedy położyła drobną dłoń na najniższym pierścieniu, ponownie dało się słyszeć stłumione stuknięcie i mignęły światełka kryształów. Dziewczyna okazała się dwunastką.

– Widzę, że w żyłach Forsythów płynie krepka krew. Zachariasz ma powody do dumy – ocenił Rook, pomagając Isadorze wstać.

Następnym w kolejności był Tarquin. On również rozpalil dwanaście pierścieni kolumny.

– Bliźnięta zwykle cechuje identyczny poziom, ale nie zaszkodzi sprawdzić – mruknął do siebie inkwizytor i uściśnął dłoń Tarquina.

Gdy młody arystokrata precyzyjnie przycisnął się bezceremonialnie obok Fletchera i stanął za jego plecami, chłopakowi zrobiło się ciężko na duszy. Dotąd wszyscy okazali się potężnymi zaklinaczami, przecież poziom kapitan Lovett wynosił tylko jedenaście!

Penelope osiągnęła siódmkę, ale gdy wstała spod słupa, wydawała się zadowolona, z uśmiechem pokiywała głową. Rufus był dziewiątką. Tarquin nagrodził ten wynik, klepiąc go po plecach, a Rook wymamrotał niewyraźne gratulacje.

– A teraz plebejusze. Ty pierwszy, krasnoludzie. Podejrzewam, że jesteś co najmniej ósemką. Ostatecznie zdołałeś opanować golema. Wśród gminu średnia wynosi pięć, niemniej twój przypadek jest szczególny.

– Dlaczego studenci z gminu mają niższy poziom od arystokratów? – Rory przestąpił z nogi na nogę.

– Osobiście uważam, że to kwestia pochodzenia – stwierdził Rook. – Oficjalna wersja mówi jednak, że arystokraci dorastają wśród stworów, własne otrzymują jeszcze przed wstąpieniem do akademii, dzięki czemu rozwijają zdolności wiele lat wcześniej niż inni, praktykując rzucanie podstawowych zaklęć i ucząc się infuzji. Wy z kolei zaczniecie od poziomu, z jakim przyszłście na świat. Nie mieliście okazji rozwinąć mocy. To kolejny z powodów, dla których plebejusze zaczynają z insektami i skarabeuszami. Nie ma sensu chwycić dla was stworzeń, których nie byłibyście w stanie kontrolować. W tym roku niektórym z was niebawem się poszczęściło.

Othello przycisnął rękę do kolumny, uprzedzając odpowiedź Rory'ego. Rozbłysło kolejno dziesięć pierścieni, kolumna zadudniła dziesięć razy.

– Dziesiątka! Wygląda na to, że krasnoludy mają smykalkę do magii! Natychmiast poinformuję o tym króla. Niebawem zajmujące... – oświadczył Rook i skinął na Sylvę.

Fletcher wychwycił mocno zaniepokojone spojrzenie Othella. Po co informować króla? Czy ten

wynik oznacza, że krasnoludy stanowią bardziej wartościowych sprzymierzeńców, niż spodziewał się władca? A może również poważniejsze zagrożenie?

– Elfy standardowo rozpoczynają karierę jako siódemki. Tak przynajmniej było za dawnych czasów. Próbuje. Masz kanida od kilku miesięcy.

Sylva rzeczywiście okazała się siódemką, choć przez mgnienie zamigotał także ósmy segment kolumny.

– Bardzo dobrze, niebawem przejdziesz na wyższy poziom! Pracuj ciężko i wytrwale, a będziesz mogła schwytać insekta i twój kanid dostanie towarzysza.

Genevieve była piątką. Seraph zaskoczył wszystkich siódemką, a Atlas, ku swemu wielkiemu zawodowi, wykazał się zaledwie czwórką.

– Mam nadzieję, że pójdziesz ci lepiej – jęknął, gdy wyminął go poblady Rory.

Tym razem manometr przez chwilę nie reagował, po czym zaświeciły się dwa pierścienie. Trzydzieści sekund później rozbłysnął trzeci. Rook złapał chłopaka za ramię i spróbował odciągnąć od słupa.

– Nie! – wrzasnął Rory. – Potrzebuję jeszcze chwili! Na pewno wyjdzie mi więcej!

– Nie będzie ani poziomu więcej. Możesz wchłonąć tyle demonicznej energii, ile możesz! Jesteś zaklinaczem poziomu trzeciego. Powinieneś się cieszyć, że nie wypadłeś gorzej. – Inkwizytor prawie siłą odciągnął Rory'ego od słupa i skierował go ku grupce studentów z gminu.

– A teraz przyjrzyjmy się bękartowi. – Rook popchnął Fletchera na kolana.

Fletcher zamknął oczy i przyłożył dłoń do kamiennej kolumny. Kryształ były chłodne, odniósł wrażenie, że dotyka gładkich kawałków lodu. Wyczuł strumień many. Magiczna energia spływała z pulsujących żył do palców i jak wysysana opuszczała jego ciało. Zastępowało ją coś zupełnie innego, jakby płynny ogień, który wrzał mu we krwi i laskotał pod skórą.

Nie chciał podnosić wzroku, lecz miorotne dudnienie, tak czy inaczej dawało znać o każdym zapalającym się pierścieniu. Jak dotąd pięć. Potem szósty. Przy siódmym stuknięciu poczuł, że przepływ słabnie, lecz ta dziwna energia nadal przedostawała się do niego z kolumny. Osiem... Potok zmienił się w leniwą strużkę. Wreszcie, kiedy Fletcher pomyślał, że to już koniec, dziewiąty odgłos poniósł się echem po całej wieży. Ogarnęła go potężna ulga i jednocześnie zrobiło mu się żal Rory'ego. Także James Baker był zaklinaczem poziomu trzeciego.

– No, no. Nie przeczę, to niemałe zaskoczenie. Kto by pomyślał? Nieistotne. Fletcher zostanie w akademii tylko do chwili, gdy znajdzie dowód na to, że Arcturus nielegalnie przesłał mu magiczny zwój. Bękarty nie przekraczają progu Cytadeli, odkąd na wyraźną prośbę lady Faversham zakazał tego stary król Alfric. Na podobnej zasadzie dorośli bękarci nie mogą poszukiwać nowych. Dotyczy to również Arcturusa. – Słowa Rooka wywołały jęk zdumienia wśród niżej urodzonych kadetów. Tajemnica kapitana wyszła na jaw. – Nie martwcie się, gdy już się go pozbędę, poznacie drugiego nowego nauczyciela. – Inkwizytor wyszczerzył się w szerokim uśmiechu.

– Powtarzam po raz ostatni: Arcturus nie przysłał mi żadnego zwoju – wycedził Fletcher. – Skoro musisz wiedzieć, inkwizytorze, ten konkretny pergamin należał początkowo do orkowego szamana, a do mnie trafił z rąk wędrownego handlarza.

Przez chwilę Rook wpatrywał się we Fletchera, po czym odpiął od pasa skórzaną tubę. Ze środka wyjął brązowy zwój i rozłożył go na kamiennej posadzce. Była to skóra zaklinacza.

– Pokaż mi go. – Inkwizytor wskazał na matę.

Ignatius zmateriałizował się błyskawicznie, jakby nie mógł doczekać się wyjścia. Natychmiast kłapał groźnie pyszczkiem, mierząc w dłoń Rooka, przez co inkwizytor odskoczył z wściekłą miną.

– A to dopiero! – mruknął pod nosem, pocierając podbródek długimi kościstymi palcami. – Cóż,

przekonajmy się, jaki ten demon ma poziom spełnienia. Z pewnością zainteresuje to majora Goodwina. Jeszcze nigdy nie badaliśmy salamandry.

Fletcher wziął Ignatiusa na ręce i przytknął jego ogon do kolumny. Magiczny instrument zabrzęczał i ożył. Pierwsze cztery segmenty słupa zapaliły się bardzo szybko, lecz – ku zaskoczeniu chłopaka – piąty błysnął słabo i dopiero po dłuższej chwili. Tarquin parsknął śmiechem.

– Ha! Piąty poziom! A myślałeś, że salamandra stawi czoło mojej hydrze, która ma ósemkę. W dodatku po waszej stronie stał jeszcze tylko golem, a my mieliśmy siódmopoziomowego felida! Różnica dwóch poziomów, dumny kmiecie z nieprawego łoża – odezwał się pogardliwie Tarquin.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, iż przyzwaliśmy nasze demony, żeby odstraszyć dzierzbę – odparł Fletcher, z trudem utrzymując nerwy na wodzy. Nikt dotąd, nawet Didric, nie odzywał się do niego w ten sposób. – Czyżbyś chciał zmienić wersję?

Tarquin zabelkotał niezrozumiale, lecz przerwał mu Rook.

– Milczeć! Wracamy do sali przyzwań! Natychmiast! To jeszcze nie koniec zajęć!

W drodze powrotnej panowała bardziej napięta atmosfera, niż kiedy szli do wieży. Othello głęboko się nad czymś zadumał, podczas gdy na twarzy Rory'ego, wlokącego się noga za nogą na końcu pochodu, malowało się skrajne rozgoryczenie i smutek. Genevieve usilnie starała się kolegę pocieszyć, lecz on wpatrywał się tylko pustym wzrokiem przed siebie, jakby nie docierało do niego ani jedno jej słowo. Radosny chłopak, rzucający na prawo i lewo wesołymi powiedzonkami, znikł na dobre.

Na miejscu Rook kazał posługaczom wnieść do sali ciężką kolumnę, którą z najwyższym trudem ustawili pionowo na podłodze. Z wyglądu przypominała manometr, lecz zamiast licznych kryształów każdy segment słupa wykonany został z pojedynczego czerwonego kamienia, rozmiarów pięści dorosłego mężczyzny. Inkwizytor nonszalancko poklepał kolumnę, przy każdym dotknięciu palca rozpalając następny kamień.

– Wasza poprzednia nauczycielka była zwolenniczką staromodnego podejścia i zasilala portal osobiście. Ja odmiennie podchodzę do ryzykownego procesu przenikania w eter. Macie przed sobą kamień energetyczny. Można go zawczasu naładować maną i skorzystać z niej potem w dowolnym momencie. To narzędzie stosujemy między innymi do zasilania potężnych magicznych tarcz, osłaniających całe odcinki frontu. Wypełniamy je maną za dnia, by nocą nie musieć się tym kłopotać. Nam jednak posłuży w innym celu. Wspólnie naładujemy kamień do maksimum i podłączymy go do portali, przez które wkroczymy do eteru. Zaleta jest taka, że jeśli ktoś się rozproszy, jego portal nie zamknie się przedwcześnie. Nie możemy sobie przecież w tej chwili pozwolić na stratę hydry, prawda? Od jakiegoś czasu ten gatunek demonów nie występuje już w naszej części eteru.

Tarquin uśmiechnął się pod nosem i trącił łokciem Isadorę. Seraph podniósł rękę.

– Dlaczego nie występują? Wyginęły? Przecież chyba nie mogliśmy ich wszystkich wyłapać?

Rook teatralnie westchnął i pokiwał głową, jakby łaskawie uznał, że mimo wszystko odpowie na tak niemądre pytanie.

– Widzicie otaczające pentagramy klucze? Są to koordynaty kierujące z grubsza do jednego rejonu eteru. Od dwóch tysięcy lat wszyscy zaklinacze polowali na tych samych obszarach, wyłapując przy tym całe hordy stworzeń. Jak wiecie, przez ten czas rozpętała się wojna z orkami. Potem wybuchyła krasnoludzkie powstania. Wiele naszych demonów padło w starciach i potrzebowaliśmy kolejnych, by uzupełnić straty. Niebawem dzikie istoty nauczyły się trzymać z daleka od naszej części eteru. Niewykluczone również, iż rzeczywiście wytrzebiliśmy część rzadkich odmian. Jakkolwiek wygląda prawda, obecnie do naszej dyspozycji pozostaje tylko kilka

gatunków. Od czasu do czasu pojawia się jakieś wyjątkowe stworzenie, na przykład zabłąkany na nasze tereny gryf. Najczęściej są to demony ranne bądź chore. Zdarza się również, że stada migrują, a trasa ich wędrówek prowadzi przez odwiedzane przez nas okolice. Przypomnijcie sobie dzierzbę.

– Ach, czyli właśnie dlatego potrzebujemy kluczy, którymi posługują się orkowie – powiedziała z westchnieniem Genevieve.

– Nie! Orkowe klucze nie są nam potrzebne! – rzekł ostro inkwizytor. – Słabe pospolite stworzenia są dla gminu. Po rodzicach arystokraci dziedziczą rzadkie i starsze. W ten sposób każdy pozostaje na swoim miejscu, wyznaczonym przez naturalny porządek rzeczy. Wróg i tak posyła przeciwko nam wyłącznie demony niskiego poziomu, co pokazuje, że dostępne im koordynaty nie są wcale lepsze od naszych. Wszelkie próby odkrycia ich kluczy należy więc uznać za zwykłą stratę czasu.

Genevieve przygryzła wargę i cofnęła się o krok, onieśmielona ostrą reakcją wykładowcy. Fletcher zupełnie nie rozumiał, dlaczego Rook tak stanowczo sprzeciwia się poszukiwaniom orkowych kluczy. Przecież Hominum bardzo by na tym skorzystało. Najwyraźniej inkwizytorowi zależało wyłącznie na małostkowym zachowaniu nierównowagi sił i rang pomiędzy kadetami z wielkich rodów a plebejuszami.

– Skupcie się, kamień energetyczny magazynuje manę wystarczającą do pracy z pięcioma studentami w tygodniu. Zatem aż do końca turnieju przenikać do eteru będą mogli jedynie arystokraci. Potem zastanowimy się, czy dopuścić do tych ćwiczeń pospólstwo.

Rory wydał z siebie rozpaczliwy jęk, podniosły się głośne protesty. Fletcher jednak myślał tylko o jednym: szkoda, że nie ma z nami kapitan Lovett.







## 39

Poirytowany Fletcher głośno syknął. Symbol, który dopiero co wyrysował w powietrzu, zamigotał i zgasł.

– Jeszcze raz, skoncentruj się! – zażądał Arcturus. – Pamiętaj o właściwej kolejności!

Fletcher uniósł jaśniejący palec i po raz kolejny nakreślił hieroglif odpowiadający zakłębieniu tarczy. Symbol zawisł przed jego dłonią, z której powoli popłynął do niego strumień manny.

– Dobrze. Teraz go utrwal! – rozkazał Arcturus.

Fletcher skupił się na magicznym znaku, wymierzył palcem dokładnie w jego środek i odczekał, aż hieroglif zamigotał. Odczuł, że symbol ustalił swą formę, jakby obrysowała go niewidzialna ramka. Po plecach spłynęła mu strużka potu, skóra zamrowiła, jakby przebiegł po niej drobny owad, jednak nie zwrócił na to uwagi, nie chciał się dekoncentrować.

– Teraz przelej manę przez znak, tylko spokojnie – polecił kapitan. – Przez cały czas musisz też zasilać hieroglif.

Najtrudniejszy etap zakłębienia. Fletcherowi, który próbował podawać energię naraz do symbolu i poza niego, wydawało się, że lada chwila głowa pęknie mu na dwoje. Lśniące w powietrzu linie znów przybladły, ale Fletcher zacisnął zęby i przezrzysta substancja wreszcie go posłuchała. Przeniknęła na drugą stronę znaku.

– Świetnie, udało ci się. A teraz spróbuj nadać jej kształt – ponaglił Arcturus.

Fletcher nie dysponował dużą ilością energii i nie chciał ryzykować, ładując zakłębienie dłużej. Obawiał się, że zdestabilizuje połączenie. Podobnie jak na pierwszych zajęciach, gdy uczyli się wywoływać dziwnoblaski, uformował manę w kulę.

– Bravo! Pamiętaj, że to nie jest dziwnoblask. Tarcze należy rozciągnąć. Próbuje! Możesz nie mieć drugiej szansy, by się tego nauczyć.

Jednak Fletcher nie zdołał utrzymać hieroglifu. Znak zapłonął na moment jaśniejszym

blaskiem, po czym rozwiął się w nicość. Tuż po nim zgasła kulista tarcza.

– Cóż, dobrze. Spróbujemy ponownie na następnych zajęciach. Odpocznij. – W stłumionym głosie Arcturusa pojawiła się nuta zawodu.

Wściekły na siebie, Fletcher zacisnął pięści. Innym zgromadzonym w atrium kadetom szło znacznie lepiej. Rzecz jasna przodowali wykształceni w rodzinnych domach arystokracji, którzy ćwiczyli teraz zmianę kształtu i grubości tarcz. Wybitnym talentem mógł się pochwalić Malik, którego idealnie zakrzywiona osłona była tak gruba, że niemal nie przepuszcziała światła. Większość kolegów Fletchera potrafiła już wywołać tarczę za każdym podejściem. Wyjątek stanowił Rory i Atlas, którym udawało się co drugi raz. On sam z kolei, przez ostatnie trzy godziny, odniósł sukces tylko jeden, jedyny raz.

Zniechęcony, ciężko opadł na ławkę w kącie sali i z posępną miną przyjrzał się studentom. Przez kilka tygodni, które minęły od pierwszej lekcji Rooka, sprawy w akademii miały się coraz gorzej.

Najpierw pojawił się problem widzących kamieni. Inkwizytor przeszedł wzdłuż szeregu nisko urodzonych uczniów i pozwolił im wybrać z pudełka po jednym kamieniu. Fletchera z rozmysłem zostawił na sam koniec, przez co przypadł mu niewielki okruch fioletowego kryształu, wielkości i kształtu srebrnego szylinga. Musiał podnosić kamyk do oka i wpatrywać się w niego z bliska, jak przez dziurkę od klucza, aby cokolwiek zobaczyć. Co gorsza, kadetów z gminu zmuszono, by ćwiczyli korzystanie z widzących kamieni wyłącznie w sali przyzwań, podczas gdy arystokraci wysyłali swoje demony do względnie bezpiecznych okolic eteru.

W dodatku nadeszły kolejne zajęcia z Arcturusem. Kapitan nie był na Fletchera zły, lecz dał mu wiele powodów do niepokoju.

– Nigdy nie darzyłem inkwizytorów sympatią, a Rook jest pośród nich zdecydowanie najgorszy. Stary król Alfric założył trzy ważne instytucje: Inkwizycję, Organizację Pinkertonów i Sądy Pokoju. Wszystkie są skorumpowane do cna. Po abdykacji ojca zarząd nad nimi przejął król Harold. Plotka głosi, iż nie podoba mu się sposób, w jaki działają. Jeżeli Rook spróbuje nam bruździć, obecny władca nie zwróci na to uwagi. Bardziej za to martwię się o starego króla Alfrica. Gdyby to on wmieszał się w nasze sprawy, mogłoby się zrobić niewesoło. Na szczęście władca rzadko opuszcza pałac, więc miejmy nadzieję, że o niczym się nie dowie. Nie przejmuj się, Fletcher. Przecież nie zrobiliś niczego złego. Ważne tylko, żeby Rook nie wysłał inkwizytorów w twoje rodzinne strony. Oni potrafią sporo wywyższyć.

Te słowa od kilku tygodni nękały Fletchera niczym zły duch. Po namyśle zmienił zdanie i postanowił, że nie napisze do Berdona ani jednego listu. Ktoś przecież mógł ich tropem dotrzeć do kowala bądź do niego. Gdyby Rook dowiedział się o zbrodni... Nie, o tym wolał nie myśleć.

Naturalnie, nie tylko ta kwestia spędzała mu sen z powiek. Goodwin obciążył kadetów niewiarygodnie dużą liczbą obowiązków. W nieskończoność domagał się coraz to nowych rozprawek z wiedzy o demonach, a za każdy błąd czy nieścisłość krytykował studentów z niesłychaną zgrzytliwością. Drobną pociechą była pochwała, jaką Fletcher otrzymał na drugim wykładzie majora, kiedy to wreszcie przydały się na coś długie godziny, które spędził w bibliotece, studiując odmiany kanidów i pokrewnych im gatunków. Poprawnie zidentyfikował oraz długo i elokwentnie rozwodził się na temat podopiecznych Penelope i Malika. Dziewczyna miała vulpida, stworzenie w kształcie lisa o trzech ogonach, nieco drobniejsze od przeciętnego kanida, za to znacznie bardziej zwinne. Vulpid miał zgrabny podłużny pysk, porastało go miękkie rude futerko, połyskujące niczym wypolerowana miedź.

Anubid Malika należał do jednej z rzadszych odmian kanidów. Poruszał się zgarbiony, na dwóch łapach, miał głowę szakala jak felid i połyskliwą gładką sierść. Był bliskim krewniakiem likana majora Goodwina, istoty podobnej, lecz z wilczym łbem i gęstym szarym futrem. Anubidy

były ulubionymi demonami bojowych magów z okolic pustyni Akhad. Obecnie w dostępnej zaklinaczom Hominum części eteru praktycznie już nie występowały.

Ku wielkiemu rozczarowaniu Atlasa, stworzenie Rufusa okazało się kolejną lutrą. Rufus, co dość niezwykle, otrzymał ją w taki sposób, w jaki wchodzili w posiadanie demonów nisko urodzeni kadeci: poprzez magiczny zwój. Stało się tak, ponieważ matka Rufusa zmarła, gdy był jeszcze dzieckiem, a jego ojciec nie posiadał uzdolnień magicznych.

Fletcher widział w sobie wrodzony talent tylko do jednego przedmiotu – szermierki. Sir Caulder zaprosił go na kilka dodatkowych lekcji, podczas których wykładał techniki specyficzne dla walki kopieszem. Jedynym problemem Fletchera było zapanowanie nad własną agresją. Tymczasem według starego rycerza, cierpliwość należała do najważniejszych cnót fecz mistrza.

– Dość! Zapraszam wszystkich do siebie! – zawołał Arcturus, wyrывая Fletcher z zadumy.

Kadeci zebrali się wokół wykładowcy, na ich twarzach widniała radosna ekscytacja. Wreszcie nauczyli się ważnej, praktycznej magicznej umiejętności. W ciągu ubiegłych tygodni ćwiczyli głównie z dziwnoblaskami, szlifowali kontrolę nad maną, uczyli się nią kierować, kształtować i regulować intensywność dziwnoblasków. Kapitan tłumaczył, że umiejętności zdobyte przy treningu z dziwnoblaskami pomogą im, gdy wreszcie przejdą do kreślenia w powietrzu pozostałych hieroglifów.

– Wielu z was wciąż ma kłopot ze skutecznym rzucaniem zaklęć. Jeszcze większa grupa robi to stanowczo zbyt wolno. Pozwólcie, że powiem jasno i bez ogródek. Zarówno szybkość, jak i niezawodność są nieodzownymi czynnikami sukcesu bojowego maga – oświadczył z powagą Arcturus, wodząc spojrzeniem po twarzach kadetów. – Kto z was potrafi powiedzieć, jakie cztery zaklęcia są podstawą pracy wojskowego zaklinacza?

Rękę podniosła Penelope.

– Tarcza, czar ognia i błyskawicy.

– Bardzo dobrze. To wciąż jednak tylko trzy. Czy ktoś uzupełni naszą listę?

– Telekineza – podsunął Seraph.

– Zgoda, zdolność poruszania przedmiotów na odległość. Przyjrzyjcie się uważnie. – Arcturus uśmiechnął się szeroko.

Unosił rękę i gestem, jakim zwykle miesza się w kubku kawę, nakreślił w powietrzu lśniąca spiralę. Nagle cofnął dłoń i kapeluszy wystrzelił mu z głowy pod sufit, po czym spokojnie osiadł z powrotem. Fletcher zauważył, że powietrze nad włosami kapitana zafalowało, niczym w słoneczny dzień nad rozgrzanym traktem.

– To niełatwa sztuka, ponieważ w odróżnieniu od zaklęć tarczy, ognia czy błyskawicy, czar telekinezy jest praktycznie niedostrzegalny gołym okiem. Wyobraźcie sobie, że próbujecie chwycić coś na niewidzialne lasso i w dodatku tym przedmiotem pokierować. Większość magów rzuca ten czar po prostu na oślep. Kierują go mniej więcej w stronę przeciwnika, by wyrzucić go w powietrze. Takie podejście doprowadza do szybkiego zużycia manny.

Arcturus z lekkimi wyrzutami sumienia spojrzał na stertę zwojów, które przyniosła ze sobą Penelope. Pokrywały je rzędy magicznych symboli, które kapitan polecił im sobie przyswoić.

– Oczywiście, istnieją tysiące innych zaklęć. Na przykład czar leczący, trudny, lecz użyteczny. Działa powoli, więc w trakcie bitwy nie bardzo się przydaje. – Kapitan wyrysował przed sobą symbol serca. – Części hieroglifów będziecie potrzebować dopiero w przyszłym roku, teraz nie zdołacie się nimi posłużyć. Między innymi zaklęcie bariery. Jak ono działa, przekonacie się przy okazji turnieju. Tak czy inaczej, jeżeli opanujecie cztery wspomniane czary, filary magii, turniej nie powinien wam sprawić wielu kłopotów. Pozostałe musicie poznać na egzamin pisemny, więc nie zaniedbajcie żadnego! Rozejść się!

Arcturus obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. Kadeci zaczęli wesoło rozprawiać między sobą,

lecz Fletcher nie miał ochoty na towarzyskie pogaduszki. Dogonił wykładowcę i złapał go za rękę.

– Kapitanie, czy mogę zapytać o zdrowie kapitan Lovett?

Arcturus spojrział na chłopaka, marszcząc czoło. W jego oczach majaczył niepokój.

– Szok eterowy. Skutki wciąż nie ustępują. Nic nie wiadomo; może ozdrowieć jutro lub już nigdy. W każdej wolnej chwili staram się jej czytać – powiedział, postukując w książkę, którą trzymał pod pachą. – Szczęśliwym dla niej zrządzeniem losu w chwili wypadku Valens przebywał poza jej ciałem, więc istnieje możliwość, że teraz ogląda świat jego oczami, korzystając wyłącznie ze swego umysłu. Tę umiejętność posiadają jedynie najlepsi zaklinacze, a Lovett należy do najbardziej utalentowanych magów, jakich miałem zaszczyt poznać. Jeżeli ktokolwiek jest w stanie tę sztukę opanować, to właśnie ona. – Krzepiąco poklepał Fletchera po ramieniu i rzucił mu smutny uśmiech. – A teraz odpocznij. Ciężko dziś pracowałeś.

Fletcher skinął głową i wyszedł na korytarz. Powolnym, zmęczonym krokiem wspiął się na schody w zachodnim skrzydle zamku. Zaprzagnął schować się przed światem w swoim pustym pokoju, tęsknił za towarzystwem Ignatiusa, którego wolno mu było wywoływać jedynie na niektórych zajęciach.

Odłąd nieprzytomna kapitan Lovett trafiła do infirmerii, Fletcher czuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek wcześniej. Co prawda, koledzy okazywali mu wiele serca i nie mógł o żadnym powiedzieć złego słowa, ale wszyscy mieli własne kłopoty. Ostatnio nawet Arcturus zamknął się w sobie i Fletcher nie był pewien, czy powodem tego zachowania jest obecność Rooka, czy może stan zdrowia Lovett. Wykładowczyni niczego się nie bała, a wobec studentów zachowywała się uczciwie, nie przykładała też wagi do różnic rasowych czy społecznych. Fletcher czuł, że mógł do niej przyjść z dowolnym problemem. Teraz... jakby umarła.

Rozkojarzony z wyczerpania, skręcił na lewe piętro i znalazł się w korytarzu wiodącym do prywatnych komnat arystokratów. Gdy westchnął i zawrócił z powrotem ku schodom, coś przykuło jego spojrzenie. Na ścianie wisiał gobelin ukazujący zbrojnych rycerzy w ogniu walki. Fletcher podszedł i z podziwem przyjrzał się finezyjnie utkany sylwetkom. Scena wyglądała jak żywa. Orkowie, szarżujący na grzbietach bojowych nosorożców, szturmowały most broniony przez niewielki oddział ludzi z pikami w rękach. W pierwszej linii obrońców przeprawy stał imponujący, majestatyczny mężczyzna. Przed jego wyciągniętym ramieniem jaśniał w powietrzu spiralny symbol. Obok niego szczyrzył kły przypominający lwa felid. Fletcher niemal usłyszał ryk, jakim felid wygrażał hordom naciągających bestii.

Pochylił się i odczytał napis z tabliczki pod gobelinem. „Bohater bitwy o most Watford”.

– Niesamowite. Rektor Scipio praktycznie w pojedynkę odparł natarcie szwadronu bojowych nosorożców – szepnął pod nosem.

Nagle w korytarzu rozległy się czyjeś kroki. Fletcher przypomniał sobie, że jest na piętrze zarezerwowanym dla arystokratów, rzucił się więc w otwarte drzwi i ukrył w cieniu. W swoim obecnym stanie ducha nie chciał sprowokować kolejnej utarczki z Tarquinem.

– Widziałaś minę tego bufona, kiedy nie wypaliło mu zaklęcie? Prawie popłakałem się ze śmiechu. Drań miał się za kogoś wyjątkowego, a teraz proszę... – powiedział ze swym pretensjonalnym akcentem Tarquin.

Odpowiedział mu stłumiony perlisy śmiech, który zdradził, że towarzyszy mu Isadora.

– Zabawnie opowiadasz, mój drogi. – Zachichotała. – Nie mieliśmy dzisiaj czasu porozmawiać o poważnych sprawach. Ciągle musimy przesiadywać na tych beznadziejnych zajęciach. Powiedz, Tarquinie, co takiego napisał ojciec?

– Dobrze wiesz, że nie może nam zbyt wiele wyjawić, w każdym razie na pewno nie w liście. To zbyt ryzykowne. Co nieco udało mi się jednak wyczytać między wierszami. Sprawa zostanie

przypiętowana jeszcze dzisiejszego wieczoru. Jutro o świcie będziemy największymi wytwórcami broni w Hominum. Potem wystarczy, że pozbedziemy się ojca Serapha i przejmujemy jego zakład zbrojeniowy. A wtedy, do diaska, staniemy się wreszcie monopolistami!

– Wybornie! Nasza spuścizna pozostanie niezagrożona. A czy ojciec wspomniał o... – Głos dziewczyny stopniowo ucichł.

Arystokraci weszli do jednej z komnat i zamknęli za sobą drzwi.

Fletcher dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech, i z ulgą nabral powietrza. Nie był do końca pewien, co takiego właśnie usłyszał, lecz ton rozmowy bliźniąt nie zwiastował niczego dobrego.

Już miał wyjść z kryjówki, gdy w korytarzu pojawił się ktoś inny. Kroki rozbrzmiewały stopniowo coraz głośniejsze, aż w końcu ucichły tuż przed drzwiami, za którymi zniknęli Tarquin i Isadora. Rozległo się ciężkie westchnienie.

– No dalej, Sylva, poradzisz sobie. – Fletcher rozpoznał melodyjny głos elfki i rozdziawił ze zdziwienia usta. Po co chciała się spotkać z Forsythami, w dodatku o tak późnej porze?

– Z czym sobie poradzisz? – spytał, wychodząc z ukrycia.

Elfka zachłysnęła się i przesłoniła usta dłonią.

– Fletcher! Myślałam, że już dawno śpisz.

– Co ty tu robisz? – spytał z naciskiem i zmarszczył brwi.

– Przyszłam... pogodzić się z Forsythami – przyznała półgłosem, unikając jego spojrzenia.

– Dlaczego? Co w ciebie nagle wstąpiło? Przecież porzucili cię w chwili największej potrzeby! – Fletcher podniósł głos.

– Widzisz, na jakiś czas zapomniałam, w jakiej roli tutaj przybyłam. Jestem przede wszystkim elfką, pierwszym zaklinaczem swej rasy od setek lat. Ponadto jestem ambasadorem. Ty i Othello wykazaliście się wobec mnie dobrocią i nie życzę wam źle. Nie mogę jednak zrazić do siebie tutejszej arystokracji akurat teraz, gdy zależą od tego stosunki między naszymi krainami. Zachariasz Forsyth należy do grona najbliższych i najstarszych doradców króla Harolda, a to właśnie w królem będziemy negocjować warunki sojuszu między naszymi ludami. Jeżeli zaprzyjaźnię się z dziećmi Zachariasza, naklonię waszego władcę, by spojrzał na sprawy elfów bardziej przychylnie. – Sylva wyrzuciła z siebie pewnie i szybko, trochę jakby wcześniej przećwiczyła sobie tę kwestię.

– Ale... Przecież tych dwoje nawet cię nie lubi. Chcą wykorzystać twoją sympatię dla własnych celów! – rzucił Fletcher.

– Ja też chcę się nimi posłużyć. Przykro mi, ale podjęłam decyzję. To nie zmieni niczego między nami, lecz inaczej postąpić po prostu nie mogę – oświadczyła.

– Naturalnie, że zmienię! Naprawdę sądzisz, że będę mógł ci ufać, wiedząc że przyjaźnisz się z tą parą żmij?! – wypalił Fletcher, wyminał elfkę i ruszył przed siebie.

– Proszę cię! – zawołała błagalnie Sylva.

Było już jednak za późno. Wzburzony Fletcher nie słuchał. Drażące go dotąd przygnębienie zastąpił wrzący gniew. Przekłete elfy i ich zakichana polityka! Przekłeci arystokraci! Wszystko dokoła rozpadało się w drobny mak. Przyjaźnie. Studia. Nie mógł nawet skontaktować się z Berdonem. Czuł, że Rook nie spuszcza go z oka.

W komnacie na szczycie wieży zastał Rory'ego, Serapha i Genevieve. Rozmawiali pogodnie. Fletcher wcisnął się głęboko w stojące za plecami kolegów krzesło. Miał nadzieję, że nie zwrócą na niego uwagi. Stanowczo nie był w nastroju na pogawędkę.

– Coś mi mówi, że mój poziom spełnienia zaczął wreszcie rosnąć! – cieszył się Rory. – Szło mi zupełnie nieźle. Może Malachi też się wkrótce rozwinie.

– Rory, chyba nie do końca rozumiesz, na jakich zasadach to wszystko działa – wtrącił łagodnie Seraph. – Zdolność skutecznego rzucania czarów nie ma nic wspólnego z poziomami. Spełnienie określa po prostu poziom energii demonów, jaką możesz w siebie wchłonąć. A Malachi nigdy się nie rozwinie. Na zawsze pozostanie stworzeniem klasy pierwszej. U istot z eteru poziom pozostaje niezmienny przez całe ich życie. Naturalnie, demon może urosnąć, może stać się silniejszy fizycznie, ale poziom? Ten jest ustalony raz na zawsze.

– Aha... – mruknął Rory. – W takim razie dlaczego Tarquin, kiedy wrzeszczał na Fletchera, wypomnił mu, że Ignatius jest demonem niższego poziomu niż Trebius? Skoro to nie ma związku z ich siłą, to ja już nic nie łapię.

– Rzecz w tym, że poziom to najczęściej tylko ogólny wyznacznik. Demon poziomu siódmego zwykle faktycznie będzie bardziej potężny niż szóstka. Poziom jest taką praktyczną wskazówką, ale nie jest to zasada stała i niezmienna. Na przykład felid w dziewięciu walkach na dziesięć zwycięży z kanidem, nawet jeśli oba stworzenia będą na poziomie siódmym. Albo weźmy golema, jakiego ma nasz Othello. Kiedy osiągnie pełną dojrzałość, stanie się po wielokroć silniejszy niż kanid, mimo że kanid ustępuje mu tylko jednym poziomem.

– No tak... Ech, w sumie nieważne. – Rory ponownie się nachmurzył.

– Nie martw się. Twój poziom wzrośnie na pewno. – Seraph zauważył zmianę nastroju kolegi. – Major Goodwin twierdzi, że przypadki zaklinaczy pozostających do śmierci na tym samym poziomie są niezwykle rzadkie. Dotyczy to wyłącznie magów, którzy nigdy nie chwytają demonów lub mają wielkiego pecha.

– Ale jak ja mam złapać nowego demona, skoro Rook nie pozwala nam polować w eterze?! – zawył Rory i gwałtownie poderwał się z miejsca.

– Cierpliwości. To tylko jeden rok. – Genevieve próbowała przemówić koleźce do rozsądku.

Nadaremnie. Wzburzony kadet zignorował ją i nadąsany wyszedł z pokoju. Genevieve rzuciła Seraphowi poirytowane spojrzenie i ruszyła za Rorem.

– Chyba znowu niepotrzebnie wtrąciłem swoje trzy szylingi. – Seraph westchnął i przygryzł wargę. – Chciałem tylko, żeby nie rozbudzał w sobie zbyt wielkich nadziei, nic więcej – dodał pod nosem.

Zapadło milczenie. Seraph zajął się sporządzaniem notatek. Czekala ich kolejna rozprawka z nauki o istotach z eteru. Po jakimś czasie poczuł się zmęczony, zgasił swój dziwnoblask i w sali zaległy cienie. Po chwili wstał i skierował się do drzwi.

– Zaczekaj – odezwał się Fletcher i podniósł rękę. – Muszę cię o coś zapytać.

– Jasne, co jest? – Seraph ziewnął.

– Czym parają się twoi rodzice? Pytam dlatego, że podsłuchałem rozmowę Tarquina i Isadory... Wspominał o pozbyciu się twojego ojca. To może mieć coś wspólnego z waszymi interesami – wyszeptał Fletcher.

Seraph stanął jak wryty. Fletcher dostrzegł, że toczy on ze sobą wewnętrzną walkę. Dopiero po chwili ciemnoskóry kadet rozluźnił się i usiadł obok na krześle.

– Cóż, skoro poznałem twoją tajemnicę, uczciwie będzie, jeśli wyjawię ci swoją. Obiecay mi tylko, że nikomu nie piśniesz o tej sprawie nawet słówkiem.

Fletcher potaknął skinieniem głowy.

– Urodziłem się i wychowałem w Antiochu – podjął Seraph. – W tym samym mieście, z którego pochodzi Malik i jego ród, Saladynowie. Rodzina Malika nie posiada rozległych włości jak inni arystokraci, nie mają wielkich lasów ani pól uprawnych. Ich potęga i wpływy biorą się z prowadzenia licznych interesów i handlu nieruchomościami. Zajęli się tym, ponieważ Antioch jest otoczony nieurodzajną pustynią i trudno tam o dostęp do wody.

– Czyli w całą sprawę zamieszani są też Saladynowie? – wtrącił Fletcher.

– Niezupełnie. Mój ojciec postanowił zaryzykować i wykupił ogromne połacie pustyni. Tereny tanie, lecz praktycznie bezużyteczne. Pamiętam klótnię rodziców. Matka przez całą noc wypominała tacie, że bezτροsko przepuścił większość naszych oszczędności. Po jakimś czasie odwiedził nas pewien krasnolud. Oznajmił, że jego pobratymcy potrzebują ziemi, a przecież nie wolno im jej posiadać, z wyjątkiem wyznaczonych dzielnic Corcillum, natomiast arystokraci nie chcą robić z nimi interesów. Ten wysłannik zasugerował, że może my bylibyśmy skłonni do współpracy.

– Wiedziałem, że krasnoludy mają z tym jakiś związek! – zawołał Fletcher, a kiedy dotarło do niego, że odezwał się zbyt głośno, przytknął sobie palec do ust.

– Okazało się, że krasnoludom zależy na rudach metali i siarki. I to w dużej skali. Przeprowadziły badania wykupionych przez ojca terenów i odkryły podziemne złoża, ukryte głęboko pod pustynią. Bez ich doświadczenia, umiejętności i wiedzy nie bylibyśmy w stanie skorzystać ze złóż, podobnie jak one bez prawa do naszej ziemi. Zawarliśmy zatem umowę. Krasnoludy miały nam pomóc w budowie kopalń, pożyczyć pieniądze na zatrudnienie pracowników i zakup sprzętu. W zamian zobowiązaliśmy się uczynić z krasnoludów naszych wyłącznych partnerów i nie sprzedawać surowców nikomu innemu. Krasnoludy przetwarzają też wydobyte rudy, a zyskami dzielimy się uczciwie.

– Zaraz, ale do czego jest im potrzebna siarka? – zainteresował się Fletcher. Cała historia zaczynała powoli nabierać sensu.

– Siarka jest niezbędna przy produkcji prochu strzelniczego. Najlepsze jest to, że jedyne jej znaczące złoża znaleziono na pustyni Akhad, a tylko nasze tereny znajdują się dostatecznie blisko cywilizacji, by można było myśleć o wydobyciu. Każda wystrzelona na wojnie ołowiana kula, wszystkie zużyte beczki prochu, mają swój początek w fabrykach i kopalniach Paszów. Przy okazji, tak właśnie mam na nazwisko. Pasza.

– A dlaczego zainteresowali się tym wszystkim Forsythowie? – spytał Fletcher.

– Naprawdę nie wiesz? Przecież są największymi producentami broni w Hominum. To Forsythowie dostarczają armii większość mieczy, hełmów... nawet mundurów. Kiedy krasnoludy wynalazły muszkiet, dochody Forsythów zaczęły się kurczyć. Wytwarzana przez krasnoludy broń palna, a ostatnio nawet biała, staje się z wolna coraz bardziej popularna, a odkąd żołnierze otrzymali muszkiety, spadło zapotrzebowanie na zbroje. Rozumiesz, obecnie walczy się często na dystans. Nie sądzę, by Forsythowie wymyślili już konkretny sposób, by nam zaszkodzić, ale nie zdziwiłbym się, gdyby wciąż się nad tym zastanawiali.

– Bliźnięta wspomniały o jakimś ważnym wydarzeniu, do którego ma dojść dzisiejszego wieczoru. Mówili też, że potem zajmą się twoim ojcem – uprzedził Fletcher, próbując przypomnieć sobie słowa Tarquina.

– W tej chwili już za późno, byśmy cokolwiek poradzili, ale ojciec ma świetną ochronę. Nie przejmowałbym się tym zanadto. Ot, czcza gadanina. Miałem nadzieję, że zdołam ukryć przed Isadorą i Tarquinem swoje pochodzenie, ale teraz już chyba wiem, skąd się dowiedzieli. – Seraph uśmiechnęła się z ulgą, jakby tylko czekał na pretekst, by wyznać komuś swój sekret. – Najpierw wygasł jeden wielki ród, Raleighowie. Następnie Queensouthowie i Forsythowie połączyli swe dynastie w jedną. Król Harold nieoczekiwanie i w krótkim okresie stracił dwie z najstarszych arystokratycznych rodzin. Planował więc dać początek nowym, dobierając parami drugie i trzecie utalentowane magicznie dzieci z istniejących rodów i nadając im nowo utworzone tytuły. Pozostaliśmy arystokratom ten pomysł bardzo nie przypadł do gustu, ponieważ zwyczajowo wydawali takich synów i córki za dziedziców innych rodów. Władca poszukiwał więc innego rozwiązania. Mój ojciec pozostaje w dobrych stosunkach z krasnoludami, jest wielkim posiadaczem ziemskim, a bogactwem bez mała dorównuje arystokratom. To jednak wciąż za

mało. Trzeba być zaklinaczem, aby otrzymać tytuł. Tymczasem pewnego dnia pojawili się w naszym domu inkwizytorzy, przebadali mnie...

– ...i stwierdzili, że posiadasz magiczne zdolności – dokończył Fletcher, łącząc w myślach elementy układanki. – Mógłbyś zatem założyć nowy wielki ród, bo twoje pierwsze dziecko odziedziczy po tobie talent.

– Właśnie tak. Ojciec wyda publiczne oświadczenie dopiero w przyszłym roku, lecz arystokraci zostali po cichu poinformowali już teraz. Dlatego nie sądzę, bym był w tej chwili ulubieńcem naszych bliźniąt czy nawet Malika.

Fletcher siedział w milczeniu i porządkował w głowie zasłyszane rewelacje.

– Dobranoc, Fletcher – pożegnał się Seraph i wyszedł z sali. – Tylko pamiętaj, to nasza słodka tajemnica.







## 40

Wojenne bębny dudniły z obłąkańczym ferworem. Ich kołatanie miarowo pulsowało w nocnym powietrzu. Tłumnie zebrani orkowie bili w dłonie i tupali do rytmu, akcentując każdy takt gardłowym zawodzeniem.

Oplatająca szyję orkowego maga salamandra czujnie obserwowała otoczenie. Szaman stał na podwyższeniu, wokół którego zgromadzili się orkowie. W czterech narożnikach podium huczały płomienie ognisk. Zniewolone gremliny krzątały się dokoła, biegały w tę i z powrotem, donosząc chrust z okolicznej dżungli. Pilnowały, by ogień nie przygasł ani na moment.

Nagle łoskot bębnow umilkł. Zaskoczona ciszą salamandra drgnęła i głośno ziewnęła. Szaman uciszył ją syknięciem i wsunął jej do paszczy skrawek mięsa. Przyjrzał się jedzącemu demonowi i z czułością pogładził go po łbie.

Milczenie zmaćcił rozlegający się za ich plecami jęk. Na drewnianym rusztowaniu wisiał elf, okrutnie przywiązany za ręce i nogi. Twarz miał opuchniętą i pokrytą plamami zaschniętej krwi, lecz nie z tego powodu cierpiał najbardziej. Z pleców zdarto mu sporych rozmiarów kwadratowy płat skóry. Odsonięte żywe mięso paliło niemiłosiernie. Klęczący za jeńcem ork skrobał krwawy strzęp szorstkim kawałkiem skały, usuwając wszelkie pozostałości tłuszczu, mięśni i ścięgien.

Z ust elfa wydarł się rozpaczliwy charkot, lecz gardło miał zbyt wyschnięte, by dobyć z niego choć jedno zrozumiałe słowo. Szaman zamachnął się mocno nogą i kopnął więźnia prosto w brzuch. Nieszczęśnik zadławił się, zakrztusił i zawisł bezwładnie, dysząc ciężko jak wyrzucona z wody na brzeg ryba.

Zebrane wokół podwyższenia hordy orków zaczęły szemrać. Ciężba rozstąpiła się, pozwalając przejść wkraczającej do obozowiska procesji.

W pochodzie szło dziesięć orków. Wielkie, potężnie umięśnione bestie o szarej skórze, pomalowanej ochrą w żółto-czerwone wzory. Nieśli ze sobą prymitywną, ale przerażającą broń

- ciężkie maczugi, zjeżone ostrymi odłankami skał.

Nie przyszli sami. Za nimi pojawił się jeszcze jeden ork, przy którym idący na przedzie wojownicy wydawali się karłami. Miał białą skórę, a jego oczy pobłyskiwały intensywną czerwinią w świetle płomieni. Maszerował swobodnym, pewnym siebie krokiem. Pełne podziwu spojrzenia pobratymców przyjmował niczym należny sobie hold. Gdy grupa zbliżyła się do platformy, okaleczony elf zaczął krzyczeć i szarpać się na rusztowaniu. Tym razem szaman nawet nie spróbował go uciszyć. Przyklęknął, skłonił się głęboko i w tej pozycji powitał wielkiego albinosa, który wszedł na podwyższenie, zostawiając przybocznych na dole.

Biały ork pomógł szamanowi wstać i wziął go w ramiona. Widząc ten gest, masy orków podniosły radosny ryk. Tupot niezliczonych stóp wprawił w drgania całą drewnianą platformę. Przez nieznośny jazgot wciąż przebijały się paniczne wrzaski przerażonego elfa, który coraz gwałtowniej szarpał krępujące go skórzane pasy.

Albinos podszedł do więźnia i rwetes uciął. Potężny ork uniósł głowę pojmanego, dzierżąc ją w palcach swobodnie jak owoc grejpfruta, i zajął mu głęboko w oczy. Wreszcie zdruzony mrknął i wypuścił ją z dłoni.

Elf przestał wrzeszczeć. Być może poddał się nieuniknionemu losowi. Tłum wstrzymujących oddechy orków wpatrywał się w białego olbrzyma, który przejął właśnie zdartą z pleców więźnia skórę, rozpiętą teraz na drewnianej ramce. Gdy uniósł ją do światła, oczom zebranych ukazał się wytatuowany pośrodku dłoni albinosa pentagram. Wzór z czarnego atramentu ostro kontrastował z białością skóry. Albinos nosił tatuaże również na palcach, na opuszkach widniały magiczne symbole.

Szaman postawił salamandrę na deskach podium i cofnął się z kolejnym uniżonym ukłonem. Biały ork wyciągnął rękę i skierował naznaczoną czarnymi znakami dłoń ku niebu. Chwilę potem zaczął odczytywać znaki ze skóry.

- *Di rah go mai lo fa lo go rah lo...* - recytował głębokim, grmiałym głosem

Wytatuowana na dłoni albinosa gwiazda rozbłysła palącym fioletem. Pomiedzy szamanem a salamandrą zmaterializowały się smużki białego światła, tworząc łączącą ich magiczną pępowinę. Po chwili spajająca demona z jego panem więź rozciągnęła się i pękła z wyraźnym szalnym trzaskiem.

- *Fai lo so nei di roh...*

Te słowa okazały się ostatnimi, jakie albinos wypowiedział w życiu.

Wystrzelona z elfowego łuku strzała zaświszczala w powietrzu i przeszła olbrzymowi gardło. Strugi gorącej krwi trysnęły na deski podwyższenia. Zebranych dokoła zasypały kolejne pociski, długie i ciężkie, zakończone lotkami z łabędzich piór. Szaman ryknął, lecz pozbawiony salamandry był bezbronny. Rzucił się do powalonego giganta i spróbował zatamować gwałtowny krwotok.

Następny grad strzał wywołał na polanie prawdziwy chaos. Orkowie rozbiegli się na wszystkie strony, wymachując maczugami i pękami oszczepów. Zaraz potem niczym podzwonne dał się słyszeć dźwięk mosiężnych trąbek i spomiedzy drzew wypadło mrowie wznoszących bojowe okrzyki wojowników. Wynurzające się pędem z ciemności sylwetki nie należały jednak do elfów... to byli ludzie. Rycerze zakuci w pełne płytowe zbroje, dzierżący w dłoniach ciężkie pałasze. Bez cienia strachu wdarli się do serca obozu. Nie okazywali litości nikomu. Cięli i rąbali orków mieczami jak żelazny cyklon. Otoczona gęstą dżunglą przesieka przeobraziła się w rzeźnię. Na ziemi słały się wnętrzności i leżące w kałużach krwi zwłoki. Zza pleców nacierających przez cały czas wylaływały chmary strzał, z zabójczą dokładnością spadając na broniących się orków.

Orkowie nie okazali się tchórzami. Zwarli się z napastnikami, z taką łatwością miażdżąc

helmy i napierśniki potężnymi ciosami maczug, jakby ludzkie zbroje były foliowymi zabawkami. Rozgorzała rozpaczliwa, brutalna walka wręcz. Nikt nawet nie myślał o wojskowej sztuce czy taktyce – o życiu lub śmierci decydowały przypadek, siła mięśni i liczebność ścierających się stron.

Nad polem niosły się porykiwania stawiających zacięty opór orków. Ostrza zakutych w stal ludzi podnosiły się i opadały. Maczugi młóciły niczym cepy i atakujący wojownicy wylatywali w powietrze ze zmiażdżonymi kośćmi, po czym padali okaleczeni na ziemię. Orkowie przedzierali się przez zamieć padających strzał, wyrwali pociski z ciał i w gardliwie odrzucali je prosto w twarze przeciwników.

Straż przyboczna wielkiego albinosa wyrzynała przed sobą szeroką ścieżkę zniszczenia, dziesiątki ludzi padły przed nimi bez życia. Na szaroskórych sylwetkach malowała się poświata wciąż płonących ognisk, bestie z nie zrównaną siłą uwijały się w bitewnej gorączce, raz po raz zadając śmierć zębatymi maczugami. Głośnymi okrzykami zgromadzili wokół siebie pozostałych przy życiu pobratymców i rozkazali im przejść do kontrataku. Po chwili w niezrozumiały sposób orkowie zaczęli wygrywać.

Wtedy jednak w dżungli poruszyła się ciemna masa, która czaiła się dotąd tuż poza zasięgiem wzroku. Wydające się gałęziami okazały się rogami olbrzymich łosi, na których kawaleria elfów wpadła na polanę, roztrzaskując tłum przeciwników. Niezwykle wierzchowce były stworzeniami potężnymi, obdarzonymi mocnymi nogami i szerokimi piersiami. Elfy nie miały na sobie zbroi, lecz wciąż trzymały w dłoniach łuki, z których strzały nie tak dawno przesłoniły niebo całymi rojami. Wiodący szarżę jeździec dzierżył rozwiany proporzec, zielony i haftowany złotą nicią. Widniejąca na sztandarze złamana strzała falowała w rytm skoków łosia tratującego go rozwleczone na ziemi ciała.

Leśni kawalerzyści uderzyli na orków z mocą tarana. Zaostrzone przed bitwą łopaty łosi przebiły ciała bestii i odrzucały je w tył. Zawodzące w powietrzu strzały, wprawnie wypuszczone przez elfy jadące w tylnych szeregach, przeszywały czaszki i oczodoły. Ludzie wzniesli triumfalny okrzyk i rzucili się w ślad za sojusznikami, dobijając orków powalonych kopytami łosi.

Szala zwycięstwa przechyliła się z powrotem na stronę atakujących, lecz do końca bitwy było jeszcze daleko. Orkowie przegrupowali się wokół stanowiącej ich ostatni szaniec drewnianej platformy i nie zamierzali skapitulować. Niez mordowanie miotali oszczepami w ciżbę nacierających. Długie i zaostrzone na końcach kije przebiwały zarówno ciała łosi, jak i elfów.

Ludzie osłonili się tarczami. Rycerze z pierwszego rzędu ukłękli, ich towarzysze z tyłu stali, tworząc w ten sposób wysoki mur. Elfy wycofały kawalerię między drzewa i szyły z luków spoza zasłony tarcz. Strzały kreśliły w powietrzu łuk i pewnie dosięgały przeciwników. Rozpoczęła się mordercza walka na wyniszczenie. Co chwila wojownik któregoś ze stron padał w agonii na ziemię. Wynik jednak mógł być tylko jeden.

Aby powalić jednego orka, atakujący musieli razić go dziesiątkami pocisków, lecz mimo wszystko szare bestie ginęły. Umierały jedna po drugiej, dygocąc konwulsyjnie na skrwawionym piachu. Wreszcie gwardziści białego olbrzyma podjęli ostatni desperacki wysiłek i rzucili się do ataku. Najwytrwalszy zdołał przebiec dziesięć kroków. Stojący na podwyższeniu szaman bezsilnie drapał paznokciami skórę salamandry, próbując zaczerpnąć z niej manę, która pozwoliłaby mu ocalić życie. Nadaremnie. Gdy w końcu dotarła do niego powaga położenia, dobył noża i poczołgał się ku uwięzionemu elfowi. Chciał go wziąć jako zakładnika.

Ledwie przytknął ostrze do gardła spętanego jeńca, łuki ponownie powędrowały ku górze. Strzały zaśpiewały w powietrzu po raz ostatni...

Złany zimnym potem Fletcher wyrwał się gwałtownie ze snu.

– Co ja, do diabła, zobaczyłem?





## 41

Wizja nie była zwykłym snem... tego był pewien. Woń krwi drażniła mu nozdrza, wrzaski i krzyki rozdzierały uszy. Obrazy musiały pochodzić ze wspomnień Ignatiusa. Kapitan Lovett uprzedzała, że przez pewien czas po pierwszej infuzji tego rodzaju przeblyski nękają wielu zaklinaczy.

– Chyba staję się zazdrosny – zwrócił się stłumionym szeptem do Ignatiusa. – Prawie zdążyłem zapomnieć, że należałeś dawniej do orka.

Salamandra delikatnie zamruczała i zagrzebała się głębiej pod koc. W pokoju było okropnie zimno. Fletcher nie znalazł niczego, czym mógłby uszczelnić otwór strzelniczy w ścianie.

Zadrzał z obrzydzenia, gdy uświadomił sobie, że magiczny zwój, który przekazał lady Fairhaven, został spisany na skórze elfa ze wspomnień Ignatiusa. Widok, jaki ujrzał w sennej wizji, sprawił, że pergamin wydawał mu się dwakroć bardziej odrażający.

Zastanowił się nad widzianymi przed chwilą scenami. Skąd w głębi terytorium orków wzięły się elfy? Czy biały ork z majaku był tym samym albinosem, który przewodził teraz zjednoczonym szczepom? Raczej niemożliwe. James Baker napisał w dzienniku, że znalazł zwój pod ziemią, wśród kości pogrzebanych bardzo dawno temu. Bitwa musiała mieć miejsce setki lat wcześniej, być może w trakcie drugiej wojny z orkami, tym bardziej że ludzie ze wspomnień Ignatiusa nie posługiwali się muszkietami. Wciąż jednak nie umiał znaleźć wytłumaczenia dla obecności elfów ani białego olbrzyma.

– Wiem tyle, że jesteś ode mnie starszy o całe wieki – rzekł półgłosem Fletcher i przyłożył dłonie do ciepłego brzucha salamandry.

Kiedy ciepło wróciło do jego palców, ponownie się położył, lecz sen uparcie nie chciał przyjść. Myśli nie dawały spokoju, rozważał wszystkim raz po raz. Czy wizja zawierała jakiegokolwiek przydatne wskazówki? Poza Ignatiusem w starciu nie uczestniczyły żadne inne demony. Czy to

o czymkolwiek świadczy? Przecież w tak ważnej bitwie powinni brać udział magowie.

Nagle przyszło mu do głowy coś innego. Proporzec, pod którym nacierały elfy! Złamana strzała! Dzięki herbowi dowie się, który z elfowych klanów rozgromił orków. Sylva na pewno ten symbol rozpozna, w końcu historię własnej rasy poznała jak nikt inny.

Zaraz jednak zmarkotniał. Przypomniawszy sobie ich niedawną sprzeczkę. Możliwe, że potraktował koleżankę zbyt ostro. Łatwo było zapomnieć, w jakiej elfka znalazła się sytuacji, a przecież ciążyła na niej ogromna odpowiedzialność za los pobratymców. Cholera, faktycznie, skoro jej przyjaźń mogła pomóc położyć kres konfliktowi na północy, jakie właściwie ma znaczenie, że elfka zbliży się do Forsythów? W najgorszym wypadku pomoże to przynajmniej pokrzyżować plany Didrica. Jeżeli wojna z elfami dobiegnie wreszcie końca, nikt nie zechce wysłać więźniów w góry.

Fletcher zwał się z łóżka i ubrał. Szyję, niczym szalikiem, owinał śpiącym jak kamień Ignatiusiem i po cichu udał się do żeńskiej części kwatery.

– Tym razem jednak zapukam – szepnął do siebie. Nie uśmiechała mu się perspektywa kolejnej konfrontacji z Sariel.

Sylva otworzyła natychmiast. Jej pokój wyglądał niemal identycznie jak sypialnia Fletchera, z tym że był dwukrotnie większy, a w nogach łóżka stał dodatkowy kufer. Sariel, zwinęta na rozłożonym na środku dywaniku z owczej skóry, rzuciła Fletcherowi ostrzegawcze spojrzenie. Z podobną rezerwą przyjrzała się mu Sylva. Zauważył, że elfka wciąż ma na sobie mundur. Zatem dopiero co wróciła ze spotkania z bliźniętami, pomyślał. W jednej chwili odezwała się w nim irytacja, lecz zdołał ją zdławić.

– Mogę wejść? – spytał spokojnie.

– Naturalnie, ale jeśli przychodzisz namawiać mnie do zmiany decyzji, to możesz od razu wracać do łóżka. Tętno i yschora zgodzili się zapomnieć o naszych nieporozumieniach i mam nadzieję, że zechcesz postąpić podobnie.

– Chciałbym pomówić o czymś innym – odparł wymijająco Fletcher, nie poddając się wewnętrznej pokusie wszczęcia nowej sprzeczki. – Ujrzałem we śnie wspomnienie mojego demona, jedno z tych, o których opowiadała nam Lovett. Chciałbym się od ciebie dowiedzieć, kiedy elfy po raz ostatni walczyły ramię w ramię z ludźmi.

Sylva z niezwykłą uwagą wysłuchiwała opowieści Fletchera, który starał się nie pominąć żadnego szczegółu wizji. Liczył, że dzięki temu przypomni sobie coś więcej.

– Jesteś pewny, że to nie był zwykły sen? – spytała, gdy skończył. – Rzecz w tym... Nie, to po prostu niemożliwe.

– Jak to? – zdziwił się Fletcher. – Mówię ci, że to wszystko było jak prawdziwe!

– Jeżeli to rzeczywiście prawda, to... Ignatius ma ponad dwa tysiące lat – szepnęła z przejęciem elfka. Żywym krokiem podeszła do stojącego przy łóżku kufra i zaczęła czegoś w niem szukać. – Gdzieś tu musi być... – mruknęła pod nosem, odkładając na kamienną posadzkę kolejne przykurzone księgi. – Mam! – ucieszyła się i przytaszczyła ciężki tom na łóżko.

Fletcher usiadł obok Sylwy, która przerzuciła kilkadziesiąt stron, zanim znalazła ilustrację. Ukazana na rycinie scena sprawiła, że poczuł zawrót głowy. Jadące na łośiach elfy wpadały prosto w hordę orków. Nad kawalerzystami powiewał sztandar ze złączoną strzałą. Z drugiej strony atakowała ludzka piechota. Rycerze mieli na sobie identyczne zbroje jak te, które chłopak zobaczył w swojej wizji. Autor rysunku wiernie ukazał nawet gwardię przyboczną białego orka. Fletcher był pewien, że nigdy nie zapomni pokrywających ich ciała czerwono-żółtych malunków.

– Pamiętasz może, co opowiadałam tamtej nocy na polu kukurydzy? O tym, że elfy przekazały pierwszemu władcy Hominum tajemnicę zaklęcia w zamian za zawarcie sojuszu skierowanego przeciwko orkom? To była ostatnia batalia tej właśnie wojny. Historycy nazwali ją

Bitwą pod Corcillum, jako że stoczono ją nieopodal krasnoludzkiej stolicy. Natarciem kierował imiennik twojego stwora, Ignatius. Wszystko musiało się dziać niedaleko stąd, lecz pamięć o dokładnym położeniu pola bitwy uległa przez wieki zatępciu. Ale że ty to wszystko zobaczyłeś... Niesamowite! – Sylva pogładziła ilustrację, obrysowała koniuszkiem palca rogi jednego z łosi.

– Wciąż nie rozumiem, skąd wziął się tam ten biały ork... i dlaczego poza Ignatiusem nie pojawiły się inne demony?

– Wówczas zaklinaczami było tylko jedenastu wodzów klanowych, a głównym powodem, dla którego zawarli umowę z waszym pierwszym królem, był fakt, że dzięki współpracy nie musieli oboje ryzykować życia w walce. Po podpisaniu paktu elfy miały wycofać się z udziału w wojnie. Do Bitwy pod Corcillum doszło dlatego, że orkowie porwali syna jednego z wodzów. Z tego powodu nasza kawaleria przybyła ludziom z odsieczą. Wówczas król Corwin nie posiadał jeszcze sztuki zaklania, gdyż warunki porozumienia jasno stanowiły, że przed przekazaniem sekretu musi dojść do całkowitego rozgromienia orków. Co do albinosa, nie mam pojęcia. Wiem tyle, że po Bitwie pod Corcillum, wycofali się do dżungli. Zwycięstwo w tym starciu było decydujące i zwiastowało wiek pokoju, trwający aż do drugiej wojny z orkami, która wybuchła trzysta lat temu.

Fletcher był bardzo zadowolony, że wpadł na pomysł rozmowy z Sylwą. Wyglądało na to, że przed przybyciem do Cytadeli dziewczyna przestudiowała całość dziejów stosunków między elfami a ludźmi.

– Myślę, że powinniśmy wybrać się do biblioteki i sprawdzić w księgach, czy ktokolwiek wspominał o innym białym orku – zasugerował. – Mam wrażenie, że to właśnie śmierć poprzedniego sprawiła, że ich siły poszły w rozsypkę. Może albinosi nie są jedynie przywódcami. Może ich postacie są dla wroga ważne również z jakiegoś innego powodu – dokończył.

– Masz rację. Z twojej opowieści wynika, że Ignatius miał zostać przekazany albinosowi i że była to ceremonia szczególnej wagi. Trzeba jak najszybciej dowiedzieć się wszystkiego o orkach i ich dawnych wodzach. Być może odkryjemy coś istotnego. – Sylva wstała i podeszła do drzwi.

– A ty dokąd? – zdziwił się Fletcher.

Sariel zerwała się z legowiska i popędziła za panią, niemal strącając go z łóżka.

– Jak to dokąd? Do biblioteki! Powiedziałam: jak najszybciej.

Fletcher nie miał wyboru. Poszedł za koleżanką.

O tej porze w korytarzach zamczyska panowały chłód i wilgoć; na szczęście mogli oświetlić sobie drogę dziwnoblaskami. Posługiwanie się magią nie sprawiało już Fletcherowi takiej uciechy jak przedtem, wciąż był zawiedziony swoimi mizernymi postępami na zajęciach Arcturusa. Mimo wszystko próbował nie tracić ducha i skupił się na obecnym zadaniu. Miał przecież szansę poprawić o sobie opinię, dostarczając wykładowcy użytecznych informacji na temat wroga. Przemknęło mu też przez myśl, że gdyby tylko odzyskał księgę Jamesa Bakera, mógłby dowiedzieć się więcej o miejscu, w którym zaklinacz odnalazł zwój Ignatiusa.

Kiedy schodzili krętymi schodami, Fletcher zauważył przez ramię migotanie innego dziwnoblasku.

– Uwaga! To może być Rook! – syknął.

Zgasili światła i przemknęli w ciemności do jednego z bocznych korytarzy, gdzie przywarli płasko do drzwi. Zaskoczona nagłym zapadnięciem mroku Sariel zaskomlała i Sylva uciszyła ją pacnięciem w nos.

Po chwili usłyszeli głośny oddech i ożywione kroki. Kimkolwiek był nieznajomy, bardzo mu się spieszyło. Po kilku bezlitośnie dłużących się minutach dźwięki ucichły, a dwójkę kadetów z powrotem ogarnęła nieprzenikniona ciemność.

- Dobra, idziemy! – szepnął Fletcher, gdy zyskał pewność, że nikt ich nie usłyszy.

- Ciekawe, kto o tej godzinie spaceruje po akademii? – zapytała elfka.

- Ja chyba wiem – odparł Fletcher i ruszył po schodach, uważając, by się nie potknąć.

- To znaczy? – dopytała Sylva.

- Mojej pierwszej nocy w Akademii Vocanów widziałem, jak ktoś wychodzi z naszej wspólnej komnaty i opuszcza Cytadelę. Spieszył się, podobnie jak ten, i wyraźnie starał się zachować swoją wycieczkę w tajemnicy – wyjaśnił Fletcher, skręcając w kierunku biblioteki.

- To mocno podejrzana historia. Dlaczego nikomu nie powiedziałaś?! – zdumiała się Sylva. W jej głosie zabrzmiała nuta dezaprobaty.

- Nie sądziłem, że to może być ważne. Uznałem, że ktoś chciał się po prostu przewietrzyć. Sam wtedy z tego powodu wyszedłem. Ale teraz... Tak, racja, chyba powinienem był sprawę zgłosić.

Fletcher pchnął drzwi biblioteki. Zawiasy zaskrzypiały, lecz nie ustąpiły.

- Wygląda na to, że niepotrzebnie tu przyszliśmy. Zapewne lady Fairhaven zamknęła bibliotekę po wyjściu ostatniego studenta... W zasadzie my też powinniśmy się położyć. – Poirytowana kopnęła drzwi. – Wrócimy po zajęciach z Rookieem.

- Ja nie pójde spać! Ktoś nocami kręci się ukradkiem po akademii i zamierzam się dowiedzieć, co to za jeden. Jeżeli wykryję zdrajcę, wszyscy zrozumieją, że elfom można zaufać. – To powiedziawszy, Sylva wyszła na schody i pomknęła w dół.

-To niebezpieczne! – ostrzegł Fletcher. – Ludzie, którzy napadli cię w Corcillum, mogą obserwować zamek!

Sylva zniknęła.

Fletcher potknął się w ciemności i zaklął pod nosem.

- Sylva! – rzucił w mrok, próbując jednocześnie mówić cicho, ale i ponaglająco.

Szedł za koleżanką już od godziny, mimo że cienki rogalik księżycza ledwie pozwalał mu dostrzec trop. Gdzieś tam udawało mu się wypatrzeć wydeptaną w trawie ścieżkę, czasem dostrzegał złamaną gałązkę. W pewnym momencie był już prawie pewien, że ślad się urwał, lecz na miękkiej po deszczu ziemi zauważył delikatne odciski bucików, z wolna wypełniające się wodą. Gdyby nie był doświadczonym myśliwym, zgubiłby elfkę na dobre.

Był na siebie wściekły, że nie ruszył za nią od razu. Przed wyjściem z akademii wrócił biegiem na górę i zabrał z pokoju kopesz. Obawiał się kłopotów. Kto by pomyślał, że Sylva okaże się tak szybka? Dotarł na skraj niewielkiego lasu. Skaliste wzgórze, piętrzące się jakieś pół mili od Cytadeli, porastały wysokie drzewa.

- Sylva, ja cię chyba zabije! – mruknął pod nosem.

- Marne szanse – szepnął ktoś z tyłu.

Fletcher poczuł na plecach nacisk zimnej stali – zamarł.

- W pełni rozumiem, kim jestem i jakie wiążą się z tym niebezpieczeństwa. Nie zamierzam jednak żyć w strachu – rozległ się głos elfki. – Nie będę zachowywać się inaczej, niż chcę, tylko dlatego, że mam wrogów. Nie dam im tej satysfakcji.

Wyszła zza Fletchera. W jej dłoni błysnął długi i wąski sztylet, bardzo podobny do tego, który on wykuł w kuźni Uhtreda.

- Oczywiście, nie wyszłam z pokoju nieprzygotowana – uśmiechnęła się – ale musisz pamiętać, że Sariel jest warta tyle co dziesięciu gwardzistów i dwóch tropicieli na dodatek.

Fletcher poczuł się zażenowany; podeszła go z taką łatwością. Sariel przytruchtała zza majaczącej przed nimi skały i uważnie obwąchała ziemię.

- Sylva, wracajmy. Przecież to nie nasza sprawa! Być może Genevieve poszła odwiedzić



rodzinę. Słyszałaś chyba, że mieszkają niedaleko stąd. – Fletcher spróbował przemówić koleżance do rozsądku. Pragnął znaleźć się z powrotem w Cytadeli. Nawet przez kurtkę czuł niemilosierny ziąb.

– Na pewno nie teraz – odparła elfka z uporem. – Ten ktoś jest tuż-tuż. Chodźmy!

Zanim Fletcher zdołał ją powstrzymać, pobięła lekko przed siebie. Zrezygnowany, westchnął i ruszył za Sylwę.

Niemal natychmiast ujrzeli dziwnoblask. Unosił się ponad urwiskiem, na które wczołgała się Sylwa. Wychyliła się ostrożnie za krawędź i rozejrzała. Po chwili przywołała Fletchera nagłym machnięciem dłoni. Wyglądała na zadziwioną.

Niepewnie spojrział na błotnistą glebę. Co mogło tak poruszyć elfkę? Ciekawość wzięła górę i wyciągnął się płasko na wilgotnej ziemi, po czym podpełzał do Sylwy. Przód munduru i kurtki błyskawicznie przemókł i pokrył się lodowatą mazią, lecz ciarki, które przebiegły mu po plecach, gdy spojrział w dół, wydały się jeszcze zimniejsze.

Othello z Solomonem stali u wylotu jaskini. Wejścia do niej strzegły dwa krasnoludy, siedzące na grzbietach dzików, ulubionych wierzchowców tej rasy. Dziki porośnięte były szorstką rdzawą szczecina, z pysków sterczały im groźne grube kły. Zwierzęta w niczym nie przypominały dzikich świni, na które Fletcher polował w lasach otaczających Skóry. W tej chwili miał przed sobą muskularne bojowe rumaki, typiące spode łba nienawistnymi czerwonymi ślepiami. Z każdego ich ruchu były złośliwość i agresja.

Krasnoludscy jeźdźcy mieli na sobie zbroje. Na głowy włożyli rogate hełmy, w garściach ściskali dwustronne topory bojowe. Przy siodłach wisały skórzane pasy z siekierkami do rzucania, zabójczą bronią, wyposażoną w zaostrzoną, spiczastą rękojęść i dodatkowe szpikulce u szczytu.

Nagle rozległ się wyraźny, donośny głos.

– Othello Thorsager. Przybywam na radę wojenną. Spodziewają się mojej wizyty.



## 42

Wartownicy na dzikach wjechali za Othellem do jaskini. Echo stukotu racic powoli umilkło pod ziemią.

– Wygląda na to, że czekali specjalnie na niego. Nadal sądzisz, że to nie nasza sprawa? – spytała szeptem Sylva.

– No... tak, nie nasza. Rada wojenna mogła się zebrać z byle powodu. Tym bardziej że krasnoludy dopiero co zyskały prawo wstępowania do wojska – powiedział cicho Fletcher. Rozczarował się co do Othella. Krasnolud poznał ze szczegółami wszystkie jego najgłębsze tajemnice. Tymczasem ukrył przed nim coś takiego. Dlaczego?

– Niewykluczone, że planują wznieść kolejne powstanie – zauważyła elfka. – Zastanów się. Król Alfric wprowadził najsurowsze jak dotąd, wymierzone przeciw nim prawa, a Harold, jego syn, dopiero niedawno zaczął je odwoływać. Krasnoludy występowały zbrojnie przeciwko Hominum nawet w znacznie lepszych dla siebie okresach. Nie muszą też dodawać, że w tej chwili cieszą się monopolem na wytwarzanie muszkietów.

– Nie wierzę w to. Othello liczy na zawarcie pokoju między naszymi rasami. Na pewno nie chciałby go zaprzepaścić! – rzucił Fletcher, rozzłoszczony insynuacją Sylvy.

– Nie wierzysz? I tylko dlatego byłbyś gotów zaryzykować wybuch wojny domowej?

Fletcher uderzył pięścią w mokrą ziemię.

– No dobrze, ale i tak nie mamy jak za nim pójść. Pilnują go uzbrojeni strażnicy. Poinformować pinkertonów też nie możemy. Wpadliby tu i wojna wybuchłaby już dzisiejszej nocy. Masz inny pomysł?

– Fletcher, przecież jesteście zaklinaczami. Poślijmy tam Ignatiusa. Przemknij się przez strażę, a my na odległość zobaczymy, co się dzieje. Będziesz tylko musiał mi przekazać, o czym rozmawiają, bo nie będę w stanie niczego usłyszeć.

– Ignatius? Dlaczego nie Sariel? – rzucił buńczucznie Fletcher.

– Dlatego, że Sariel ledwie się do tej jaskini zmieści. Nie przemknie niezauważona przez wartowników. Poza tym w tym czasie ktoś musi nas chronić. – W głosie Sylvy pojawiła się nuta irytacji.

– Chodzi ci o to, żeby odkryć spisek i zyskać przychyłność króla – rzucił oskarżycielsko Fletcher.

– Nie tylko. Posłuchaj, gdyby powstanie krasnoludów wybuchło w trakcie wojny Hominum z orkami, kto wie, czym mogłoby się to skończyć. Oboje rozumiemy, że powinniśmy się dowiedzieć, jakie decyzje zapadną na tej radzie. Nie trać czasu. Weź mój widzący kamień i podąż go do Ignatiusa. W tym twoim szkiełku niczego nie zobaczymy.

Sylva wyciągnęła z kieszeni odłamek kryształu. Był cztery razy większy niż płatek kamienia wielkości monety, który przypadł Fletcherowi.

– Prędszej! – dodała niecierpliwie. – I tak pewnie przegapiliśmy początek obrad.

Fletcher postukał kamieniem w lebek Ignatiusa, wyrывая go z drzemki.

– Rusz się, stary. Czas sprawdzić, czy te wszystkie ćwiczenia na cokolwiek się nam przydały.

Ignatius ziewnął i wydał z siebie stłumioną skargę, lecz zaraz potem wycul nastrój opiekuna i ocknął się na dobre. Zeskoczył z ramienia Fletchera i podbiegł na skraj urwiska. Czepiając się ziemi pazurami, zszedł po pionowej ścianie, aż do wejścia do jaskini. Tam, jak gdyby nigdy nic, pomknął po powale jaskini i zniknął w ciemnym tunelu.

– Rany, nie miałam pojęcia, że on potrafi coś takiego – szepnęła Sylva i odwróciła w dłoniach Fletchera kamień, by obraz nabrał więcej sensu.

– Ja też nie. Ignatius wciąż mnie czymś zaskakuje. – Fletcher poczul przypływ dumy.

Kontrolowanie salamandry przychodziło mu bez trudu. Więź, wyostrzona dzięki długim godzinom treningów na zajęciach inkwizytora, była mocniejsza niż kiedykolwiek i wystarczyło, by pomyślał, a Ignatius skręcał to w jedną, to w drugą stronę. W jaskini panował mrok, lecz salamandra widziała w ciemności znacznie lepiej niż ludzie. Na ściance kryształu długi i kręty tunel ukazał im się całkiem wyraźnie.

Po kilku minutach przejście się rozszerzyło i zamigotała poświata pochodni. Fletcher przykazał Ignatiusowi zwolnić. Nawet on słyszał drapanie pazurków na skale, a nie chciał, by zaniepokojeni drzewkiem strażnicy zadarli głowy.

Drugiego końca tunelu strzegły dwa krasnoludy na dzikach, ci sami jeźdźcy, których widzieli wcześniej. Towarzyszył im oddział ponad dwudziestu pobratymców. Obserwowali cieniste przejście czujnie, niczym jastrzębie.

Na szczęście dla Ignatiusa krąg światła pochodni nie sięgał sufitu jaskini. Salamandra sunęła po skale w półmroku, niezauważona nawet przez uważnych wartowników.

Powała wznosiła się coraz wyżej i wyżej. Po chwili Ignatius zawisł niemal osiemdziesiąt stóp nad podłożem. Mimo że jeden nieostrożny krok mógłby przypłacić śmiercią, pełzł odważnie naprzód, wymijając zwisające niczym sopte stalaktyty.

Wreszcie tunel otworzył się na kupałasto sklepioną grootę, oświetloną setkami pochodni.

W podziemnej sali zbiegały się podobne tunele, połączone z nią gwiazdźście, niczym szprychy koła. Blask połyskujących w każdym z chodników płomieni podpowiedział Fletcherowi, że i one pilnowane są przez krasnoludzkich kawalerzystów.

– Nie jestem pewna, nad czym będą radzić, ale widać, że nie chcą postronnych świadków – zauważyła półgłosem Sylva.

Fletcher uciszył koleżankę syknięciem. Właśnie Ignatius skierował spojrzenie w dół.

W jaskini, na kamiennych, zgrzeźbnie ciosanych lawach, zasiadły dziesiątki krasnoludów. Jeden stał na środku sali, na kamiennym podeście. Przemawiał donośnym głosem, lecz Fletcher ledwie

go słyszał.

– Musimy podejść bliżej. Nie rozumiem, co mówią – powiedział cicho i w myślach polecił Ignatiusowi rozejrzeć się dookoła. Na ścianach pełgał blask pochodni, gdyby demon zszedł niżej, z pewnością zostałby zauważony.

– Niech spróbuje tamtędy – podpowiedziała Sylva i wskazała palcem długi stalaktyt, biegnący przez jedną trzecią wysokości sali.

Fletcher ponaglił podopiecznego w stronę stożkowej skałki i przypomniał mu o potrzebie zachowania ostrożności. Po chwili przymknął oczy i zaczął szeptem powtarzać dolatujące go słowa.

– ...Powtarzam wam, nastąpiła już pora! Owoce powstania dojrzały! Lepszej sytuacji nie mieliśmy od dwóch tysięcy lat. Armia Hominum związana jest dwiema wojnami, na północy ludzie zmagają się z elfami, na południu gorzej konflikt z orkami. Z trzecim przeciwnikiem już sobie nie poradzą. Z taktycznego punktu widzenia mamy znakomitą pozycję wyjściową, możemy wziąć szturmem pałac i pojmać króla wraz z jego ojcem jako zakładników.

Mówca był przysadzistym potężnym krasnoludem o władczym spojrzeniu. Jeszcze przez moment przyglądał się słuchaczom z góry, po czym zszedł z podium. U stóp schodów czekał inny krasnolud, starszy, z brodą przetkaną siwymi pasemkami. Ucisnął dłoń młodzika, po czym wszedł na górę.

– Dziękuję ci, Ulfr, za te porywające słowa. Powiedziałeś prawdę, lecz to jeszcze nie wszystko. Jak wiecie, krasnoludy są jedynymi rusznikarzami w Hominum. Obecnie dziewięciu na dziesięciu ludzkich wojowników szkoli się wyłącznie w ładowaniu i strzelaniu z muszkietów. Nie noszą mieczy, a poza bronią palną dostają jedynie bagnet do walki w starciu. Jeżeli odetniemy ludziom dostęp do muszkietów, ich armia stanie się po prostu słabo wyposażonym, niewyćwiczonym pospolitym ruszeniem. Z naszego punktu widzenia to kluczowy atut i nie wolno o nim zapomnieć...

Kilka krasnoludów odpowiedziało na wystąpienie starego mówcy głośnymi okrzykami poparcia. Wkrótce część sali zaczęła skandować jego imię.

– Ha-kon! Ha-kon!

Liczna grupa krasnoludów zachowała jednak niewzruszony spokój. Wpatrywali się w Hakona w milczeniu, z zaplечionymi na piersiach ramionami. Zdania słuchaczy były wyraźnie podzielone.

– Kolejną i być może najważniejszą z naszych przewag jest sprawa amunicji – podjął sędziwy mówca. – Kopalnie Paszów są kontrolowane przez naszych stronników, a pracują w nich krasnoludzcy górnicy. Nikt inny tylko my zajmujemy się też produkcją prochu strzelniczego i odlewem ołowianych kul. Bez nich muskiety żołnierzy Hominum staną się bezużyteczne. Ledwie wyczerpią swoje magazyny amunicji... zwycięstwo będzie nasze!

Znow fala wiwatów, tym razem jednak rozległy się również gwizdy i niezycliwe pohukiwania. Jeden ze słuchaczy zerwał się z miejsca i wbiegł na scenę. Podał Hakonowi rękę i szepnął mu coś na ucho.

– To przecież Othello! – zachłysłęła się Sylva.

Fletcher pokręcił głową.

– Nie, to nie on. Poznaję po sposobie, w jaki splótł warkocze. Othello ma brata bliźniaka. Nazywa się Atylla i żarliwie nienawidzi ludzkiej rasy.

– Tchórze i zdraycy! – zagrział głos Atylli i Fletcher ponownie się skoncentrował. – Kim jesteście? Prawdziwymi krasnoludami czy może... półludkami?

Kilku zebranych natychmiast podskoczyło. Krzyki stały się tak donośne, że Fletcher słyszał je niemal z wylotu jaskini, nad którą przyczał się z Sylwą.

– Nie czuliście na grzbietach razów pałek pinkertonów? Z ilu spośród was wymusili strachem

i przemocą ciężko zarobione pieniądze? Czy jest na sali choć jeden krasnolud, którego ojca bądź brata nie wtrącono do więzienia z powodu decyzji uprzedzonego do naszej rasy sędziego? Naprawdę podoba się wam, że aby spłodzić więcej niż jedno dziecko, musicie płaszczyć się przed królem?

Harmider wzmógł się niemal dwukrotnie. Krasnoludy stały i groźnie pokrzykiwały.

Nagle wrzawa ucichła, ucięta jak nożem gardłowym rykiem.

– Dość! – poniósł się znajomy głos.

Othello przepchnął się na czoło ciżby i wbiegł na podium, przeskakując po dwa stopnie naraz. Solomon, który przed momentem ryknął, kroczył za swym panem.

– Nazywam się Othello Thorsager. Jestem pierwszym krasnoludzkim oficerem w Hominum i pierwszym zaklinaczem naszej rasy. Domagam się głosu.

– Mów, skoro musisz, przyjacielu ludzi! – zawołał Atylla.

– Nie możemy iść na wojnę z Hominum – podjął Othello głośno i wyraźnie. – Czy naprawdę nie rozumiecie, że król Harold oferuje nam szansę na równość? Jeśli podejmiemy walkę, przegramy, i to bez cienia wątpliwości. Same tylko siły zbrojne królestwa przerastają nas liczebnie jak dziesięć do jednego. Większość krasnoludów w wieku poborowym jest teraz w drodze do fortów na północnym froncie. Są otoczeni doświadczonymi żołnierzami i znajdują się tak daleko od Corcillum, jak to tylko możliwe. Uważacie, że zdołacie zająć pałac, mając do dyspozycji marną setkę wojowników?

– Tak, jeśli będzie trzeba! – wydarł się Hakon, co wywołało falę pochwalnych okrzyków jego zwolenników.

– A co poczniecie potem? Wiadomość o powstaniu dotrze do generałów na północy już po kilku dniach. Poniosą ją latające demony, a oni bez wahania dopuszczą się rzezi naszych młodych żołnierzy. Nawet gdybyśmy uwzględnili ich w naszych planach i wzniecili równocześnie rebelię na północy, co wtedy? Czy tysiąc niewyszkolonych krasnoludów pokona armię ludzi? Mówicie o muszkietach... Nawet bez nich bojowi magowie rozniosą nasze oddziały w parę minut. Król jest jednym z najpotężniejszych zaklinaczy, jacy się kiedykolwiek urodzili, a wy chcecie go wziąć na zakładnika! Nie mamy szans.

– Cóż z tego? Wolę zginąć w walce przeciwko ludziom niż u ich boku. Założę się, że mają cię za swojego trefnisia, tak ładnie wyglądasz, przechadzając się wśród nich z tym swoim małym demonem – odciął się z ironią Atylla.

– Sam tak myślałem. Właśnie tego obawiałem się, przybywając do Akademii Vocanów. Okazało się, że jest inaczej. Pomyliłem się. W akademii spotkałem dobrych ludzi. Do diaska, już pierwszego dnia jeden z nich pokazał mi kartę Kowadła – sparował Othello.

– Kowadła? To po prostu grupa ludzi, którzy się nad nami litują, nic ponadto. To dla nich hobby, blaha ciekawostka. Starszyzna nie ufa im nawet na tyle, by ich dopuścić do udziału w tej radzie – zauważył Atylla.

– Sam postąpiłbym podobnie, wiedząc, że będziemy omawiać sprawę otwartej wojny przeciw ich rasie. Pomyślcie, z wolna zyskujemy kolejnych sojuszników. Najpierw Paszowie, a teraz Kowadła. Powstaje wspierający nas silny ruch. Nawet król ogłosił, że gdy tylko okażemy się godni zaufania, gotów jest zmienić prawo i powściągnąć pinkertonów. I czym mu odpowiadamy? W jaki sposób? Robimy wszystko, by zrezygnował z popierania naszej sprawy. Planujemy powstanie! – Rozjuszony Othello splunął bliźniakowi na buty.

– Nie jesteście prawdziwym krasnoludem! Nie zasługujesz na herb, który nosisz wytatuowany na plecach! Wstyd mi nazywać cię bratem! – krzyknął Atylla, po czym szybkim ruchem zerwał z brata koszulę, odsłaniając symbol.

Othello ryknął, chwycił bliźniaka za gardło i zaczęli się mocować na podeście, dusząc jeden

drugiego. Solomon ruszył panu na pomoc, lecz zaraz stanął jak wryty. Widocznie Othello przykazał mu spokój. Na podium wpadł jak burza Uhtred i rozdzielił zmagających się synów. Za nim wkroczyła procesja siwowych krasnoludów. Sprawiali wrażenie bardzo starych i czcigodnych. Końcówki kredowobiałych bród wsunęli za pasy na brzuchach.

– To na pewno członkowie Rady Krasnoludów. – Sylva szepnęła Fletcherowi na ucho.

Przytaknął skinieniem głowy i polecił Ignatiusowi wytężyć słuch, gdyż nowo przybyli nie sprawiali wrażenia osób lubiących zbyt głośno pokrzykiwać.

W grocie zapadła głęboka, pełna szacunku cisza. Uspokoił się nawet Atylla, który taktownie skłonił głowę. Najbardziej sędziwy starzec wystąpił na czoło szeregu i szeroko rozpostarł ramiona.

– Czyż nie wszyscy pragniemy wolności dla dzieci naszej rasy? Jeżeli przeciwnościom losu nie zdołamy stawić czoła zjednoczeni, będzie to wyraźny znak, że przegraliśmy już teraz.

Krasnoludy zaczęły wracać na miejsca, wielu ze wstydem zwiesiło głowy.

– Usłyszeliśmy dziś już wszystko, co było do powiedzenia. Widzę wśród nas wiele gorących głów, lecz decyzji, nad którą radzimy, nie wolno podejmować pochopnie. Zastanówcie się, jakie dobro wyniknie z męźnej śmierci w walce o wolność? Krasnoludy powstawały już czternaścrotnie i czternaście razy zajrzało nam w oczy widmo wymarcia całej rasy. Wy, młodzi, nie pamiętacie rzezi, do jakiej doszło po ostatnim buncie. Po każdej porażce ludzie odbierają nam kolejne obszary wolności, z każdą klęską tracimy coraz więcej praw i krasnoludzkiej krwi.

Słuchacze zgodnie pokiwali głowami.

– Widzę przed nami dwie drogi. Jedna jest wyraźnie wydeptana, lecz zawsze, gdy na nią wchodziliśmy, trafialiśmy do punktu wyjścia, pokonani i wykrwawieni. Istnieje drugi szlak. Nie wiem, dokąd wiedzie ani jakie czyhają na nim niebezpieczeństwa, lecz w głębi serca czuję, że choć niepewny, jest lepszy niż droga chwalebnej, ale pewnej porażki. Wojna nie wybuchnie, moi przyjaciele. Uszanujemy zawarte z królem porozumienie.

Fletchera załapała fala niewysłowionej ulgi. Othello wymknął się z akademii, by wystąpić przeciwko buntowi, nie na odwrót. Co więcej, zdołał przekonać do swych racji krasnoludzką starszyznę. Wołał nie myśleć, co zrobiłby Othello, gdyby rada podjęła odmienną decyzję. Uznał, że nie warto się nad tym zastanawiać. Wszystko skończyło się pomyślnie.

– Fletcher, spójrz, co to? – Sylva szarpnęła go za rękę.

Przed nimi, wśród drzew migotały pochodnie. Ktoś szybko się zbliżał. Oboje przywarli do ziemi i patrzyli z duszą na ramieniu.

Ludzi było dziesięciu, każdy z nich miał przy sobie muszkiet i miecz. Ich przywódca ciężko dyszał z wysiłku. Nawet mimo panującej ciemności Fletcher zauważył, że męczyzna jest nienaturalnie opasy.

– Jesteś pewny, że to właściwa jaskinia? – spytał jeden z nieznanym i uniósł pochodnię wyżej, by oświetlić otoczenie.

Gdy blask płomieni padł na twarze przybyszy, Fletcherowi zrobiło się nagle bardzo zimno.

– Pewny jak sama śmierć – odparł Grindle.





## 43

– To ci sami ludzie, którzy mnie porwali! – szepnęła Sylva, wskazując uzbrojonych zbirów.

– Wiem, tego tysego tłuściocha poznałbym na końcu świata. – Fletcher mocno ścisnął rękojeść kopesza. – Nazywa się Grindle i to on miał wykonać na tobie wyrok. Byłem przekonany, że go zabiłaś, ale cóż, widocznie ma grubą czaszkę.

– Jest ich zbyt wielu – zauważyła stłumionym głosem Sylva.

Fletcher spostrzegł, że elfka jest cała spięta, jakby gotowała się do skoku i walki. Przyczajona za nimi Sariel cicho zawarczała, wyczuwając poruszenie swojej pani.

– Spróbuj zachować spokój. Musimy się dowiedzieć, co oni tu robią. – Fletcher zdusił w sobie gniew i korzystając z osłony mroku, wychylił się nieco bardziej, by podsłuchać rozmowę.

– Nie rozumiem, dlaczego nie zaczekamy tutaj. Moglibyśmy wziąć ich z zaskoczenia, kiedy już wyjdą – narzekał właśnie jeden z mężczyzn.

– Dlatego, że to tylko jedno z pięciu wyjść – odparł Grindle i przysiadł na głazie. – Co więcej, trzy takie tunele prowadzą prosto pod dzielnicę krasnoludów.

W blasku pochodni trzymanych przez zbierających się wokół niego mężczyzn dało się zauważyć opatrunek na ramieniu Grindle'a. Zadane mu przez ognistą kulę Ignatiusa oparzenie wciąż się jeszcze nie zagoiło.

– Powinam była go dobić! – rzuciła przez zęby Sylva.

Fletcher kojącym gestem położył jej dłoń na ramieniu. Nie chciał doprowadzić do starcia. Osilków było dziesięciu, wszyscy mieli na sobie zbroje z utwardzanej gotowaniem w wosku skóry. Tego rodzaju strój nie ograniczał swobody ruchów, a przy tym skutecznie osłaniał przed słabszymi ciosami mieczy.

– No to na co jeszcze czekamy? – spytał jeden z mężczyzn i spojrział w głąb ciemniejszego wylotu jaskini.

– Chyba nie uważałeś na odprawie, co? – burknął Grindle, podniósł rękę i złapał niecierpliwego towarzysza za napierśnik. Szarpnięciem przyciągnął go do siebie i spojrzał mu prosto w oczy. – Przy innym tunelu zbiera się w tej chwili kilkuset żołnierzy lorda Forsytha. Ruszymy wtedy, kiedy ruszą oni, to znaczy na sygnał rogu, który rozlegnie się za jakieś pięć minut. A może myślałeś, że planowaliśmy w dziesięciu rzucić się na setkę krasnoludów, he?

Serce zamarło Fletcherowi w piersi. Właśnie o tym rozmawiali ze sobą Tarquin i Isadora. Niebezpieczeństwo groziło nie krewnym Serapha, lecz krasnoludom!

– Mamy pięć minut! – szepnęła elfka. – Musimy coś zrobić.

Fletcher rozważył w duchu możliwości, przeniósł spojrzenie z osiłków na wejście do pieczary. Zbyt mało czasu. Walka z żołnierzami Grindle'a trwałaby za długo. Gdyby z kolei spróbowali ich po prostu ominąć, nie dobiegliby do jaskini, a poczuliby między łopatkami kule z muszkietów. Nawet gdyby im się udało jakimś cudownym zrządzeniem losu, i tak musieliby przekonać krasnoludzkie straże, że nie kłamią.

– Gdyby tylko Ignatius potrafił mówić... – podjęła półgłosem Sylva, spoglądając w ścianki widzącego kamienia.

Krasnoludy wciąż dyskutowały, chodziły po całej jaskini i rozprawiały, zastanawiając się nad decyzją.

– Wiesz co? Wcale nie musi. – Uświadomił sobie Fletcher.

Potrzebowali przekazać krasnoludom wiadomość o nadchodzącym ataku. Dlaczego więc ich po prostu nie napaść? Przesłał Ignatiusowi polecenie i poczuł bijące ze świadomości salamandry niepewność i lęk. Gdy jednak demon zrozumiał zamiary swojego opiekuna, lęk ustąpił i przeobraził się w żelazną determinację.

– Patrz – rzucił szeptem Fletcher do Sylvy.

Ignatius spelzł po stalaktycie, zapłócił ogon wokół spiczastego końca skały, wbił w nią kolec i zawisł jak nietoperz, wyciągając jednocześnie szyję, by jak najbardziej zbliżyć się do krasnoludów.

– Teraz, Ignatius! – wymamrotał pod nosem Fletcher, który widział coraz wyraźniej, bo mana popłynęła w ich ciałach silniejszym nurtem.

Ignatius zionął grubym płomieniem. Czerwona fala buchnęła w powietrzu i urwała się tuż nad głowami sędziwych krasnoludów. Ogień osmałił im czupryny i po jaskini rozszedł się kwaśny fetor spalonych włosów. Podeksytowany Ignatius zaświergotał, po czym czmychnął z powrotem na powalę i ruszył w te pędy ku wyjściu.

– To napaść! – huknął Hakon, gdy w sali rozpętała się panika. – Wycofujemy się! Chrońcie starszyznę!

Jeźdźcy dzików porzucili swe posterunki przy korytarzach i kierowali teraz kłębiący się tłum krasnoludów do tunelu prowadzącego głębiej pod ziemię.

– Udało ci się! – szepnęła Sylva. – Fletcher, jesteś geniuszem!

Nagle z cizby wystrzelił ku górze toporek i wbił się w skałę ledwie kilka cali od Ignatiusa.

– Demon z Akademii Vocanów! Zdrada! – wydarł się Atylla, nadal stojąc obok brata na podwyższeniu. – Komu powiedziałeś o dzisiejszym spotkaniu?!

– Nikomu! Przysięgam! – odparł głośno Othello, który rozpoznał Ignatiusa i na jego twarzy odmalowała się konsternacja. – Znam właściciela tego stwora i wiem, że jest nam przychylny! To przyjaciel krasnoludów!

– W takim razie nie pogniewa się, jeżeli go wyręczę i zabiję tego potworka! – zawył Atylla i wyszarpnął z pasa kolejny tomahawk. Zeskoczył z podium i ruszył biegiem w stronę zeszytniałej z przerażenia salamandry.

– Atylla! Nie! Uciekaj ze wszystkimi! – krzyknął Othello i puścił się za bliźniakiem.



Ignatius pisnął i rzucił się przez tunel. Znow tylko cudem uniknął pocisku.

– Sprowadzisz ich obu prosto w łapy Grindle'a. – Sylva szarpnęła Fletchera za rękaw.

Przestoga była już jednak spóźniona. Bracia biegli bezpośrednio pod salamandrą.

– Przygotuj się – szepnął Fletcher. – Ruszamy do boju.

Sylva skinęła głową i wysunęła sztylet z przypasanej do uda pochwy. Sariel zareagowała na zmianę nastroju elfki i przywarła do ziemi, w pełni gotowa do skoku. Wstrzymali oddech. Mijały kolejne sekundy.

– Ktoś tu idzie – rzekł schrypiętym głosem Grindle i wskazał na wylot jaskini.

Fletcher także usłyszał echo kroków biegnących Atylli i Othella.

– Dwa szeregi! Pierwszy kłęka, drugi stoi. Strzelacie na moją komendę! – rozkazał Grindle, wyciągnął miecz i uniósł go wysoko nad głowę.

Krasnoludy zbliżały się coraz bardziej. Fletcher usłyszał brzęk metalu, kolejny toporek chybił celu, czyli uciekającego Ignatiusa.

– Ja osłonię wejście, ty na wszelki wypadek osłep ich dziwnoblaskiem – zdecydowała Sylva. – Nie jestem pewna, czy uda mi się postawić odpowiednio wytrzymałą tarczę. – Palce elfki kreśliły już w powietrzu odpowiedni symbol. Sekundę później wylała z dłoni na ziemię strugę matowego światła, zbierającą się w kałuży jak stopiony bursztyń.

– Przygotować się! – warknął Grindle.

Lufy muszkietów powędrowały ku górze i wymierzyły w głąb jaskini. Fletcher zaczerpnął manę od Ignatiusa. Z powodu dzielącej ich odległości nie było to proste, lecz już po chwili magiczna energia wibrowała w jego ciele. W zalanych maną oczach pochodnie świeciły głębokim, intensywnie pomarańczowym blaskiem.

– Cell! – rzucił Grindle i opuścił ostrze miecza o kilka cali.

Kroki biegnących nie były już tylko echem. Krasnoludy znalazły się bardzo blisko. Lada moment pojawiają się w wejściu do jaskini.

Tłuścioch opuścił miecz.

– Pa...

– Teraz! – krzyknęła Sylva i posłała w dół błyszczący biały kwadrat.

Fletcher cisnął w twarze żołnierzy błękitnym światłem. Osłepił ich dokładnie w chwili, gdy rozległ się suchy trzask wystrzałów. Lufy rzygnęły czarnym dymem, który zawisł gęstą mgiełką w powietrzu. Wtedy w szereg wojaków wbiła się Sariel, roztrącając dorosłych mężczyzn jak kręgle. Wskoczyła na pierś najbliższego i dziko szarpiąc zębami, wgrzyła mu się w krtań.

Fletcher zakrzyknął dziko i zeskoczył z urwiska, dźgając jednocześnie kopeszem. Ostrze przebiło brzuch powalonego człowieka, po czym świsnęło w kierunku następnego oszołomionego przeciwnika, który skończył z rozciętą szyją. Naraz Fletcher usłyszał wrzask Sylwy i bulgot mężczyzny z poderżniętym gardłem. W tym momencie Ignatius wskoczył mu z góry na ramię i zionął ogniem w twarz napastnikowi, który pędził na Fletchera z podniesionym do ciosu mieczem.

– Moje oczy! – wrzasnął poparzony i padł na kolana.

Mgnienie potem obok Fletchera przemknęła Sylva i przebiła osłepionemu czaszkę sztyletem.

Jednym susem dopadła ich Sariel, wilgotna sierść na jej pysku pokryta była makabryczną czerwoną mazią. Elfka chwyciła ją za kark i zaciągnęła z powrotem do wejścia do jaskini, gdzie zajęła pozycję obok Fletchera. Zostało pięciu przeciwników, w tym Grindle. Zdążyli się przegrupować i stali teraz szeroką tyralierą, więżąc dwójkę młodych zaklinaczy w wylocie tunelu.

Wtedy nadbiegli zdyszani bliźniacy. Tarcza zadziałała.

– Atylla, to zasadzka. Fletcher i Sylva są po naszej stronie – wysapał Othello. Solomon poparł

go głuchym pomrukiem.

– Wolę zabić pięciu mężczyzn niż jednego chłopca. – Atylla podniósł z ziemi miecz zabitego żołdaka. – Będziemy walczyć ramię w ramię... na razie. – Wyciągnął zza pasa tomahawk i podał go bratu. – Zawsze radziłem sobie z nim lepiej ode mnie. Pokaż ludziom, na co stać prawdziwego krasnoluda.

Grindle wrzucił do jaskini pochodnię i blask płomieni oświetlił ich twarze. Grubas splunął z odrazą.

– Znów ta zafajdana elfka! Powinienem był cię zabić, kiedy miałem okazję. Gdyby lord Forsyth nie kazał nam zrobić tego publicznie, już dawno gniłabyś pod ziemią.

Słyszac nazwisko arystokraty, Fletcher zmartwiał. Uświadomił sobie, że to on stał za porwaniem Sylvy. Nie przypadkiem bliźnięta towarzyszyły Sylvie w dzień uprowadzenia. Odsunął od siebie te myśli i skupił się na czekającym go starciu.

– Wybebeszę cię! – Grindle machnął mieczem w powietrzu, na wysokości brzucha Sylvy. – Zawsze się zastanawiałem, czy elfy mają takie same flaki jak wszyscy.

– To ramię wygląda dość paskudnie, pewnie boli, co? – rzucił kpiąco Fletcher. – A dzisiaj na co miałbyś ochotę? Średnio cię podsmażyć? Czy może mocno?

Grindle zignorował zaczepkę.

– Załadujcie muszkiety, chłopcy. Rozstrzelamy ich jak szczury w beczce.

– Hola! Nie spieszcie się tak! – odezwał się Atylla. – Pierwszy, który sięgnie po broń, dostanie toporkiem w twarz.

Odpiął od pasa ostatnią sztukę i zwinnie obrócił siekierkę w palcach. Żołnierze zerknęli na porzucone na ziemi muszkiety. Żaden się nie ruszył.

– Z demonami jest nas w sumie siódemka, a was tylko pięciu. Wyświadczcie sobie przysługę i wróćcie do nory, z której wypetłzicie.

Grindle uśmiechnął się złośliwie i wskazał mieczem w głąb jaskini. Z oddali doleciał Fletchera dźwięk rogu, umówiony znak, od którego miał się rozpocząć atak sił Forsytha.

– Jeżeli przetrzymam was wystarczająco długo, nadciągną posiłki i zdechniecie jak psy.

– Jeżeli... – powtórzył Fletcher i postąpił krok naprzód, choć dobrze wiedział, że grubas ma rację.

W tunelu już rozlegały się stłumione okrzyki żołdaków. Wkrótce na pewno zauważą, że Grindle nie zaatakował zgodnie z planem, i postanowią sprawdzić, co się dzieje, uznał Fletcher i pojął, że natychmiast muszą uciekać. Walka mogła zająć zbyt wiele czasu. Wyczarował kulisty dziwnoblask i przekazał mu dość many, by światelko rozrosło się do rozmiarów ludzkiej głowy. Miarowo pulsująca poświata zajaśniała w ponurym cieniu jaskini. Fletcher pchnął dziwnoblask na grubasa, który lęklivo się cofnął.

– Grindle, widziałeś kiedyś, jak wygląda poparzenie maną? Pewnie wydaje ci się, że płomień pieką, tak? Poczekaj na uczucia, jakich doznasz, kiedy po dotknięciu many ciało zacznie odlatywać od kości. Ból jest podobno niewyobrażalny – zalefował.

Doskonale wiedział, że dziwnoblask zniknie, gdy tylko zderzy się z jakąkolwiek twardą powierzchnią i nie wywoła żadnych groźnych skutków. Tłusciuch jednak nie miał o tym pojęcia. Sylva i Othello połapali się w sytuacji i podesłali dwa mniejsze dziwnoblaski, które zaczęły krążyć wokół głowy Grindle'a, który przykucnął i zaczął opędzać się od nich machnięciami miecza.

– Uciekaj do domu, Grindle! – zawołał ze śmiechem Fletcher. – Za wysokie progi na twoje nogi. Powinieneś się cieszyć, że pozwalamy ci ująć z życiem.

Sfrustrowany tłusciuch zawył wściekle, jednak odstąpił na bok i gestem polecił swym ludziom zrobić to samo. Fletcher uklonił się nisko, po czym przeszedł na czele przyjaciół obok

napastników. Przez cały czas utrzymywał dziwnobłask nad głową Grindle'a. Czuł, jak ważne jest zachowanie pozorów całkowitej kontroli nad sytuacją.

– Świetna robota – pochwalili szepem Othello. – Znakomity z ciebie aktor.

– Uczyłem się od najlepszych. – Fletcher przypomniał sobie ich wspólne spotkanie z pinkertonami.

Szli jak najszybciej, czując na plecach świdrujący, złośliwy wzrok grubasa.

– Grindle? Co to za zamieszanie? Donieśli mi, że ktoś tu strzela! – zadudnił głos dochodzący z jaskini.

Wjeście rozjarzyło się blaskiem pochodni i z korytarza wylał się strumień zbrojnych postaci.

– W nogi! – zawołał Fletcher.

Wystrzelona z muszkietu kula przeszła mu rękaw i roztrzaskała się z przodu na skale. Posypały się kolejne strzały, pociski bzycały w powietrzu niczym rój rozdrażnionych os. W mroku Fletcher widział tylko na kilka stóp przed siebie. Słyszał jedynie rwane oddechy. Wszyscy co chwila potykali się o własne nogi. O rozpaleniu dziwnobłasków nie mogło być mowy. Wyłącznie ciemna noc chroniła ich przed trzaskającymi z tyłu salwami.

Jeszcze jedna kula zaświszczała w pobliżu i ozległ się głuchy stukot padającego ciała. Fletcher zahaczył butem o powalonego i wymachując bezradnie ramionami, runął prosto w błoto.

– Moja noga! – jęknął Atylla. – Dostałem!

Zostali sami. Uciekający szaleńczym pędem Sylva i Othello nie zauważyli, co się stało.

– Zostaw mnie. Osłonię wasz odwrót – rzucił łamiącym się głosem ranny krasnolud i odepchnął Fletchera od siebie.

– Zapomnij! Wyciągnę cię stąd, choćbym musiał cię nieść na plecach – zapowiedział Fletcher i spróbował postawić krasnoluda na nogi.

– Zostaw, powiedziałem! Polegnę w boju jak na prawdziwego krasnoluda przystało! – uparł się Atylla i znów wyszarpnął się Fletcherowi.

– Naprawdę taka śmierć przystoi krasnoludom? Chcesz umrzeć zastrzelony w błocie jak kundel? Wydawało mi się, że jesteście twardsi. – Fletcher włożył w swoje słowa pokąźną dawkę pogardy. Odniosł wrażenie, że źródłem determinacji krasnoluda jest gniew i postanowił to wykorzystać.

– Mały szczurze! Pozwól mi umrzeć w spokoju! – wydarł się Atylla i przewrócił Fletchera na mokrą ziemię.

– Skoro chcesz umierać, proszę bardzo! Ale nie dzisiaj. Jeżeli cię schwytają, dostaną dowód, że tajna narada naprawdę się odbyła. Nie rób tego swoim braciom. Chyba nie zamierzasz wyświadczyć przysługi Forsythom?

Poirytowany Atylla prychnął pod nosem, lecz zaraz po tym głęboko odetchnął.

– Dobrze, zrobimy, jak mówisz, ale jeśli nas dopadną, nawet nie myśl o kapitulacji. Zginiemy z bronią w rękę.

– O takiej śmierci marzyłem – syknął Fletcher i poderwał krasnoluda z ziemi.

Szło im się niełatwo. Przy takiej różnicy wzrostu, chłopak nie mógł zarzucić sobie ręki Atylli na ramię. Co gorsza, z każdą chwilą okrzyki pościgu rozbrzmiewały głośniejsze. Prześladowcy oświetlali sobie drogę pochodniami. Uciekający takiego luksusu nie mieli.

Brnęli w ten sposób przez dłuższy czas, Fletcher miał wrażenie, że upłynęło kilka godzin. W pewnej chwili krasnolud potknął się i upadł.

– Chyba rzeczywiście musisz mnie ponieść. Będzie szybciej – wydyszał. Rana coraz bardziej dawała mu się we znaki.

Fletcher zauważył, że nogawka Atylli przemokła pobłyskującą w ciemności krwią. Domyślił się, iż tego rodzaju prośba musiała wiele kosztować dumnego krasnoluda.

– Chodź. Wskakuj mi na plecy – szepnął.

Stęknął pod ciężarem Atylli i ruszył przed siebie, sapiąc przez zaciśnięte zęby. Ignatius powitał nowego towarzysza krzepiącym szczeniobitem i polizał go w policzek.

Wtem, zupełnie bez ostrzeżenia, okolicę rozświetliła nika błękitna poświata. Wysoko na niebie, setki stóp nad ich głowami, zamigotał wirujący kulisty dziwnoblask. Zawisł pomiędzy chmurami niczym drugi księżyc.

– Ty to zrobiłeś? – spytał Atylla.

– Nie. Na pewno też nie Othello ani Sylva. Forsythowie musieli przyprowadzić ze sobą zaklinacza. Nie zdziwiłbym się, gdyby tym magiem okazał się Zachariasz we własnej osobie. Ten dziwnoblask jest olbrzymi – odparł Fletcher.

Rozejrzał się dokoła i sposępniał. We wszystkich kierunkach pejzaż wyglądał niemal tak samo. Fletcher zrozumiał, że zgubili się na dobre. Zdawał sobie sprawę, że jeśli wkrótce nie znajdą bezpiecznego schronienia, Atylla nie dożyje świtu.

Wołania żołnierzy rozlegały się teraz dość daleko, ale zagrożenie wciąż jeszcze nie minęło. Jeżeli wrogi zaklinacz miał ze sobą latającego demona, mógł ich wysledzić z powietrza. Nagle z cienia wynurzył się mężczyzna i stanął przed nimi.

– Ani kroku dalej! – zawołał, mierząc do zbiegów z muszkietu.

Nie po raz pierwszy Fletcher zląkł się w duchu za nieumiejętność stawiania magicznej tarczy.

– Pamiętaj! Nawet nie myśl o kapitulacji – wyszeptał mu do ucha krasnolud.

Głos miał słaby, mówił niewyraźnie. Fletcher wątpił, by Atylla zdołał przejść o własnych siłach choćby kilka kroków. Ignatius zeskokczył na ziemię i syknął. Nieznajomy nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Muszkiet wciąż celował prosto w twarz Fletchera.

– Jeśli ten demon się do mnie zbliży, strzelę bez wahania – zagroził mężczyzna i znacząco zakolęsał lufą.

Fletcher podniósł dłoń i zmaterializował się nad nią dziwnoblask.

– To maleństwo wbije ci się w czaszkę, zanim doleci mnie twoja kula. Rzuć broń, a nikomu nic się nie stanie.

– Jestem żołnierzem, idioto. Wiem, co to dziwnoblask. Rzuć krasnoluda na ziemię i... Ach! – zawył nagle i klepnął się dłonią w szyję.

Szarobrązowy insekt z brzękiem przeleciał nad żołnierzem, po czym zatoczył krąg wokół głowy Fletchera.

– Valens – szepnął chłopak.

Żuk zdołał ich jakimś cudem odszukać. Żołnierz osunął się sztywno na bok i padł. Muszkiet wciąż trzymał przed sobą, jakby w jednej chwili zamienił się w kamień.

– Major Goodwin nie żartował. Żądła skarabeuszy naprawdę się przydają – rzekł Fletcher z podziwem i niedowierzaniem.

Valens zabzyczał głośniejsze i zaczął fruwać w tę i z powrotem. Fletcher przyglądał mu się przez moment i wreszcie zrozumiał, że skarabeusz próbuje ich poprowadzić.

– Już niedługo, Atylla – obiecał półgłosem. – Uda się.





## 44

Zanim dotarli do Cytadeli, Atylla stracił przytomność, lecz jego pierś wciąż unosiła się miarowo. Skrzepy zaschniętej krwi usztywniły krasnoludowi nogę. Po ciemku Fletcher nie był w stanie ocenić, na ile poważny jest postrzał. Jak mógł najciaśniej, obwiązał ranę oderwanym z koszuli Atylli pasmem tkaniny, po czym przeszedł za Valensem przez zwodzony most.

– Dokąd teraz? – zwrócił się do szybującego przed nim demona.

Insekt zabzyczał przyjaźnie i podleciał do połowy wschodnich schodów. Fletcher obrzucił strone stopnie niepewnym spojrzeniem.

– Nie wiem, czy dam radę! – jęknął, poprawiając na plecach ciężkiego krasnoluda.

Ignatius wyczuł niepokój pana i zeskoczył na bruk dziedzińca.

– Dzięki, bratku, toś mi ulżył – rzekł bez przekonania Fletcher, ale podrapał pupila pod brodą.

Valens powiodł go po schodach w głąb zamku. Fletcher szedł w ciemności, kierując się wyłącznie głuchym szmerem skrzydeł. Nie chciał ryzykować rozpalania dziwnoblasku. Gdyby Rook przyłapał go w towarzystwie rannego krasnoluda, wiadomość natychmiast dotarłaby do króla Alfrica. Na moment przystanęli na ostatnim piętrze, po czym skierowali się dalej, do północno-wschodniej wieży zamczyska. Pod Fletcherem ze zmęczenia ugięły się kolana, lecz wytrwale człapał przed siebie. Najwyraźniej Valens miał jakiś plan.

Ostatecznie stanęli przed ciężkimi drewnianymi wrotami i Fletcher zrozumiał, że dotarli do infirmerii. Zanim zdążył zapukać, ktoś otworzył i zobaczył naznaczoną niepokojem twarz Sylvy.

– Żyjecie! Byliśmy pewni, że was zabili. – Elfka zaskakała i wtuliła twarz w pierś Fletchera.

Pojawił się też pobladły Othello. Na policzkach krasnoluda widniały ślady łez. Podbiegł i wziął brata w ramiona. Fletcher z zakłopotaniem pogładził Sylwę po włosach i rozejrzał się dokoła. W sali stało kilka rzędów przykurzonych łóżek o porzewiałych ramach. Trzy najnowsze przyce ustawiono w pobliżu wejścia. Pod jedną z nich odpoczywała Sariel. Gdy Othello złożył brata na

materacu, Fletcher zauważył, że nie wszystkie posłania są wolne.

Na najbliższym leżała kapitan Lovett w tak kompletnym bezruchu, że mógłby uznać, iż nie żyje. Tylko jej pierś z wolna, niemal niedostrzegalnie falowała. Wykładowczyni ubrana była w koszulę nocną, długie pasma czarnych włosów okalały jej głowę niczym aureola. Koledzy rozpalili pochodnie i świece po obu stronach jej łóżka. Pokój zalało słabe pomarańczowe światło.

– Was też przyprowadził tu Valens? – zapytał Fletcher, gdy insekt przycupnął na brzuchu Lovett.

– Znalazł nas mniej więcej godzinę temu, a ledwie dotarliśmy tutaj, wyfrunął przez okno – opowiedziała Sylva, ocierając łzę spod oka. – Na pewno wyczuł, że wpadłeś w tarapaty.

– Coś mi mówi, że nie tylko Valensowi powinniśmy dziękować – zauważył Fletcher, gładząc owadzi panczyk.

– To znaczy? – zdziwiła się elfka.

– Arcturus powiedział mi, że niektórzy zaklinacze posiadają zdolność widzenia i słyszenia przez swojego demona, jakby umysł zastępował im widzący kamień. Szczerze wątpię, by skarabeusz zdołał bez czyjegós przewodnictwa dokonać tego, co zrobił dzisiaj Valens. Kapitan Lovett, czy to pani kierowała Valensem? – Fletcher spojrział w kamienną twarz wykładowczyni.

Insekt zabczyłał i zatoczyła kółko w powietrzu.

– Niemożliwe! – zachłysnęła się Sylva.

– Tylko skąd ona wiedziała? – zapytał Fletcher i otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Musiała mieć na nas baczenie przez cały czas. Zapewne odkąd tylko w akademii pojawił się Rook – podsunęła Sylva i wygładziła na poduszce włosy wykładowczyni. – Mieliliśmy szczęście. Gdyby nie ona, moglibyśmy nie żyć.

– Kiedy skończycie się zachwycać, chętnie skorzystam z pomocnej dłoni – wtrącił łamiącym się głosem Othello.

Fletcher spojrział na nogę Atylli. Othello rozciął nogawkę brata i odsłonił poszarpaną, ociekającą krwią dziurę. Fletcher zeszytniał; nigdy wcześniej nie widział rany postrzałowej, a to co zobaczył w tej chwili, ani trochę nie przypominało maleńkiego otworka, jaki sobie wyobrażał.

– Na szczęście kula nie naruszyła tętnicy. Niestety, strzaskała kość, więc czar leczniczy się nie przyda. Ostatnio widziałem taką ranę, kiedy pinkerton postrzelił jednego z młodych krasnoludów za odmowę płacenia haraczu – powiedział Othello, odcinając tomahawkiem długi pas z prześcieradła. – Możemy go jedynie opatrzeć, by zatamować krwotok. Podnieście mu nogę.

Pomogli koledze opatrzeć nogę brata grubą warstwą prowizorycznego bandażu, po czym Othello delikatnie oczyścił łydkę Atylli ze śladów zakrzepłej krwi.

– Wiem, że on może się wydawać takim samym rasistą jak niektórzy ludzie, ale naprawdę ma dobre serce. Niestety, dostał do niego w komplecie gorącą głowę – szepnął krasnolud, poprawiając poduchę pod głową śpiącego.

Fletcher i Sylva w milczeniu patrzyli na Othella, który zwilżał mokrą szmatką czoło bliźniaka. Po chwili odezwała się elfka:

– Chyba musimy porozmawiać o tym, co się dzisiaj stało.

– Zgadzam się – przytaknął Fletcher – ale najpierw powinniśmy znaleźć Serapha. Ma prawo wiedzieć, co grozi jego rodzinie.

– Ja pójdę – zaoferował Othello. – I tak muszę przynieść zapasowy mundur. Przyda się jutro, kiedy będziemy próbowali wyprowadzić Atyllę.

Opuścił ciężkim krokiem salę. Za nim wyszedł Solomon z wyraźnie markotną miną. Fletcher był przekonany, że krasnolud czuje się w tej chwili tak, jakby dźwigał na barkach ciężar całego

świata. Przysiadł na skraju pryczy Lovett i aż jęknął z rozkoszy. Umęczone, bolące nogi mogły wreszcie odpocząć. W zamyśleniu pogląskał Sariel po łbie, a ona odpowiedziała zadowolonym pomrukiem. Uśmiechnął się szeroko i podrapał ją pod brodą tak, jak lubił być pieszczony Ignatius. Sariel wtuliła pysk w jego dłoń i cicho pisnęła z rozkoszy.

– Hmm... Fletcher... – szepnęła speszona Sylva.

Fletcher podniósł wzrok i zauważył, że twarz i szyję dziewczyny oblewa szkarlatny rumieniec.

– Przepraszam... Nie pomyślałem – wydukał i gwałtownie cofnął dłoń.

Sylva stała jeszcze chwil, po czym usiadła obok kolegi.

– Nie zdążyłam ci podziękować. – Westchnęła i nerwowo spłótła dłonie.

– Za co? – spytał zmieszany chłopak.

– Za to, że za mną poszedłeś. Gdyby nie ty... mogłabym trafić w łapy Grindle'a.

– Czy ja wiem? Wydaje mi się, że mogłaby go spotkać niespodzianka. Sama powiedziałaś, że Sariel jest warta dziesięciu ludzi, więc starcie byłoby wyrównane. A z kolei gdyby nie ty, moglibyśmy się nagle obudzić w środku wojny domowej. Słusznie postąpiłaś.

Valens zabręczła do siebie i natarczywie trącił lebką dłoń Fletchera.

– Kapitan Lovett chce się chyba dowiedzieć, co się dzieje. Powiedz jej, co zaszło na placu Valentiusa, a potem ja zrelacjonuję wydarzenia dzisiejszej nocy.

Zajął im to sporo czasu. Zanim dotarli do końca historii, w infirmerii pojawili się Othello z Seraphem, który miał na sobie pizamę i mrzył zaspane oczy.

– Othello wprowadził mnie po drodze w szczegóły – powiedział, spoglądając na nieprzytomnych Atyllę i Lovett. – Mam tylko jedną wątpliwość. Skoro Forsythowie chcieli się z tobą przyjaźnić, dlaczego jednocześnie zlecili Grindle'owi, żeby cię zabił? – zwrócił się do Sylvy.

Wstała z łóżka i przygryzła wargę.

– Podejrzewałam, że moja przyjaźń jest im potrzebna, żeby elfy po zawarciu sojuszu zaopatrywały się u nich w broń – odparła, przechadzając się po sali. – A dlaczego stali się moimi wrogami i chcą mojej śmierci? Nie mam pojęcia.

– Wydaje mi się, że powinnaś się zastanowić, z jakiego powodu tak bardzo zależało im na tym, by stracono cię publicznie – zauważył Othello. – Przecież mogli cię zabić wcześniej. Do czego mogłaby im posłużyć tak wyraźna demonstracja?

– Planowali doprowadzić do wybuchu wojny między elfami a Hominum – odezwał się Seraph. – Tym razem prawdziwej. Gdyby im się powiodło, natychmiast wzrósłby popyt na uzbrojenie i Forsythowie nie wypadliby z branży, nawet mimo silnej konkurencji ze strony krasnoludów.

Fletcher poczuł wzbierające obrzydzenie. Rozpętywać wojnę dla zysku?

– Na wszystkim chcą coś ugrać... – rzucił półgłosem. – Jeżeli elfy faktycznie sprzymierzą się z Hominum, Forsythowie zapewnią sobie kontrakt na handel bronią dzięki fałszywej przyjaźni z Sylwą. Naturalnie, bardziej zależy im na wojnie, gdyż wówczas zarobią znacznie więcej. Widzisz, Sylva, bliźnięta nie uciekły wtedy na rynku ze strachu. Oni rozmyślnie zaprowadzili cię prosto w pułapkę Grindle'a.

– Tylko proszę, nie chcę słyszeć: „A nie mówiłem”... – Elfka wbiła wzrok w podłogę.

W infirmerii zapadła cisza, mącona jedynie przez wściekle pobzykiwanie fruującego po sali Valensa.

– Nikczemnicy! – warknął Seraph. – Czuję, że Forsythowie coś kombinują, ale to... to po prostu zdrada!

– Tyle że na nic nie mamy dowodu. – Fletcher mocno zacisnął pięści. – Co więcej, gdybyśmy donieśli o sprawie królowi, jeszcze gotów uznać, że to krasnoludy zdradziły.

– To bez znaczenia – stwierdziła Sylva. – Plan Forsythów i tak spalił na panewce. Jeszcze dziś

napiszę do ojca list i dam mu znać, by im nie ufał. Pokrzyżowaliśmy też ich zamiar sprowokowania wybuchu krasnoludzkiego powstania, a ja w Cytadeli jestem względnie bezpieczna. Teraz nie będą nam w stanie bruździć.

– Owszem, będą – przestrzegł Seraph. – Pomyśl o turnieju. Zwycięzca nie dość że zostanie wysokim oficerem, to jeszcze otrzyma stanowisko w Radzie Królewskiej. Wygrana jednego z bliźniąt oznaczałaby dodatkowy głos dla Zachariasza, kolejny skierowany przeciw mojemu rodowi, elfom i krasnoludom.

Othello pokiwał głową i w zadumie pogładził brodę.

– Nie zapominajmy, że turniej będą obserwować najbardziej wpływowe postacie królestwa, arystokraci i generałowie – powiedział, przechadzając się w tę i z powrotem. – To oni zdecydują, czy elfy i krasnoludy są wartościowymi sprzymierzeńcami i przekażą swoją opinię władcy. Możemy być pewni, że Forsythowie zrobią wszystko co w ich mocy, by nas przy okazji turnieju zdyskredytować i ośmieszyć.

– W takim razie nie wolno nam do tego dopuścić! – Fletcher poderwał się na równe nogi. – Kto powiedział, że nie możemy zwyciężyć? Mamy w końcu golema, korowca i salamandrę!

– Są od nas silniejsi. Nawet nisko urodzeni studenci drugiego roku mają nad nami przewagę. Co właściwie możemy zrobić?

Fletcher głęboko odetchnął i spojrzał koledze prosto w oczy.

– Ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć.







## 45

Wokół Cytadeli podniosła się gęsta mgła. Horyzont skrył się za kurtyną bieli, w której tylko miejscami majaczyły sugestie niewyraźnych kształtów. Mleczny opar stał się doskonałą zasłoną dla Fletchera i Atylli, którzy kuśtykając, wyszli na drogę przed zamkiem.

– Mam nadzieję, że Uhtred zdąży na czas – powiedział Fletcher. – Jeżeli nie pojawię się na zajęciach, Rook zacznie coś podejrzewać.

– Uhtred nie zawiedzie. Sam mówiłeś, że Valensowi udało się dostarczyć wiadomość – uspokoił go Atylla. Krasnolud był błądy jak ściana, lecz doszedł do siebie na tyle, że mógł iść o własnych siłach, aczkolwiek nadal wyraźnie kulął.

Z akademii zdołali się wymknąć bez trudu. Na schodach spotkali Tarquina, który na widok Atylli uraczył ich zgryźliwą uwagą. Zapytał, czy krasnolud kuleje, bo ktoś go przypadkiem nadepnął. Na szczęście przebrany w mundur Othella i ze zmienioną nieco fryzurą oraz kształtem warkoczy na brodzie, Atylla wyglądał kropka w kropkę jak jego brat bliźniak.

Nagle serce Fletchera zabiło żywiej. We mgle przed nimi pojawił się ciemny kontur.

– Wszystko w porządku, to mój ojciec – odezwał się Atylla.

Spośród siwych pasemek mgły wyłonił się rydwan zaprzężony w wielkiego dzika. Twarz powożącego nim krasnoluda nikięła w cieniu kaptura, lecz zwałistej sylwetki Uhtreda nie można było pomylić z nikim.

– Prędko, wsiadaj – polecił, gdy rydwan wyhamował.

Fletcher pomógł Atylli ułożyć się u stóp ojca.

– My, krasnoludy, nigdy nie zapomnimy o tym, co wczoraj zrobiłeś. Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, czegokolwiek, wystarczy, że poprosisz – zadudnił Uhtred, spoglądając w oczy Fletchera, po czym ściągnął lejce i zawrócił dzika.

– Poczekaj, ja też chciałbym coś powiedzieć – odezwał się Atylla.

Fletcher zatrzymał się w pół kroku i spojrzał przez ramię. Spieszyło mu się na wykład, który miał się rozpocząć już za parę minut.

– Dziękuję ci. Uratowałeś mi życie. Przekaż mojemu bratu, że... po prostu, że się myliłem.

Ledwie te słowa przebrzmiały, krasnoludy zniknęły we mgłę i po chwili rozlegał się tylko stłumiony tętent racic.

Ostatecznie Fletcher spóźnił się na zajęcia u Rooka, a kiedy stanął się w sali przyzwań, inkwizytor czekał na niego w towarzystwie Arcturusa. Pozostali studenci stali przed oficerami w milczącym szeregu. Arcturus przesłonił ślepe oko czarną opaską. Fletcher nie zdołał powstrzymać cisnącego mu się na usta uśmiechu. W trójgraniastym kapeluszu i opasce wykładowca wyglądał jak kapitan pirackiego okrętu.

– Przeostań się tak szczerzyć, chłopcze. Myślisz, że twój czas jest więcej wart niż nasz? – rzucił ostro Rook i gestem przykazał mu dołączyć do reszty nowicjuszy.

– Przepraszam, inkwizytorze – odparł Fletcher i zajął miejsce.

– Potem się z nim rozliczę, Rook – odezwał się Arcturus. – Tymczasem chyba powinniśmy przejść do lekcji.

– Owszem, chyba powinniśmy – potwierdził oschle inkwizytor i zrobił krok naprzód. – Do turnieju coraz bliżej. Znaliśmy więc, że należy zademonstrować wam pojedynki. Kapitan Arcturus jest zdania, że nauka walki przeciwko innym bojowym magom to strata czasu...

– Orkowi szamani bardzo rzadko walczą osobiście – przerwał Rookowi Arcturus. – Mało prawdopodobne, byście kiedykolwiek stanęli z jednym z nich oko w oko. Wołają pozostawać w cieniu, a w boju wyręczają się demonami.

– Rzeczywiście ta strategia służyła im dobrze w przeszłości – zauważył Rook. – Podejrzewam, że nasi zaklinciaci giną znacznie częściej niż szamani przeciwnika, lecz z drugiej strony, właśnie dlatego, że ryzykujemy życie na pierwszej linii, zaczęliśmy tę wojnę wygrywać.

– Nie nazwałbym tego pojedynkami, inkwizytorze – sparował Arcturus. – Zwycięzamy, ponieważ wykorzystujemy nasze zdolności do wspierania i ochrony żołnierzy.

– Owszem, posługując się identycznymi technikami, prawda? – Rook teatralnym gestem podrapał się w podbródek.

Fletcher był mocno zdziwiony, że wykładowcy pozwalają sobie na osobiste spory na oczach studentów. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że obaj mężczyźni darzą się gorącą nienawiścią. Arcturus westchnął i spojrzał na nowicjuszy.

– Bez względu na moją osobistą opinię w tej materii, pojedynki należą do bardzo starej tradycji akademii. Odbływały się już dwa tysiące lat temu, od momentu założenia uczelni. Zwykle, zanim kadeci zyskiwali prawo udziału w turnieju, uczyli się przez cztery, pięć lat. W zeszłym roku okres nauki skrócono o połowę. Wy będziecie studiować jedynie przez rok. Całe szczęście, wszyscy wykazujecie się niemałym talentem i bardzo szybko przyswajacie sobie materiał. Większość nowicjuszy potrzebuje dwóch lat, by opanować podstawowe zaklęcia. Pod tym względem nawet ty, Fletcher, wybijasz się ponad przeciętność. Spora część studentów drugiego roku nadal ma kłopoty z wyczarowaniem znośnej tarczy.

Wymieniony z imienia, Fletcher zacerwienił się po czubki uszu, ale uwaga Arcturusa poprawiła mu nastrój. Pojawiła się szansa, że nie ukończy turnieju jako najgorszy.

– Obserwujcie uważnie. – Arcturus nakreślił w powietrzu symbol tarczy i utrzymał go przed swoim palcem wskazującym. Wypuścił przez znak smugę diwnoblasku, która uformowała gruby, matowy owal. – Każda tarcza staje się bardziej wytrzymała, jeżeli wspomócie ją, przybierając przed uderzeniem odpowiednią sylwetkę. – Wykładowca ugiął lekko nogi i skrzyżował przed sobą przedramiona. – Momentowi obrony przed ofensywnym czarem

towarzyszą dość... brutalne doznania.

– Gotów? – spytał leniwie Rook i unióśł jarzący się palec.

– Chwil...

Salę zalało jaskrawe światło. Inkwizytor strzelił w Arcturusa magiczną błyskawicą. Elektryczny promień rozwidlił się na kilka odnóg, rozległy się suche trzaski. Rook zaatakował tak nagle i niespodziewanie, że Fletcher ledwie wychwycił ruch jego dłoni.

Na tarczy, niczym na powierzchni skutego lodem jeziora, pojawiła się siateczka pęknięć; zgrzytnęło. Arcturus skrzywił się z wysiłku, posyłając do tarczy dodatkową porcję many, której jedwabiste pasma wypełniły szczelinki. Pchany potężną siłą natarcia, kapitan przejechał kilka stóp wstecz po wyłożonej skórą podłodze. Wyprostował palec wolnej ręki, zakotyssał nim w powietrzu, po czym głośno ryknął, rozchylił ramiona i wystrzelił zza tarczy podmuchem energii kinetycznej.

Trafiony Rook pofrunął do tyłu, grzmotnął plecami o ścianę i osunął się na ziemię.

– Właśnie dlatego tarczę należy stawiać zaraz po rozpoczęciu pojedynku. Naturalnie, można najpierw zaatakować, mając nadzieję zepchnięcia przeciwnika do defensywy. Jednak jeżeli pierwsze natarcie nie poskutkuje, to wystarczy, że partner odpowie kontratakami wtedy, gdy będziesz jeszcze rozproszony po rzuceniu pierwszego zaklęcia, i będzie po wszystkim. Atak bez tarczy to wielkie ryzyko. Być albo nie być.

Arcturus się uśmiechnął, a jego tarcza znikła w rzadkiej mgiełce. Smugi świecącej many z niemal niedosłyszalnym szelestem wpłynęły mu z powrotem w palec.

– Dobrze jest też przy każdej sposobności odzyskiwać z tarczy energię – ciągnął. – Dotyczy to zwłaszcza zaklinaczy dysponujących demonami niższych poziomów. Do zwycięstwa w turnieju potrzeba naprawdę sporej many.

Fletcher usłyszał przekleństwo stojącego za nim Rory'ego.

– To był tani wybieg! – rzucił Rook, który tymczasem zdążył wstać i otrząpać mundur.

– Widać, że od dawna nie widziałeś prawdziwej walki, inkwizytorze. – Arcturus parsnęła śmiechem i podkreślił wąsa. – Nawet podporucznicy wiedzą, że kiedy pierwszy atak zawiedzie, należy czym prędzej postawić tarczę. Wszelkie inne ruchy są, z całym szacunkiem, po prostu głupie.

– Zobaczymy, czy będziesz taki wygadany, kiedy mój minotaur zaciśnie pazury na krtani twojego kanida – odparł groźnie Rook i podszedł o krok bliżej do Arcturusa.

Mężczyźni zmierzli się wzrokiem. Nawet nie próbowali ukryć wzajemnej niechęci. Fletcherowi skojarzyli się ze wściekłymi psami, szarpiącymi się na smyczach i marzącymi tylko o tym, by skoczyć i przegryźć gardziel przeciwnika. Był święcie przekonany, że gdyby nowicjusze opuścili salę, doszłoby do nielegalnego pojedynku magów.

– Rozejść się! – syknął wreszcie Rook. – I tak żaden z was niczego się już przed turniejem nie nauczy. Same niedojdy! – Wzburzony wypadł z sali.

Fletcher wyłowił kątem oka uśmiech Rory'ego. Wbrew usilnym staraniom inkwizytora, arystokraci wciąż nie schwyтали żadnej nowej istoty z eteru. Mimo dostępu do widzących kamieni nadal nie potrafili skutecznie panować nad podopiecznymi. Natomiast niżej urodzeni kadeci mieli ze swymi pupilami świetny kontakt i często trenowali na torze przeszkód, zbudowanym w kącie sali przyzwań. Nawet Fletcherowi kierowanie Ignatiusem szło nieźle, chociaż był mocno ograniczony rozmiarami swojego kryształu. Wyciągnął kamień z kieszeni i przyjrzał mu się uważnie.

– Słyszeliście chyba?! – zagrmiał Arcturus. – Znikajcie. Nie, nie ty Fletcher. Zbliź się!

Wezwany z wolna podszedł do wykładowcy, spodziewając się bury za spóźnienie. Nic takiego nie nastąpiło.

– Pokaż mi ten swój kamyk.

Fletcher posłuchał bez słowa.

– Z czymś takim nie wygrasz. Do turnieju niezbędny jest porządny kamień, w którym będziesz w stanie cokolwiek zobaczyć. Niestety, swojego nie mogę ci użyczyć, faworyzowanie zawodników jest zabronione. Zresztą nawet gdybym chciał... Rook ma mnie na oku. Musisz coś z tym zrobić.

Arcturus zamknął kryształek w dłoni Fletchera i popatrzył mu w oczy.

– Właśnie na tym polega różnica między wojownikami dobrymi a świetnymi. Rook walczył zaciekle, a mimo to przegrał. Nie ograniczaj się do bicia, myśl.



## 46

Rozległ się świst powietrza, cios wyminął gardę Fletchera i tak boleśnie trafił go w obojczyk, aż zachrzęściło.

– Jeszcze raz! – polecił sir Caulder, po czym kopnął drewnianą protezę piszczel kadeta i zamierzył się na jego głowę.

Tym razem chłopak zdołał zablokować uderzenie drewnianego miecza, odtrącił go na bok, po czym odpowiedział, wbijając kolano w brzuch sir Cauldera.

Starzec zacharczał i padł na piasek areny.

– Fletcher! – zawołała Sylva przypatrująca się z boku pojedynkowi. – Ostrożnie!

Sir Caulder podniósł rękę i powoli wstał na równe nogi.

– Nic się nie stało. – Stęknął i rozmasował sobie brzuch. – W początkowej fazie starcia wojownik musi grać ostro. Bóg wie, że wróg nie będzie czekał z założonymi rękoma.

– Przecież sama przed chwilą grzmotnęłaś sir Cauldera w twarz, prawda? Niecałe dziesięć minut temu – przypomniał koleżance Fletcher.

– To co innego... – Sylva się uśmiechnęła.

Za ich plecami rozległ się głośny okrzyk. Fletcher odwrócił się i ujrzał siedzącego na Seraphie Othella. Broń obu kadetów leżała zapomniana na ziemi.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – zawołał z jękiem sir Caulder. – Musicie walczyć z finezją! Nie możecie po prostu bezmyślnie okładać się pięściami.

Obaj studenci podnieśli się z piachu i wyszczerzyli w głupich uśmiezkach. Na twarzy Serapha zagościł żółtawy siniec, warga krasnoluda napuchła niczym dojrzała śliwka.

– Skoro już zadaliście sobie tyle trudu i urosiliście Uhtreda, żeby wystrugał nam broń do ćwiczeń, moglibyście przynajmniej spróbować nią walczyć. – Fletcher zaśmiał się, spoglądając znacząco na porzucony rynsztunek kolegów.

– Poniosło nas, nic więcej – odparł Othello, podnosząc topór. Otrzeptał ubranie z drobnych złotych ziarenek. Zamachnął się wprawnie, ostrze zaśpiewało w powietrzu i bez trudu wgrzyzło się w piasek areny.

– Cóż, muszę przyznać, że od początku kursu wszyscy poczyniliście znaczne postępy – pochwalili sir Caulder. – Sylva i Fletcher wykazali się wręcz wybitnym talentem do szermierki. Podejrzewam, że ta dwójka już niebawem dorówna niektórym arystokratom. Potrzebujecie jednak znacznie dłuższego treningu, żeby ich pokonać. Nie wystarczy być po prostu dobrym.

Stary rycerz przyglądał się obojgu kadetom jeszcze przez moment, po czym ruszył ociężałym krokiem do wyjścia z areny.

– Na dzisiaj koniec pojedynków. Jeśli chcecie, możecie tu poćwiczyć zaklinanie. Nie mam nic przeciwko temu.

Po kilku chwilach stukot drewnianej nogi sir Cauldera ucichł w korytarzu.

– Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby kogoś tak chwalił – zauważył Seraph, podnosząc miecz z piasku. – Oczywiście, wszyscy mamy jeszcze czas się podszkolić. Do turnieju zostały dwa miesiące. Bardziej mnie martwi egzamin z demonologii, to już za tydzień. Przez te bezustanne treningi oczy zamykają mi się, jak tylko zajrzę do książki.

– Będzie dobrze – zapewnił Othello. – Ani razu nie widziałem arystokraty w bibliotece, nawet Rory, Genevieve i Atlas większość wolnego czasu spędzają w Corcillum. Jeżeli my nie zdamy, to reszta tym bardziej.

– Czyli jak? Przećwiczmy kilka zaklęć? – spytała Sylva. Wyszła na piasek i wyczarowała dziwnoblask. – Fletcher, może spróbuj popracować z ognistymi kulami. Wywołam tarczę i postrelasz do niej.

Fletcher poczuł na policzkach gorący rumieniec. Wstydził się, że wciąż nie potrafi postawić nawet podstawowej magicznej osłony. Z innymi zaklęciami też miał kłopoty. Co prawda, udawało mu się wystrzelić nieforemną falę płomieni, snop energii kinetycznej, a nawet szeroką wiązkę błyskawic, lecz marnował w ten sposób znaczne ilości many. Ku swemu głębokiemu rozżaleniu, nadal nie umiał uformować żywiołów w spójny promień lub kulę. Największą trudność sprawiało mu utrzymanie skupienia, pozwalającego jednocześnie karmić energią zawieszony w powietrzu hieroglif i rzucać skuteczne zaklęcia. Czynił powolne postępy, lecz w głębi ducha miał nadzieję na znacznie większe osiągnięcia.

– Potrenujcie ze sobą. I tak jesteście znacznie lepsi. Poćwiczę z boku, nie będę wam wchodzić w paradę.

– Jasne, skoro tak wolisz... – W głosie Sylvy pojawiła się nuta rozczarowania. – Chłopcy, może spróbujecie trafić w ruchomy cel?

Wypuściła z dłoni spory dziwnoblask, który pomknął zygzakiem przez salę. Othello zaśmiał się i wyrysował w powietrzu symbol ognia. Z palców krasnoluda buchnął płomień, który niemal od razu przybrał kształt zgrabnej kuli i wystrzelił za błękitnym światelkiem. Lekko tylko spóźniony Seraph zrobił to samo.

Zniechęcony Fletcher przysiadł na stopniu i raz po raz kreślił przed sobą znak ognia. Ten akurat gest ćwiczył po wielokroć i robił to znacznie szybciej niż koledzy. Na tym jednak sukcesy zwykle się kończyły. Przełał przez symbol porcję many i przyjrzał się wachlarzowi płomienia. Z najwyższym wysiłkiem nadal złotym językom kształt nieforemnej sfery. Popatrzył na nią w zaskoczeniu, po czym – zanim zdążył się zdekcentrować – posłał ją za dziwnoblaskiem. Magiczny pocisk pomknął ku wirującemu celowi i musnął jego krawędź. Dziwnoblask rozpadł się i zgasł.

– Jest! – Zwycięskim gestem uderzył pięścią w powietrze.

Od strony wejścia areny rozległo się leniwe klaskanie.

– Bravo! Widzę, że opanowałeś już pierwsze zaklęcie. – Isadora prychnęła kpiąco. – Ba! Posiadłeś jedną z podstawowych umiejętności bojowego maga. Rodzice muszą być z ciebie tacy dumni... Ach, wybacz, zapomniałam...

Fletcher odwrócił się gwałtownie, uniesienie w jednej chwili ustąpiło oburzeniu. Arystokratka pozdrowiła go wdzięcznym machnięciem dłoni, po czym zwinnie zbiegła po stopniach areny. Ku jego najwyższemu zdumieniu, za plecami Isadory pojawiło się siedmioro innych studentów pierwszego roku.

– Jak więc widzicie, mieliśmy rację. – Tarquin wymierzył oskarżycielsko palcem w Sylwę, Othella, Fletchera i Serapha. – Urządzają tu sobie potajemne treningi.

– Czyli dlatego nigdy was nie ma wę wspólnej komnacie! – zawołała zdziwiona Genevieve, zarzucając puklami długich włosów. – A nam wmawiacie, że kujecie w bibliotece!

– Bo kujemy! – Fletcher spróbował udobruchać koleżankę. – Tutaj przychodzimy potem, by potrenować szermierkę z sir Caulderem. Nie pamiętasz? Zaraz po pierwszej lekcji zaproponował, żebyśmy zaglądali do niego na dodatkowe szkolenia.

– Na moje oko wcale nie ćwiczycie fechtunku. – Atlas wskazał miejsce nad areną, gdzie przed chwilą zgasł dziwnobłask Sylwy. – W dodatku nie widzę tu z wami sir Cauldera.

– Dlaczego nam nie powiedzieliście? – rzucił niepewnie Rory. – Kiedy was pytam, co robicie, nigdy nie odpowiadacie wprost.

Na to Fletcher nie znalazł odpowiedzi. Rzeczywiście, nie wtajemniczyli kolegów i poczuł się z tym bardzo źle. Sprawa była jednak zbyt trudna do wytłumaczenia, a poza tym Tarquin i Isadora mogliby się domyślić prawdziwych powodów znikania kadetów. Naturalnie, milczenie również w niczym nie pomogło.

– Tak się właśnie zastanawiam, skąd te wszystkie sekrety – podjął Tarquin i przesadnie ściągnął brwi. – Może stąd, że... nie, to chyba niemożliwe, prawda?

– Co chciałeś powiedzieć? – spytała Genevieve; jej dolna warga nerwowo zdrząła.

– Przykro mi, ale wszystko wskazuje na to, że pozostali plebejusze trenują w tajemnicy przed wami. Tak bardzo im się pali, żeby was pokonać – podsunął Tarquin i z udawanym niesmakiem pokręcił głową. – Nie czarujmy się. O zwycięstwie z nami, arystokratami, nie mają co marzyć. Waszą trójkę jednak mogą zawstydzić przynajmniej na arenie, a wtedy zyskaliby szansę na znośne stopnie i stanowiska.

– Przekłety kłamco! – wykrzyknął Fletcher. Zerwał się ze stopnia i stanął przed młodym Forsythem. – Nie mamy co marzyć? Jesteś jeszcze bardziej arogancki, niż dotąd sądziłem!

– A może nie odwlekajmy walki? – Tarquin stanął twarzą w twarz z Fletcherem. – Arena jest wolna, mamy liczną widownię. No? Co powiesz?

We Fletcherze zawrzało, zaświerzyły go palce.

– Widownię? Chciałeś chyba powiedzieć, że macie wielu świadków – wtrąciła Sylwa, studząc niemądry zapał przyjaciela. – Świadków, którzy potwierdzą, że Fletcher pojedynkował się wbrew zakazowi, przez co wyleciały z uczelni. Tak przy okazji, tobie na karierze nie zależy?

– Scipio w życiu mnie nie wyrzuci – odrzekł jadowicie Tarquin. – Groził mi tylko na pokaz. Mój ojciec jest najlepszym kompanem króla. Sama więc widzisz. A co do tego kmiota...

Fletcher zdążył odzyskać rezon. Postanowił nie dać arystokracji satysfakcji.

– Spokojnie, jeszcze się naszej walki doczekasz, a wtedy pokonam cię na oczach wszystkich. I już nie będzie wątpliwości, kto jest lepszym zaklinaczem.

Tarquin uśmiechnął się i pochylił tak blisko, że Fletcher poczuł jego oddech na uchu.

– Czekam z utęsknieniem – szepnął i wyszedł na korytarz, prowadząc za sobą pozostałych wysoko urodzonych kadetów.

Rory wyraźnie się zawahał. W jego spojrzeniu odmalowało się niezdecydowanie. Atlas wziął

go za ramię.

– Rory, przyłapaliśmy ich na gorącym uczynku. Powinniśmy byli wykazać więcej rozsądku i nie ufać osobom tego pokroju. Niedoszły arystokrata, bękart, elfka i półludek. Nie trzeba nam takich przyjaciół.

Słyszac te drwiny, Fletcher natychmiast się zjeżył. Uświadomił sobie również, że skoro Atlas nazwał Serapha „niedoszłym arystokratą”, musiał podsłuchać ich rozmowę.

– Szpiegowaleś nas! – rzucił. – To są prywatne sprawy!

– O tak, przez kilka ostatnich tygodni usłyszałem bardzo dużo. Jak myślisz, kto doniósł Forsythom o waszych pozalekcyjnych zajęciach?

– Zdradziecka szuja! – Seraph splunął na arenę i wściekle kopnął w piasek. – Co on ci obiecał?

– Oficerski awans i stanowisko w Furiach Forsythów, pod warunkiem że będę rozsądny. Wy dwoje powinniście pójść za moim przykładem. – Atlas zerknął na Rory’ego i Genevieve.

– Naprawdę wierzysz tym żmijom? – zapytał Fletcher. – Okłamują cię i to samo kłamstwo powtórzą im. Proszę, nie dajcie się omamić!

Było już jednak za późno, decyzja zapadła. Kadeci odwrócili się plecami i wyszli. Czwórka przyjaciół została zupełnie sama.







## 47

Fletcher nakreślił przed sobą symbol tarczy. Czoło służyło mu potem. Utrwalił znak kolistym gestem palca. Poruszył dłoń i symbol poszybował wraz z nią.

– Brawo. A teraz ta trudniejsza część – poleciła Sylva.

Głos elfki wrócił echem spod kopuły areny. Seraph, który skończył dzienną dawkę ćwiczeń, z widowni przyglądał się Fletcherowi usiłującemu opanować strumienie many. Kierował ją jednocześnie do znaku i na wskroś niego. Miał przy tym wrażenie, że pęknie mu głowa. Trud nagrodził cienki strumyk białego światła, który zastąpił po drugiej stronie hieroglifu.

– Tyle wystarczy. Teraz nadaj tarczy kształt.

Uformowanie płynnego blasku w matowy dysk nie sprawiło mu większych problemów, niezliczone godziny ćwiczeń z dziwnoblaskami ostatecznie zaprocentowały. Tarcza była cienka i z pewnością rozpadłaby się już po kilku solidnych uderzeniach miecza, lecz i tak miał powód do zadowolenia. Wessał manę z powrotem do palca i poczuł, jak wypełnia jego ciało. Od turnieju dzieliły ich ledwie godziny, nie chciał marnować ani krzty magicznej energii.

– Świetnie! Myślę, że obecnie mógłbyś pokonać przynajmniej część starszych kadetów – pochwaliła go Sylva.

– Nie dbam o wynik turnieju – odparł Fletcher. – Zależy mi jedynie na pokonaniu Isadory i Tarquina. A oni oboje potrafią wyczarować tarczę w kilka sekund, i to dwukrotnie grubszą niż moja. Podobnie ma się sprawa z zaklęciami ofensywnymi. Niezawodność, szybkość i moc – według Arcturusa te trzy rzeczy liczą się najbardziej. A Forsythowie biją mnie w każdej z nich.

Sylva posłała mu współczujący uśmiech i delikatnie ścisnęła za ramię.

– Jeśli na nich trafisz, to będą musieli użyć na ciebie sporo many, dzięki czemu my będziemy mieli większe szanse. Seraph, Othello i ja już praktycznie im dorównujemy. To zasługa treningów. Bez twojej pomocy nigdy nie osiągnęlibyśmy tego poziomu, zwłaszcza jeśli chodzi

o fechtunek. Nawet Malik twierdzi, że walczysz mieczem jak mało kto, a przecież Saladynowie cieszą się reputacją najlepszych fehmistrzów królestwa.

Fletcher uśmiechnął się bez przekonania i usiadł obok Serapha.

Dobiegała północ, lecz Othello poprosił, by Fletcher zaszekał na niego na arenie. Sam zniknął kilka godzin wcześniej. Wybrał się do Corcillum, gdzie miał do załatwienia jakąś tajemniczą sprawę.

Kilka ostatnich miesięcy wypełnionych bezustanną nauką i ćwiczeniami mocno studentów wyczerpały. Dzień egzaminu z demonologii nadszedł i minął. Wszyscy zdali celująco. Fletcher nie był pewien, od czego bardziej bolał go przegub – od niustających pojedynków na miecze czy wielogodzinnego pisania egzaminacyjnych rozprawek.

Niemniej zniósłby ten czas we względnie dobrym nastroju, gdyby nie chłód, z jakim jego, Sylwę, Serapha i Othella traktowali pozostali koledzy. Mimo wszelkich prób załagodzenia sytuacji Rory, Genevieve i Atlas wciąż byli na nich źli, w stołówce siadali osobno i unikali ich, jak tylko mogli.

– Świetnie, zaszekali na mnie! – W drzwiach rozległ się głos Othella. – Słuchajcie wszyscy, mamy gości! Ruszcie się i przywitajcie starych znajomych.

Fletcher odwrócił się i zobaczył Athola i Atyllę. Ledwie zdążył wstać, a już utonął w niedźwiedzim uścisku. Mocarne ramiona kowala poderwały chłopaka z ziemi, jakby ważył tyle co małe dziecko.

– Wydawało mi się, że Othello miał odebrać moje zamówienie dopiero jutro! – Fletcher się zaśmiał.

Stojący nieco z tyłu Atylla uśmiechnął się nieśmiało i z szacunkiem skinął głową na powitanie.

– Szczerzy przyjaciele krasnoludów zasługują na dostawę do domu – zahuczał Athol i uwolnił Fletchera z objęć. – Atylla pracował nad tym dzień i noc, a że noga już mu wyzdrowiała, pomyślał, że wybierze się z nami.

– Owszem, zlecenie wymagało niebywalej precyzji i uwagi, ale dało mi wiele radości – podjął Atylla, podnosząc swoje dzieło do światła.

Fletcher wpadł na ten pomysł po rozmowie z Arcturusem. W kamieniu, który otrzymał w akademii, widział cokolwiek tylko wtedy, gdy przykładał go niemal do oka. Kiedy zobaczył na oku kapitana opaskę, pomyślał, że mógłby nosić kryształ na stałe, dzięki czemu obie ręce miałyby wolne.

– Zaraz gdy zacząłem pracę, zrozumiałem, że wymyślony przez ciebie monokl zupełnie się nie sprawdzi. Wypadłby ci z oka już przy pierwszym żywszym ruchu. Spilowałem więc kryształ tak, że stał się przezroczysty, osadziłem go w srebrnej oprawce i przymocowałem do niej skórzany pasek. Przymierz.

Opaska leżała na głowie jak ulał. Kamień zawisł tuż przed lewym okiem Fletchera, który wciąż widział niemal doskonale, tylko lewa strona obrazu naznaczona była łagodnie różową poświatą.

– Fantastyczna rzecz! Dziękuję ci bardzo! – zawołał, zdziwiony, jak przejrzysty stał się oszlifowany kryształek. Dzięki wynalazkowi krasnoluda mógł przez cały czas oglądać wydarzenia z perspektywy Ignatiusa, nie tracąc przy tym swobody ruchów.

– Czy ja też mógłbym o coś takiego poprosić? – W głosie Serapha dała się słyszeć nuta zazdrości. – Sam w życiu bym na to nie wpadł.

– Przed turniejem już nie zdążę – odparł Atylla i ucieszony komplementem pociągnął się za brodę. – Jeśli masz pieniądze i kryształ, mogę zacząć od razu po powrocie do miasta.

– Hm, kamień będzie mi jutro potrzebny, lecz niedługo ci o tym przypomnę. – Seraph wyciągnął swoją skalęk z kieszeni i obrzucił ją zawiedzionym spojrzeniem.

– Rzeczywiście robi wrażenie – przyznała Sylva i weszła na schody. – Zawody zaczynają się wcześniej rano i muszę się porządnie wyspać. – Ziewnęła. – Idziesz, Seraph?

– Jasne, podobno sen sprzyja urodzie, a ja jutro zamierzam podbić serce Isadory – zażartował chłopak, puścił oko do Fletchera i ruszył za elfką. – Dobrej nocy!

Gdy kroki obojga ucichły w korytarzu, Athol odchrząknął i spojrzał niepewnie na Othella.

– Mamy do omówienia jeszcze jedną sprawę. Atylla zrobił sobie nowy tatuaż. Musiał, żeby zamaskować bliznę na nodze. Wiem, że nie będziesz zachwycony, ale przywiozłem ze sobą narzędzia, na wypadek gdybyś postanowił zrobić to samo. Po udaremnionym ataku na radę pinkertonowie stali się jeszcze bardziej agresywni niż dotąd.

Othello jęknął głośno na widok kilku grubych igieł i buteleczki z czarnym tuszem, które starszy krasnolud wyciągnął z torby.

– Nie! Nie tym razem. Zrozumiałem coś ważnego. Biorąc na siebie przewiny Atylli, sprawilem jedynie, że czułem się zupełnie bezkarny. Myślę, że przez tamtą jedną noc, gdy otarłem się o śmierć, nauczyłem się więcej niż przez poprzednie piętnaście lat życia. Nie mam racji? – Othello znacząco skinął głową w kierunku Fletchera.

– Myliłem się co do ludzi – wymamrotał Atylla ze wzrokiem wlepionym w czubki własnych butów. – Jednak to nie zmienia faktu, że doznaliśmy z ich strony licznych okrucieństw. Pojąłem, że moja nienawiść nie jest tak naprawdę skierowana przeciwko ich rasie, ale wobec systemu, w jakim żyjemy.

– A skoro zamierzamy zmienić system, musimy to uczynić od środka. – Othello złapał bliźniaka za ramiona. – Bracie, może jednak w przyszłym roku wstąpisz do Akademii Vocańców? Sam tego wszystkiego nie zrobię.

Atylla podniósł wzrok, w jego oczach zapłonęła żelazna determinacja.

– Tak.

Othello zaśmiał się radośnie i grzmotnął brata w plecy.

– Wspaniale! Chodź, pokażę ci swój pokój. Dasz radę wejść po schodach? Wiesz, z tą nogą?

Bliźniacy pokonali pod rękę kilkanaście stopni i wyszli z areny. Ich wesołe głosy rozległy się na korytarzu przytłumionym echem. Fletcher został sam na sam z Atholem.

– Wszystko się zmienia – szepnął chłopak.

– Owszem, aż serce mi rośnie, kiedy widzę ich przyjaźń. – Kowal otarł ukradkiem łzę. – W młodości byli nierozłączni, nie pamiętam dnia, żeby czegoś wspólnie nie spocili.

– Atylla ma serce po właściwej stronie – stwierdził Fletcher, myśląc o nienawiści, którą sam żywił wobec Forsythów. – Nie wiem, czy na jego miejscu potrafiłbym wybaczyć.

– Wybaczenie nie leży w krasnoludzkiej naturze – przyznał z westchnieniem Athol. Usiadł na schodku i podniósł do oka jedną z igieł do tatuażu. – Rzeczywiście bywamy uparci jak osły, wiem po sobie, ale Othello jest inny. Pamiętam, że kiedy zgłosił się na ochotnika do testów, uprzedziłem go, że przyłączy się do wrogów. I wiesz, co usłyszałem?

– Nie. Co powiedział?

– Że nawet najbardziej zapiękły wróg wojownika może się stać jego najlepszym nauczycielem. Ten chłopak wykazuje się czasami mądrością sędziwego starca.

Fletcher zastanowił się nad słowami krasnoluda i po raz kolejny poczuł wobec Othella głęboki podziw. Lady Fairhaven powiedziała coś podobnego: „Przeciwnika należy poznać”. Tylko czego mogli go nauczyć Forsythowie lub Didric? Może gdyby dostał wreszcie do rąk dziennik Jamesa Bakera, dowiedziałby się czegoś od orków. Niestety, księga nie wróciła jeszcze z drukarni, której pracownicy mieli masę kłopotu z wyryciem w drewnianych matrycach zawitych rycin, zdbających niemal wszystkie stronicę. Mimo że większość przedstawiała anatomie stworów zamieszkujących niedostępne ludziom obszary eteru, nie wolno ich było pominąć. Pewnego dnia

zebrane przez Bakera informacje mogły się okazać niezwykle ważne.

– Nie chciałbyś tatuażu? Wykonałem oba Atylli i ten jeden Othella, znam się na tym – zaproponował pół żartem, pół serio Athol.

– Nie, to nie w moim stylu. Bez obrazu, ale tatuaze wydają mi się dość... prymitywne i zwierzęce. Widziałem nawet orka... – Urwał w pół zdania i zastygł. Oczyma wyobraźni ujrzał białego orka podnoszącego łapę, na której jaśniał fioletowy pentagram. Czy to naprawdę mogło być aż tak proste?

– Widziałeś wytatuowanego orka? – spytał Athol, nie rozumiejąc, co oznacza niespodziewane milczenie chłopaka.

– Tak... We śnie... – szepnął Fletcher, sunąc palcem po wnętrzu swojej dłoni.

Sięgnął po kopesz i nakreślił na piasku zarys otwartej ręki. Nowy pomysł sprawił, że serce zabiło mu w piersi szaleńczym rytmem.

– Wiesz, Athol, mam nadzieję, że jesteś tak dobry, jak twierdzisz, bo tatuaż musi być perfekcyjny.





## 48

Na arenie było koszmarnie gorąco. Powietrze w sali rozgrzały dziesiątki pochodni, które sir Caulder osadził w wiszących na ścianach kinkietach. W ich chybotliwym świetle piasek, na którym stali nowicjusze, zdawał się falować, przesypywać z miejsca na miejsce.

– Naprawdę jest nas tylko dwa tuziny? Wydawało mi się, że studentów jest więcej – szepnął Seraph na ucho Fletcherowi.

– Nie, są tu wszyscy. Dwunastu kadetów z drugiego roku i nasza dwunastka. Po połowie arystokraci i plebejusze – odparł lakonicznie Fletcher.

Nie miał ochoty rozmawiać. Z każdym uderzeniem serca lewa ręka pulsowała bólem. Zeszlonoce doświadczenie z Atholem nie należało do przyjemnych, a wciąż nie zdołał przetestować nowej teorii. Krasnolud przestrzegł go, że zanim czegokolwiek spróbuje, powinien poczekać na zagojenie się dłoni.

– Patrzyć przed siebie! – Stojący za kadetami sir Caulder wrzasnął tak, że aż podskoczyli. – Generałom armii Hominum należy się szacunek!

Fletcher wyprężył pierś i stanął na baczność. Wylot prowadzącego na arenę tunelu zaroił się od tłumy gości. Jako pierwsi przybyli generałowie pyszniący się eleganckimi mundurami z granatowego aksamitu, obszytymi frędzlami i złotą lamówką, biegnącą wzdłuż rękawów po epolety. Torsy mieli obwieszane mnóstwem orderów. Dwurożne kapelusze, przypominające kształtem pierogi, ściskali mocno pod pachami. Zeszli sztywno po schodach. Wszyscy bez wyjątku wyglądali na twardych mężczyzn, na ich twarzach odcisnęły się wyraźnie lata wyczerpujących, zebranych w licznych bojach doświadczeń. Nie odezwali się, tylko obrzucili kadetów srogimi spojrzzeniami, jakby oceniali konie przed aukcją.

– Jeżeli wywrzemy na nich dobre wrażenie, to beżpośrednio po turnieju nadadzą nam oficerskie stopnie i wcielą do królewskiej armii – szepnął kącikiem ust Seraph. – Może nie płacą

tam zbyt hojnie, ale szybciej można zrobić karierę u nich niż w prywatnych batalionach arystokratów. W sumie to proste: żołnierze króla częściej giną, a umarłaków ktoś musi zastępować.

– Cisza w szeregu! – rzucił ostro sir Caulder, który dokuśtykał właśnie przed kadetów i obrzucił ich władcym spojrzeniem. – Baczość! Ktokolwiek drgnie, gorzko pożałuje!

Fletcher słuchał jednym uchem. Zauważył mężczyznę, który wszedł z pochyloną głową na widownię, usiadł i wbił w niego spojrzenie. Rodzinne podobieństwo nie pozostawiało miejsca na wątpliwości. To Zachariasz Forsyth.

Niczym nie przypominał człowieka, którego wcześniej Fletcher sobie wyobrażał, spodziewał się bowiem mężczyzny o zimnych gadzich rysach. Ojciec bliźniąt okazał się wysoki i dobrze zbudowany. Brakowało mu połowy ucha, a jego wargi rozciągały się w pewnym siebie uśmiechu. Po chwili oderwał wzrok od Fletchera i popatrzył na swoje dzieci.

– Wystarczy tej musztry, sir Caulder, niech się kadece rozluźnią. Na te ceregiele będziesz miał mnóstwo czasu po wszystkich – powiedział wesoło i dźwięcznie.

Wyszedł na środek areny i uściślał dziedziców. Zmierzył czule włosy Tarquina i ucałował Isadorę w policzki. Fletcher poczuł się zakłopotany. Wydawało mu się dziwne, że ktokolwiek, nawet rodzony ojciec, mógł darzyć rodzeństwo uwielbieniem.

– Proszę, proszę! Kawał chłopca z ciebie! – zagrmiał senior Forsyth, stając przed Fletcherem. Otaksował go spojrzeniem od stóp do głów. Szczególną uwagę zwrócił na skoltunione czarne włosy i wiszący u jego boku kopsz.

– To bękart, ojczu, ten z salamandrą – odpowiedział Tarquin i spojrział z pogardą na Fletchera.

– Ach, tak? – Zachariasz zająrzył kadetowi głęboko w oczy. Uśmiech nie przygasł ani na mgnienie, lecz w spojrzeniu pojawił się osobliwy błysk: mroczny i paskudny.

Fletcher stłumił przeszywający go dreszcz.

– Chętnie się przekonam, jak dużo potrafi twój demon. To bardzo interesujące. Jestem przekonany, że gdyby tylko zechciał, zdołałby spocielić ludzkie ramię do kości. – Wesoła maska nie opadła nawet na moment z twarzy arystokraty.

Fletcher postanowił, że nie pozwoli się zastraszyć emanującej z Zachariasza sile.

– Zdołałby, a nawet już tego kiedyś dokonał – odparł. – Być może pewnego dnia urzędę dla ciebie prywatny pokaz, panie.

Uśmiech zgasł na twarzy Forsytha, który położył dłoń na ramieniu Fletchera i wskazał mu stopnie areny, na których zbierali się kolejni arystokraci, odziani w barwne mundury własnych oddziałów. Część z nich zesła za Zachariaszem na piasek. Tulili swoje dzieci i rozmawiali z nimi podniesionymi głosami. Sir Caulder przyglądał się temu z wyraźnym niezadowolaniem.

– Na pewno bardzo się cieszysz, że i tobie zechciał dzisiaj kibicować ktoś z rodziny. Może pomachasz ojcu?

Fletcher zamarł. Czyżby przyjechał do niego Berdon? Niemożliwe. Zachariasz wymierzył palcem w siwowłosą parę. Oboje wpatrywali się w kadeta spojrzeniami wyrażającymi czystą nienawiść.

– Pozwoliłem sobie poinformować o twojej osobie Favershamów. – Oczy Zachariasza zaślniły złośliwym blaskiem. – Nawet król zainteresował się tym przypadkiem. Jakby nie patrzeć, oskarżyłeś lorda Favershama o ponowną niewierność wobec kuzynki naszego monarchy, a przecież od czasów sprawy Arcturusa i innych bękartów minęło wiele lat.

– Nikogo nie oskarżyłem! – oburzył się Fletcher. – W życiu bym....

– Zaprosiłem ich, by mogli cię ujrzeć na własne oczy. Mam nadzieję, że to nie kłopot. Arcturus został na czas turnieju odesłany, by nie mógł przypadkiem natknąć się na ojca i jego żonę. To

część umowy zawartej ze starym królem. Dlatego właśnie zawodami pokieruje Rook. Inkwizytor, jak zapewne wiesz, jest starym przyjacielem naszego rodu. Żywi głębokie przekonanie, że z wielką pieczołowitością dopilnuje, by zmagania przebiegły uczciwie.

Zachariasz mrugnął do Fletchera, po czym wrócił na widownię, gdzie zajął miejsce wśród arystokratów, rzucając drapieżny uśmiech w kierunku Sylvy i Othella.

Fletcher zadrżał z oburzenia i zacisnął pięści, ignorując narastający ból lewej dłoni.

– Nie pozwól mu się sprowokować – szepnął mu do ucha Seraph. – Zobaczysz, wgnieciemy Forsythów w ziemię.

– Siadajcie wszyscy, siadajcie, proszę! – zawołał Scipio, który wynurzył się z korytarza i zszedł po kilku stopniach.

Za jego plecami pojawił się uśmiechnięty Rook. Inkwizytor skinął głową w kierunku moźnych i pozdrowił ręką generałów. Gdy ostatni z widzów usadowił się wygodnie, zapadła cisza.

– A zatem przemiął kolejny rok i kolejna grupa kadetów jest gotowa sprawdzić siłę swego ducha na arenie! – Scipio rozpostarł ramiona i uśmiechnął się promiennie do studentów. – Ten rocznik jest szczególny. Zgodnie z tradycją, do konkursu przystąpiłyby tylko tuzin kandydatów i to spośród nich pojedynki wyłoniłyby zwycięzcę. Tym razem jednak daliśmy szansę również kadetom pierwszorocznym, więc uczestników mamy dwudziestu czterech. Nowe zasady turnieju wyluszczy wam wszystkim osoba godna zaufania i prawdziwy ekspert w kwestii regulaminu. Inkwizytorze Rook, oddaję głos. – Scipio usunął się na bok i usiadł na skraju areny. Jego rola dobiegła końca.

– Dziękuję, rektorze. Pragnę skorzystać z nadarzającej się okazji i podziękować wszystkim za przybycie. Tym bardziej że zdaję sobie sprawę, jak bardzo cenny jest wasz czas. Każda minuta spędzona z dala od frontu jest minutą, którą żołnierze muszą przeżyć pozbawieni naszego światłego przewodnictwa. Postanowiłem zatem, że w pierwszej rundzie zrezygnujemy z klasycznych pojedynków, aby turniej nie ciągnął się w nieskończoność. Zamiast nich odbędą się trójosobowe walki, z których do dalszych rozgrywek przejdzie jedynie zwycięzca. Wszelkie dodatkowe szczegóły wyjawię za moment.

Zaintrygowani widzowie zaszemrali, lecz nie rozległ się nawet jeden protest. Rook odczekał, aż głosy ucichną, i podjął:

– Następną rundą będzie polegać na tradycyjnych pojedynkach par kadetów, za to z wyłączeniem udziału demonów i stosowania magicznych zaklęć. Historia uczy, że przeciwnicy rzadko ścierają się na broń białą, preferując walkę za pomocą czarów i demonów, które wyręczają ich w tym trudzie. Uznaliśmy więc, że żal byłoby zmarnować lata treningu, jakie wasze dzieci poświęciły szlifowaniu szermierki, często jeszcze przed wstąpieniem do naszej akademii. Dlatego właśnie druga runda turnieju wskaże nam zawodnika najlepszego pod tym kącie ważnym względem. Najlepszego fechtmistrza.

Tym razem arystokraci również zgodnie potaknęli, chociaż spojrzenia generałów wyrażały mniejsze zadowolenie. Oficerowie popatrzyli po sobie, ściągnęli usta i pokręcili głowami. Jeden z wysokich rangą oficerów zwrócił się bezpośrednio do Scipia:

– Nie pozostaje mi nic innego, jak wyrazić sprzeciw. Zaproponowany sposób niesprawiedliwie faworyzuje arystokratów, którzy ćwiczą się w fechtunku od małego. Nam zależy przede wszystkim na prawidłowej i uczciwej ocenie umiejętności kadetów.

– Czyli lepiej byłoby przyznać szlachetnie urodzonym studentom punkty ujemne tylko dlatego, że są lepiej przygotowani? – odparł nieco ironicznie inkwizytor. – Przecież zanim przybyli do Cytadeli, szkolili się także w dziedzinie magii. Może więc powinniśmy ograniczyć turniej do egzaminu z demonologii?

Rektor wstał z ławy i spojrzał na generała.

– Obawiam się, że muszę poprzeć inkwizytora Rooka. Na pierwszy rzut oka te zmiany mnie również nie zachwyciły, lecz potem coś sobie przypomniałem. Wojna także jest nieuczciwa... Słabi padają, a silniejsi wychodzą z niej zwycięsko. Czy nierówne szanse podczas turnieju nie stanowią wiernego odzwierciedlenia warunków bojowych?

– Zadbalem również o to, by do drugiej rundy przeszła identyczna liczba plebejuszy i arystokratów – dodał Rook. – Na pierwszym etapie zmagani obie grupy będą walczyć wyłącznie między sobą. Czy to zadowalające rozwiązanie?

– Owszem, inkwizytorze, dziękuję. – Generał ze zmarszczonym czołem zasiadł z powrotem na miejscu.

– Znakomicie. Co do rund trzeciej i czwartej, odbędą się w nich najzupełniej tradycyjne pojedynki, więc raczej nikt nie powinien zgłaszać zastrzeżeń. Szanse będą wyrównane. Cóż – Rook zatarł ręce – przygotujmy arenę do starć. – Sir Caulder! Proszę wyprowadzić kadetów do cell!







## 49

Fletcher siedział w ciemnym lochu, serce trzepotało mu w piersi, niczym ptaszek uwięziony w ciasnej klatce. Przez całe studia miał nadzieję, że będzie mógł obserwować turniejowe walki, lecz w myśl nowych zasad zawodnicy musieli czekać na swoją kolej w odosobnieniu. Miał wrażenie, że upływają całe godziny, każda chwila oczekiwania okazała się istną torturą.

Wbił spojrzenie w dłoń i przyjrzał się intensywnie czarnym wzorom, które wytatuował mu Athol. Na środku widniał pentagram, zamknięta w okręgu, pięcioramienna gwiazda. Jeżeli wszystko przebiegnie po jego myśli, będzie mógł przyzywać i wchłaniać Ignatiusa jednym ruchem, odpadnie konieczność usadzenia salamandry na skórzanej macie. Niemniej nie miał pojęcia, na ile ten wynalazek przysłuży mu się w walce.

Palec wskazujący był wolny od tatuaży, dzięki czemu Fletcher mógł w razie potrzeby kreślić w powietrzu magiczne symbole. Na pozostałych opuszkach ciemniały cztery hieroglify reprezentujące zaklęcia telekinezy, ognia, błyskawicy i tarczy. Przy odrobinie szczęścia nie będzie musiał utrzymywać znaków, wystarczy, że pošle manę przez konkretny palec.

Nagle rozległo się donośne bzyczenie i przed Fletcherem zawisł Valens. Wleciał między prętami żelaznych drzwi i przysiadł mu na kolanie.

– Kapitan Lovett? – zdziwił się Fletcher i pogłaskał gładką skorupę skarabeusza. – Chce pani popatrzeć?

Valens zakolysał czułkami i wesoło zabrzączał. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu ten dźwięk poprawił Fletcherowi nastrój.

– Mam nadzieję, że tak. Miło będzie czuć czyjeś wsparcie, a przynajmniej słyszeć przyjazne bzyczenie.

Na korytarzu rozległy się kroki i owad umknął, chroniąc się w ciemnym zakamarku celi. Przez kratę zajrzał sir Caulder.

– Twoja kolej! – oznajmił.

Fletcher stał na drewnianym podium na skraju areny, mając widzów za plecami. Tuż przed nim leżała rozpostarta duża skóra zaklinacza. Rory i Amber – jedna z plebejuszek z drugiego roku – stali na swoich stanowiskach, w równych odstępach od niego. Bez przerwy czuł na sobie spojrzenia Favershamów. Delikatne włoski na karku stanęły mu dęba. W oczach Rory'ego gorzała wyraźna niechęć, jakby powrót na arenę sprawił, że przypomniła się mu rzekoma zdrada Fletchera. Tymczasem on potrząsnął głową i zmusił się, by przestać o tym wszystkim myśleć. Skoncentrował się na zadaniu.

Pole walki zostało usiane nierównymi sporymi kamieniami, wyglądającymi jak okruchy potrzaskanego gigantycznego czerwonego glazu. Na samym środku areny strzelała ku górze wysoka na trzydzieści stóp gliniana kolumna. Wokół niej wiły się węzowo kręte schody, na tyle szerokie, że spokojnie można by wjechać po nich konno.

Fletcher usłyszał nad sobą nikłe bzyczenie i podniósł wzrok. Valens okrążył salę, po czym przycupnął daleko na kopule i zniknął w mroku. Chłopak uśmiechnął się mimo woli. Lovett miała najlepszy widok ze wszystkich.

– Zasady tego zadania są bardzo przejrzyste – oświadczył stojący przy arenie Rook. – Wygra właściciel demona, który jako pierwszy dotrze na szczyt słupa i zdoła tam pozostać przez dziesięć sekund. Z czarów wolno się posługiwać jedynie zaklęciem telekinezy. Zabronione jest bezpośrednie atakowanie kolegów. Pod żadnym pozorem nie możecie opuścić swoich stanowisk. Złamanie tej reguły skutkuje natychmiastową eliminacją. Do dzieła!

Fletcher opadł na kolana i złożył dłonie na skórze. Mocniejsza niż zwykle falą many przyzwał Ignatiusa. Musnął jego grzbiet widzącym kamieniem. Podeksytowana salamandra wydała z siebie melodyjne ćwierknięcie i nie czekając ani chwili, zeskokczyła na piasek.

Po drugiej stronie Amber wywołała dzierzbę, a Malachi pędził już ku kolumnie. Rook starannie dobrał przeciwników Fletchera – oba demony potrafiły latać, jeden był mały i trudny do trafienia, drugi wielki, lecz odporny na ataki. Zanosilo się na trudną walkę.

Fletcher podniósł dłoń i wymierzył wytatuowanym palcem w Malachiego.

– Mam nadzieję, że to zadziała – szepnął do siebie i zaczerpnął porcję wypełniającej jego ciało many. Z jego ręki wyrzucił niewidzialny promień. Trafiony Malachi spadł prosto na skały. Udało się!

– Teraz, Ignatius!

Salamandra rzuciła się między kamienie. Biegła zygzakiem, unikając gwałtownego ostrzału Rory'ego i Amber. Wokół małego ciała wzbijały się tumany piasku. Kamienie pękały, posyłając dokoła ostre okruchy. Kiedy Ignatius wyskoczył w powietrze, celując w kręte schody, kinetyczny atak Rory'ego dosięgnął wreszcie celu i zepchnięte stworzenie ciężko padło u podnóża kolumny. Fletcher poczuł w piersi tępy ból, jednak miał wrażenie, że salamandra nie odniosła większych obrażeń.

Tymczasem dzierzba pędziła po ziemi. Wolala przemykać wśród przeszkód, niż dać się strącić z powietrza. Fletcher skorzystał z chwili spokoju i zanim Malachi podjął kolejną próbę, założył okular. Zobaczył, że Ignatius ukrył się pod obłym kamieniem, skąd niedaleko już było do schodów. Gdyby jednak na nie wbiegł, zanadto by się odsłonił. Nawet jeżeli jakimś cudem udałooby mu się dotrzeć na szczyt, nie miał wielkich szans pozostać tam wystarczająco długo.

– Musimy zapolować na pozostałe demony i wyłączyć je z gry. Inaczej wleczą na górę przed nami – szepnął Fletcher, jednocześnie przekazując swoje myśli Ignatiusowi.

Salamandra warknęła i przemknęła ku sąsiedniej skałce. Zaczęła przeczesywać arenę z dołu, podczas gdy Fletcher obserwował teren z góry.

Rory i Amber również spoglądali w swoje kryształy, ale musieli co chwila odrywać wzrok od kamieni, by kontrolować piaszczystą arenę. Fletcher uśmiechnął się szeroko. Okular sprawował się wyśmienicie. Oglądał wydarzenia obojgiem oczu i nie tracił ani szczegółu. Tylko po lewej stronie obraz przesłaniała nieziemską fioletową mgiełka.

Nagle Ignatius zmarł. Tuż przed sobą miał dzierzbę, która bezszelestnie przycupnęła pod zębątem nawisem jednej ze skał. Nie była szczególnie duża, rozmiarami przypominała przerośniętego orła. Była za to potężnie zbudowana; pióra i niebezpieczne szpony lśniły żółtawo. Pojawiła się szansa.

– Płomień – rzucił bezgłośnie Fletcher i poczuł w żyłach wrzenie many.

Dzierzbę ogarnął ognisty cyklon. Stwór padł na skalną ścianę. Rozległ się skrzek i załopotaly skrzydła. Zanim jednak zdołała zerwać się do lotu, Fletcher powalił ją na arenę telekinetycznym uderzeniem płomieni.

– No to mamy kurczę pieczone! – zawołał Scipio.

Z widowni doleciały Fletchera radosne okrzyki mieszające się z gwizdami.

Ignatius skoczył na dymiącą dzierzbę. Okładał ciało przeciwnika pazurami i raz po raz dźgał kolczastym ogonem. Dzierzba odpłaciła się agresywnym drapnięciem. Ostry szpon rozciął bok salamandry. Ignatius ryknął boleśnie, po czym uniósł się na tylne łapy i przygotował, by zionąć po raz kolejny.

– Nie! – zawołała Amber i zeskoczyła ze stanowiska. Zaskoczone hałasem demony znieruchomiały. – Nie rób jej krzywdy! Nie trzeba! – Dziewczyna osłoniła głowę dzierzby własnym ciałem.

– Ignatius, wystarczy! Odpadli z turnieju! – krzyknął Fletcher.

Nie tylko on podniósł głos. Także na widowni rozległ się tumult. Fletcher zauważył, że Malachi siedzi już na szczycie kolumny i czujnie wygląda znad jej krawędzi.

Ignatius popędził przed siebie, lecz nie miał szansy zdążyć na czas. Fletcher wystrzelił, ale z wierzchołka kolumny zdołał jedynie strącić nieco pyłu. Stał pod złym kątem. Trafienie Malachiego ograniczyło z cudem.

– Dziesięć, dziewięć... – Rook zaczął odliczać na głos.

Fletcher zrozumiał, że musi sięgnąć po radykalne środki. Zacisnął zęby i kolejną kulę kinetycznej energii rozdał do rozmiarów grejpfruta. Wyraźnie czuł odpływającą z jego ciała manę.

– ...osiem, siedem, sześć, pięć... – ciągnął inkwizytor, z trudem ukrywając zadowolenie.

Fletcher zawył i uniósł magiczny pocisk nad głowę. Czuł, że powietrze wokół kuli dygoce i faluje. Spojrzał na kruchy korpus Malachiego i się zawahał.

– ...cztery, trzy, dwa... – Rook z każdym słowem przyspieszał. Zrozumiał, co się święci.

Fletcher z całej siły miotnął kulą ponad piaskiem areny. Górna część kolumny roztrzaskała się jak porcelanowy odlew. Malachi spadł wśród loskocącej lawiny kurzu i glinianych okruchów.

– Nie!!! – ryknął Rory.

Zeskoczył na piasek i padł na kolana. Podniósł zgruchotane ciało demona. Insekt dygotał, targaly nim drgawki. Sześć odnóży spazmatycznie trzęsło się w powietrzu. Rory zaszlochał i rozpaczliwymi ruchami spróbował nakreślić w powietrzu hieroglif leczącego zaklęcia.

– Zatrąszysz się o niego lady Fairhaven – oznajmił Scipio, gdy w sali poniósł się współczujący pomruk tłumu.

Bibliotekarka podbiegła natychmiast i przyklekła obok Rory'ego. Narysowała przed sobą symbol serca i rozlała nad powalonym stworem płamę białego światła.

– Jesteś potworem! – rzucił Rory w twarz Fletchera. – On umiera!

Fletcher poczuł bolesny skurcz żołądka. W miejscu, w którym spadł żuk, na piachu ciemniała

krwawa plama.

- Chodź – sir Caulder ujął go za ramię. – W tej chwili nic nie możesz dla niego zrobić.

- Puść mnie! – zawołał Fletcher, opierając się odprowadzającemu go rycerzowi. – Malachi!!!



## 50

Tym razem Fletcher trafił do większej celi. Co prawda, była równie ciemna i paskudna, lecz ze zdziwieniem stwierdził, że za kratami sąsiednich pomieszczeń czekają Othello i Sylva. Na widok znajomych twarzy Ignatius wydał z siebie wesoły szczebiot.

– Udało ci się! – zawołała elfka. Poderwała się z miejsca i uśmiechnęła.

– O mały włos, a wygrałby Rory. Miałem wrażenie, że to zadanie zostało pomyślane specjalnie dla insektów. – Fletcher wlepił wzrok w ziemię. Nadal dręczyły go wyrzuty sumienia i nie potrafił przestać myśleć o Rorym i Malachim. Wciąż miał przed oczyma zbroczony krwią piach. Zrobiło mu się niedobrze.

– Właśnie tak było. Nie rozumiesz? To sprawka Rooka – rzucił głucho Othello, zaciskając dłonie na dzielących ich prętach. – Chciał jak najszybciej wykluczyć z turnieju najsilniejszych zawodników i dlatego ułatwił zadanie słabszym. Gdyby jego plan się powiódł, arystokraci spotkaliby się w następnej rundzie z Rorym, Genevieve i którymś ze starszych plebejuszy, a oni wszyscy mają insekty. Nie rozdzielił arystokratów i niżej urodzonych kadetów po to, by zawody były uczciwe. Wręcz przeciwnie!

– Cóż, tyle dobrego, że nas zlekceważył – zauważyła Sylva i potoczyła dokoła pełnym determinacji spojrzeniem. – Mam nadzieję, że uda się też Seraphowi. Widziałam, jak szli przed moją celą, za przeciwników ma Atlasa i kogoś z drugiego roku.

– A ja mam przede wszystkim nadzieję, że nie uda się Forsythom. Tyle że to mocno wątpliwe. Na końcu to Rook dobiera im przeciwników – rzekł nachmurzony krasnolud.

– Co nas czeka teraz? – spytał Fletcher. Spojrzał na oblizującego raniony bok Ignatiusa i zastanowił się, czy nie powinien użyć leczącego czaru. – Inkwizytor wspominał o walce na miecze. Athol był na tyle uprzejmy, że wczorajszej nocy naostrzył mój kopesz. Ale co mamy właściwie robić? Kroić się na plasterki, póki któryś nie da za wygraną?

– Nie. Zapytałem o to rektora jeszcze w zeszłym tygodniu – odpowiedział Othello. – Skórę zawodników będzie chronilo zakłęcie bariery. Coś w rodzaju elastycznej tarczy, otaczającej całe ciało. Oczywiście trafienia i tak będą diabelnie boleć, ale nie powinno dojść do zranienia. Będzie raczej tak, jakby ktoś okładał cię łomem. Wygrasz, kiedy Rook uzna, że zadałeś morderczy lub trwale okaleczający cios.

– Znów ten Rook. Przynajmniej nie będzie mógł oszukiwać. Nie na oczach całej widowni – zauważył burkliwie Fletcher i podrapał salamandrę pod brodą.

– Zaraz, pierwsze słyszę o tej barierze. Dlaczego nikt nas tego nie nauczył? Wiem, że orkowie i tak walczą głównie tępą bronią, a to przecież pozyteczny czar! – stwierdziła Sylva.

– Dlatego że aby był skuteczny, musi go jednocześnie rzucić przynajmniej czterech silnych zaklinaczy – wyjaśnił krasnolud. – Kilku arystokratów zmiesza manę i przez cały czas starcia będą zasilać bariery zawodników. Z wyjątkiem turniejów w akademii, zakłęcie jest rzadko wykorzystywane. Tylko król jest zawsze chroniony barierą.

– Rozumiem. Cóż, pozostaje mieć nadzieję, że zadziała. Wolałbym nie stracić głowy. – Fletcher skinął na Ignatiusa, zapraszając go na kolana.

– Pozwól, że go wyleczę – szepnęła Sylva, widząc nie najlepszy nastrój kolegi.

– Nie trzeba. Zachowaj manę na walkę z Forsythami w trzeciej i czwartej rundzie. Ignatiusowi nic nie będzie – zapewnił Fletcher, żałując w duchu, że nie potrafi rzucać leczącego zakłęcia. Niestety, hieroglif tego akurat czaru cechował się dużą niestabilnością i wciąż nie zdołał go opanować. – Zobaczmy, jak to wygląda. – Podniósł salamandrę do oczu.

Rana była płytka, o wiele mniej groźna, niż się Fletcher spodziewał, właściwie tylko draśnięcie, które zdawało się goić na jego oczach. Z narastającym zdumieniem obserwował stopniowy proces zrastania się skóry Ignatiusa.

– Cholera jasna! – mruknął. – Ty to jednak potrafisz zaskoczyć.

Salamandra zamruczała z zadowoleniem. Fletcher pogłodził palcem zregenerowaną skórę.

– Ktoś idzie! – rzucił Othello i cofnął się w głąb swojej celi.

Na korytarzu pojawił się sir Caulder, prowadził ze sobą rozpromienionego Serapha.

– Nie potrafię zrozumieć, dlaczego trzymają was za kratami jak jakichś przeklętych kryminalistów – powiedział zrędliwie rycerz i otworzył celę naprzeciwko Fletchera. Wpuścił do niej Serapha. – Na szczęście mogę przynajmniej przypilnować, byście nie czekali samotnie.

– Wiadomo już może, kto przeszedł dalej? – zainteresował się Fletcher.

– Owszem. Wygląda na to, że do kolejnej rundy nie awansuje żaden kadet z drugiego roku.

Pary wyglądają tak: Seraph i Tarquin, Sylva przeciwko Isadorze, Othello z Rufusem i Fletcher kontra Malik. Nikomu z was nie będzie lekko. Kłopoty czekają zwłaszcza ciebie, Fletcher. Walczysz jako pierwszy, a Malika trenował osobiście ojciec. Za moment po ciebie przyjdę, w tej chwili zbierają jeszcze ochotników, którzy pomogą otoczyć barierą młodego Saladyna.

Stary wojownik odkużytał, bez przerwy zlorzczając pod nosem. Z tunelu jeszcze przez chwilę dolatywał milknący klekot drewnianej protezy.

– Wiecie co? Skoro marudzimy na te cele, pomyślcie tylko, jak się muszą czuć nasi wymuskani arystokraci – zauważył wesoło Seraph.

– I jak? Domyślał się, że wygrałeś? – podjął Fletcher.

– Oczywiście. Cierń załatwił Dzikusa kilkoma jadowitymi igielkami z grzbietu. Wierzcie mi, Atlas nie wyglądał na zachwyconego. A skarabeusz tego chłopaka z drugiego roku po prostu ukrył się pod skałą i tam czekał do końca. Nie wiem, kto walczył przede mną, ale obszedł się z kolumną bez litości. Kiedy wszedłem na arenę, była rozsypana prawie do połowy. A demon Rory'ego? Nawet nie będę opowiadać. Ten drugoroczniak był po prostu przerażony, bez dwóch zdań!

– Z Rorym wszystko w porządku? – zapytał Fletcher, czując w duchu ponowne uklucie wyrzutów sumienia.

– Sprawiał wrażenie mocno przybitego. Malachiego wciąż leczą, tak przynajmniej było, kiedy wychodziłem. Rektor ma taki zwyczaj, że pozwala przegranym zająć miejsca na widowni, więc sam go za moment zobaczysz. Następną rundę będzie obserwować prawdziwy tłum, mówię wam. – Seraph wciąż się uśmiechał.

– Przystań się tak szczerzyć! Spoważnij! Ty i Sylva musicie pokonać Tarquina i Isadorę. Przecież właśnie po to prawie zabiłem Malachiego – warknęła na kolegę Fletcher.

– Przepraszam – powiedział Seraph. – Nie chciałem...

W korytarzu po raz kolejny rozległy się kroki sir Cauldera. W celach zapadła nerwowa cisza.

– Chodź, Fletcher. Twoja kolej – odezwał się szorstko rycerz.

Otworzył celę. Chłopak rzucił kolegom pożegnalne spojrzenie i poszedł za starym wojownikiem.

– Pamiętaj, o czym ci mówiłem. To nie są wyścigi. Trzymaj emocje na wodzy. Wojaczka jest twoim zawodem i musisz do niej podchodzić na chłodno, profesjonalnie. Malik wie, że bywasz niecierpliwy, pamięta, że czasem dajesz się ponieść. I świetnie, niech tak sobie myśli. Wykorzystaj to na swoją korzyść – poradził na koniec sir Caulder i wypchnął Fletchera na arenę.

– Ach, Fletcher! Pozwól mi tylko powiedzieć, że swoim pierwszym występem oczarowałeś wszystkich. Udało ci się, zaskoczyłeś nas! – Scipio położył dłoń na ramieniu kadeta i poprowadził go na usiany kamieniami piasek. – Niebywale szybko kreśliłeś znaki. Nawet nie zauważyłem, byś ruszał palcem. A twoja salamandra? Wybitny pokaz! Coś mi mówi, że mam do czynienia z przyszłym porucznikiem. O ile, naturalnie, któryś z generałów dostrzeże w tobie potencjał, jaki widzę ja!

Fletcher ledwie słyszał słowa rektora. Przed oczyma miał tylko zroszoną łzami twarz Rory'ego, który czule tulił do piersi Malachiego. Skarabeusz ledwie był w stanie machnąć skrzydełkami, ale na szczęście żył. Fletchera zalała narkotyczna fala ulgi.

– Rory, jak on się trzyma?! – zawołał ponad areną.

– Jakoś. Nic ci do tego – odparł Rory. W jego głosie słychać było cierpienie, lecz nie było w nim złości. Raczej lęk.

– Rory, przepraszam cię – powiedział błagalnie Fletcher, ale kolega odwrócił się i wbił wzrok w ciało rannego demona.

Mimo wszystko Fletcher poczuł się lepiej. Malachi wyzdrowieje, i tylko to się liczyło. Rory również z pewnością zrozumie. Z czasem. Do rzeczywistości przywrócił go dopiero widok czekającego z bułatem w ręku Malika.

– Potrzebuję ochotników, którzy wspomogą zakłęcie bariery dla kadeta Wulfa! – Scipio zwrócił się ku kibicom.

– Służę z przyjemnością! – zawołał Zachariasz Forsyth. – Jak mniemam, również państwo Faversham chcieliby pomóc. Inkwizytorze Rook, zechcesz nam towarzyszyć?

Fletcher spojrział na podchodzących na skraj areny Favershamów oraz Zachariasza i pobladał. Małżeństwo arystokratów nawet nie próbowało ukryć bijącej z ich spojrzeń nienawiści. Czy rektor naprawdę pozwoli na coś takiego? Czy oni będą dbać o jego bezpieczeństwo?

Scipio odchrząknął i rzucił ochotnikom podejrzliwe spojrzenie.

– Lordzie Faversham, lady Faversham, cieszę się, że wyrażacie gotowość posłać w niepamięć dzielące was z Fletcherem... zaszłości, niemniej zmuszony jestem nalegać, by inkwizytor Rook skupił się wyłącznie na sędziowaniu. Przy stawianiu bariery zastąpię go osobiście.

– Lecz, mój panie... – zająknął się Zachariasz – jako zaklinacz jesteś wszak... emerytowany,

chyba się nie mylę?

- Król w swej dobroci przesłał mi zeszłej nocy magiczny zwój z demonem. - Scipio wyczarował na dłoni dziwnoblask i natychmiast zgasił go w garści. - Władca uznał, że już wkrótce okażę się potrzebny na froncie. Nie chce, bym trwał pogrążony w żałobie. Powiem wam, że ma rację. Muszę ostatecznie zapomnieć o śmierci pierwszego stworzenia. W końcu minęło już tyle lat. Powinienem wrócić do służby. Mój nowy felid wciąż jest bardzo młody, ale jestem głęboko przekonany, że z pomocą maga tak potężnego jak ty, panie, poradzę sobie ze wszystkim. No dobrze. Ty, Fletcher, nie przejmuj się niczym, w ogóle nie zwracaj na nas uwagi. Poczujesz na skórze lekkie łaskotanie, ale to wszystko. Całą resztę pozostaw naszej uwadze.

Czwórka bojowych magów złączyła dłonie. Scipio zaczął kreślić w powietrzu zawiły hieroglif.

- Do dzieła, Fletcher - powiedział. - Malik czeka.







## 51

Rękojeść kopiesz zrobiła się śliska od potu. Fletcher starał się nie myśleć, co by się stało, gdyby Zachariasz bądź Favershawowie w niewłaściwym momencie przestali podtrzymywać chroniące go zaklęcie. Ot, tragiczny wypadek – tak zapewne brzmiałyby ich wyjaśnienia.

– Dalej, nie mamy dla ciebie całego dnia. – Rook wyszczerzył się, wchodząc na środek areny. – W tej rundzie czekają nas jeszcze trzy walki.

Fletcher nie zwrócił uwagi na inkwizytora. Polecił Ignacjuszowi przysiąść na schodkach, z dala od przeciwników. Gdyby salamandra wmieszała się do starcia, jego czekałaby natychmiastowa dyskwalifikacja.

– Zaczynajcie! – Rook przesadnie głęboko uklonił się kadetom.

Fletcher postąpił kilka kroków naprzód, starając się zaznajomić z polem walki. Dotąd ćwiczyli wyłącznie na płaskiej piaszczystej arenie, lecz teraz teren upstrzyły nierówne kamienie i okruchy gliny pozostałe po pierwszej rundzie turnieju.

Zaczął krążyć. Malik stał niewzruszony niczym posąg i obserwował przeciwnika. Młody arystokrata znakomicie wybrał pozycję, otaczały go drobne kamyki, na których przeciwnik łatwo mógł się pośliznąć. Fletcher uznał, że nie pozwoli się wciągnąć w starcie na tak zdradliwym gruncie i spojrzał na otoczoną krętymi schodami kolumnę. Przypomnił sobie słowa Othella, który opowiadał, że schody w domach krasnoludów skręcają w prawo, by atakujący w dół wrogowie mieli zablokowaną prawą rękę. Uświadomił sobie, że na tej samej zasadzie kłopot będzie mieć osoba nacierająca pod górę na schodach wijących się w lewo. Podbiegł do słupa i wszedł na stopnie. Nie spuszczać oka z Malika, wdrapał się aż pod sam ukruszony wierzchołek, który własnoręcznie zniszczył niecałą godzinę wcześniej.

– No chodź! Chyba się nie boisz, co?! – zawołał na tyle donośnie, by usłyszeli go wszyscy widzowie.

– Nie zamierzam walczyć na schodach, Fletcher – odparł Malik spokojnym, pełnym rozważań tonem. – Może jednak zejdziesz i spotkamy się na środku placu?

Fletcher wiedział, że jego główną słabością jest niecierpliwość. Postanowił sprawdzić, na ile odporny jest pod tym względem Malik. Sam ani trochę nie dbał o własną opinię wśród generałów i arystokracji, jednak koledze bardzo zależało na ich zdaniu. Gdyby impas przeciągnął się zbyt długo, obaj znacznie straciliby w oczach wysoko postawionych widzów. Fletcher zaczął z rozmysłem drażnić kolegę

– Ach, syn wielkiego Bajbarsa uchyla się od walki! Widzę, że w rodzie Saladynów jabłka padają bardzo daleko od jabłoni!

Malik zjeżył się wyraźnie i zbliżył się o krok do kolumny.

– Saladynowie potrafią walczyć wszędzie i zawsze. Przelewaliśmy krew na pustyni i w okopach, a także w sercu orkowych dżungli. Wątpię, byś mógł to samo powiedzieć o swojej rodzinie.

– Więc dowiedz tego! Pokaż mi, na co stać Saladyna! – rzucił prowokująco Fletcher i z udawaną pewnością siebie zamachał nęcąco ostrzem kopesa.

Tego Malik nie zdzierzył. Zadarł wysoko zakrzywione ostrze bułata i wbiegł starannie mierzonymi, długimi susami na schody. Nawet w gniewie nie przestał być urodzonym fechtmistrem. Fletcher wciąż jednak miał nadzieję, że kolumna zapewni mu wystarczającą przewagę.

Pierwsze cięcie wypadło zza zakrętu schodów, mierząc prosto w jego nogi. Zablokował je łukowatą częścią ostrza kopesa i odrzucił na bok, po czym zaatakował głowę Malika, ale ten zwinnie przykucnął i miecz uderzył w gliniany słup. Posypały się okruchy.

Malik odszedł krok w bok i ruszył prosto na przeciwnika. Wykonał przy tym zgrabną fintę; udał, że zamierza się na czaszkę Fletchera, po czym błyskawicznym łukiem skierował ostrze ku jego nogom. Fletcher podskoczył i bułat ze świstem rozciął powietrze tuż pod jego podeszwami. Opadł na nogi, schylił się i uderzył Malika pięścią prosto w policzek. Chłopak zatoczył się kilka stóp do tyłu.

Ciężko dysząc, zmierzili się wzrokiem. Zadając cios, Fletcher poczuł na twarzy Malika jedwabście gładką powierzchnię magicznej bariery. Przeciągnął palcami po swoim ramieniu i poczuł to samo, aczkolwiek tu wrażenie było znacznie słabsze. Prawdopodobnie jedynie Scipio podtrzymywał jego zasłonę należytą porcją many. Oczywiście, w tej chwili Fletcher nie miał na to najmniejszego wpływu.

Malik trzymał bułat z niezwykłą swobodą, lekko kołysał nim w tę i z powrotem. Szabla przypominała nieco kopiesz, była zakrzywiona i zwieńczona ostrym czubkiem. Nagle, w okamgnieniu, przerzucił bułat z prawej dłoni do lewej.

– Ojciec nauczył mnie walczyć także lewą ręką. Ciekawe, czy sir Caulder zrobił to samo? – spytał złośliwie.

Fletcher nie odpowiedział, po plecach spłynęła mu strużka lodowatego potu. Teraz, kiedy przeciwnik ścisnął broń lewą ręką, masywna kolumna nie mogła mu w niczym przeszkodzić. Na korzyść Fletchera nadal przemawiał fakt, że stał wyżej.

Malik wyprowadził pchnięcie w brzuch Fletchera, lecz ten ponownie zablokował atak kopeszem i sparował. Zwarli się bezpośrednio, pierś w pierś. Drewniane stopnie zaskrzyptały pod ciężarem walczących. Fletcher poczuł na twarzy gorący oddech arystokraty, który skorzystał z przewagi wzrostu i siły. Powoli uniósł ostrze ku kroczu Fletchera. Dyszał, lecz końcówka ciężkiej szabli ledwie drgała, wciąż nieuchronnie zbliżając się ku wrażliwemu punktowi.

Stałowy czubek zadrapał wewnątrz uda Fletchera. Czy strużka, którą poczuł na nodze, to naprawdę krew? Brzeszczot znalazł się ledwie kilka cali od jego ciała, za kilka sekund nastąpi

cięcie.

Fletcherowi przemknęło przed oczyma całe życie. Ujrzał Berdona, Didrica, Rotherhama. Zobaczył swą pierwszą walkę. Właśnie! Rotherham dzielił wtedy z byka Jakova, mężczyzną dwukrotnie cięższego od siebie. Tak, to jest to! Fletcher zadarł głowę, po czym wyprowadził czołem ostry cios prosto w nasadę nosa Malika. Przeciwnik zachwiał się i spadł ze schodów, uderzając brzuchem w zjeżony ostrymi wypustkami głaz, po czym odbił się i znieruchomiał na boku. Dyszał jak wyrzucona na piaszczysty brzeg ryba.

– Śmiertelny cios! Bez bariery nadziałby się na te kamienie! – zawołał Fletcher.

– Moim zdaniem, wręcz przeciwnie! – Rook się uśmiechnął. – Te skałki wcale nie są ostre. Widzisz? Już się podnosi!

Faktycznie, Malik dźwignął się na równe nogi, po czym spojrzał na przeciwnika. Sapał głęboko, nierównymi oddechami.

– Poddaj się! Jesteś ranny, a ja stoję wyżej! – rzucił błagalnie Fletcher.

Malik nie skorzystał z okazji. Nie pozwoliła mu na to urażona duma. Poderwał z ziemi bułat, ryknął i wściekle uderzył w kolumnę. Rozległ się głośny brzęk.

Fletcher zobaczył chmurę sypiących się okruchów gliny. Przeciwnik zamachnął się ponownie. Tym razem z większym powodzeniem. Na piach spadły spore kawały czerwonego kamienia, platforma, na której stał Fletcher, niebezpiecznie się zachwiała.

– Sam się poddaj! – zawołał Malik.

Fletcher nie miał czasu na odpowiedź. Kolumna zachrzęściła i zaczęła się rozpadać. Cieniutkie jak włosy szczeliny przebiegły przez gliniane ścianki niczym rozgałęziona błyskawica. Zostały mu ledwie sekundy. Skoczył, modląc się o miękkie lądowanie. Przetoczył się po piachu i przykleknął, a wysoki słup za jego plecami runął, wzbijając w powietrze chmurę ceramicznego kurzu.

Przestał widzieć cokolwiek, czerwony pył pokrył mu wargi i język. Nie mógł oddychać. Po lewej, a zaraz potem po prawej stronie zamajaczył jakiś cień. Czyżby Rook? A może...?

Nagle z rdzawej mgły wyskoczył Malik. Nienawistnie krzyknął i wziął zamach znad głowy, lecz Fletcher uskokzył w bok i ostrze szabli drasnęło go tylko w ramię. Zaraz potem arystokrata na powrót rozpląnął się w rudym tumanie.

Fletcher spojrzał na ranę. Krew płynęła szerokim strumieniem, lecz skaleczenie nie było głębokie. Znacznie mocniej zaniepokoiło go coś innego – nie miał już wątpliwości, że magiczna bariera nie działa jak należy. Uświadomił sobie, iż jedną chwilę dekoncentracji przypłaci śmiercią.

Zawirował na pięcie i rozejrzał się. Sylwetka Malika mignęła tuż poza zasięgiem wzroku. Fletcher zmrużył powieki i wtedy niewyraźny przeciwnik podniósł rękę. Z mgły wyrzelił kamień, który trafił go prosto w czoło. Przed oczyma stanęły mu gwiazdy i nagle leżał już na plecach, wpatrzony w kłębiący się nad nim czerwony kurz.

Fletcher na przemian budził się i tracił przytomność. Wciąż widział sine roztańczone plamy. Tak łatwo byłoby dać sobie we wszystkim spokój. Z odmętów nieświadomości wyrwał go palący ból dłoni. Z trudem odwrócił głowę na bok i ujrzał Valensa, który ucpił się żuwaczkami jego ciała. Fletcher zakaszłał, pokręcił głową i spróbował odpędzić stwora machnięciem dłoni.

Zuk uszczypnął go raz jeszcze, po czym wzbil się w powietrze. Wykonał zadanie.

Fletcher spróbował się podnieć, lecz czyjs but wytrącił mu kopiesz i mocno nacisnął na gardło.

– Już po tobie, Fletcher. Musisz wiedzieć, że nikomu nie wolno bezkarnie kpić z Saladynów.

Głos Malika doleciał go jakby z wielkiej odległości. Fletcher zrozumiał, że potrzebuje pomocy. Ignatius? Nie, salamandra była za daleko. Wyciągnął po omacku rękę, szukał kamienia, czegokolwiek, lecz pod palcami miał jedynie piach. Malik uniósł miecz. Białe zęby zabłyśły w przysypanej glinianym kurzem twarzy. Gdy pył zaczął osiadać, Fletcher zobaczył twarz

zebranych widzów. Obecni na sali wznosili podekscytowane okrzyki.

– Dobranoc – usłyszał.

W tym momencie sygnął Malikowi piaskiem w oczy. Oślepiony arystokrata zakrzyknął i się odwrócił. Fletcher poderwał się chwiejnie i ostatkiem sił rzucił na przeciwnika, powalając go na ziemię. Głowa Saladyna stuknęła głucho o skalnę i zapadła cisza.

Przez chwilę trwali w bezruchu, kurz okrył ich ciała niczym ciepły płaszcz. Tak dobrze było leżeć na piachu, tak spokojnie. Fletcher prawie nie poczuł dłoni, które podniosły go z ziemi, ledwie tylko uświadomił sobie, że ktoś podsunął mu do ust kubek wody. Usłyszał jednak głos wołającego Scipia.

– Zwyciężył Fletcher!





## 52

– Fletcher, ja nie dam sobie rady, ty musisz przejść dalej – powiedział błagalnym tonem Othello.

Krasnolud był nieprzejednany. Sir Caulder przed momentem ogłosił, że w półfinale turnieju zmierzą się właśnie ze sobą i Othello zamierzał ustąpić bez walki.

– W pierwszej rundzie zużyłem zbyt wiele many. Nie uda mi się wygrać – odparł Fletcher.

– Ale ja nie mam najmniejszych szans. Przecież Rufus złamał mi nogę, cholera! I tak miałem sporo szczęścia, że udało mi się z nim zwyciężyć. – Krasnolud wskazał na opatrzoną grubymi łupkami gołęń. – W następnej rundzie odpuszczę i pozwolę ci spokojnie przejść do finału. W tej sytuacji, nawet gdybyśmy stanęli do walki i tak byłbyś górą. A dzięki mojej dyskwalifikacji oszczędzisz trochę many.

– Dlaczego nie poprosisz lady Fairhaven, żeby cię wyleczyła? – spytał Fletcher.

– Zakłęcie leczące uzdrawia tylko rany mięśni i organów wewnętrznych, zapomniałeś? Potraktowane tym czarem kości krzywo się zrastają. Możesz mi wierzyć, pytałem. Wiesz, dołożyłbym Tarquinowi z równą chęcią jak ty, może nawet większą. Zdaję sobie jednak sprawę, że nie miałbym szansy.

– W sumie może niepotrzebnie dyskutujemy – zauważył Fletcher i wskazał głąb korytarza. – Co prawda, Tarquin wyeliminował Serapha, ale Sylva zwyciężyła w pojedynku z Isadorą. Teraz walczy z Tarquinem o miejsce w finale. Jeśli wygra, to ja zrezygnuję. Krasnoludom bardzo zależy, żebyś przeszedł do ostatniej rundy, taki wyczyn wywrze na generałach znakomite wrażenie. Na przykład powiem, że mam wstrząśnienie mózgu. W sumie to nawet nie będzie do końca kłamstwo. – Potarł rozciętą skórę na głowie.

Gdy Scipio zauważył ranę, natychmiast uświadomił sobie, że wspomagający go w podtrzymywaniu bariery magowie nie grają uczciwie. Rektor zaproponował, by Zachariasz

i Favershamowie odpoczęli i na czas następnej walki zastąpił ich bezstronnymi arystokratami.

Nagle w celi Othello rozległ się głuchy pomruk. Zdenerwowany Solomon porykiwał, przechadzając się w tę i z powrotem po celi. W pewnym momencie przystanął i pogłaskał usztywnioną nogę swojego pana. Ignatius zaczął krzyczeć ze współczuciem i obliżał policzek Fletchera wilgotnym językiem.

– Wszystko będzie dobrze, Ignatius. Tarquin nie ma pojęcia o moich tatuażach. Jest przekonany, że pójdzie mu z nami jak z płatką – szepnął chłopak.

Nagle kostur sir Cauldera zagrzechał o pręty. Fletcher aż podskoczył.

– No, chłopcy. Już po walce.

– Sylva wygrała? – zapytał Fletcher, gdy rycerz zaczął otwierać cele.

– Sam zobacz – odparł ponuro stary wojownik.

Lady Fairhaven i rektor nieśli przez tunel leżącą na noszach Sylwę, której ręce, nogi i twarz pokrywały ciemnogrnatowe sińce, na głowie pęczniał okropny guz. Za nimi człapała z podkulonym ogonem Sierśc demona lepiła się od krwi, a przez cały bok, od pyska po kité, biegło paskudne zadrapanie.

– Tarquin trafił Sylwę falą energii kinetycznej – wyjaśnił Scipio, widząc zaniepokojone spojrzenia kadetów. – Twardo wylądowała. Jeszcze nie wiemy, jak poważnych obrażeń doznała.

– Biedaczka, musiała walczyć z obojgiem bliźniąt po kolei. – Lady Fairhaven pokręciła głową.

– Już w pierwszej rundzie wykorzystała większość many, a pojedynek z Isadorą dodatkowo wyczerpał ją fizycznie. Do starcia z Tarquinem podeszła praktycznie bez sił, a i tak dała mu w kość. Jestem pewna, że po tym występnie nikt już nawet nie pomyśli, że elfy są słabe – mówiła z wyraźną troską w głosie. – Przy tak poważnym urazie głowy nie możemy leczyć jej magicznie. To mogłoby się okazać niebezpieczne. Niewykluczone, że ma pękniętą czaszkę. Ułożymy ją w sali z kapitan Lovetta. Naturalnie, dam wam znać, gdy tylko odzyska przytomność.

Fletcher spojrział na poturbowaną sylwetkę na noszach i zacisnął pięści.

– Chodźmy.

Pomógł utykającemu krasnoludowi dobrać na arenę. Przypomniały mu się chwile, gdy w podobny sposób szli z Atyllą, ponownie poczuł na plecach spływającą ciepłą krew. Zobaczył łzy, którymi Othello zareagował na powrót do Cytadeli. W samym centrum wszystkich tych wydarzeń znajdował się ród Forsythów; skojarzyli się Fletcherowi z pajakiem siedzącym pośrodku sieci kłamstw i knoń. Podjął mocne postanowienie, że zrobi wszystko, by za swoje uczynki słono zapłacił.

Gdy dotarli na środek areny, Othello ledwie był w stanie utrzymać się na nogach. Pozieleniał na twarzy, a czoło zrosiły mu krople potu. Krasnolud miał ramię, w starciu z Tarquinem nie wytrzymałby nawet dwóch sekund. Cała nadzieja była w nim, Fletcherze.

– Reguły są proste – oświadczył Rook, który wszedł między obu kadetów. – Demony nie mogą atakować walczących, ponieważ zakłęcie bariery nie chroni przed mocami istot z eteru. Gdyby mimo wszystko wasi podopieczni wykazali się nadmiernym zapalem, mój minotaur pomoże utrzymać ich na dystans.

Fletcher dopiero teraz zauważył obdarzone głową byka stworzenie. Pojawiło się tuż za powaloną kolumną. Mierzyło sobie siedem stóp wzrostu, ze skroni sterczały mu zakrzywione ostre rogi, czaszkę porastały zmierzwiłone czarne włosy. Rozdwojone kopyta przechadzającego się po arenie minotaura pozostawiały na piasku okrągłe ślady. Wydawał się mocno pobudzony, ledwie nad sobą panował. Jego dłonie wyglądały bez mała jak ludzkie, z tą jednak różnicą, że z palców wyciągały się grube czarne pazury. Obwiedzione czerwonymi liniami oczy przez moment złowrogo wpatrywały się we Fletchera, po czym minotaur odwrócił się i prychnął ze wzgardą. Z jego pyska buchnęła w powietrze mgielka kropelek śliny.

– O tak, imponujący jest, nieprawdaż? – Rook zauważył spojrzenie Fletchera. – Poziom spełnienia Kalibana wynosi jedenaście, więc powinien bez kłopotu poradzić sobie z dowolnym niesfornym demonem. Czujcie się ostrzeżeni.

Inkwizytor zaplątał ręce na plecach i ruszył powolnym krokiem wokół areny.

– Ktokolwiek wyjdzie poza obręb placu, przegrywa. Przegra również ten zawodnik, którego stworzenie straci przytomność. Jeżeli zabijecie demona konkurenta, zostaniecie automatycznie zdyskwalifikowani i wydaleny z akademii. To nie jest walka na śmierć i życie, a istoty z eteru są dobrem rzadkim i cennym. Przykażcie im więc, by zachowały ostrożność. Wolno zadawać rany, lecz pod żadnym pozorem nie okaleczać trwale. Powtarzam raz jeszcze, demony nie mogą zabijać.

– A my? Czy my możemy zabić przeciwnika? – spytał z uśmiechem Tarquin, siedzący na jednej z rozebranych platform. Czułe pogładził jeden z gadzich łbów Trebiusa.

– Nie, paniczu Tarquinie. Was dotyczą identyczne reguły jak w poprzednich rundach. – Rook uśmiechnął się do młodego arystokraty. – Wygrywa ten zaklinacz, który zdoła zadać mieczem cios, który w normalnych warunkach byłby zabójczy. Ta sama zasada stosuje się do zaklęć. Bariera uchroni was przed porażeniami, poparzeniami i cięciami, lecz każde trafienie mocno zabol. O czym, jak się domyślam, Tarquin przekonał się już dobitnie, wykańczając Sylwę.

– Rzeczywiście, bardzo cierpiała. – Uśmiech jasnowłosego arystokraty nie gasł ani na moment. – Szybko jednak pozbawiłem ją przytomności i uwolniłem od bólu. Ze współczucia. Taka już moja dobrotliwa natura.

– No dalej, miejmy to już za sobą! – rzucił Fletcher.

Othello już podszedł, kuśtykając, do krawędzi areny.

– Zaczynajcie! – wykrzyknął donośnie Rook.

Fletcher rzucił inkwizytorowi chłodny uśmiech i spojrzał na krasnoluda, który opuścił plac boju i padł jak długi na posadzkę.

– Och nie! – zawołał z przesadnym żalem Tarquin. – Tak bardzo chciałem się zmierzyć z półludkiem. Pokonać dwoje podludzi jednego dnia... cóż to byłoby za rozkosz.

– Zamknij wreszcie tę parszywą jadaczkę i stań do walki ze mną! – odezwał się Fletcher. Proponuję, byśmy rozegrali finał od razu.

Tarquin wznosił oczy do nieba i wyszedł swobodnym krokiem na piasek.

– Znakomita sugestia. Zaczynajmy.

– Czy zaklęcia barier zostały rzucone? – Scipio uniósł rękę w powietrze.

– Tak jest, rektorze – potwierdził jeden z arystokratów.

– W takim ra....

– Zaczynajcie! – wrzasnął Rook.

Zanim komenda dotarła do Fletchera, Tarquin ostrzelał go ognistymi kulami. Fletcher w ostatniej chwili skrył się za głazem. Nagle zrobiło mu się gorąco, jeden z płomienistych pocisków osmałił mu włosy.

– Ignatius, kryj się! – szepnęła i salamandra czmychnęła pod osłonę skalnego rumowiska.

Trebius był potężny, lecz dobrze wymierzony atak Ignatiusa mógł zakończyć walkę w jednej chwili. Wystarczyło, by uniknął ciosów kołyszących się na węzowych szyjach głów przeciwnika.

Nagle telekinetyczny podmuch uderzył w głaz po drugiej stronie, synęło odłamkami.

– Wyjdiesz, Fletcher? Chciałbym się trochę pobawić! – zawołał Tarquin.

– Właśnie się rozgrzewam! – odrzyknął Fletcher i wykorzystując część zapasu many, wyczarował owalną tarczę.

Wyraźnie odczuł odpływ magicznej energii, nie zostało mu jej wiele. Dzięki spędzonym w bibliotece godzinom wiedział, że hydry dysponują bardzo dużymi zasobami many. Gdyby wdał

się z Tarquinem w wymianę ciosów, pojedynki nie skończyłyby się dla niego pomyślnie.

Rzucił się na piasek, wyturlał zza skały i pomknął pod strzaskaną kolumnę. Rozległ się suchy trzask tarczy, w którą gruchnęła ognista kula. Pocisk był jednak niewielki i nie zdołał Fletchera powalić.

– Co? Za mała? Zatańcz z tą! – zawołał Tarquin i wystrzelili raz jeszcze.

Ta kula wbiła się w magiczną osłonę z siłą obłędnego tarana. Fletcher poleciał na ziemię. Kiedy próbował wstać, przeciwnik zaatakował ponownie. Skłębione płomienie pchnęły tarczę i chłopak runął z powrotem na piach.

– No proszę cię, myślałem, że przynajmniej przy tobie nie będę się nudzić. – Tarquin parsknął śmiechem, widząc, że Fletcher ukrywa się za kolejną skałą. – Może chociaż trochę to przeciągniemy? Trebius, szukaj salamandry. Chcę krwi!

Fletcher skorzystał z chwili oddechu i nasunął na głowę opaskę z widzącym kamieniem. Ignatius znajdował się po przeciwnej stronie areny i próbował właśnie zająć Trebiusa od tyłu. Zadanie wydawało się niemal niewykonalne. Trójgłowa hydra obserwowała jednocześnie całe otoczenie.

– Dalej, Ignatius – zachęcił Fletcher. – Dasz sobie radę.

Salamandra wyskoczyła z kryjówki i podbiegła do hydry. Musiała przy tym skakać co chwila z kamienia na kamień, by uniknąć kłapiących niebezpiecznie, próbujących ją pochwycić paszcz. Wreszcie, w dogodnej chwili, Ignatius wskoczył pod Trebiusa i zionął huraganowym snopem płomieni w odsłonięte, niczym niechronione podbrzusze.

Hydra rozpaczliwie zaryczała, czując przypiekający ciało ogień. Okręciła się gwałtownie w miejscu i zaczęła bić łapami w ziemię, lecz Ignatius nieustraszenie wił się i tańczył między jej pazurami, raz po raz smagając przeciwnika kolejnymi pióropuszymi płomieni.

– Dość! – zagroził Tarquin i wycierzył palec w walczące demony. Kula kinetycznej energii wpadła pod Trebiusa i wyrzuciła salamandrę na środek placu. Ignatius przeokoziłkował w powietrzu, po czym padł i znieruchomiał niczym zepsuta zabawka na podłodze dzieciennego pokoju.

– Cóż, wygląda na to, że pojedynek dobiegł końca – orzekł ze śmiechem Rook, gdy jego minotaur podszedł ociężale do Ignatiusa i ostrożnie trącił go kopytem.

– Bravo, bravo! – zawołał z widowni Zachariasz.

Trebius szczywał i ruszył w kierunku powalonego przeciwnika. Zatrzymał się kilka stóp od salamandry, pochylił wszystkie trzy głowy i oblizał rozdwojonymi językami nieruchome ciałko.

Fletcher nie poczuł smutku ani rozczarowania. Przez cały czas wyraźnie czuł umysł swego demona, rozumiał jego zamiary.

– Słusznie, Ignatius – niemal bezgłośnie poruszył wargami. – Czas na brudne sztuczki. Zasady są dobre dla dobrze urodzonych.

Zgasił tarczę i wchłonął z powrotem manę. Zaplanowany manewr mógł wykonać tylko raz, drugi szansy nie będzie. Pomyślał w sprzeczności ze wszystkimi zasadami pojedynków, jakie wpał kadetom Arcturus. Fletcher uznał jednak, że gra jest warta świeczki

– No dobrze, Tarquin. Zobaczmy, jak ci się spodoba, kiedy dostaniesz z kilku łuf naraz – powiedział pod nosem Fletcher i posłał manę jednocześnie do trzech palców, na których widniały symbole ofensywnych zaklęć. – Ignatius, mam nadzieję, że jesteś gotów.

Fletcher wyprostował się gwałtownie i co sił w nogach przebiegł przez arenę. Ignatius ożył z głósnym skrzekiem i zionął ku górze grubym, wściekle huczącym słupem ognia.

Hydra glucho zawyla i podniosła się na tylne łapy, po czym z morderczą siłą opadła cieleśkiem na mniejszego demona. W ostatnim ułamku sekundy przed nieuchronnym zmiążdżeniem Ignatius rozplynął się w obłoku białego światła, którego smużki po chwili wniknęły



w wytatuowany na dłoni Fletchera pentagram.

Tarquin zrozumiał, co zamierza konkurent, i pospiesznie postawił tarczę. W samą porę, ponieważ Fletcher wystrzelił spiralnie skręconym warkoczem błyskawicy, ognia i energii kinetycznej, które odrzuciły przeciwnika na sam skraj areny. Stopy zaatakowanego wryły w piachu głębokie bruzdy. Magiczna osłona zaskwierczała i ugięła się, lecz wytrzymała. Tarquin posłał w nią grube pasma jasnego światła, by naprawić uszkodzone miejsca. Fletcher zdwoił siłę ataku. Mana wypełniała całe jego ciało i natychmiast wzmacniała atakujący Tarquina korkociąg energii. Palce zapiekły, powietrze wokół zmąciło się, wypełnił je głośny pomruk. Trzaskające odnogi błyskawicy rozbijały skały na pobłyskujące odłamki. Piasek pod stopami Fletchera zmienił się w kałużę płynnego szkła, bulgocącego niczym wulkaniczna lava.

Ukryty w ciele pana Ignatius przekazał mu całą swoją energię. Fletcher wyraźnie czuł w sobie krzepiącą obecność stwora. Wreszcie ryknął i pozbył się resztek many, wykorzystując ją do ostatniego ataku. Tarcza Tarquina eksplodowała, posyłając dokoła falę uderzeniową, która postawiła świat na głowie.

Smagnięty deszczem piasku i kamieni Fletcher wyleciał w powietrze, przez chwilę wirował bezradnie, po czym padł na plecy i spojrział tępo w powałę.

Ogarnęła go ciemność.





## 53

– Zbudź się! – Głos Othella dobiegał z wielkiego oddalenia. Ktoś poklepał Fletchera po twarzy.  
– Udało ci się! – szepnęła krasnolud. – Pokonałeś go.

– Wygrałem? – spytał Fletcher i otworzył oczy. Tuż nad sobą ujrzał rozradowane zielone oczy Othella.

– Zawstydziliście nas wszystkich. Kiedy jego tarcza pękła, dosłownie pękła, mówię ci, Tarquin zderzył się z sufitem. Gdyby Zachariasz w porę nie rozpostarł pod nim kinetycznej poduszki, pewnie leżałby w tej chwili obok ciebie.

Fletcher usiadł i rozejrzał się. Infirmeria. Nieruchome, milczące Lovett i Sylva zajmowały sąsiednie łóżka. Zwinęta w kłębek Sariel cicho pochrapywała pod posłaniem właścicielki. Valens usadowił się w gęstej sierści na grzbiecie kanida i wydawał się obojętny na sprawy całego świata.

– Jak ona się czuje? – zapytał Fletcher. Wyciągnął rękę i odgarnął z policzka elfki zbłąkany kosmyk białych włosów.

– Lady Fairhaven powiedziała, że wydobrzeje. Niestety, podobnie jak ja, będzie musiała wracać do zdrowia o własnych siłach. Ma złamaną rękę w dwóch miejscach.

Othello spojrział na twarz koleżanki. W jego oczach malował się natłok emocji. Po chwili ujął jej bladą dłoń.

– Wiesz, bez niej by się nam nie udało. Sylva pokonała Isadorę i osłabiła Tarquina, sama wiele przy tym ryzykując. Mogła przecież zrezygnować, podobnie jak ja. A jednak postanowiła stanąć do walki, mimo że zdawała sobie sprawę, że nie ma szans na wygraną.

– To prawda. Okazała się dwukrotnie lepszą wojowniczką ode mnie – przyznał Fletcher, obserwując falującą z wolna pierś Sylvy.

– Tak czy inaczej, zwyciężyliśmy dzięki waszej dwójce – stwierdził Othello z nutą zawodu w głosie. – Szkoda, że nie mogę pochwalić się ojcu, że wszystko udało się dzięki mnie. Chciałem,

żeby Forsythowie wiedzieli, że przegrali przez krasnoludy.

– Othello, przecież to krasnoludy podarowały mi sprzęt, bez którego nic bym nie zwojował. Co więcej, gdyby nie ty, całą manę zużyłbym już w półfinale na Rufusa. – Fletcher spojrzął brodatemu kadetowi prosto w oczy. – Do sukcesu przyczyniła się cała nasza trójka. Ba, nawet Seraph odegrał swoją rolę. Założę się, że też nie sprzedał Tarquinowi skóry za bezcen. Szkoda tylko, że Sylva jest nieprzytomna i nie może świętować zwycięstwa razem z nami.

– Niedługo się ocknie – Othello przetarł zmęczone oczy – i wtedy usłyszysz ode mnie o zwycięstwie. To pierwsze, co jej powiem. Kurczę, a zaraz potem otrzyma pewnie awans.

– Jestem przekonany, że ty też dostaniesz wysoki stopień. Wstępujące do armii krasnoludy będą potrzebować dowódców. Dowiodłeś swojej wartości, docierając aż do półfinału. Przypomnij sobie, z jakiego powodu się tu znalazłeś. Chciałeś pokazać całemu światu, że wraz z pobratymcami jesteście godnymi zaufania sojusznikami – powiedział Fletcher.

– Masz rację. – Othello uśmiechnął się szeroko. – O tym nie pomyślałem. Teraz Scipio bez mrugnienia okiem przyjmie do akademii Atyllę. Ostatecznie to mój bliźniak. Muszę się koniecznie dowiedzieć, w jaki sposób Inkwizycja testuje kandydatów na zaklinaczy. Bojowi magowie przydadzą się też w krasnoludzkich batalionach.

– Możesz na mnie liczyć. Przedstawię twój pomysł na spotkaniu Rady Królewskiej, przy pierwszej nadarzającej się okazji – obiecał Fletcher.

Wyobraził sobie długi stół w mrocznej komnacie i twarze zasiadających przy nim najpotężniejszych osób w Hominum. Ogarnął go lęk. Zachariasz – również członek rady – z pewnością spróbuje go ośmieszyć. Co prawda, pokonał młodych Forsythów, lecz wciąż musiał się liczyć z ich ojcem.

W korytarzu rozległy się kroki i po chwili w wejściu ukazała się rozemocjonowana twarz Serapha.

– Chłopaki, lady Fairhaven zgodziła się, żebym po was przyszedł i zaprowadził na dół. O ile, oczywiście, dacie radę się ruszyć. Już niedługo rozpocznie się ceremonia rozdania awansów. Chodźcie! – oznajmił, po czym znikł za drzwiami i zbiegł z tupotem po schodach.

– Widzę, że ktoś tu wysoko ocenia swoje perspektywy – zaśmiał się Othello. – Pomożesz mi zejść, dobrze? Nie mogę obciążać tego cholernego kulasa.

– Słowo daję, mam wrażenie, że pół życia spędzam, prowadząc kulawe krasnoludy – zażartował Fletcher.

Zwiesił nogi z łóżka i wstał. Zakręciło mu się w głowie, ale po kilku głębszych oddechach słabość ustąpiła.

– Trafił swój na swego – powiedział, podtrzymując ramieniem krasnoluda. – Coś mi mówi, że ja też będę potrzebować pomocy. – Puścił oczko do Othella i podciągnął go ku górze. Zbolałe ciało zaprotestowało przeciwko kolejnemu wysiłkowi.

Niepewnie kuśtykając, krok za krokiem, przemierzali klatki schodowe i korytarze zamczyska, co kilka stóp przystając dla nabrania tchu.

– Jeszcze trochę, chyba nie chcesz przegapić kapitańskiego awansu – powiedział Othello.

Gdy Fletcher usłyszał wzmiankę o nadaniu stopnia, zdobiące sale akademii wojenne trofea i broń nabrały dla niego zupełnie nowego znaczenia. Już niebawem jakiś ork mógł zamierzyć się identyczną maczugą na jego głowę.

W atrium zastali skłębiony tłumek arystokratów i generałów. Oczy wszystkich obecnych zwróciły się w kierunku pary powłóczących nogami kadetów. W spojrzeniach niektórych dało się nawet zauważyć strach.

– Czysty, nieskażony geniusz! – zawołał Scipio i podszedł do Fletchera. – Tatuaze pozwalające uwolnić się od konieczności kreślenia znaków w powietrzu! Widzący kamień wbudowany

w okular! To wielkie kroki naprzód w dziedzinie magicznej technologii. Nie mam pojęcia, dlaczego nie wpadliśmy na to znacznie wcześniej!

Ponad ramieniem rektora Fletcher spostrzegł Tarquina – stał ze spuszczoną głową przed ojcem i wysłuchiwał połajanki. Pozostali nowicjusze siedzieli na przyniesionych ze stołówki ławach i w milczeniu czekali na początek uroczystości.

– Możesz być pewien, że o te tatuaże wypytam cię drobiazgowo potem. A teraz, generale Kavanagh, zechcesz przynieść dokumenty, byśmy mogli dopełnić formalności w sprawie Fletchera? Na kiedy zaplanowano następne posiedzenie Rady Królewskiej? Już na przyszły miesiąc? Zatem musimy sprowadzić nauczyciela, który wyłoży chłopakowi podstawy systemu politycznego Hominum. Nasz zwycięzca nie jest wysoko urodzony i zapewne nie ma o tych sprawach pojęcia. – Scipio trzasnął się o Fletchera nierzadym nadopiekuńcza matka. Otrząpiał nawet drobne pyłki z jego ramion.

Fletcher podniósł głowę i rozejrzał się uważnie po sali, odpowiadając pewnym wzrokiem na spojrzenia najwyższych rangą oficerów i możnych. Z dumą pomyślał o tym, co wraz z przyjaciółmi osiągnęli. Sylva i Othello udowodnili władcy i innym wpływowym postaciom Hominum, że ich rasy stanowią siłę, z którą należy się liczyć. Powiodło się także Seraphowi – teraz, gdy zademonstrował na arenie odwagę i nieustępliwość, bez kłopotu dołączy do grona arystokracji. Co do samego Fletchera, cieszył się po prostu, że nie dopuścił kolejnego Forsytha do Rady Królewskiej, a samemu sobie zapewnił promienną przyszłość. Żałował jedynie, że nie może się tą radością podzielić z Berdonem.

Złapał Othella za ramię, ścisnął lekko i pokazał przyjacielowi generałów i członków arystokratycznych rodów.

– Jeden z tych ludzi przyzna ci dzisiaj awans i wyznaczy stanowisko. Dokąd chciałbyś trafić najbardziej?

– Wszędzie, byle nie do Forsythów ani Favershamów. – Krasnolud zachichotał. – Trzeba było widzieć ich miny, kiedy dołożyłem Rufusowi.

Wtem zamasyżycie otworzyły się wrota zamczyska i do atrium wpadł silny podmuch wiatru. Na tle jasnego dnia ujrzeli w wejściu trzy ciemne sylwetki. Po chwili dębowe drzwi zatrzasnęły się za plecami przybyszów.

Gdy oczy Fletchera przywykły z powrotem do półmroku, z niepokojem zauważył, że są to Rook, Turner i Murphy. Inkwizytor ruszył ku niemu ze złośliwym uśmiechem na ustach.

Fletcher spoępniał na dobre. Turner trzymał w dłoni spięte łańcuchem kajdany.

– Othello! – jęknął Fletcher. – Pinkertonowie!

– Co ma znaczyć to najście?! – wy palił gromko Scipio, gdy funkcjonariusze precyzyjnie przeszli przez tłum możnych. – To prywatne przyjęcie.

– Przychodzimy po niego. – Murphy skinął głową w kierunku Fletchera i Othella. – Mamy nakaz natychmiastowego aresztowania.

Fletcher zasłonił krasnoluda własnym ciałem, zachwiał się na nogach.

– Jeżeli chcecie go zabrać, najpierw musicie poradzić sobie ze mną.

Murphy podszedł bliżej i rozciągnął wargi w paskudnym uśmiechu.

– Fletcherze Wulf – wyrecytował, zapinając żelazne obręcze na przegubach zatrzymanego – jesteś aresztowany za usiłowanie zabójstwa Didrica Cavella.

Znaczenie tych słów dopiero po chwili dotarło do Fletchera. Stał jak wryty.

– Zabieraj od niego te łapy! – wydarł się Othello i spróbował odsunąć pinkertona od kolegi. – To pomyłka!

W odpowiedzi Turner tak mocno uderzył Othella w twarz, że posłał go na ziemię.

– Uważaj na słowa, krasnoludzie! – podniósł głos. – Możemy cię wsadzić za utrudnianie pracy

wymiarowi sprawiedliwości! – ostrzegł, trącając Othella czubkiem buta.

Rook przeszedł nad leżącym, złapał Fletchera za koltarz i przyciągnął go blisko do siebie.

– Twoja mała wycieczka dobiegła właśnie końca – rzucił. – Wracasz do Skór.



# DEMONOLOGIA

## **Insekt – poziom 1 (Rory, Genevieve i kapitan Lovett)**

Insekty są najbardziej pospolitymi z istot zamieszkujących należąca do Hominum część eteru. Stanowią źródło pożywienia dla wielu innych gatunków magicznych stworzeń. Spośród licznych odmian najsilniejszymi przedstawicielami rodzaju są skarabeusze. Kształtem zbliżone są do dużych, obdarzonych zdolnością lotu żuków i występują w wielu odmianach kolorystycznych, od szaroburej do żywo ubarwionej. Obok niezwykle silnych żuwaczek dorosłe insekty dysponują groźnym żądłem, którego jad służy do paraliżowania przeciwnika. Wielu zaklinaczom insekty służą w charakterze zwiadowców badających eter, zanim mag pośle na łowy demona silniejszego gatunku.

## **Lutra – poziom 4 (Rufus i Atlas)**

Ów demon, dorównujący rozmiarami psom, wyglądem niezwykle przypomina przerosniętą wydrę, uzbrojoną w zjeżony kolecami jak korbacz ogon i dwa spore siekacze. Lutry często spotyka się w rzekach i jeziorach eteru, ponieważ uwielbiają pływać.

## **Dzierzba – poziom 4 (Amber)**

Te latające demony co roku migrują przez należące do Hominum rejony eteru, wskutek czego raz na dwanaście miesięcy wniknięcie do tego wymiaru staje się wysoce niebezpieczne. Dzierzby są szeroko znane ze swego czarnego upierzenia, skrzydeł o rozpiętości dorównującej wzrostowi dorosłego mężczyzny i zwieńczonych białą plamką lotek. Dzierzby dysponują zakrzywionym ostrym dziobem, jaskrawoczerwonymi koralami na podgardlu i czerwonym, biegnącym przez głowę, kugucim grzebieniem.

## **Salamandra – poziom 5 (Fletcher)**

Salamandry są demonami niesłychanie rzadkimi i nie występują w rejonach eteru, dostępnych magom z Hominum. Niewiele wiadomo o ich naturalnym środowisku i historii gatunku, aczkolwiek pojawiały się dowody świadczące o tym, że orkowie chwyтали je już w zamierzchłej przeszłości. Wielkością przypominają fretki, mają podobnie zwinne ciała i długie kończyny, umożliwiające poruszanie się skokami, z gracją kojarzącą się raczej z górkimi wilkami niż z jaszczurczym pełzaniem. Ich skóra ma barwę ciemnego czerwonego wina, oczy są duże, bursztynowe i okrągłe niczym u sowy. Salamandry nie mają uzębienia, lecz ich pyski zakończone są ostrymi płytkami, podobnymi do dziobów żółwi wodnych.

## **Dzierzba matriarcha – poziom 6**

Matriarcha to samica przewodząca stadu dzierzb. Rozmiarami niemal dwukrotnie przerasta typowego przedstawiciela swojego rodzaju. Tych demonów nie wolno lekceważyć pod żadnym pozorem. Zdarza się, że w sprzyjających okolicznościach matriarchy porywają szczenięta kanidów.

## **Korowiec – poziom 6 (Seraph)**

Ten zbliżony kształtem do borsuka demon porośnięty jest twardą skórą, praktycznie niemożliwą do odróżnienia od kory drzew. Pomaga mu ona ukrywać się w dżunglach eteru.

Mimo że jest to gatunek względnie pospolity, skłonność do ukrywania się w powalonych pniach, w połączeniu z rżędem jadowitych kolców, którymi potrafią strzelać z grzbietu, sprawia, że nie padają łatwym łupem zaklinaczy. Ich dieta składa się wyłącznie z pokarmów pochodzenia roślinnego, liście i owoce zjadane są po uprzednim rozdrobieniu twardymi wargami.

### **Vulpid – poziom 6 (Penelope)**

Przypominające lisy vulpidy są blisko spokrewnione z kanidami. Różnią się od nich mniejszymi rozmiarami, większą zwinnością i osiąganą w biegu prędkością.

### **Kanid – poziom 7 (Sylva i Arcturus)**

Kanidy są demonami o psich ciałach, wyposażonymi w czworo oczu, zabójcze pazury, lisie kity i gęsty grzebień sierści biegnący wzdłuż grzbietu. W zależności od rodzaju, stworzenia te osiągają wielkość od dużego psa do małego kuczka.

### **Felid – poziom 7 (Isadora i Scipio<sup>2</sup>)**

Demon przypominający wielkiego dwunożnego kota o czterech oczach oraz postawie i inteligencji szympansa. Ich podgatunki dzielimy na lwie, tygrysy i lamparcie, ze względu na podobieństwo do odpowiednich gatunków zwyczajnych zwierząt.

### **Anubid – poziom 8 (Malik i jego ojciec, Bajbars)**

Kolejny daleki kuzyn kanida. Rzadko spotykany demon poruszający się na dwóch nogach i obdarzony głową szakala. W odróżnieniu od pozostałych stworzeń spokrewnionych z kanidem pospolitym, anubidy oglądają świat jedynie parą oczu.

### **Golem – poziom 8 (Othello)**

Rzadko występujący demon z klasy żywiołaków. Może mieć ciało zbudowane z rozmaitych minerałów i substancji, między innymi gliny, błota i piasku. Najpotężniejszymi pośród nich są golemy kamienne. Młodociane osobniki mierzą jedynie kilka stóp wzrostu, lecz wraz z upływem czasu dorastają nawet do dziesięciu stóp. Sylwetką przypominają z grubsza człowieka, aczkolwiek wyposażone są tylko w jeden palec i przeciwstawny kciuk.

### **Hydra – poziom 8 (Tarquin)**

Hydry są dużymi demonami o trzech gadzich głowach, osadzonych na długich i cienkich szyjach. Tułowiem przypominają warany i osiągają rozmiary dużych kanidów. W przeszłości spotykano je w należącej do Hominum okolicach eteru częściej niż obecnie, gdyż stały się niezwykle rzadkie.

### **Gryf – poziom 10 (kapitan Lovett)**

Nieczęsto oglądany gatunek demona, który tylko od czasu do czasu zapuszcza się w dostępne ludziom rejony eteru. Gryfy osiągają rozmiary koni. Ich ciało, ogon i tylne łapy przypominają lwie, natomiast głowa, skrzydła i szpony są orle.

### **Minotaur – poziom 11 (Rook)**

Owe człekokształtne stworzenia są wysokie, kudłate i mocno umięśnione. Mają bycze łby i podwójne kopyta. W odróżnieniu od golema, minotaur ma pięciopalczaste dłonie i pazury. Demony te są zdolne do posługiwania się bronią, aczkolwiek nietatwo jest je w tej sztuce wyszkolić. W należącej do Hominum części eteru spotyka się je sporadycznie.

**1** Fletcher (j. ang.) – rzemieślnik zajmujący się wytwarzaniem strzał (przyp. tłum.).

**2** Pierwszy felid Scipia zginął i rektor dopiero niedawno otrzymał młodego demona tego gatunku.